


Lee  
**CHILD**

**Jednym strzałem**



JACK REACHER. KAŻDY MEŹCZYŻNA CHCIAŁBY  
WEJŚĆ W JEGO SKÓRĘ. A KAŻDA KOBIETA - POSIĄŚĆ...



LEE CHILD

Jack Reacher jest bohaterem dziesięciu bestsellerowych thrillerów Lee Childa, przetłumaczonych na 30 języków. Niebezpieczny i inteligentny twardziel, obdarzony poczuciem humoru. Bez wahania używający siły. Facet, któremu nie należy wchodzić w drogę. Człowiek niezależny, typ samotnika, który nigdzie nie może zagrozić miejsca. Pojawia się, rozwiązuje problem i odchodzi. Kobiety za nim szaleją, mężczyźni daliby wiele, by wejść w jego skórę. Po raz pierwszy czytelnicy zetknęli się z Reacherem w powieści *Poziom śmierć* (1997). Teraz do grona jego największych fanów zaliczają się m.in. Stephen King i były prezydent USA Bill Clinton.

Sześć strzałów z karabinu, pięciu zabitych, sterroryzowane miasto, wzorowe śledztwo, zabójca ujęty w ekspresowym tempie. Dowody obciążające Jamesa Barra, byłego żołnierza piechoty i strzelca wyborowego, są niepodważalne. Dlaczego morderca nie chce rozmawiać z adwokatem, a jedynie z tajemniczym Jackiem Reacherem, którego zeznania mogłyby go jeszcze bardziej pogrążyć? Dlaczego strzelając chybił – raz? Kim jest Reacher – człowiek bez samochodu, konta bankowego i stałego miejsca pobytu? Rosemary, siostra oskarżonego, za wszelką cenę chce pomóc bratu. Kiedy James zostaje pobity w więzieniu i zapada w śpiączkę, wynajmuje młodą, zaangażowaną panią prawnik. Niespodziewanie pojawia się Reacher – i trup zaczyna ścieleć się gęsto...

ISBN-13: 978-83-7359-330-5

ISBN-10: 83-7359-330-6



[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

**Lee**  
**CHILD**

**Jednym strzałem**

Z angielskiego przełożył  
ZBIGNIEW A. KRÓLICKI

**WARSZAWA 2006**

Tytuł oryginału: ONE SHOT

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Copyright © for the Polish translation by Zbigniew A. Krolicki 2006

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN-13: 978-83-7359-330-5

ISBN-10: 83-7359-330-6

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa  
t./f. (22)-631-4832, (22)-535-0557/0560

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)



*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

**Wydanie I**

**Skład:** Laguna

**Druk:** B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Maggie Griffin  
Mojej pierwszej i najlepszej przyjaciółki w Ameryce

# 1

Piątek. Piąta po południu. Chyba najgorsza pora na to, aby nie rzucając się w oczy, przejechać przez miasto. A może najlepsza. Ponieważ o piątej po południu w piątek nikt na nic nie zwraca uwagi. Tylko na drogę przed sobą.

Człowiek z karabinem jechał na północ. Nie za szybko, nie za wolno. Nie zwracając na siebie uwagi. Nie wyróżniając się niczym. Jechał jasnym minivanem, który pamiętał lepsze czasy. Był sam. Nosił jasny prochowiec i jeden z tych bezkształtnych jasnych kapelusików, jakie starsi panowie noszą na polach golfowych, kiedy praży słońce lub pada deszcz. Kapelusik miał dwukolorowy otok. Był nasunięty na oczy. Płaszcz był zapięty pod szyję. Mężczyzna nosił okulary przeciwsłoneczne, chociaż samochód miał przyciemnione szyby, a dzień był pochmurny. I nosił rękawiczki, chociaż zima skończyła się już przed trzema miesiącami, a dzień wcale nie był chłodny.

W miejscu, gdzie First Street zaczynała piąć się na wzgórze, pojazdy poruszały się w ślimaczym tempie. Potem zupełnie się zatrzymały, tam gdzie dwa pasy przechodziły w jeden, ponieważ z drugiego robotnicy zerwali asfalt. Całe miasto było rozkopane. Już od roku jazda przez nie była koszmarem. Dziury w nawierzchni, wywrotki ze żwirem, betoniarki, maszyny do wylewania asfaltu. Człowiek z karabinem zdjął rękę z kierownicy. Podciągnął mankiet. Spojrzał na zegarek.

Jedenaście minut.

Bądź cierpliwy.

Zdjął nogę z hamulca i samochód wolno ruszył naprzód. Potem znów się zatrzymał, tam gdzie zaczynało się śródmiejskie centrum handlowe i ulica stawała się węższa, a chodniki szersze. Z lewej i prawej wznosiły się supermarkety, każdy następny nieco wyżej od poprzedniego z powodu nachylenia stoku. Szerokie chodniki zapewniały dużo miejsca spacerującym klientom. Żeliwne maszty flagowe i żeliwne słupy latarni stały w długim szeregu niczym wartownicy między ludźmi a samochodami. Ludzie mieli tu więcej miejsca niż samochody. Te poruszały się bardzo wolno. Znowu spojrzął na zegarek.

Osiem minut.

Bądź cierpliwy.

Sto jardów dalej było trochę mniej sklepów. Robiło się luźniej. First Street stawała się nieco szersza i znów trochę zaniedbana. Pojawiały się bary i tanie sklepiki. Po lewej znajdował się wielopoziomowy parking. Kolejne roboty drogowe prowadzono w miejscu, gdzie rozbudowywano parking. Jeszcze dalej ulicę zamykał niski mur. Za nim ciągnął się rozległy plac z rzeźbioną fontanną. Po lewej stronie placu stała stara biblioteka miejska, po prawej nowy biurowiec, za nim wieżowiec z czarnego szkła. First Street gwałtownie skręcała w prawo przed murem odgradzającym plac i biegła dalej na zachód, obok zaśmieconych tylnych wejść i wjazdów dostawczych, a potem pod estakadą autostrady stanowej.

Jednak człowiek w minivanie zwolnił, nie dojeżdżając do zakrętu przed placem, a potem skręcił w lewo i zjechał na parking. Pojechał na górę. Przy wjeździe nie było szlabanu, ponieważ każde miejsce miało swój parkometr. Tak więc nie było tu kasjera, żadnego świadka, biletu, papierowego śladu. Mężczyzna w minivanie dobrze o tym wiedział. Wjechał na drugi poziom i skierował wóz na sam koniec hali. Na moment zostawił silnik na jałowym biegu, wysiadł z samochodu i zabrał styropianowy pomarańczowy słupek z miejsca, na którym zamierzał zaparkować. Znajdowało się na samym końcu starego parkingu, tuż przy dobudowywanej części.

Zaparkował samochód i wyłączył silnik. Przez moment siedział nieruchomo. Wokół panowała cisza. Parking był zapchany samochodami. Miejsce, które zabezpieczył styropianowym słupkiem, było ostatnim wolnym stanowiskiem. Ten parking zawsze był zatłoczony. Mężczyzna o tym wiedział. Dlatego rozbudowywali budynek. Podwajali jego pojemność. Korzystali z niego głównie klienci sklepów. Dlatego było tu tak cicho. Nikt zdrowy na umyśle nie próbowałby stąd wyjechać o piątej po południu. Nie w godzinie szczytu. Nie przy tych robotach drogowych. Ludzie albo odjechali przed czwartą, albo czekali do szóstej.

Mężczyzna w minivanie sprawdził czas.

Cztery minuty.

Spokojnie.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i wysiadł. Wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę i włożył do parkometru. Mocno przekręcił rączkę, usłyszał brzęk wpadającej monety i zobaczył, jak zegar dał mu za nią godzinę. Nie słychać było żadnego innego dźwięku. W powietrzu unosił się tylko zapach zaparkowanych pojazdów: benzyny, gumy, spalin.

Stanął nieruchomo obok samochodu. Na nogach miał stare pustynne buty z zamszu koloru khaki, sznurowane, z białymi miękkimi podeszwami — ulubione obuwie żołnierzy sił specjalnych. Standardowy model, niezmienny chyba od sześćdziesięciu lat.

Obejrzał się na parkometr. Pięćdziesiąt dziewięć minut. Nie będzie potrzebował pięćdziesięciu dziewięciu minut. Otworzył przesuwane tylne drzwi minivana, pochylił się, odwinął koc i wyjął karabin. Był to samopowtarzalny springfield M1A super match z kolbą z amerykańskiego orzecha, długą lufą i magazynkiem na dziesięć pocisków kalibru.308. Cywilny odpowiednik snajperskiego karabinu M14, używanego przez amerykańską armię w tym czasie, kiedy przed laty służył w wojsku. Była to dobra broń. Może niezapewniająca tak dokładnego pierwszego strzału jak najlepsze karabiny z zanikiem ryglowym, ale wystarczająca. Zupełnie wystarczająca. Nie zamierzał strzelać z bardzo dużej odległości. I była załadowana pociskami Lake



City M852. Jego ulubionymi, robionymi na zamówienie. Łuski Lake City Match, proch Federal i pociski BT o masie 168 granów, z wklęsłymi czubkami. Pociski były chyba lepsze niż broń. Lekkie przegięcie.

Nastłuchiwał w milczeniu, po czym podniósł karabin z tylnego siedzenia. Zabrał go ze sobą tam, gdzie kończyła się stara i zaczynała nowa część budynku. Między starą a nową betonową płytą biegł półcalowy rowek. Jak linia demarkacyjna. Domyślił się, że to szczelina dylatacyjna. Ze względu na letnie upały. Przypuszczalnie wypełnią ją smołą. Nad rowkiem między dwoma filarami rozpięto żółto-czarną taśmę z nadrukiem UWAGA! NIE WCHODZIĆ. Przykłęknął na kolano i prześlizgnął się pod nią. Wyprostował się i wszedł na teren budowy. Część nowej betonowej posadzki była już gładka, a część chropowata — wciąż czekała na ostatnią warstwę. Tu i ówdzie rozłożono pomosty z drewnianych desek. Wszędzie leżały sterty papierowych worków po cementie, pełnych i pustych. Dostrzegł kolejne szczeliny dylatacyjne. I rzędy wyłączonych żarówek. Puste taczki, pogniecione pojemniki, szpule kabli, walające się drewniane krawędziaki, sterty gruzu, milczące betoniarki. Wszędzie był szary cementowy pył, drobniutki jak talk, oraz zapach wapna.

Mężczyzna z karabinem szedł przez mrok, aż dotarł do nowego północno-wschodniego rogu budynku. Tam przystanął, mocno oparł się plecami o szorstki betonowy filar i znieruchomiał. Z głową obróconą w prawo powoli się przesunął, tak aby dobrze widzieć otoczenie. Znajdował się około ośmiu stóp od nowej balustrady parkingu. Północna ściana. Sięgająca mu prawie do pasa. Niedokończona. Powstrzelivano w nią kołki, na których później zostanie zamocowana metalowa bariera, zapobiegająca ocieraniu się samochodów o beton. W posadzce zamontowano uchwyty na nowe parkometry.

Mężczyzna z karabinem powoli przesunął się naprzód i obrócił, aż poczuł między łopatkami twardą krawędź filara. Znow obrócił głowę. Teraz spoglądał na północ i wschód. Prosto na plac. Fontanna była teraz wąskim prostokątem, zwróconym do

niego krótszymi bokami. Miała chyba osiemdziesiąt stóp na dwadzieścia. Wyglądała jak duży pojemnik na wodę, duży brodzik. Otaczał ją ceglany murek wysokości czterech stóp. Woda omywała jego wewnętrzne ściany. Lewy przedni i prawy tylny narożnik murku znajdowały się niemal dokładnie na linii jego widzenia, biegnącej po przekątnej fontanny. Woda miała około trzech stóp głębokości. Fontanna tryskała na samym środku basenu. Słyszał jej plusk, tak samo jak jadące ulicą pojazdy i stukot kroków na ulicy. Frontowa ściana fontanny znajdowała się około trzech stóp za murem odgradzającym plac od First Street. Oba murki biegły blisko siebie, równoległe przez jakieś dwadzieścia stóp, ze wschodu na zachód, oddzielone jedynie wąskim chodnikiem.

Mężczyzna znajdował się na pierwszym piętrze parkingu, lecz ponieważ First Street biegła w górę, plac znajdował się znacznie niżej niż jedno piętro pod nim. Wprawdzie patrzył nań pod kątem, ale niezbyt ostrym. Po prawej stronie placu widział wejście do nowego biurowca. Ten wyglądał tandetnie. Postawiono go i nie znaleziono najemców. Mężczyzna wiedział o tym. Aby nobilitować to nowe centrum, władze stanowe umieściły w biurowcu różne urzędy. Był tutaj wydział komunikacji oraz połączone biuro werbunkowe wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki. Może wydział opieki społecznej. Być może i izba skarbowa. Mężczyzna z karabinem nie był tego pewien. I nic go to nie obchodziło.

Uklęknął, a potem położył się na brzuchu. Czołganie to podstawowy sposób poruszania się snajpera. Podczas swojej służby w wojsku pokonał w ten sposób chyba z milion mil. Na kolanach, łokciach i brzuchu. Standardowa metoda działania snajpera i jego pomocnika nakazywała oddalić się tysiąc jardów od oddziału i podczołgać na pozycję. Na ćwiczeniach czasem mijało kilka godzin, zanim zdołał to zrobić, niezauważony przez obserwatora z lornetką. Teraz jednak miał do pokonania zaledwie osiem stóp. I z tego, co wiedział, nikt nie obserwował go przez lornetkę.

Dotarł do podnóża murku i wyciągnął się na podłodze, przywierając do szorstkiego betonu. Potem powoli usiadł.

Później uklęknął. Podwinął prawą nogę. Lewą stopę postawił zupełnie płasko, lewa łydka tworzyła z nią kąt prosty. Oparł lewy łokieć o kolano lewej nogi. Podniósł karabin. Umieścił koniec łoża na krawędzi betonowego murku. Ostrożnie poruszył bronią tam i z powrotem, aż poczuł, że dobrze i pewnie leży mu w rękach. „Przyklęk z podparciem” — tak nazywała się ta pozycja w podręczniku. Dobra pozycja. Jego zdaniem ustępująca tylko pozycji leżącej z karabinem opartym na dwójnogu. Zrobił kontrolowany wdech i wydech. „Jeden strzał, jeden trup”. Dewiza strzelca wyborowego. Sukces wymaga samokontroli, spokoju i zimnej krwi. Zrobił wdech i wydech. Odprężył się. Poczul, że zbliża się do celu.

Gotowy.

Infiltracja udana.

Teraz zaczekaj na odpowiedni moment.

Czekał mniej więcej siedem minut, nie poruszając się, oddychając miarowo i koncentrując się. Spojrzał na bibliotekę po lewej. Nad nią i za nią łuk estakady wznosił się na swoich przęsłach, jakby opiekuńczo obejmował ten stary budynek z wapienia. Potem trochę się prostował i przechodził za wieżowcem z czarnego szkła, niemal na wysokości trzeciego piętra. Na postumencie przed głównym wejściem do wieżowca stał paw będący symbolem NBC, ale mężczyzna z karabinem był pewien, że filia tej sieci telewizyjnej nie zajmowała całego budynku. Zapewne nawet nie zajmowała całego piętra. Pozostałe pomieszczenia były wynajmowane przez jednoosobowe firmy prawnicze, dyplomowanych księgowych, przedstawiciele biur obrotu nieruchomościami, agentów ubezpieczeniowych lub doradców inwestycyjnych. Albo stały puste.

Ludzie wychodzili z nowego budynku po prawej. Jednia przyszedli tu po nowe tablice rejestracyjne, inni oddać stare lub dołączyć do armii walczących ze stanową biurokracją. Było tam mnóstwo ludzi. Zbliżała się pora zamknięcia urzędów. Piąta godzina, piątkowe popołudnie. Ludzie wychodzili z budynku i skręcali w prawo lub w lewo, przechodząc przed nim gęsiego po wąskim chodniku, mijając krótszy bok fontanny.

Jak kaczki na strzelnicy. Jeden po drugim. Wiele dobrych celów. Odległość około stu stóp. W przybliżeniu. Z pewnością mniej niż trzydzieści pięć jardów. Bardzo blisko.

Czekał.

Niektórzy ludzie, przechodząc, zanurzali palce w wodzie. Murek fontanny miał akurat taką wysokość, że mogli to robić. Człowiek z karabinem widział jasne plamki miedziaków na czarnych kafelkach dna. Poruszały się i falowały tam, gdzie woda tryskająca z fontanny marszczyła powierzchnię.

Obserwował. Czekał.

Ludzki potok zmienił się w rzekę. Teraz z budynku wychodziło tylu ludzi naraz, że musieli stać w grupie i cierpliwie czekać na swoją kolej, żeby przejść gęsiego między dwoma murkami. Ruch uliczny na First Street w dole również zamarł. Korek. Pan pierwszy. Nie, to pan pierwszy. To jeszcze bardziej spowalniało tempo. Teraz ludzie rzeczywiście przypominali kaczki na strzelnicy.

Człowiek z karabinem zrobił kontrolowany wdech i wydech. czekając.

Potem przestał czekać.

Nacisnął spust, kilkakrotnie, raz za razem.

Pierwsza kula trafiła w głowę mężczyznę, zabijając go na miejscu. Huknął strzał, któremu towarzyszył trzask powietrza, rozdzieranego przez lecący z naddźwiękową prędkością pocisk, głowę ofiary spowiła różowa mgiełka i facet padł jak marionetka, której przecięto sznurki.

Zabity pierwszym strzałem.

Doskonale.

Strzelał szybko, od lewej do prawej. Drugi pocisk posłał w głowę następnego mężczyzny. Dokładnie z takim samym rezultatem. Trzeci w głowę kobiety. Ten sam rezultat. Trzy strzały zaledwie w dwie sekundy. Trzy trafienia. Całkowite zaskoczenie. Przez ułamek sekundy żadnej reakcji. Potem wybuchło zamieszanie. Istne pandemonium. Panika. W wąskiej przestrzeni między murkiem ogradzającym plac a fontanną znajdowało się dwanaście osób. Trzy już nie żyły. Pozostałe dziewięć rzuciło się do ucieczki. Czworo pobiegło naprzód,

a pięcioro odwróciło się plecami do zabitych i zaczęło uciekać z powrotem. Ta piątka wpadła na zbity tłum wciąż idący w ich kierunku. Rozległy się przeraźliwe krzyki. Człowiek z karabinem miał przed sobą skłębioną grupę przerażonych ludzi. W odległości niecałych trzydziestu pięciu jardów. Bardzo blisko.

Czwarty strzał zabił mężczyznę w garniturze. Piąty chybił. Pocisk Sierra Matchking przeszedł tuż nad ramieniem jakiejś kobiety, z sykiem wpadł do fontanny i znikł. Strzelec zignorował to, przesunął odrobinę lufę springfielda i szóstym strzałem trafił jakiegoś mężczyznę w nasadę nosa, roztrzaskując czaszkę.

Człowiek z karabinem przestał strzelać.

Schował się za murek i rakiem odczołgał się trzy stopy w głąb parkingu. Czuł woń spalonego prochu, a przez dzwonienie w uszach słyszał krzyki kobiet, tupot nóg i trzask zderzaków na ulicy poniżej. Bez obawy, ludziki, pomyślał. Już po wszystkim. Już mnie tu nie ma. Wyciągnął się na brzuchu i zgarnął łuski na kupkę. Mosiądz jasno błyszczał tuż przed jego nosem. Zgarnął pięć łusek w okryte rękawicami dłonie, ale szósta potoczyła się i wleciała w szczelinę dylatacyjną. Wpadła do tego płytkiego, dziewięciocalowego rowka, mającego pół cala szerokości. Usłyszał cichy brzęk, gdy uderzyła o dno.

Jaka decyzja?

Zostawić ją, oczywiście.

Nie ma czasu.

Wepchnął pięć pozostałych łusek do kieszeni prochowca, po czym odczołgał się na palcach rąk i nóg, i na brzuchu. Przez moment leżał nieruchomo, słuchając wrzasków. Potem podniósł się na klęczki i wstał. Odwrócił się i odszedł tą samą drogą którą przyszedł, szybko, lecz spokojnie, po szorstkim betonie po drewnianych pomostach, przez mrok i kurz, pod żółto-czarną taśmą. Z powrotem do swojego minivana.

Tylne drzwi wciąż były otwarte. Znów zawinął karabin w koc, położył go z tyłu i zasunął drzwi. Usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Zerknął przez przednią szybę na parkometr. Zostały mu czterdzieści cztery minuty. Wyjechał tyłem i skierował się do

wyjazdu. Zjechał po rampie do niepilnowanej bramy, a potem dwukrotnie skręcił w prawo, w płataninę uliczek na tyłach supermarketów. Przejechał pod wiaduktem, zanim usłyszał pierwsze syreny. Odetchnął. Radiowozy jechały na wschód, a on na zachód.

Dobra robota, pomyślał. Skuteczna infiltracja, sześć od-danych strzałów, pięć celnych, udany odwrót, gładko jak po maśle.

Nagle uśmiechnął się. Wojskowe statystyki od dawna wy-kazują, że na polu bitwy jeden zabity nieprzyjaciel przypada na piętnaście tysięcy naboju wystrzelonych przez piechotę. Jednak dobrze wyszkoleni strzelcy wyborowi osiągają lepsze wyniki. O wiele lepsze. Ściśle mówiąc, dwanaście i pół tysiąca razy lepsze. We współczesnej armii jeden zabity wróg przypada na jeden i dwie dziesiąte pocisku wystrzelonego przez snajpera. A jeden przecinek dwa to dokładnie pięć celnych strzałów na sześć. Dokładnie taka sama średnia. Prosta arytmetyka. Tak więc nawet po tylu latach wojskowy strzelec wyborowy uzyskał taki wynik, jakiego oczekiwaliby jego instruktorzy. Byliby bardzo zadowoleni.

\*\*\*

Jednak jego dawni instruktorzy przygotowywali strzelców wyborowych do działań na polu bitwy, a nie do popełniania przestępstw. W przypadku tych ostatnich dochodzą do głosu czynniki nieistniejące na polu bitwy. Te czynniki zmieniają definicję udanego odwrotu. W tym konkretnym wypadku naj-szybciej zareagowały media. I nic dziwnego, skoro doszło do strzelaniny pod oknem filii NBC. Zanim tuzin przerażonych świadków niemal jednocześnie zadzwonił ze swoich telefonów komórkowych pod 911, wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, zaczęły nagrywać wszystkie minikamery w biurze NBC. Personel chwycił je, włączył i wycelował w okna. Po drugie, miej-scowa reporterka, niejaka Ann Yanni, zaczęła układać słowa komunikatu, w pełni świadoma tego, że będzie to jej pierwszy naprawdę wystrzałowy reportaż. Była wstrząśnięta i przestraszona, ale potrafiła dostrzec i wykorzystać nadarżającą się

okazję. Tak więc zaczęła układać w myślach komunikat. Wiedziała, że najważniejszy jest dobór odpowiednich słów, a do głowy przychodziły jej: „snajper”, „bezsensowny” i „mord”. Aliteracja była czysto instynktowna. Tak jak banalność tych określeń. Jednak „mord” to jedyne słowo, jakie wydawało jej się odpowiednie. Ponadto „mord” było doskonałym słowem. W pełni oddawało przypadkowość, bezmyślność, okropność dzikość tego czynu. Beznamiętność i bezosobowość. Było idealnym słowem do tego reportażu. Jednocześnie wiedziała, że nie nadaje się na podpis pod zdjęciami. Znacznie lepsze będzie „masakra”. „Masakra w piątkowy wieczór”? „Masakra w godzinie szczytu”? Pobieгла do drzwi, mając nadzieję, że facet od grafiki dobierze materiał pasujący do jednego z tych tytułów.

\*\*\*

Ponadto na polu bitwy nie ma stróżów prawa. Tuzin jednocześnie telefonów pod numer 911 sprawił, że konsola dyspozytora rozjarzyła się światełkami jak bożonarodzeniowa choinka i po czterdziestu sekundach miejscowa policja oraz straż pożarna już były w drodze. Wysłano wszystkie wozy, z włączonymi migaczkami i syrenami. Wszystkie radiowozy, wszystkich będących na służbie detektywów, techników kryminalistyki, ratowników medycznych, każdy wóz straży pożarnej i ambulans. W rezultacie na początku panował kompletny bałagan. Dzwoniący pod 911 byli przestraszeni i roztrzęsieni. jednak najwyraźniej doszło do poważnego przestępstwa, tak więc tymczasowe dowodzenie objął szef wydziału ciężkich przestępstw. Był nim wysoko wykwalifikowany, doświadczony policjant, który dosłużył się tego stanowiska, przechodząc wszystkie szczeble policyjnej hierarchii, od zwykłego posterunkowego. Nazywał się Emerson. Przedzierał się przez korki, omijając rozkopane ulice, nie mając pojęcia, co naprawdę się stało. Napad na bank, porachunki dealerów, wojna gangów, atak terrorystyczny — nie miał żadnych konkretnych informacji. Żadnych. Mimo to był stosunkowo opanowany. Jego tętno nie przekraczało stu pięćdziesięciu. Jadąc, utrzymywał stałą łącz-

ność z dyspozytorem, rozpaczliwie czekając na kolejne informacje.

— Dzwoni następny facet! — krzyknął dyspozytor.

— Kto? — odkrzyknął Emerson.

— Komandos z biura werbunkowego.

— Był świadkiem?

— Nie, znajdował się w środku. Jednak teraz jest na zewnątrz.

Emerson zacisnął zęby. Wiedział, że nie będzie pierwszy na miejscu zbrodni. Nawet nie w pierwszej dziesiątce. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi dowodzić z tyłu. Tak więc potrzebował dobrych oczu. Natychmiast. Komandos? Ten się nada.

— W porządku — rzekł. — Połącz mnie z nim.

Usłyszał elektroniczne piski i trzaski, a potem nowe dźwięki. Uliczny hałas, odległe krzyki, plusk wody. Fontanna, pomyślał.

— Kto mówi? — zapytał.

Odpowiedział mu męski głos, opanowany, lecz głośny i zdyszany. Najwyraźniej mówiący trzymał słuchawkę blisko ust.

— Tu Kelly — powiedział mężczyzna. — Sierżant sztabowy piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych. Z kim rozmawiam?

— Emerson, policja. Utknąłem w korku jakieś dziesięć minut od was. Co tam mamy?

— Pięć ofiar — powiedział komandos.

— Pięciu zabitych?

— Zgadza się. O kurwa.

— Ranni?

— Żadnego nie widzę.

— Pięciu zabitych i żadnego rannego?

— Zgadza się — powtórzył komandos.

Emerson nic nie powiedział. Widywał już strzelaniny w środku miasta. Widywał zabitych. Jednak nigdy nie widział wyłącznie zabitych. Po strzelaninach w mieście zawsze byli zabici i ranni. Zazwyczaj w identycznych proporcjach.



— Jest pan pewien, że nie ma rannych? — zapytał.  
— Całkowicie, sir — odparł komandos.  
— Kim są ofiary?  
— Cywile. Czterech mężczyzn, jedna kobieta.  
— Kurwa.  
— Potwierdzam, sir — powiedział komandos.  
— Gdzie pan był?  
— W biurze werbunkowym.  
— Co pan widział?  
— Nic.  
— A co pan słyszał?  
— Strzały, sir. Sześć strzałów.  
— Z broni ręcznej?  
— Raczej długiej. Tak mi się zdaje.  
— Z karabinu?  
— Chyba samopowtarzalnego. Strzelano szybko, ale nie serią. Wszystkie ofiary zostały trafione w głowę.  
Snajper, pomyślał Emerson. Kurwa mać. Szaleniec z bronią szturmową.  
— Strzelec uciekł? — zapytał.  
— Już nie strzela, sir.  
— Może nadal tam być.  
— To możliwe, sir. Ludzie się pochowali, większość w bibliotece.  
— A pan gdzie jest?  
— Za murkiem otaczającym plac, sir. Ze mną jest jeszcze kilka osób.  
— Skąd strzelał?  
— Nie jestem pewien. Może z piętrowego parkingu. Z jego nowej części. Ludzie wskazywali w tym kierunku. Może dostrzegli błyski strzałów. Ponadto to jedyny duży budynek znajdujący się dokładnie naprzeciw naszego.  
Istny labirynt, pomyślał Emerson. Cholerne szczyrce gniazdo.  
— Jest tu telewizja — powiedział komandos.  
O kurwa, pomyślał Emerson.  
— Jest pan w mundurze? — spytał.  
— Galowym, sir. Jak to w biurze werbunkowym.

— W porządku, niech pan stara się utrzymać porządek, dopóki nie dotrą tam moi chłopcy.

— Przyjąłem, sir.

Rozmówca wyłączył się i Emerson znów usłyszał sapanie dyspozytora. Telewizja i szaleniec z karabinem, pomyślał. A niech to szlag! Presja, patrzeć na ręce i jałowe domysły, jak wszędzie gdzie znajdzie się telewizja i szaleniec z bronią. Wcisnął klawisz i uzyskał połączenie ze wszystkimi policyjnymi wozami.

— Uwaga wszystkie radiowozy — powiedział. — Mamy szaleńca z karabinem. Prawdopodobnie broń półautomatyczna. Oddał kilka strzałów w miejscu publicznym. Zapewne z nowej części piętrowego parkingu. Tak więc albo nadal tam jest, albo zwiął. Jeżeli uciekł, to pieszo lub jakimś pojazdem. Wszystkie radiowozy oddalone o więcej niż dziesięć przecznic od miejsca wydarzeń mają natychmiast stanąć i zablokować ulice. Nikogo nie wpuszczać i nie przepuszczać, jasne? Żadnych pojazdów, przechodniów, absolutnie nikogo. Wszystkie radiowozy w promieniu dziesięciu przecznic jadą na miejsce wydarzeń, zachowując najwyższą ostrożność. Nie pozwólcie mu uciec. Nie przegapcie go. Musimy go dorwać, chłopcy. Musimy złapać go dziś, zanim CNN dobierze nam się do skóry.

\*\*\*

Mężczyzna w minivanie nacisnął kciukiem przycisk pilota na konsoli i drzwi garażu podniosły się z rumorem. Wjechał do środka, ponownie nacisnął przycisk i drzwi się zamknęły. Zgasił silnik i przez chwilę siedział nieruchomo. Potem wysiadł, przeszedł przez sień i do kuchni. Poklepał psa i włączył telewizor.

\*\*\*

Ratownicy w kamizelkach kuloodpornych weszli tylnymi drzwiami do biblioteki. Dwaj zostali w środku, aby sprawdzić, czy nie ma rannych wśród kryjących się tam ludzi. Cztery wypadli przez drzwi frontowe, nisko pochyleni przebiegli przez plac i schowali się za murkiem. Podczołgali się do ofiar i po-

twierdzili, że wszystkie nie żyją. Potem pozostali przy ciałach. Leżeli w bezruchu. „Nie narażać się niepotrzebnie, dopóki nie przeszukamy parkingu”, powiedział Emerson.

\*\*\*

Emerson zaparkował nieprzepisowo dwie przecznice od placu i kazał umundurowanemu sierżantowi policji pokierować akcją przeszukania parkingu, od góry po sam dół, poczynając od południowo-zachodniego narożnika. Mundurowi sprawdzili najpierw trzecie, później drugie piętro. Potem pierwsze. I parter. Starą część budynku niełatwo było sprawdzić. Była kiepsko oświetlona i pełna zaparkowanych samochodów, a każdy z nich mógł stanowić potencjalną kryjówkę. Facet mógł schować się w jednym z nich, pod nim lub za nim. Jednak nikogo nie znaleźli. Nowa część budynku nie sprawiała takich kłopotów. Nie była oświetlona, ale nie stały w niej żadne samochody. Policjanci po prostu zeszli po schodach, kolejno oświetlając latarkami każde piętro.

Nikogo.

Sierżant odprężył się i złożył meldunek przez radio.

— Dobra robota — powiedział Emerson.

I rzeczywiście tak było. Ponieważ poszukiwania prowadzono od południowo-zachodniego narożnika, północno-wschodni pozostał nietknięty. Niczego tam nie ruszono. Tak więc dzięki szczęściu lub dobrej ocenie sytuacji policja spisała się bez zarzutu w pierwszej fazie tego, co później uznano za dochodzenie poprowadzone nienagannie od początku do końca.

\*\*\*

O siódmej zaczęło już zmierzchać i Ann Yanni jedenaście razy weszła na antenę. Trzy razy dla sieci, osiem razy lokalnie. Osobiście była trochę rozczarowana tym wynikiem. Wyczuwała lekki sceptycyzm naczelnej redakcji sieci. „Krew najlepiej się sprzedaje” — to dewiza wszystkich mediów, lecz krew przelano daleko od Nowego Jorku i Los Angeles. Nie na jakimś wypiełgowanym przedmieściu czy w Waszyngtonie. Tak więc sprawa miała zbyt prowincjonalny charakter. Mało prawdopodobne, żeby ktoś naprawdę ważny znalazł się na celowniku

snajpera. Dlatego nie był to pierwszorzędny materiał. A ponadto tak naprawdę Ann nie miała nic konkretnego. Jeszcze nie zidentyfikowano żadnej z ofiar. Miejscowa policja nie chciała niczego ujawniać do czasu powiadomienia rodzin. Tak więc Ann nie miała żadnych wzruszających opowieści, którymi mogłaby podzielić się z widzami. Nawet nie wiedziała, czy zastrzeleni mężczyźni byli ojcami rodzin. Czy chodzili do kościoła? Czy zastrzelona kobieta była matką i żoną? Ann nie miała też wiele do pokazania. Jedynie tłum powstrzymywany pięć przecznic dalej przez policję, statyczne ujęcie ciemnej First Street oraz sporadyczne zbliżenia piętrowego parkingu, z którego — jak powszechnie uważano — strzelał snajper.

\*\*\*

Do ósmej Emerson poczynił znaczne postępy. Jego ludzie zebrali setki zeznań. Sierżant sztabowy piechoty morskiej, Kelly, był przekonany, że słyszał sześć strzałów. Emerson mu wierzył. W takich sprawach raczej można wierzyć piechocie morskiej. Później jakiś facet wspomniał, że przez cały czas miał włączoną komórkę, ponieważ właśnie był połączony z pocztą głosową. Operator telefonii komórkowej odnalazł nagranie, na którym słychać było sześć cichych, lecz wyraźnych wystrzałów. Tymczasem patolodzy doliczyli się tylko pięciu otworów wlotowych u pięciu ofiar strzelaniny. Tak więc brakowało jednej kuli. Trzej inni świadkowie zeznali, że widzieli rozbryzg wody w fontannie.

Emerson kazał opróżnić basen.

Zajęli się tym strażacy. Rozstawili reflektory, wyłączyli fontannę i zaczęli wypompowywać z niej wodę do studzienek burzowych. Wyliczyli, że trzeba będzie usunąć około osiemdziesięciu tysięcy galonów wody, co potrwa niecałą godzinę.

\*\*\*

Tymczasem technicy kryminalistyki za pomocą słomek do drinków i wskaźników laserowych wytyczyli trajektorię śmiercionośnych pocisków. Uznali, że najbardziej wiarygodnego dowodu dostarczy pierwsza ofiara. Mężczyzna zapewne spokoj-

nie szedł z prawej strony placu na lewą, kiedy padł pierwszy strzał. Później kolejne ofiary mogły obracać się, uskakiwać lub wykonywać różne inne nieprzewidziane ruchy. Technicy swoje wnioski oparli wyłącznie na dowodach dostarczonych przez pierwszego zabitego. Głowę miał roztrzaskaną, ale wydawało się oczywiste, że kula przeszła przez nią z góry do dołu i od lewej do prawej. Jeden technik stanął w miejscu, gdzie leżało ciało, a drugi przyłożył słomkę do jego głowy i przytrzymał ją pod odpowiednim kątem. Wtedy pierwszy odsunął się, a trzeci przepuścił przez słomkę promień wskaźnika laserowego. Małeńki czerwony punkt pojawił się na północno-wschodnim narożniku dobudowanej części parkingu, na pierwszym piętrze. Świadkowie twierdzili, że właśnie tam widzieli błyski wystrzałów. Teraz uzyskano naukowe potwierdzenie ich zeznań. Emerson posłał na parking swoich ekspertów od kryminalistyki i powiedział im, że mają tyle czasu, ile potrzebują. Powiedział im też, żeby nie wracali z niczym.

\*\*\*

Ann Yanni opuściła wieżowiec z czarnego szkła o ósmej trzydzieści i zabrała ekipę telewizyjną pięć przecznic dalej, gdzie ustawiono blokadę. Liczyła na to, że drogą eliminacji uda jej się zidentyfikować niektóre ofiary. Ludzie, których bliscy nie wrócili do domu na kolację, mogli tam przyjść, rozpaczliwie szukając informacji. Nakręciła dwudziestominutową relację. Nie zdobyła żadnych konkretnych informacji. Tylko dwadzieścia minut płaczu, zawodzeń i oszołomionego niedowierzania. Całe miasto było wstrząśnięte i zaskoczone. Zaczęła czuć dumę z tego, że jest w centrum tych wydarzeń, i w końcu jej także łzy stanęły w oczach.

\*\*\*

Przełomowego odkrycia dokonano w budynku parkingu. To była prawdziwa bonanza. Złota żyła. Pewien posterunkowy trzy przecznice dalej spisał zeznanie stałego użytkownika parkingu, który powiedział, że ostatnie wolne miejsce na pierwszym piętrze było zagrodzone pomarańczowym styropianowym

słupkiem. Z tego powodu świadek musiał opuścić parking i zostawić samochód gdzie indziej. Strasznie go to wkurzyło. Facet z ratusza powiedział, że to nie oni ustawili ten słupek. W żadnym razie. Nie ma mowy. Nie mieli żadnego powodu. Słupek włożono więc do plastikowego worka i zabrano jako dowód. Facet z ratusza powiedział, że przy wjeździe i wyjeździe są umieszczone ukryte kamery, podłączone do magnetowidu w stalowej szafie. Taśmę wyjęto i zabrano. Potem poinformował, że zabrakło funduszy na rozbudowę parkingu i przez ostatnie dwa tygodnie nie prowadzono tam robót. Oznaczało to, że wszystko, co pozostawiono tam później, nie należało do jego ludzi.

Technicy kryminalistyki zaczęli od miejsca, gdzie była rozciągnięta żółto-czarna taśma z nadrukiem UWAGA! NIE WCHODZIĆ. Pierwszą rzeczą, którą znaleźli, było kilka niebieskich bawełnianych nitok na szorstkim betonie tuż pod nią. Zaledwie puszek słabo widocznych włókien. Jakby ktoś przykleknął tu, żeby przejść pod taśmą, i zostawił kawałeczek swoich niebieskich džinsów. Sfotografowali te nitki, a potem zebrali je na kawałek przezroczystej taśmy klejącej. Później przynieśli lampy łukowe i oświetlili podłogę. Leżał na niej dwutygodniowy cementowy pył. Zobaczyli wyraźne ślady stóp. Naprawdę idealne. Kierownik ekipy wyjął komórkę i zadzwonił do Emersona.

— Facet nosił dziwne buty — powiedział.

— Jakie dziwne buty?

— Słyszał pan o kauczuku? To rodzaj gumy. Prawie surowej. Bardzo przyczepna. Wszystko się do niej lepi. Jeśli złapiemy tego gościa, to znajdziemy cementowy pył na podeszwach jego butów. A w jego domu znajdziemy psa.

— Psa?

— Mamy tu psi włos, który wcześniej przyczepił się do kauczuku. I oderwał się w miejscu, gdzie beton jest bardzo chropowaty. Ponadto włókna z chodników. Zapewne z jego domu i samochodu.

— Szukajcie dalej — polecił Emerson.

\*\*\*

Za dziesięć dziewiąta Emerson przekazał szefowi policji informacje przed konferencją prasową. Niczego nie ukrywała. Szef miał zdecydować, co ujawnić, a co ukryć przed mediami.

— Oddano sześć strzałów i zginęło pięć osób — powiedział Emerson. — Wszystkie trafione w głowę. Stawiam na wyszkolonego snajpera. Prawdopodobnie byłego żołnierza.

— Albo myśliwego? — podsunął szef.

— Między strzelaniem do jeleni a do ludzi jest wielka różnica. Technika może jest ta sama, ale emocje nie.

— Mielśmy prawo trzymać FBI z dala?

— To nie zamach terrorystyczny, tylko samotny świr. Nieraz mieliśmy z takimi do czynienia.

— Chciałbym z przekonaniem powiedzieć, że go dopadniemy.

— Wiem — rzekł Emerson.

— Jak bardzo mogę być przekonany?

— Dotychczas zebrane dowody są niezłe, ale niedecydujące. Szef kiwnął głową i nic nie powiedział.

Dokładnie o dziewiątej Emerson odebrał telefon od patologa. Wykonano zdjęcia rentgenowskie wszystkich pięciu czaszek. Rozległe uszkodzenia tkanek, rany wlotowe i wylotowe, żadnych kul.

— Pociski z wklęsłymi czubkami — orzekł patolog. — Wszystkie przeszły na wylot.

Emerson odwrócił się i spojrzał na zbiornik fontanny. Wystrzelił sześć kul, pomyślał. Pięć trafiło w cel, jedna chybiła. O dziewiątej piętnaście fontanna była opróżniona. Wężę strażaków zaczęły wsysać powietrze. Na dnie zbiornika pozostała ćwierćcalowa warstwa mułu i mnóstwo śmieci. Emerson kazał przestawić reflektory i posłał dwunastu rekrutów z Akademii Policijnej, żeby przeszukali fontannę — sześciu z jednej strony i sześciu z drugiej.

\*\*\*

Kryminalistycy znaleźli w budynku czterdzieści osiem śladów stóp wiodących do środka i czterdzieści cztery prowadzące na zewnątrz. Sprawca wchodził pewnie, lecz ostrożnie, nato-

miast odchodząc, stawiał dłuższe kroki. Spieszył się. Nosił buty numer jedenaście. Na ostatnim filarze przy północno-wschodnim narożniku znów znaleźli włókna. Zapewne impregnowanej bawełny, z jasnego prochowca, na wysokości łopatek, jakby facet przywarł plecami do szorstkiego betonu, a później przesunął się, żeby spojrzeć na plac. Znaleźli zdeptany pył na podłodze między filarem a balustradą. Oraz kolejne niebieskie i impregnowane włókna, a także odrobiny kauczuku, wyblakłego i starego.

— Czołgał się — powiedział kierownik ekipy. — Najpierw na kolanach i łokciach, a potem na kolanach, czubkach nóg i łokciach. Jeśli znajdziemy kiedyś jego buty, będą miały podrapane czubki.

Odkryli miejsce, gdzie mężczyzna usiadł, a potem klęknął. Dokładnie naprzeciw tego miejsca zauważyli podrapaną farbę na krawędzi balustrady.

— Tutaj oparł broń — orzekł szef ekipy. — Poruszył nią tam i z powrotem, szukając oparcia.

Ustawił się i spojrzał nad tymi zarysowaniami, jakby celował z karabinu. Zobaczył Emersona, przechadzającego się przed fontanną, niecałe trzydzieści pięć jardów dalej.

\*\*\*

Rekruci akademii spędzili w pustym zbiorniku pół godziny i znaleźli mnóstwo przeróżnych śmieci, prawie osiem dolarów w drobniakach oraz sześć pocisków. Pięć z nich zmieniło się w zdeformowane bryłki ołowiu, ale jeden wyglądał jak nowy. Typu BT, z wklęsłym czubkiem, pięknie odlany, niemal na pewno kalibru .308. Emerson zadzwonił do szefa kryminalistyków, pracującego na pierwszym piętrze parkingu.

— Potrzebuję pana tu, na dole.

— A ja potrzebuję pana tutaj — odparł technik.

\*\*\*

Emerson wszedł na pierwsze piętro i zastał wszystkich techników pochylonych nad wąską szczeliną w betonie i oświetlających ją latarkami.



— Szczelina dylatacyjna — powiedział szef ekipy. — I niech pan spojrzy, co do niej wpadło.

Emerson przecisnął się bliżej, spojrzął i zobaczył błysk mosiądzu.

— Łuska — powiedział.

— Facet zabrał resztę. Jednak ta mu umknęła.

— Odciski palców? — spytał Emerson.

— Miejmy nadzieję — odparł technik. — Mało kto nosi rękawiczki, kiedy ładuje magazynek.

— Jak ją stamtąd wyjmemy?

Technik wstał i przyświecając sobie latarką, znalazł najbliższą puszkę instalacji elektrycznej na suficie. Niepodłączone przewody zwisały z niej jak liście paproci. Spojrzął na podłogę pod nimi i znalazł płataninę porzuconych kabli. Wybrał osiemnastocalowy kawałek trojżyłowego przewodu. Oczyszczył go i zagiął koniec pod kątem prostym. Przewód był sztywny i ciężki. Prawdopodobnie za gruby dla lamp fluorescencyjnych, które zapewne zostaną zamontowane w budynku parkingu. Może dlatego mieli kłopoty ze sfinansowaniem budowy. Może miasto marnotrawiło fundusze.

Wepchnął przewód do szczeliny i przesunął go wzdłuż niej, aż koniec drutu gładko wszedł do środka łuski. Wtedy wyjął ją bardzo ostrożnie, żeby nie zarysować. Wrzucił łuskę do plastikowego woreczka na dowody.

— Spotkamy się na posterunku — powiedział Emerson. — Za godzinę. Ściągnę prokuratora.

Zaczął odchodzić, idąc równolegle do śladów pozostawionych przez sprawcę. Nagle przystanął przy pustych miejscach do parkowania.

— Opróżnijcie parkometr! — zawołał. — Zdejmijcie odciski ze wszystkich ćwierćdolarówek.

— Po co? — odkrzyknął technik. — Myśli pan, że facet zapłacił?

— Chcę mieć sprawę dopiętą na ostatni guzik.

— Musiałby być wariatem, żeby płacić na moment przed załatwieniem pięciorga ludzi.

— Nie zabiłby pięciorga ludzi, gdyby nie był wariatem.

Technik wzruszył ramionami. Opróżnić parkometr? Jednak chyba właśnie za takie przecucia płacą detektywom, wybrał więc numer na swoim telefonie komórkowym i poprosił, żeby łącznik z ratusza przyszedł tu jeszcze raz.

\*\*\*

W tej fazie dochodzenia zawsze włączał się ktoś z biura prokuratora okręgowego, ponieważ odpowiedzialność za przygotowanie aktu oskarżenia spoczywała wyłącznie na prokuraturze. To nie policja przegrywała lub wygrywała w sądzie. Robiła to prokuratura. Dlatego prokuratura chciała sama ocenić wartość dowodów. Nadają się do wytoczenia sprawy czy nie? Są mocne czy słabe? To przypominało audyt firmy. Albo proces przed właściwym procesem. Tym razem ze względu na rangę sprawy Emerson występował przed samym prokuratorem okręgowym. Przed grubą rybą, facetem, który musiał walczyć o to stanowisko. I o powtórna nominację.

Rozpoczęli trzyosobową konferencję w gabinecie Emersona, w której uczestniczyli: Emerson, kierownik zespołu kryminalistyki i prokurator okręgowy. Prokurator nazywał się Rodin, co stanowiło skróconą formę rosyjskiego nazwiska, które było o wiele dłuższe, kiedy jego pradziadkowie przybyli do Ameryki. Był pięćdziesięcioletnim mężczyzną, szczupłym i wysportowanym, a także bardzo ostrożnym. Jego biuro miało niezwykle wysoki procent wygranych spraw głównie dlatego, że wytaczał je, gdy był całkowicie pewien sukcesu. Jeśli nie miał stuprocentowej pewności, szybko rezygnował i obwinał o to policję. A przynajmniej tak uważał Emerson.

— Potrzebne mi naprawdę dobre wiadomości — odezwał się Rodin. — Całe miasto się trzęsie.

— Dokładnie wiemy, jak to zrobił — powiedział mu Emerson. — Możemy odtworzyć każdy jego krok.

— Czy wiecie, kim on jest? — zapytał Rodin.

— Jeszcze nie. Na razie pozostaje anonimowy.

— Proszę streścić mi wyniki.

— Mamy czarno-biały film, na którym widać jasnego minivana, wjeżdżającego na parking jednaście minut przed strzelaniną. Spod kurzu i brudu nie widać numerów rejestracyjnych, a kamera filmowała pod ostrym kątem. Jednak prawdopodobnie był to dodge caravan, nienowy, z dodatkowo przyciemnionymi szybami. Obecnie przeglądamy starsze kasety, ponieważ jest oczywiste, że już wcześniej wjechał na ten parking i nielegalnie zablokował jedno z miejsc styropianowym słupkiem nadzoru ruchu, skradzionym z jakiejś budowy.

— Możemy dowieść, że go ukraść?

— W porządku, zabrał.

— Może pracuje w zarządzie dróg i komunikacji.

— Może.

— Sądzi pan, że ten słupek pochodzi z przebudowywanej First Street?

— Prace są prowadzone w całym mieście.

— First Street jest najbliżej.

— Nie interesuje mnie, skąd wziął się ten słupek.

Rodin kiwnął głową.

— Zatem zarezerwował sobie miejsce do parkowania? Teraz Emerson kiwnął głową.

— Tuż obok nowej części parkingu. Dlatego słupek nie budził niczyich podejrzeń. Mamy świadka, który widział go tam co najmniej godzinę wcześniej. Na słupku są odciski palców. Całe mnóstwo. Ślady prawego kciuka i palca wskazującego są identyczne z tymi, które znaleźliśmy na ćwierćdolarówce wyjętej z parkometru.

— Zapłacił za parkowanie?

— Najwidoczniej.

Rodin zastanowił się.

— To na nic — rzekł. — Obrona będzie twierdzić, że mógł ustawić ten słupek bez złych zamiarów. No wie pan, po prostu z egoizmu. A ta moneta mogła tam tkwić od wielu dni.

Emerson uśmiechnął się. Policjanci swoje, a prawnicy swoje.

— To nie wszystko — powiedział. — Zaparkował, a potem przeszedł przez plac budowy. W kilku miejscach pozostawił ślady, włókna z ubrania i butów. Ponadto będzie miał na sobie

mikrocząsteczki z miejsca zbrodni, głównie pył cementowy. Zapewne sporo.

Rodin pokręcił głową.

— To jedynie dowodzi, że był na miejscu zbrodni w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nic poza tym. To za mało.

— Mamy trzy dowody pozwalające zidentyfikować jego broń — rzekł Emerson.

Rodin nadstawił ucha.

— Jeden strzał chybił — powiedział Emerson. — Kula wpadła do fontanny. I wie pan co? Właśnie tak nasi eksperci od balistyki sprawdzają broń. Oddają strzał do długiego zbiornika z wodą. Woda spowalnia i zatrzymuje pocisk, nie uszkadzając go. Tak więc mamy dziewiczo nową kulę ze wszystkimi otarciami i rysami potrzebnymi do powiązania go z bronią sprawcy.

— Możecie ją znaleźć?

— Mamy również drobiny lakieru z miejsca, gdzie opierał broń o mur.

— To dobrze.

— Pewnie. Znajdziemy karabin i dopasujemy drobiny lakieru do rys. To równie dobre jak DNA.

— A znajdziecie ten karabin?

— Znaleźliśmy jedną łuskę. Ma na sobie ślady pozostawione przez mechanizm wyrzutnika. Tak więc mamy kulę oraz łuskę. One pozwalają powiązać broń ze zbrodnią. Zarysowania lakieru dowodzą, że z broni celowano w kierunku placu. A to z kolei dowodzi, że sprawcą jest człowiek, który pozostawił te wszystkie ślady na parkingu.

Rodin milczał. Emerson wiedział, że prokurator myśli o procesie. Dowody rzeczowe czasem trudno sprzedać sądowi. Brak imludzkiego wymiaru.

— Na łusce są odciski palców — powiedział Emerson. — Pozostawił je, kiedy ładował magazynek. Taki sam odcisk kciuka i wskazującego palca jak na ćwierćdolarówce z parkometru i na styropianowym słupku. Tym samym możemy powiązać zbrodnię z bronią, broń z amunicją, a amunicję z facetem, który jej użył. Rozumie pan? Wszystko się zgadza. Facet, broń, zbrodnia. Wszystko idealnie pasuje.

— Na filmie widać odjeżdżający samochód?  
— Dziewięćdziesiąt sekund po tym, jak dyspozytor odebrał pierwszy telefon.  
— Kim jest sprawca?  
— Dowiemy się, gdy tylko otrzymamy odpowiedź z bazy danych.  
— Jeśli on jest w bazie danych.  
— Myślę, że to wojskowy strzelec wyborowy — rzekł Emerson. — Wszyscy wojskowi figurują w bazie danych. Zatem to tylko kwestia czasu.

\*\*\*

Okazało się, że była to kwestia zaledwie czterdziestu pięciu minut. Dyżurny zapukał i wszedł. Niósł kartkę papieru. Na kartce zapisano nazwisko, adres i życiorys. Oraz dodatkowe informacje, zebrane, gdzie się da. Włącznie z fotokopią prawa jazdy. Emerson wziął kartkę i przeczytał jej treść. Potem jeszcze raz. Później uśmiechnął się. Dokładnie sześć godzin od chwili, gdy padł pierwszy strzał, sprawa była rozwiązana. Pewna jak w banku.

— Nazywa się James Barr — powiedział Emerson. W gabinecie zapadła cisza.

— Ma czterdzieści jeden lat. Mieszka w odległości dwu dziesięciu minut jazdy stąd. Były wojskowy. Zwolniono go z honorami czternaście lat temu. Służył w piechocie jako specjalista, co zapewne oznacza strzelca wyborowego. Wydział komunikacji twierdzi, że facet jeździ sześciolatnim beżowym dodge'em caravanem.

Podsunał papiery Rodinowi. Ten podniósł je i przejrzał, raz i drugi, dokładnie. Emerson obserwował go. Prokurator zapewne myśli: To ten facet, ta broń, ta zbrodnia. Jakby patrzył na automat do gry, na którym pojawiają się trzy wisienki w jednym rzędzie. Raz, dwa, trzy! Całkowita pewność.

— James Barr — powiedział Rodin, jakby rozkoszując się dźwiękiem tych słów. Oddzielił od dokumentów fotokopię prawa jazdy i spojrzął na zdjęcie. — Jamesie Barr, wpadłeś po uszy w gówno.

— Amen — powiedział Emerson, czekając na komplement.

— Ja zdobędę nakazy — rzekł Rodin. — Aresztowania oraz przeszukania domu i samochodu. Sędziowie ustawią się w kolejce, żeby je podpisać.

Wyszedł, a Emerson zadzwonił do szefa policji, żeby przekazać mu dobrą wiadomość. Szef powiedział, że zwoła konferencję prasową na ósmą rano następnego dnia. Powiedział, że chce tam mieć Emersona, na scenie i w centrum uwagi. Emerson uznał, że to jedyny komplement, jakiego może oczekiwać, chociaż niezbyt lubił dziennikarzy.

\*\*\*

Nakazy były gotowe w ciągu godziny, ale przygotowania do aresztowania zajęły kolejne trzy. Najpierw detektywi w cywilnych ubraniach potwierdzili, że Barr jest w domu. Mieszkał w niczym niewyróżniającym się, wolno stojącym domku. Ani odpicowanym, ani zaniedbanym. Stara farba na sidingu, nowy asfalt na podjeździe. W domu paliły się światła i gtał telewizor, zapewne w salonie. Przez moment w jednym z okien widziano Barra. Wyglądało na to, że jest sam. Potem chyba poszedł spać. Zgasły światła i w domu zrobiło się cicho. Jeszcze przez chwilę trwały przygotowania. Do akcji weszli policyjni antyterrorysty. Obejrzeliby mapy terenu i zaplasowali akcję. Otoczyć po cichu, główne siły rozmieścić przy frontowych i tylnych drzwiach, a potem przypuścić jednoczesny atak od frontu i od tyłu. Emerson, w kuloodpornej kamizelce i pożyczonym hełmie, miał dokonać formalnego aresztowania. Towarzyszył mu zastępca prokuratora okręgowego, pilnujący przestrzegania przepisów. Nikt nie chciał dostarczyć obronie czegoś, czego mogłaby się później czepić. Ambulans czekał w pogotowiu. Antyterrorystom towarzyszyli dwaj policjanci z sekcji K9, ze względu na sugerowaną przez kryminalistyków obecność psa w domu podejrzanego. Łącznie w akcji brało udział trzydzieści osiem osób i wszyscy byli zmęczeni. Większość miała służbę już od dwiętnastu godzin. Całą zmianę i nadgodziny. Dawało się więc wyczuć nerwowe napięcie. Wszyscy wiedzieli, że przestępcę

rzadko dysponuje tylko jedną sztuką broni. Jeśli ma jedną, zwykle znajduje się więcej. Może mieć broń automatyczną albo granaty lub bomby.

\*\*\*

Jednak aresztowanie okazało się łatwizną. James Barr nawet się nie obudził. O trzeciej rano wyłamali drzwi jego domu i znaleźli go śpiącego w łóżku, samego. Nadal spał, gdy piętnastu uzbrojonych mężczyzn wpadło do jego sypialni, oświetlając go latarkami i mierząc do niego z pistoletów maszynowych. Poruszył się, kiedy dowódca oddziału antyterrorystycznego ściągnął na podłogę kołdrę i poduszkę, szukając ukrytej broni. Nie znalazł. Barr otworzył oczy. Wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „co?”, a potem znowu zasnął, kuląc się na materacu. Był mocno zbudowany, o jasnej karnacji i czarnych włosach, mocno siwiejących na całym ciele. Piżama była na niego odrobinę za ciasna. Wyglądał na sflaczałego i trochę starszego, niż był w rzeczywistości.

Jego pies był starym kundlem, który niechętnie się zbudził i przyczłapał z kuchni. Policjanci z sekcji K9 natychmiast złapali go i zabrali do swojej furgonetki. Emerson zdjął hełm i przecisnął się przez zgromadzony w maleńkiej sypialni tłum. Zobaczył opróżnioną w jednej czwartej butelkę jacka danielsa na nocnym stoliku, obok pomarańczowego słoiczka, również prawie pełnego. Pochylił się i spojrział. Tabletki nasenne. Przepisane na receptę. Niedawno, niejakiej Rosemary Barr. Napis na etykiecie głosił: Rosemary Barr. Brać jedną w razie bezsenności.

— Kim jest Rosemary Barr? — zapytał wiceprokurator. — Czy on jest żonaty?

Emerson rozejrzał się po pokoju.

— Nie wygląda na to.

— Próba samobójstwa? — spytał dowódca oddziału antyterrorystycznego.

Emerson pokręcił głową.

— W takim wypadku połknąłby wszystkie. I wypił całą butelkę jacka danielsa. Domyślam się, że pan Barr po prostu

miał dziś problemy z zaśnięciem. Po bardzo pracowitym i owocnym dniu.

Powietrze w sypialni było nieświeże. Czuć w nim było odór brudnej pościeli i niemytego ciała.

— Musimy uważać — powiedział wiceprokurator. — Facet jest półprzytomny. Jego adwokat będzie twierdził, że nie był w stanie zrozumieć odczytywanych mu praw. Dlatego nie możemy pozwolić mu gadać. A jeśli coś powie, nie możemy słuchać.

Emerson wezwał sanitariuszy. Kazał im sprawdzić, czy Barr naprawdę jest nieprzytomny, czy nie udaje, a także czy im tu nie umrze. Krzżeli się przy nim przez kilka minut, słuchając bicia serca, sprawdzając puls, czytając napis na opakowaniu z tabletkami. Potem oznajmili, że jest cały i zdrowy, tylko mocno śpi.

— Psychopata — orzekł dowódca oddziału antyterrorystycznego. — Żadnych wyrzutów sumienia.

— Czy mamy pewność, że to właściwy facet? — zapytał wiceprokurator.

Emerson znalazł wiszące na poręczy krzesła spodnie i sprawdził kieszenie. Znalazł niewielki portfel. W nim prawo jazdy. Nazwisko się zgadzało, adres również. I fotografia.

— To nasz człowiek — powiedział.

— Nie możemy pozwolić mu mówić — powtórzył wiceprokurator. — Musimy rozgrywać to ostrożnie.

— Mimo wszystko odczytam mu jego prawa — rzekł Emerson. — Zapamiętajcie to, ludzie.

Chwycił Barra za ramię i potrząsnął nim. Śpiący spojrzął na niego półotwartymi oczami. Emerson wyrecytował mu formułkę Mirandy. Prawo do zachowania milczenia, prawo do adwokata. Barr próbował się skupić, ale nie zdołał. Znow zasnął.

— W porządku, zabierzcie go — polecił Emerson.

Dwaj policjanci owinęli go kocem i wynieśli z domu do radiowozu. Jeden sanitariusz i wiceprokurator pojechali razem z nim. Emerson został w domu i zaczął poszukiwania. W szafie w sypialni znalazł parę niebieskich dżinsów z otarciami na



kolanach. Buty z kauczukowymi podeszwami były równo ustawione na podłodze pod spodniami. Były zakurzone. Prochowiec wisiał w szafie w przedpokoju. Beżowy dodge caravan stał w garażu. Karabin z podrapanym łożem był w piwnicy —jeden z kilku umieszczonych w stojaku przyśrubowanym do ściany. Na półce pod nim było pięć pistoletów kalibru dziewięć milimetrów. Oraz pudełka z amunicją, w tym w połowie puste opakowanie Lake City M852 — stu sześćdziesięciu ośmiugranowych pocisków typu BT z wklęsłymi czubkami kalibru.308. Obok pudełek stały szklane słoiki z łuskami. Gotowe do recyklingu, pomyślał Emerson. Przygotowane do ręcznego napełniania. Słoik stojący najbliżej przedniej krawędzi półki zawierał tylko pięć łusek. Mosiądz Lake City. Pokrywka była zdjęta, jakby te pięć ostatnich łusek wrzucono do niego niedawno i w pośpiechu. Emerson pochylił się i powąchał. Powietrze w słoiku miało zapach prochu. Zimny i stary, ale nie bardzo.

\*\*\*

Emerson opuścił dom Jamesa Barra o czwartej rano. Zastąpili go kryminaliści, którzy mieli dokładnie przeszukać cały dom. Zadzwonił do dyżurnego sierżanta i upewnił się, że Barr śpi spokojnie w celi, a stan jego zdrowia jest regularnie sprawdzany. Potem pojechał do domu i zdrzemnął się dwie godziny, po czym wziął prysznic i ubrał się na konferencję prasową.

\*\*\*

Konferencja prasowa uśmierciła sensację w zarodku. Sensacyjna wiadomość wymaga, aby sprawca pozostawał na wolności. Powinien być zuchwały, posępny, skryty, tajemniczy, niebezpieczny. Ma budzić strach. Powinien sprawiać, że codzienne czynności, takie jak tankowanie benzyny, zakupy w centrum handlowym czy wyjście do kościoła staną się aktami odwagi. Dlatego komunikat o wykryciu i aresztowaniu sprawcy przed następnym cyklem wiadomości był dla Ann Yanni katastrofą. Natychmiast pojęła, co pomyślała w redakcji naczelnej. Po zawodach, koniec bajki, prehistoria. Wczorajsza nowość —

dosłownie. Zapewne i tak żadna sensacja. Po prostu jakiś prowincjonalny świr, za głupi nawet, by choć przez jedną noc wymykać się stróżom prawa. Pewnie sypia z kuzynką i pija tanią whisky. Nic ciekawego. Jeszcze raz wejdzie na antenę podczas ogólnokrajowych wiadomości, żeby przypomnieć o zbrodni i zawiadomić o aresztowaniu sprawcy, a potem koniec. Z powrotem w niebyt.

Tak więc Yanni była rozczarowana, ale dobrze to ukrywała. Pełnym podziwu tonem zadała kilka pytań. Mniej więcej w połowie konferencji wpadła na nowy temat. Inne jego ujęcie. Trzeba przyznać, że praca policji robiła wrażenie. A sprawca nie był świrem. Wcale nie. Zatem bardzo zły facet został schwytyany przez naprawdę bardzo dobrych policjantów. I to tutaj, na prowincji. Podczas gdy na wybrzeżu w poprzednich takich słynnych sprawach zajęło to sporo czasu. Czy to da się sprzedać? W myślach zaczęła układać nagłówki. Najszybsi w Ameryce? A może Najlepsi?

Po blisko dziesięciu minutach szef policji oddał pole Emersonowi. Ten wyjawiał tożsamość sprawcy i szczegóły zbrodni. Nie rozwodził się. Same fakty, proszę pani. Zarysował przebieg dochodzenia. Odpowiedział na pytania. Nie chępił się. Ann Yanni pomyślała, iż Emerson najwyraźniej uważa, że policji dopisało szczęście. Tym razem mieli znacznie więcej śladów niż zwykle.

Potem na scenę wszedł Rodin. Ten przedstawił sprawę w taki sposób, jakby policja uporowała się zaledwie ze wstępnymi problemami, a prawdziwa praca dopiero miała się zacząć. Jego biuro zbada wszystkie dowody i wyciągnie właściwe wnioski.

I owszem, pani Yanni, ponieważ jego zdaniem okoliczności tego wymagają, będzie domagał się kary śmierci dla Jamesa Barra.

\*\*\*

James Barr ocknął się w swojej celi o dziewiątej w sobotę rano, z kacem po tabletkach nasennych i wódzie. Natychmiast zdjęto mu odciski palców i ponownie odczytano prawa, nawet dwukrotnie. Miał prawo zachować milczenie i wezwać ad-

wokata. Wybrał milczenie. Niewielu ludzi to robi. Niewielu potrafi. Zazwyczaj odczuwają nieprzewycięzoną potrzebę mówienia. Jednak James Barr ją przewyciężył. Zamknął usta i milczał. Wiele osób próbowało z nim pomówić, lecz on nie odpowiadał. Ani razu. Ani słowa. Emersonowi to pasowało. Prawdę mówiąc, Emerson nie chciał, żeby Barr coś powiedział. Wolał pozbierać dowody, zbadać je, sprawdzić, wypolerować i doprowadzić do tego, żeby mieć pewność uzyskania wyroku skazującego bez zeznań podejrzanego. Zeznania są zbyt narażone na zarzuty obrońców, dowodzących, że zostały wymuszone lub złożone w chwili ograniczonej poczytalności, więc Emerson nauczył się tego unikać. Zeznania to lukier na torcie. I dokładnie ostatnia rzecz, jaką chciał usłyszeć, nie pierwsza. Nie tak jak w telewizyjnych serialach kryminalnych, gdzie bezlitosne przesłuchanie jest sztuką samą w sobie. Dlatego trzymał się z daleka i czekał, aż jego technicy zakończą swoją powolną, żmudną pracę.

\*\*\*

Siostra Jamesa Barra była młodsza od niego, niezamężna i mieszkała w czynszowym mieszkaniu. Miała na imię Rosemary. Jak wszyscy mieszkańcy miasta była wstrząśnięta, zaszokowana i oszołomiona. Widziała wiadomości w piątek wieczorem. I ponownie w sobotę rano. Usłyszała, jak policyjny detektyw wymienił nazwisko jej brata. Z początku myślała, że to pomyłka. Pewnie się przesłyszała. Jednak policjant wciąż je powtarzał. James Barr, James Barr, James Barr. Wybuchła płaczem. Najpierw były to łzy zaskoczenia, potem przerażenia, wreszcie gniewu.

Później z trudem się opanowała i zaczęła działać.

Pracowała jako sekretarka w ośmioosobowej kancelarii prawniczej, która — jak większość firm w prowincjonalnych miasteczkach — zajmowała się wszystkim po trochu. I dość dobrze traktowała swoich pracowników. Pensja nie była nadzwyczajna, ale rekompensowały to pewne korzyści. Jedną z nich było pełne ubezpieczenie. Innym to, że tytułowano ją radczynią, a nie sekretarką. Jeszcze inną obietnicą, że firma zapewni opiekę prawną swoim pracownikom i ich rodzinom za

darmo. Zwykle były to testamenty, sprawy spadkowe i rozwodowe oraz niewielkie roszczenia powypadkowe wobec firm ubezpieczeniowych. Na pewno nie obrona dorosłego rodzeństwa, omyłkowo oskarżonego o zastrzelenie kilku osób w biały dzień i w środku miasta. Rosemary zdawała sobie z tego sprawę. Jednak uważała, że musi spróbować. Ponieważ znała swojego brata i wiedziała, że nie mógł tego zrobić.

Zadzwoiła do domu jednego z właścicieli firmy. Zajmował się głównie podatkami, więc zadzwonił do konsultanta do spraw kryminalnych. Ten zadzwonił do prezesa firmy, który zwołał naradę wszystkich wspólników. Spotkali się przy lunchu w wiejskim klubie. Początkowo zastanawiano się, jak odmówić Rosemary w możliwie najtaktowniejszy sposób. Nie mieli doświadczenia w sprawach kryminalnych tego rodzaju. Ani ochoty, aby je zdobywać. Musieli dbać o publiczny wizerunek firmy. Wszyscy natychmiast zgodzili się z tym twierdzeniem. Jednak Rosemary Barr była dobrą sekretarką i przepracowała dla nich wiele lat, chcieli zachować się wobec niej lojalnie. Wiedzieli, że nie ma pieniędzy, ponieważ prowadzili jej sprawy podatkowe. Zakładali, że jej brat również nie ma pieniędzy. Ale konstytucja gwarantuje każdemu prawo do kompetentnego adwokata, a nie mieli najlepszego zdania o obrońcach z urzędu. Tak więc stanęli przed prawdziwym dylematem etycznym.

Rozwiązał go ich konsultant do spraw kryminalnych. Nazywał się David Chapman. Był zaprawionym w sądowych bojach weteranem i znał prokuratora okręgowego, Rodina. Znał go bardzo dobrze. Po prostu nie mógł go nie znać. Byli do siebie podobni, wychowali się w tej samej dzielnicy i siedzieli w tym samym interesie, chociaż po przeciwnych stronach. Chapman poszedł więc do palarni i zadzwonił z komórki do prokuratora. Przeprowadzili długą i szczerą rozmowę. Potem Chapman powrócił do zebranych.

— Wynik jest przesądzony — powiedział. — Brat panny Barr jest winny jak wszyscy diabli. Rodin ma sprawę jak wziętą z podręcznika. Do licha, ona pewnego dnia z pewnością znajdzie

się w podręczniku. Zebrał wszystkie możliwe dowody. Nigdzie nie ma nawet najmniejszej szczeliny.

— Był z tobą szczyry? — zapytał prezes firmy.

— Starzy kumple nie wciskają sobie kitu — odparł Chapman.

— A więc?

— Moglibyśmy jedynie wnieść o złagodzenie wyroku. Gdyby udało nam się zamienić karę śmierci na dożywocie, byłoby to wielkie zwycięstwo. Panna Barr niczego więcej nie może oczekiwać. Jej brat również, z całym szacunkiem.

— Nasze zaangażowanie? — spytał prezes.

— Jedynie w fazie formułowania wyroku. Ponieważ on będzie musiał przyznać się do winy.

— Chcesz się tym zająć?

— W tych okolicznościach...

— Ile roboczogodzin będzie to nas kosztowało?

— Niewiele. Praktycznie nic nie możemy zrobić.

— Złagodzenie wyroku na jakiej podstawie?

— Zdaje się, że on jest weteranem wojny w Zatoce. Możemy więc mówić o działaniu toksycznych substancji chemicznych. Albo o zmianach psychicznych wywołanych traumatycznymi przeżyciami wojennymi. Może uda nam się zawrzeć ugodę z Rodinem. Moglibyśmy omówić to przy lunchu.

Prezes kancelarii kiwnął głową. Zwrócił się do specjalisty od spraw podatkowych.

— Powiedz swojej sekretarce, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc jej w potrzebie.

\*\*\*

Barr został przeniesiony z komisariatu do aresztu śledczego, zanim jego siostra i Chapman zdołali się z nim zobaczyć. Zabrano mu koc i piżamę, a wydano papierową bieliznę, pomarańczowy kombinezon oraz parę gumowych kłapek. Areszt nie był przyjemnym miejscem — panował w nim hałas i smród. Był też potwornie zatłoczony, więc wciąż wybuchały awantury z powodu społecznych lub etnicznych napięć, z którymi policja radziła sobie na ulicy. Więźniów lokowano po

trzech w jednej celi, a strażników było za mało. Nowych nazywano rybkami i musieli sami troszczyć się o siebie.

Jednak Barr służył w wojsku, toteż nie przeżył wielkiego szoku kulturowego. Przeżył jako „rybka” dwie godziny, po czym odeskortowano go do pokoju przesłuchań. Powiedziano mu, że tam czeka jego adwokat. Wprowadzono go do pokoiku bez okien, w którym jedynym umeblowaniem był przyśrubowany do podłogi stolik i dwa krzesła. Na jednym z nich siedział facet, który wydał się Barrowi znajomy. Na stoliku stał magnetofon. Chyba walkman.

— Nazywam się David Chapman — powiedział facet siedzący na krześle. — Jestem obrońcą specjalizującym się w sprawach kryminalnych. Adwokatem. Pańska siostra pracuje w mojej firmie. Poprosiła, żebyśmy panu pomogli.

Barr wciąż milczał.

— A więc jestem — rzekł Chapman.

Barr nic nie powiedział.

— Nagrywam tę rozmowę — poinformował go Chapman. — Wszystko będzie na taśmie. Rozumiem, że nie ma pan nic przeciwko temu?

Barr się nie odezwał. Chapman czekał.

— Czy przedstawiono panu zarzuty? — spytał.

Barr nie odpowiedział.

— Te zarzuty są bardzo poważne — kontynuował Chapman. Barr nadal milczał.

— Nie pomogę panu, jeśli pan sam nie chce sobie pomóc — powiedział Chapman.

Barr tylko na niego patrzył. Siedział tak cicho i spokojnie jeszcze przez kilka długich minut. Potem nachylił się do magnetofonu i odezwał po raz pierwszy od chwili aresztowania.

— Mają niewłaściwego faceta — powiedział.

\*\*\*

— Mają niewłaściwego faceta — powtórzył Barr.

— Niech więc mi pan powie, kto jest tym właściwym — natychmiast zapytał Chapman. Był dobrym sądowym takty-

kiem. Wiedział, że trzeba złapać odpowiedni rytm. Pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź. Wtedy gość się otwiera. Wpada w ten rytm i wszystko wychodzi na jaw. Jednak Barr znowu zamilkł.

— Wyjaśnijmy to sobie — zachęcił Chapman.

Barr nie zareagował.

— Twierdzi pan, że tego nie zrobił? — zapytał go Chapman.

Barr nie odpowiedział.

— Tak pan twierdzi?

Brak odpowiedzi.

— Mają wszystkie dowody — rzekł Chapman. — Obawiam się, że są praktycznie niepodważalne. Nie może pan udawać niemego. Musimy porozmawiać o tym, dlaczego pan to zrobił. Tylko to może nam pomóc.

Barr milczał.

— Chce pan, żebym panu pomógł? — zapytał Chapman. — Czy nie?

Barr nie odpowiedział.

— Może powodem były doświadczenia wojenne — rzekł Chapman. — Albo szok pourazowy. Albo jakiś rodzaj zaburzeń umysłowych. Musimy skupić się na pobudkach.

Barr wciąż milczał.

— Nie ma sensu zaprzeczać — powiedział Chapman. — Mają niezbite dowody.

— Sprowadźcie mi Jacka Reachera — rzekł Barr.

— Kogo?

— Jacka Reachera — powtórzył Barr.

— Kto to? Pański przyjaciel?

Brak reakcji.

— Jakiś znajomy? — naciskał Chapman.

Barr milczał.

— Ktoś, kogo kiedyś pan znał?

— Po prostu sprowadźcie mi go.

— Gdzie on jest? I kim jest?

Barr nie odpowiedział.

— Czy Jack Reacher jest lekarzem? — spytał Chapman.

— Lekarzem? — powtórzył Barr.

— Czy to lekarz? — pytał Chapman.

Jednak Barr już się nie odezwał. Wstał od stołu, podszedł do drzwi i zaczął w nie łomotać, aż strażnik otworzył je i zaprowadził go z powrotem do zatłoczonej celi.

\*\*\*

Chapman spotkał się w swoim biurze z Rosemary Barr i detektywem firmy. Detektyw był emerytowanym policjantem, z którego usług korzystała większość kancelarii prawniczych. Wszystkie miały go na swoich listach płac. Był licencjonowanym prywatnym detektywem. Nazywał się Franklin. Zupełnie nie przypominał prywatnego detektywa z telewizji. Całą swoją robotę wykonywał za biurkiem, korzystając z książek telefonicznych i komputerowych baz danych. Nie chodził po mieście, nie nosił broni, nie miał kapelusza. Jednak nikt mu nie dorównywał w sprawdzaniu faktów oraz tropieniu podejrzanych, i wciąż miał wielu przyjaciół w policji.

— Dowody są solidne jak skała — oznajmił. — Tak mi mówiono. Emerson kierował śledztwem, a jemu można wierzyć. Rodinowi również, chociaż z innego powodu. Emerson to sztywniak, a Rodin to tchórz. Żaden z nich nie powiedziałby tego, gdyby nie mieli niepodważalnych dowodów.

— Po prostu nie mogę uwierzyć, że on to zrobił — powiedziała Rosemary Barr.

— No cóż, wydaje się, że pani brat zaprzecza — rzekł Chapman. — Przynajmniej tak to zrozumiałem. Prosił, żeby przysłać mu niejakiego Jacka Reachera. To ktoś, kogo zna albo znał. Czy słyszała pani kiedyś to nazwisko? Czy wie pani, kim on jest?

Rosemary Barr tylko pokręciła głową. Chapman napisał na kartce papieru *Jack Reacher*, po czym podsunął ją Franklinowi.

— Podejrzewam, że to psychiatra. Pan Barr wymienił jego nazwisko zaraz po tym, jak wyjaśniłem mu, jak solidne są dowody. Może więc ten Reacher przyczyni się do uzyskania złagodzenia wyroku. Może kiedyś leczył pana Barra.



— Mój brat nigdy nie był u psychiatry — oświadczyła Rosemary Barr.

— Jest pani pewna?

— Oczywiście.

— Jak długo mieszka w tym mieście?

— Czternaście lat. Od kiedy wyszedł z wojska.

— Byliście zżyci?

— Mieszkaliśmy w tym samym domu.

— Jego domu?

Rosemary Barr kiwnęła głową.

— Ale już tam pani nie mieszka.

Rosemary Barr odwróciła głowę.

— Nie — przyznała. — Wyprowadziłam się.

— Czy pani brat mógł być u psychiatry po tym, jak się pani wyprowadziła?

— Powiedziała by mi o tym.

— W porządku, a wcześniej? W wojsku?

Rosemary Barr nie odpowiedziała. Chapman znów zwrócił się do Franklina.

— Może więc ten Reacher to jego lekarz wojskowy — rzekł. — Może ma jakieś informacje o jego urazach psychicznych. Mógłby nam bardzo pomóc.

Franklin podniósł kartkę z nazwiskiem.

— Jeśli tak było, to go znajdę — obiecał.

— Nie powinniśmy mówić o złagodzeniu wyroku — powiedziała Rosemary Barr. — Powinniśmy mówić o wątpliwościach. O jego niewinności.

— Dowody są bardzo mocne — odparł Chapman. — Posłużył się swoją własną bronią.

\*\*\*

Franklin przez trzy godziny bezskutecznie próbował znaleźć Jacka Reachera. Najpierw sprawdził stowarzyszenia psychiatrów. Bezskutecznie. Potem przejrzał internetowe fora wspierające weteranów wojny w Zatoce. Ani śladu. Sprawdził Lexis-Nexis oraz inne witryny informacyjne. Nic. Potem zaczął od nowa i wszedł do bazy danych personelu wojskowego. Ta

zawierała nazwiska wszystkich obecnych i byłych żołnierzy. Bez trudu znalazł w niej Jacka Reachera. Ten rozpoczął służbę w 1984 roku i odszedł z wszelkimi honorami w 1997. Natomiast James Barr wstąpił do wojska w 1985, a został zwolniony w 1991. Ten sześćioletni okres pokrywał się z czasem służby Reachera, który jednak wcale nie był lekarzem, tylko żandarmem. Oficerem. Majorem. Być może na wysokim stanowisku. Barr zakończył służbę jako specjalista E-4, niskiego stopnia. Piechoty, nie żandarmerii. Jaki więc sens miało spotkanie oficera żandarmerii i żołnierza piechoty? Najwidoczniej miało, inaczej Barr nie wymieniłby tego nazwiska. Tylko jaki?

Po trzech godzinach Franklin doszedł do wniosku, że nigdy się tego nie dowie, ponieważ Reacher znikł z horyzontu po 1997 roku. Nigdzie nie było po nim śladu. Wciąż żył według danych opieki społecznej. Nie siedział w więzieniu według centralnej kartoteki skazanych. Mimo to znikł. Nie brał żadnych kredytów. Nie był właścicielem żadnej nieruchomości, samochodu czy łodzi. Nie miał długów. Nie miał krewnych. Nie miał adresu. Ani numeru telefonu. Nie ścigano go listem gończym ani nie miał na koncie wyroków. Nie był mężem ani ojcem. Był duchem.

\*\*\*

Tymczasem w ciągu tych trzech godzin James Barr wpadł w poważne kłopoty. Zaczęły się, kiedy wyszedł z celi. Skręcił w prawo, żeby dojść do stanowisk z aparatami telefonicznymi. Korytarz był wąski. Wpadł na innego więźnia, zderzając się z nim ramieniem. I wtedy popełnił fatalny błąd. Oderwał wzrok od podłogi, spojrzął na tamtego i przeprosił.

Fatalny błąd, ponieważ „rybka” nie powinna nawiązywać kontaktu wzrokowego z innym więźniem. To świadczyło o braku Szacunku. Tak nakazywał więzienny kodeks. James Barr tego nie wiedział.

Facet, z którym nawiązał kontakt wzrokowy, był Meksykaninem. Miał tatuaże jakiegoś gangu, ale Barr tego nie zauważył. Kolejny fatalny błąd. Powinien znów wbić wzrok w podłogę,

pójść dalej i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Nie zrobił tego.

Zamiast tego powiedział:

— Przepraszam.

Potem uniósł brwi i uśmiechnął się krzywo, ale do siebie, jakby chciał powiedzieć: Okropna nora, no nie?

Poważny błąd. Spoufalanie się, sugerujące zażyłość.

— Na co się gapisz? — warknął Meksykanin.

W tym momencie James Barr zrozumiał. Na co się gapisz? — to typowa zaczepka. Nie była to odzywka, którą chciałoby się usłyszeć w koszarach, barze czy w ciemnej uliczce.

— Na nic — powiedział i natychmiast zrozumiał, że jeszcze pogorszył sytuację.

— Mówisz, że jestem niczym?

Barr znów wbił wzrok w podłogę i ruszył dalej, ale było już za późno. Czuł na plecach spojrzenie Meksykanina i zrezygnował z zamiaru telefonowania. Aparaty telefoniczne były na końcu holu, a on nie chciał znaleźć się w ślepych zaułku. Toteż okrężną drogą wrócił do swojej celi. Dotarł tam bez przeszkód. Na nikogo nie patrzył, z nikim nie rozmawiał. Położył się na swojej pryczy. Jakies dwie godziny później doszedł do wniosku, że wszystko będzie dobrze. Chyba poradzi sobie z tym macho. Był większy od tego Meksykanina. Był większy od dwóch Meksykanów.

Chciał zadzwonić do swojej siostry i upewnić się, że nic jej nie jest.

Znów ruszył w kierunku automatów telefonicznych.

Dotarł tam niezaczepiany przez nikogo. Znalazł się w niewielkiej przestrzeni. Do ściany były przymocowane cztery aparaty, z których korzystali czterej aresztowani, a następnie stali nieopodal w czterech kolejkach. Gwar, szuranie nóg, historyczne śmiechy, zniecierpliwienie, frustracja, stęchłe powietrze, smród potu, brudnych włosów i uryny. W przekonaniu Jamesa Barra, typowa więzienna scenka.

Nagle jednak stała się zupełnie nietypowa.

Stojący przed nim mężczyźni zniknęli. Tak po prostu. Zwyczajnie się rozplnęli. Korzystający z telefonów przerwali

rozmowy w pół słowa i odeszli. Czekaający w pozostałych kolejkach też sobie poszli. W mgnieniu oka hol z zatłoczonego i gwarne go stał się pusty i cichy.

James Barr się odwrócił.

Zobaczył Meksykanina z tatuażami. Ten miał w rękę nóż, a za plecami dwunastu przyjaciół. Nożem była rączka szczoteczki do zębów owinięta taśmą izolacyjną i opiłowana na sztylet z końcem ostrym jak igła. Przyjaciele byli niskimi i przysadzistymi facetami, wszyscy z takimi samymi tatuażami i krótko ostrzyżonymi włosami, wygolonymi w skomplikowane wzory.

— Czekaście — powiedział Barr.

Jednak Meksykanie nie czekali i osiem minut później Barr był w śpiączce. Znalaziono go wkrótce potem na podłodze. Ciężko pobitego, z licznymi ranami kłutymi, pęknięciem czaszki i licznymi krwiakami podtwardówkowymi. Później mówiono w więzieniu, że sam się o to prosił. Nie szanował Latynosów. Jednak mówiono też, że nie poddał się bez walki. Mówiono to z odcieniem podziwu. Meksykanie też trochę ucierpieli. Jednak nie tak bardzo jak James Barr. Przewieziono go karetką do miejskiego szpitala, pozszywano i zoperowano, aby obniżyć ciśnienie śródczaszkowe wywołane obrzękiem mózgu. Potem położono go na zamkniętym oddziale intensywnej opieki. Zapadł w śpiączkę. Lekarze nie byli pewni, czy odzyska przytomność. Może jutro. Może za miesiąc. Może nigdy. Lekarze nie wiedzieli i nic ich to nie obchodziło. Wszyscy byli rezydentami i mieszkali w tym mieście.

\*\*\*

Dyrektor aresztu zadzwonił późno w nocy i powiedział o tym Emersonowi. Ten zadzwonił do Rodina. Potem Rodin zadzwonił z tą wieścią do Chapmana. A Chapman zadzwonił i powiedział o tym Franklinowi.

— No i co teraz? — zapytał go Franklin.

— Nic — odparł Chapman. — Sprawa zostaje zawieszona. Nie można sądzić faceta w śpiączce.

— A jeśli się obudzi?  
— Jeżeli wyzdrowieje, to pewnie ją wznowią.  
— A jeśli nie?  
— To nie. Nie można skazać warzywa.  
— No i co teraz robimy?  
— Nic — odparł Chapman. — I tak nie traktowaliśmy tego zbyt poważnie. Barr jest winny jak wszyscy diabli i niewiele można dla niego zrobić.

\*\*\*

Franklin zadzwonił i zawiadomił Rosemary Barr, ponieważ nie był pewien, czy ktokolwiek zada sobie ten trud. Przekonał się, że miał rację. Osobiście przekazał jej tę wiadomość. Rosemary Barr nie okazała żadnych uczuć. Przyjęła to bardzo spokojnie. Jakby tego wszystkiego było już dla niej zbyt wiele.

— Chyba powinnam pojechać do szpitala — powiedziała.  
— Jeśli pani chce — rzekł Franklin.  
— On jest niewinny, wie pan. To nie w porządku.  
— Widziała go pani wczoraj?  
— Pyta pan, czy mogę zapewnić mu alibi?  
— Może pani?  
— Nie — odparła Rosemary Barr. — Nie mogę. Nie wiem, gdzie był wczoraj. Ani co robił.  
— Czy bywał gdzieś regularnie? W kinie, barze, tym podobnych miejscach?  
— Raczej nie.  
— Miał jakichś przyjaciół?  
— Nie jestem pewna.  
— Przyjaciółki?  
— Żadnej od długiego czasu.  
— Odwiedzał innych krewnych?  
— Jesteśmy tylko my dwoje. On i ja.  
Franklin nic nie powiedział. Zapadła długa, niezręczna cisza.  
— I co teraz będzie? — spytała Rosemary Barr.  
— Sam nie wiem.  
— Czy znalazł pan tę osobę, o której wspomniał mój brat?  
— Jacka Reachera? Nie, obawiam się, że nie. Ani śladu.

— Będzie pan dalej szukał?  
— Już nic nie mogę zrobić.  
— W porządku — powiedziała Rosemary Barr. — Zatem  
będziemy musieli obejść się bez niego.

\*\*\*

Jednak gdy tak rozmawiali przez telefon w sobotnią noc,  
Jack Reacher już do nich jechał.

## 2

Reacher jechał do nich dzięki pewnej kobiecie. Spędził piątkowy wieczór w South Beach, w Miami, w klubie tanecznym, z tancerką ze statku wycieczkowego. Statek był norweski i dziewczyna też pochodziła z Norwegii. Reacher domyślał się, że była za wysoka do baletu, ale miała odpowiednie wymiary do wszystkiego innego. Poznali się po południu na plaży. Reacher pracował nad swoją opalenizną. Lepiej się czuł brązowy. Nie wiedział, nad czym ona pracowała. Jednak poczuł cień, który padł mu na twarz, a kiedy otworzył oczy, zobaczył, że kobieta mu się przygląda. A może jego bliznom. Im bardziej brązową miał skórę, tym bardziej były widoczne, białe, pasudne i oczywiste. Ona miała jasną karnację i czarne bikini. Bardzo skąpe czarne bikini. Uznał ją za tancerkę, zanim jeszcze mu to powiedziała. Miała tę charakterystyczną postawę.

W końcu zjedli razem kolację i poszli do klubu. Salsa w wydaniu South Beach nie była ulubioną rozrywką Reachera, lecz zrekompensowało mu to towarzystwo Norweżki. Była zabawna i wspaniale tańczyła. Tryskała energią. Zmęczyła go. O czwartej rano zabrała go do swojego hotelu, chcąc zmęczyć go jeszcze bardziej. Jej hotel był miłym miejscem w stylu art deco, tuż nad oceanem. Najwyraźniej linia wycieczkowa dobrze traktowała swoich pracowników. Z pewnością to miejsce było o wiele bardziej romantyczne niż motel, w którym zatrzymał się Reacher. I znacznie bliżej centrum.

Ponadto była tam telewizja kablowa, której brakowało w motelu Reachera. Obudził się o ósmej w sobotni rano, kiedy usłyszał, jak tancerka bierze prysznic. Włączył telewizor i zaczął szukać ESPN. Chciał poznać wyniki rozgrywek amerykańskiej ligi. Nigdy ich nie poznał. Przerzucał kanały i nagle przestał, gdyż na CNN zobaczył szefa policji stanu Indiana, wymieniającego znajome nazwisko: James Barr. Trwała konferencja prasowa. Niewielka salka, ostre światło. Logo w górnej części ekranu głosiło: **Materiał NBC**. Na dole widniał napis: **Masakra w piątkowy wieczór**. Szef policji ponownie wymienił nazwisko Jamesa Barra, a potem przedstawił detektywa z wydziału ciężkich przestępstw, niejakiego Emersona. Ten wyglądał na zmęczonego. Emerson po raz trzeci wymówił nazwisko Jamesa Barra. A potem, jakby odpowiadając na pytanie cisnące się na usta Reacherowi, podał zwięzłą biografię: Czterdzieści jeden lat, mieszkaniec stanu Indiana, od roku 1985 do 1991 żołnierz piechoty armii Stanów Zjednoczonych, weteran wojny w Zatoce, kawaler, ostatnio bezrobotny.

Reacher patrzył w ekran. Emerson sprawiał wrażenie pozbieranego. Był małomówny. Nie gadał bzdur. Zakończył swoją wypowiedź i odmówił odpowiedzi na pytania reporterów, czy James Barr powiedział cokolwiek w trakcie przesłuchania. Potem przedstawił prokuratora okręgowego. Ten nazywał się Rodin i nie był pozbierany. Ani małomówny. Plótł bzdury. Przez dziesięć minut starał się przypisać sobie zasługi Emersona. Reacher dobrze to znał. Przez trzynaście lat był kimś w rodzaju gliniarza. Gliniarze urabiają sobie ręce po łokcie, a prokuratorzy pławią się w chwale. Rodin jeszcze kilkakrotnie wymienił nazwisko Barra, a potem powiedział, że prawdopodobnie zażąda kary śmierci.

Za co?

Reacher czekał.

Pojawiła się miejscowa reporterka, niejaka Ann Gianni. Streściła wydarzenia poprzedniego wieczoru. Strzelanina. Bezsensowna masakra. Broń szybkostrzelna. Piętrowy parking. Plac w centrum miasta. Przechodnie wracający do domów po długim tygodniu pracy. Pięcioro zabitych. Podejrzani aresztowani, ale całe miasto wciąż w żałobie.



Reacher pomyślał, że najbardziej cierpi Yanni. Sukces Emersona podciął jej skrzydła. Wyłączyła się i w CNN zaczęły się wiadomości ze świata. Reacher zgasił telewizor. Tancerka wyszła z łazienki. Była różowa i pachnąca. I naga. Zostawiła ręcznik w łazience.

— Co będziemy dziś robić? — zapytała z szerokim uśmiechem.

— Ja jadę do Indiany — oznajmił Reacher.

\*\*\*

Poszedł w upale na północ, na dworzec autobusowy w Miami. Potem przejrzał zatłuszczony rozkład jazdy i zaplanował trasę. Czekala go długa podróż. Jej pierwszym etapem będzie przejazd z Miami do Jacksonville. Potem z Jacksonville do Nowego Orleanu. Później z Nowego Orleanu do St Louis. Z St Louis do Indianapolis. Potem zapewne lokalnym autobusem na południe. Pięć etapów. Godziny przyjazdów niedopasowane do odjazdów. Cała podróż zajmie mu ponad czterdzieści osiem godzin. Miał ochotę polecieć samolotem lub wypożyczyć samochód, ale miał mało pieniędzy, lubił jeździć autobusami, a ponadto doszedł do wniosku, że przez weekend i tak nic się już nie wydarzy.

\*\*\*

Jednak podczas weekendu coś się wydarzyło. Rosemary Barr zadzwoniła do detektywa firmy. Doszła do wniosku, że Franklin może w miarę obiektywnie ocenić sytuację. Złapała go w domu o dziesiątej rano w niedzielę.

— Sądzę, że powinnam zatrudnić innych prawników — oznajmiła.

Franklin się nie odezwał.

— David Chapman uważa, że on jest winny — powiedziała Rosemary. — Czyż nie? Dlatego już zrezygnował.

— Nie mogę tego komentować — rzekł Franklin. — To jeden z moich pracodawców.

Teraz Rosemary Barr nic nie powiedziała.

— Jak było w szpitalu? — zapytał Franklin.

— Okropnie. Leży na intensywnej terapii z bandą poturbowanych oprychów. Przykuli go do łóżka. Przecież jest w śpiączce, na Boga. Czy myślą, że może uciec?

— Jak teraz wygląda jego sytuacja?

— Został aresztowany, ale nie oskarżony. Znalazł się w prawnej próżni. Zakładają, że nie uzyskałby prawa do wyjścia za kaucją.

— Zapewne mają rację.

— Twierdzą, że w tych okolicznościach jest tak, jakby sąd nie przyznał mu prawa do wyjścia za kaucją. Zatem należy do nich. Wpadł w tryby maszyny sprawiedliwości.

— Co chciałabyś uzyskać?

— Nie powinien być skuty. I powinni przynajmniej umieścić go w szpitalu. Jednak nie zrobią tego, dopóki nie znajdę jakiegoś prawnika, który będzie chciał mu pomóc.

Franklin się zastanowił.

— Jak wytlumaczysz istnienie tych wszystkich dowodów?

— Znam mojego brata.

— Wyprowadziłaś się od niego, prawda?

— Z innego powodu. Nie dlatego, że był maniakialnym mordercą.

— Zarezerwował sobie miejsce na parkingu — przypomniał Franklin. — Zrobił to z premedytacją.

— Ty też uważasz, że jest winny.

— Pracuję na podstawie tego, co mam. A to, co mam, nie wygląda dobrze.

Rosemary Barr milczała.

— Przykro mi — rzekł Franklin.

— Możesz mi polecić innego prawnika?

— A możesz podjąć taką decyzję? Masz prawo zatrudnić adwokata?

— Uważam, że to oczywiste. Mój brat jest w śpiączce. Ja jestem jego najbliższą krewną.

— Ile masz pieniędzy?

— Niewiele.

— A ile on ma?

— Dom przedstawia jakąś wartość.

— To nie będzie dobrze wyglądało. Dla twojej firmy będzie to jak kopniak w tyłek.

— Nie mogę się tym przejmować.

— Możesz stracić wszystko, włącznie z pracą.

— I tak stracę wszystko, jeśli nie pomogę Jamesowi. Jeżeli zostanie skazany, zwolnię mnie. Będę zbyt znana. Powiązana z mordercą. Kłopotliwe.

— Miał twoje tabletki nasenne — przypomniał Franklin.

— Dałam mu je. Nie był ubezpieczony.

— Dlaczego ich potrzebował?

— Miał kłopoty z zasypianiem.

Franklin nic nie powiedział.

— Uważasz, że on jest winny — powiedziała Rosemary.

— Dowody są przytłaczające — odparł.

— David Chapman wcale się nie stara, prawda?

— Musisz wziąć pod uwagę taką możliwość, że David Chapman ma rację.

— Do kogo mam zadzwonić? Franklin zawahał się.

— Spróbuj zadzwonić do Helen Rodin — rzekł.

— Rodin?

— To córka prokuratora okręgowego.

— Nie znam jej.

— Ma biuro w centrum. Dopiero co wywiesiła szyld. Jest nowa i energiczna.

— Czy to etyczne?

— Zgodne z prawem.

— Ojciec i córka po przeciwnych stronach.

— Miał to być Chapman, a on zapewne zna Rodina znacznie lepiej niż jego córka. Długo jej tu nie było.

— A gdzie była?

— W college'u, na studiach, robiła aplikację w Waszyngtonie.

— Jest dobra?

— Sądzę, że będzie.

\*\*\*

Rosemary Barr zadzwoniła do biura Helen Rodin. Był to rodzaj testu. Ktoś nowy i energiczny powinien siedzieć w biurze w niedzielę.

Helen Rodin była w niedzielę w swoim biurze. Odebrała telefon, siedząc za biurkiem — używanym i dumnie sterującym w niemal pustym dwupokojowym apartamencie w wieżowcu z czarnego szkła, w którym na pierwszym piętrze mieściła się filia NBC. Pomieszczenia zostały wynajęte tanio dzięki jednej z dotacji dla małych firm, które rada miejska rozrzuciła niczym konfetti. Chciano ożywić tę wyremontowaną część miasta, a później odbić sobie wydatki wpływami z podatków.

Rosemary Barr nie musiała podawać Helen Rodin szczegółów sprawy, ponieważ to wszystko wydarzyło się pod oknami jej nowego biura. Helen Rodin widziała to na własne oczy, a reszty dowiedziała się, oglądając później wiadomości. Widziała wszystkie reportaże Ann Yanni. Rozpoznała w niej kobietę, którą spotykała w holu i windzie.

— Pomoże pani mojemu bratu? — zapytała Rosemary Barr.

Helen Rodin zastanowiła się. Rozsądek nakazywał odpowiedzieć: Nie ma mowy. Wiedziała o tym. Nie ma mowy, zapomnij o tym, chyba oszalałaś? Z dwóch powodów. Po pierwsze, zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później czeka ją nieuniknione starcie z ojcem, ale czy akurat jest to właściwy moment? Po drugie, wiedziała, że pierwsze sprawy tworzą reputację prawnika. Wybiera się pewną drogę, po której kroczy się dalej. Właściwie etykieta obrońcy, do którego można się zwrócić, kiedy wszystko inne zawiedzie, nie byłaby taka zła. Jednak ta sprawa, która wzburzyła całe miasto, mogła mieć katastrofalne skutki dla jej kariery zawodowej. Tej strzelaniny nie uważano za przestępstwo. Uznano ją za zbrodnię. Przeciw ludzkości, przeciw społeczeństwu, przeciw próbie modernizacji śródmieścia, przeciw wszystkim mieszkańcom stanu Indiana. Tak jakby to spokojne miasto zmieniło się w Los Angeles, Nowy Jork lub Baltimore i osoba usiłująca to wytłumaczyć lub usprawiedliwić popełniłaby fatalny błąd. Niczym piętno Kaina naznaczyłoby ją to na resztę życia.

— Czy możemy zażądać odszkodowania od aresztu śledczego? — zapytała Rosemary Barr. — Za to, że dopuścili do pobicia?

Helen Rodin znów się zawahała. Następnym dobrym powodem odmowy. Brak realizmu klienta.

— Może później — powiedziała. — Teraz nie wzbudziłibyśmy sympatii sędziego. Ponadto trudno wycenić procent utraty zdrowia, jeśli i tak czekała go kara śmierci.

— Zatem nie mogę pani dużo zapłacić — rzekła Rosemary Barr. — Nie mam pieniędzy.

Helen Rodin zastanowiła się po raz trzeci. Jeszcze jeden dobry powód do odmowy. Trochę za wcześnie, żeby podejmować się spraw *pro publico bono*.

Ale! Ale! Ale!

Oskarżony ma prawo do obrony. Tak głosi konstytucja. I jest niewinny, dopóki nie zostanie mu dowiedziona wina. A jeśli dowody były tak niezbite, jak twierdził jej ojciec, jej rola w tej sprawie byłaby marginalna. Po prostu sprawdziłaby materiał dowodowy. A potem doradziłaby oskarżonemu, żeby przyznał się do winy. Później tylko pilnowałaby jego tyłka, gdy ojciec przepuszczałby faceta przez tryby maszyny sprawiedliwości. To wszystko. Można by to uznać za rutynowe postępowanie. Zgodnie z konstytucją. Przynajmniej taką miała nadzieję.

— W porządku — powiedziała.

— On jest niewinny — dodała Rosemary Barr. — Jestem tego pewna.

Zawsze są pewni, pomyślała Helen Rodin.

— W porządku — powtórzyła.

Potem powiedziała swojej nowej klientce, żeby przyszła do jej biura jutro o siódmej rano. Był to rodzaj testu. Siostra, która naprawdę wierzy w niewinność brata, przyjdzie na spotkanie o tak wczesnej porze.

\*\*\*

Rosemary Barr zjawiała się punktualnie, o siódmej rano w poniedziałek. Franklin też tam był. Wierzył w Helen Rodin i postanowił zaczekać z wystawianiem rachunków, dopóki nie

upewni się, skąd wieje wiatr. Helen Rodin już od godziny siedziała za swoim biurkiem. W niedzielę po południu poinformowała Davida Chapmana, że przejmuje sprawę, i otrzymała od niego kasetę z jego pierwszego spotkania z Jamesem Barrem. Chapman z przyjemnością oddał jej tę sprawę i umył ręce. Helen przesłuchiwała taśmę tuzin razy wieczorem i tuzin razy w poniedziałek rano. Nikomu nie udało się wydobyć z Barra nic więcej. Może już nikomu się nie uda. Tak więc słuchała uważnie i wyciągnęła pierwsze wnioski.

— Posłuchajcie — powiedziała.

Kaseta była przewinięta i gotowa w starym magnetofonie wielkości pudełka do butów. Helen nacisnęła klawisz odtwarzania i wszyscy usłyszeli syk taśmy, oddechy oraz szuranie krzesel, a potem głos Davida Chapmana: Nie pomogę panu, jeśli pan sam nie chce sobie pomóc. Potem długa cisza, w której słychać było tylko syk taśmy, i głos Jamesa Barra: Mają niewłaściwego faceta. Mają niewłaściwego faceta, powtórzył. Helen spojrzała na licznik przesuwu taśmy i przewinęła ją do miejsca, gdzie Chapman mówi: Nie ma sensu zaprzeczać. Potem znowu głos Barra: Sprowadźcie mi Jacka Reachera. Helen znów przewinęła taśmę do pytania Chapmana: Czy Jack Reacher jest lekarzem? Na taśmie nie było już nic więcej, tylko łoskot uderzeń w drzwi pokoju przesłuchań.

— W porządku — powiedziała Helen. — Sądzę, że on naprawdę wierzy w to, że tego nie zrobił. Przynajmniej tak twierdzi, a potem denerwuje się i kończy rozmowę, kiedy Chapman nie bierze go poważnie. To jasne, no nie?

— On tego nie zrobił — oświadczyła z naciskiem Rosemary Barr.

— Wczoraj rozmawiałam z ojcem — powiedziała Helen Rodin. — Mają niezbite dowody, pani Barr. Obawiam się, że on jednak to zrobił. Musi pani pogodzić się z tym, że siostra może nie znać brata tak dobrze, jak jej się zdaje. Albo że mógł się zmienić, nawet jeśli tak dobrze go znała.

Zapadła długa cisza.

— Czy ojciec był z panią szczerzy, mówiąc o dowodach? — spytała Rosemary.

— Musiał — odparła Helen. — I tak się z nimi zapoznamy. To część procedury. Muszą być poparte pisemnymi zeznaniami, złożonymi pod przysięgą. Blef nie miałby sensu.

Nikt się nie odezwał.

— Mimo to możemy jeszcze pomóc pani bratu — przerwała milczenie Helen. — On wierzy, że tego nie zrobił. Po wysłuchaniu tej taśmy jestem tego pewna. Tak więc teraz ma urojenia. A przynajmniej miał je w sobotę. Zatem może w piątek też miał urojenia.

— W jaki sposób to może mu pomóc? — zapytała Rosemary Barr. — W ten sposób nadal przyznajemy, że to zrobił.

— Konsekwencje byłyby inne. Gdyby wyzdrowiał. Leczenie w szpitalu psychiatrycznym byłoby o wiele lepsze od pobytu w więzieniu o zaostrożonym rygorze.

— Chce pani, żeby uznano go za niepoczytalnego?

Helen kiwnęła głową.

— To nasza najlepsza linia obrony. I jeśli obierzemy ją już teraz, może zacząć go lepiej traktować jeszcze przed procesem.

— On może umrzeć. Tak powiedzieli lekarze. Nie chcę, żeby umarł jako przestępca. Chcę go oczyścić.

— Jeszcze nie został osądzony. Ani skazany. W oczach prawa nadal jest niewinny.

— To nie to samo.

— Nie — powiedziała Helen. — Chyba nie.

Znów zapadła długa cisza.

— Spotkajmy się tu znowu o dziesiątej trzydzieści — zaproponowała Helen. — Opracujemy strategię. Jeśli naszym celem ma być zmiana szpitala, powinniśmy zabrać się do tego jak najszybciej.

— Musimy znaleźć tego Jacka Reachera — powiedziała Rosemary Barr.

Helen skinęła głową.

— Podałam jego nazwisko Emersonowi i mojemu ojcu.

— Dlaczego?

— Ponieważ ludzie Emersona przetrząsnęli dom pani brata. Mogli znaleźć adres lub numer telefonu. A mój ojciec musi

o nim wiedzieć, ponieważ chcemy umieścić tego faceta na liście świadków obrony, a nie oskarżenia. On może nam pomóc.

—Może dostarczyć alibi.

—W najlepszym razie może być kumplem z wojska.

—Nie wiem jakim cudem — rzekł Franklin. — Różnica stopni i różne formacje.

—Musimy go odnaleźć — powtórzyła Rosemary Barr. — James prosił o to, prawda? To musi coś oznaczać.

Helen znów skinęła głową.

—Istotnie, chciałabym go odnaleźć. On mógłby coś dla nas mieć. Może jakąś istotną informację. A przynajmniej naprowadzić nas na coś, co moglibyśmy wykorzystać.

—Reacher jest nieuchwytny — powiedział Franklin.

\*\*\*

Tymczasem Reacher był o dwie godziny jazdy od nich, siedział w autobusie jadącym z Indianapolis. Podróż była długa, ale dość przyjemna. Sobotnią noc spędził w Nowym Orleanie, w motelu przy dworcu autobusowym. Niedzielną w Indianapolis. Więc wyspał się, najadł i wziął prysznic. Głównie jednak kołysał się, kiwał i drzemał w autobusach, oglądając widoki za oknem, obserwując amerykański chaos i ciesząc się wspomnieniem chwil spędzonych z Norweżką. Całe jego życie było właśnie takie. Mozaika wielu fragmentów. Szczegóły i konteksty blakły i zacierają się w pamięci, ale uczucia i doznania z czasem tworzyły gobelin dobrych i złych wspomnień. Nie wiedział jeszcze, jakim będzie Norweżka. W tym momencie myślał o niej jako o straconej okazji. Jednak i tak wkrótce by odpłynęła. Albo on by to zrobił. Interwencja CNN przyspieszyła to, ale może tylko odrobinę.

Autobus jechał pięćdziesiąt pięć mil na godzinę po drodze numer 37, zmierzając na południe. Zatrzymał się w Bloomington. Sześć osób wysiadło. Jakiś pasażer zostawił gazetę z Indianapolis. Reacher przejrzał wiadomości sportowe. Yankees wciąż prowadzili na wschodzie. Potem spojrzął na pierwszą Stronę i sprawdził wiadomości. Zobaczył nagłówek: Podejrzany



pobity w areszcie śledczym. Przeczytał pierwsze trzy zdania: Urazy czaszki. Śpiączka. Niepewne rokowania. Dziennikarz zdawał się nie wiedzieć, czy potępiać departament więziennictwa stanu Indiana za bezprawie w więzieniach, czy chwalić napastników za to, że spełnili swój obywatelski obowiązek.

To może wszystko skomplikować, pomyślał Reacher.

Następne akapity przynosiły streszczenie wydarzeń, ich szersze tło oraz nowe fakty. Reacher uważnie przeczytał cały artykuł. Siostra Barra wyprowadziła się z domu brata kilka miesięcy wcześniej. Dziennikarz najwidoczniej uważał, że to było przyczyną lub skutkiem zaburzeń umysłowych Barra. Albo jednym i drugim.

Autobus wyjechał z Bloomington. Reacher złożył gazetę, oparł głowę o szybę i obserwował drogę. Ta była czarną wstęgą, mokrą od niedawnego deszczu, i rozwijała się przed nim ze środkową linią migającą niczym depesza nadana alfabetem Morse'a. Reacher nie wiedział, co głosiła. Nie mógł jej odczytać.

\*\*\*

Autobus zajechał na kryty dworzec i Reacher wyszedł na światło dnia, po czym stwierdził, że znajduje się pięć przecznic na zachód od miejsca, gdzie estakada autostrady skręcała za stary budynek z kamienia. Wapień z Indiany, zgadł Reacher. Żadna imitacja. To z pewnością budynek banku, sądu albo biblioteki, pomyślał. Dalej wznosił się wieżowiec z czarnego szkła. Powietrze było rześkie. Chłodniejsze niż w Miami, ale znajdował się dostatecznie daleko na południu, żeby zima była jeszcze odległą przyszłością. Nie będzie musiał kupować nowych ubrań ze względu na pogodę. Miał na sobie białe sportowe spodnie i żółtą płócienną koszulę. Obie części garderoby nosił od trzech dni. Spodziewał się, że ponosi je jeszcze dzień. Potem kupi sobie nowe, tanie. Na nogach miał brązowe tenisówki. Nie nosił skarpetek. Był ubrany jak na pokład i pomyślał, że musi trochę dziwnie wyglądać w tym mieście.

Spojrzał na zegarek. Dziewięć dwadzieścia. Stojąc na chodniku w oparach spalin, przeciągnął się i rozejrzał wokół.

Ta miejscowość była jednym z tych prowincjonalnych miasteczek, które nie są ani duże, ani małe, ani nowe, ani stare. Nie rozkwiatało i nie podupadało. Zapewne miało swoją historię. Prawdopodobnie związaną z handlem zbożem i soją. Może tytoniem. Albo bydłem. Zapewne była tu rzeka lub linia kolejowa. Może jakiś przemysł. Nieduże centrum. Widział je przed sobą, na wschód od miejsca, gdzie stał. Wyższe budynki, jedno z kamienia, inne z cegły, jeszcze inne z desek. Odgadł, że wieżowiec z czarnego szkła to miejscowy okręt flagowy. Nie mogli postawić go gdzie indziej jak w centrum miasta.

Poszedł w tym kierunku. Wszędzie trwały roboty drogowe. Naprawy, remonty, wykopy, sterty żwiru, świeży beton, wolno jadące ciężarówki. Przeszedł przez jezdnię przed jedną z nich, skręcił w boczną uliczkę i dotarł do północnej ściany niedokończonej części parkingu. Przypomniawszy sobie gorączkowe raporty Ann Yanni i spojrzawszy w górę, a potem na drugą stronę, na plac. Zobaczył pusty zbiornik fontanny, której kurek smutnie sterczał na samym środku. Wąskie przejście oddzielało krawędź zbiornika od niskiego murku. Przejście było udekorowane jak prowizoryczny cmentarz. Wiązki kwiatów z łądogami owiniętymi aluminiową folią. Zdjęcia w plastikowych ramkach, pluszowe maskotki i świeczki. Na chodniku leżała warstewka pyłu, pozostałego po zmiecionym piasku. Reacher domyślił się, że piasku użyto do usuwania krwi. W wozach strażackich zawsze są skrzynki z piaskiem, używanym w miejscach wypadków i zbrodni. I łopaty z nierdzewnej stali, do zbierania szczątków ciał. Znów zerknął na piętrowy parking. Niecałe trzydzieści pięć jardów, pomyślał. Bardzo blisko.

Stał spokojnie. Na placu było cicho. Całe miasto było ciche. Odretwiało jak kończyzna, na którą spadł druzgoczący cios. Ten plac był epicentrum. To tutaj spadł cios. Plac był jak czarna dziura emocji stłoczonych zbyt mocno, by mogły uciec.

Reacher poszedł dalej. Stary budynek z wapienia był biblioteką. To dobrze, pomyślał Reacher. Bibliotekarze to mili ludzie. Mówią ci różne rzeczy, kiedy ich zapytasz. Zapytał o biuro prokuratora okręgowego. Smutna i cicha kobieta w recepcji wyjaśniła, gdzie ma szukać. Nie musiał iść daleko. To nie było

wielkie miasto. Poszedł na wschód, mijając nowy biurowiec z sztyldami wydziału komunikacji i wojskowego biura werbunkowego. Dalej ciągnął się kwartał rozmaitych sklepów, a za nim stał nowy budynek sądu, o zwykłym płaskim dachu, wybudowany według gotowego projektu i ozdobiony jedynie mahoniowymi drzwiami oraz oknami z frezowanego szkła. Równie dobrze mógłby być kościołem zbudowanym przez wiernych jakiegoś dziwnego wyznania, hojnych, lecz pozbawionych gustu.

Nie skorzystał z głównego wejścia. Zaczął okrążać budynek, aż dotarł do bocznego skrzydła. Znalazł drzwi z napisem PROKURATOR OKRĘGOWY. Poniżej na oddzielnej mosiężnej tabliczce zobaczył nazwisko Rodin. Stanowisko obsadzone w wyniku wyborów, pomyślał. Używają osobnych tabliczek, żeby było taniej zmieniać je co kilka lat. Przed nazwiskiem Rodin widniały litery A.A. Facet miał też stopień naukowy.

Reacher wszedł i porozmawiał z recepcjonistką. Poprosił o spotkanie z samym A.A. Rodinem.

— W jakiej sprawie? — zapytała uprzejmie recepcjonistka.

Była w średnim wieku, zadbana, dobrze wychowana, w czystej białej bluzeczce. Wyglądała tak, jakby przez całe życie pracowała za biurkiem. Zaprawiona w bojach przedstawicielka biurokracji. Mimo to przygnębiona. Wyglądała tak, jakby dźwigała na ramionach wszystkie problemy miasteczka.

— W sprawie Jamesa Barra — powiedział Reacher.

— Jest pan reporterem? — spytała recepcjonistka.

— Nie — odparł Reacher.

— Czy mogę powiadomić biuro pana Rodina, jaki jest pański związek z tą sprawą?

— Znałem Jamesa Barra w wojsku.

— To musiało być dawno temu.

— Bardzo dawno — potwierdził Reacher.

— Czy wolno mi spytać, jak się pan nazywa?

— Jack Reacher.

Recepcjonistka połączyła się i porozmawiała chwilę. Reacher odgadł, że z sekretarką, ponieważ mówiła o nim i o Rodinie w trzeciej osobie, jak o jakichś abstrakcjach. Czy on może

zobaczyć się z panem Reacherem w związku ze sprawą? Nie „sprawą Barra”. Po prostu „sprawą”.

Rozmowa trwała chwilę. Potem recepcjonistka zakryła mikrofon, przyciskając słuchawkę do bluzki, poniżej obojczyka, nad lewą piersią.

— Ma pan jakieś informacje? — zapytała.

Sekretarka na górze pewnie słyszy bicie twojego serca. pomyślał Reacher.

— Tak — potwierdził.

— Z wojska? — upewniła się.

Reacher skinął głową. Recepcjonistka znów przyłożyła słuchawkę do ucha i kontynuowała rozmowę. Ta trwała długo. Pan A.A. Rodin miał dwie bardzo sprawne strażniczki. To było jasne. Nie dało się przejść przez ten kordon, nie mając pilnego i istotnego powodu. To oczywiste. Reacher spojrział na zegarek. Dziewiąta czterdzieści. Jednak w tych okolicznościach nie było pośpiechu. Barr leżał w śpiączce. Może być jutro. Albo pojutrze. Albo dotrzeć do Rodina przez tego policjanta, jeśli zajdzie potrzeba. Jak on się nazywał? Emerson?

Recepcjonistka odłożyła słuchawkę.

— Proszę wjechać na górę, proszę pana — powiedziała. — Gabinet pana Rodina jest na drugim piętrze.

Dostałem zaszczytu, pomyślał Reacher. Recepcjonistka napisała jego nazwisko na przepustce i wsunęła do plastikowej osłonki. Przypiął ją do koszuli i skierował się do windy. Wjechał nią na drugie piętro. Korytarz był tam niski i oświetlony jarzeniówkami. Zobaczył troje zamkniętych drzwi z laminatu i jedno z politurowanego drewna. Te były otwarte. Za nimi znalazł sekretarkę siedzącą za biurkiem. Druga strażniczka. Ta była młodsza od damulki z dołu, ale zapewne starsza rangą.

— Pan Reacher? — zapytała.

Skinął głową, a ona wyszła zza biurka i poprowadziła go w głąb korytarza. Na trzecich przeszklonych drzwiach była tabliczka z napisem A.A. Rodin.

— Co oznaczają te A.A.? — zapytał Reacher.

— Jestem pewna, że pan Rodin wyjaśni to panu, jeśli będzie chciał — odparła sekretarka.

Zapukała do drzwi i Reacher usłyszał wypowiedziane barytonem „proszę”. Otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, przepuszczając Reachera.

—Dziękuję — powiedział.

—Bardzo proszę — odparła.

Reacher wszedł. Rodin już podniósł się zza biurka, gotowy przywitać gościa, tryskając rutynową uprzejmością. Reacher rozpoznał go z telewizji. Facet miał około pięćdziesiątki, był dość szczupły, w miarę wysportowany, o krótko ściętych siwych włosach. W telewizji wyglądał na wyższego. Miał na sobie letni, granatowy garnitur, niebieską koszulę i krawat. Oczywiście też miał niebieskie. Niewątpliwie niebieski był jego ulubionym kolorem. Był nienagannie ogolony i pachnący. Bardzo wymuskany. W przeciwieństwie do mnie, pomyślał Reacher. Byli krańcowo różni. Przy Rodinie Reacher wyglądał jak niechlujny olbrzym. Był od prokuratora o sześć cali wyższy i o pięćdziesiąt funtów cięższy. Włosy miał dwa cale dłuższe, a ubranie o dwa tysiące dolarów tańsze.

—Pan Reacher? — zapytał Rodin.

Reacher skinął głową. Gabinet był typowym rządowym biurem, ale schludnym, chłodnym i cichym. Z okna nie rozciągał się żaden atrakcyjny widok. Tylko płaskie dachy supermarketów i wydziału komunikacji, z widoczną płataniną rynien. W oddali widać było wieżowiec z czarnego szkła. I zamglone słońce. Za biurkiem, na ścianie prostopadłej do okna wisiały dyplomy i zdjęcia Rodina z różnymi politykami. A także oprawione w ramki pierwsze strony gazet, z nagłówkami ogłaszającymi wyroki skazujące w siedmiu różnych sprawach. Na przeciwległej wisiała fotografia blondynki w birecie, tożde i z rulonem dyplomu w ręku. Dziewczyna była śliczna. Reacher spoglądał na zdjęcie odrobinę za długo.

—To moja córka — wyjaśnił Rodin. — Ona też jest prawnikiem.

—Naprawdę? — rzekł Reacher.

—Właśnie otworzyła praktykę.

Z tonu jego głosu niczego nie dało się wyczytać. Reacher nie był pewien, czy facet jest dumny, czy rozczarowany.

— Zdaje się, że wkrótce ją pan pozna — rzekł Rodin.  
— Czyżby? — rzekł Reacher. — Dlaczego?  
— Broni Jamesa Barra.  
— Pańska córka? Czy to etyczne?  
— Prawo tego nie zabrania. Może nie jest to rozsądne, ale nie nielegalne.

Z naciskiem wymówił słowo „rozsądne”, co mogło oznaczać różne rzeczy. Nierozsądnie bronić z góry przegranej sprawy, nierozsądnie nie iść w ślady takiego ojca jak on, w ogóle nierozsądnie jest stawać przeciwko A.A. Rodinowi. Sprawia! wrażenie faceta, który bardzo lubi wygrywać.

— Umieściła pańskie nazwisko na tymczasowej liście świadków — powiedział.

— Dlaczego?

— Myśli, że ma pan jakieś informacje.

— Skąd zdobyła moje nazwisko?

— Nie wiem.

— Wyciągnęła je z Pentagonu?

Rodin wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien. Jednak skądś je ma. Szukali pana.

— Dlatego zostałem przyjęty?

Rodin skinął głową.

— Tak, dlatego — powiedział. — Właśnie dlatego. Zwykle nie przyjmuję niezapowiedzianych wizyt.

— Pański personel zdaje się popierać tę politykę.

— Taką mam nadzieję — rzekł Rodin. — Proszę usiąść.

Reacher usiadł w fotelu dla gości, a Rodin za swoim biurkiem. Okno znajdowało się po lewej ręce Reachera, a po prawej Rodina. Żadnemu z nich słońce nie świeciło w oczy. Całkiem sympatyczny sposób ustawienia mebli. Inny od tego, jaki Reacher widywał w biurach niektórych znanych mu prokuratorów.

— Kawy? — zapytał Rodin.

— Poproszę — odparł Reacher.

Rodin podniósł słuchawkę i poprosił o kawę.

— Naturalnie interesuje mnie to, dlaczego najpierw przy szedł pan do mnie — powiedział. — Do oskarżyciela, a nie do obrońcy.

— Chciałem poznać pańskie zdanie.

— Na jaki temat?

— Jak mocne są dowody w sprawie Jamesa Barra.

Rodin nie odpowiedział od razu. Zapadła chwila ciszy, którą przerwało pukanie do drzwi, a potem wejście sekretarki z kawą. Niosła ją na srebrnej tacy, z całym arsenałem: zaparzaczką, dwiema filiżankami, dwoma spodkami, cukiernicą, dzbanuszkim ze śmietanką, dwiema srebrnymi łyżeczkami. Filiżanki były z chińskiej porcelany. Te nie są z przydziału, pomyślał Reacher. Rodin lubi dobrze podaną kawę. Sekretarka postawiła tacę na brzegu biurka, tak że znajdowała się dokładnie w połowie drogi między fotelami szefa i gościa.

— Dziękuję — powiedział Reacher.

— Bardzo proszę — odparła i opuściła pokój.

— Proszę się częstować — zachęcił Rodin. — Proszę. Reacher nacisnął tłok zaparzaczkę i napełnił swoją filiżankę.

Nie skorzystał ze śmietanki i cukru. Kawa była aromatyczna i mocna. Dobrze zaparzona.

— Dowody przeciwko Jamesowi Barrowi są nadzwyczaj mocne — oznajmił Rodin.

— Zeznania naocznych świadków? — spytał Reacher.

— Nie — odparł Rodin. — Zeznania naocznych świadków mogą mieć różną wartość. Prawie się cieszę, że nie mamy żadnych świadków. Ponieważ zamiast nich mamy niezbite dowody rzeczowe. A nauka nie kłamie. Nie płacze się w zeznaniach.

— Nadzwyczaj? — dociekał Reacher.

— Kompletny łańcuch mocnych dowodów, łączących tego człowieka ze zbrodnią.

— Jak mocnych?

— Tak mocnych, jak to tylko możliwe. Najlepszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Jestem całkowicie pewien zwycięstwa.

— Słyszałem już takie słowa z ust oskarżycieli.

— Nie z moich, panie Reacher. Jestem bardzo ostrożnym człowiekiem. Nie oskarżam w sprawach o morderstwo pierwszego stopnia, jeśli nie jestem pewien sukcesu.

- Z jakim wynikiem?  
Rodin wskazał na ścianę za sobą.  
—Siedem na siedem — rzekł. — Sto procent.  
—W jakim czasie?  
—Trzech lat. James Barr będzie ósmą sprawą na osiem.  
Jeśli się obudzi.  
—A jeśli obudzi się niepełnosprawny?  
—Jeżeli tylko jego mózg znów zacznie funkcjonować, stanie przed sądem. Tego, co zrobił, nie można wybaczyć.  
—W porządku — powiedział Reacher.  
—Co w porządku?  
—Powiedział mi pan to, co chciałem wiedzieć.  
—Mówił pan, że ma jakieś informacje. Z wojska.  
—Teraz zatrzymam je dla siebie.  
—Był pan żandarmem, mam rację?  
—Trzyście lat — rzekł Reacher.  
—I znał pan Jamesa Barra?  
—Przelotnie.  
—Niech mi pan o nim opowie.  
—Nie teraz.  
—Panie Reacher, jeśli ma pan jakieś istotne informacje lub w ogóle cokolwiek do dodania, musi mi pan to wyjawić.  
—Naprawdę?  
—I tak je poznam. Od mojej córki. Będzie starała się pójść na ugodę.  
—Co oznaczają te A.A.?  
—Słucham?  
—Pańskie inicjały.  
—Aleksiej Aleksiejewicz. Moja rodzina przybyła tu z Rosji.  
Dawno temu. Przed rewolucją październikową.  
—Jednak zachowała rodzinne tradycje.  
—Jak pan widzi.  
—Jak pana nazywają?  
—Alex, oczywiście. Reacher wstał.  
—No cóż, dziękuję za poświęcony mi czas, Alex. I za kawę.  
—Wybiera się pan teraz do mojej córki?



— A czy to ma jakiś sens? Wydaje się pan pewny swego. Rodin uśmiechnął się pobłaźliwie.

— To kwestia procedury — rzekł. — Jestem urzędnikiem sądowym, a pan znajduje się na liście świadków. Przepisy nakazują mi przypomnieć, że ma pan taki obowiązek. Inne postępowanie byłoby nieetyczne.

— Gdzie ją znajdę?

— W tym szklanym wieżowcu, który widzi pan za oknem.

— W porządku. Chyba wpadnę tam na chwilę.

— Nadal potrzebuję pańskich informacji — powiedział Rodin.

Reacher przecząco pokręcił głową.

— Nie. — Wcale nie.

\*\*\*

Oddał przepustkę kobiecie w recepcji i wrócił na plac. Stał w zimnym słońcu i powoli okręcił się w miejscu, przyglądając się wszystkiemu wokół. Każde miasto jest takie samo i zarazem inne. Wszystkie mają jakąś barwę. Niektóre są szare. To było brązowe. Reacher odgadł, że cegły robiono z miejscowej gliny i dlatego miały barwę fasad starych farm. Nawet kamień miał brązowe plamki, jakby zawierał drobiny żelaza. Tu i tam widać było ciemnoczerwone akcenty, jak na ścianach starych stodół. Miłe miejsce, może nietętniące życiem, ale i niezamierające. Otrząśnie się po tej tragedii. Tchnęło postępem, optymizmem i energią. Dowodziły tego liczne nowe budynki. Wszędzie widać było place budów i świeżo wylany beton. Mnóstwo nowych projektów, wiele remontów. Mnóstwo nadziei.

Dobudowana część parkingu wieńczyła północny kraniec ciągu handlowego. Sugerowała dalszą ekspansję. Znajdowała się na południe i nieco na zachód od ostrzelanego placu. Bardzo blisko. Bezpośrednio na zachód i chyba dwukrotnie dalej biegła estakada autostrady. Wznosiła się łagodnym łukiem na odcinku około trzydziestu jardów, po czym skręcała za budynkiem biblioteki. Później znów wiodła prosto, przechodząc za wieżowcem z czarnego szkła. Ten stał na północ od placu. Niedaleko

wejścia było logo NBC na postumencie z czarnego granitu. Miejsce pracy Ann Yanni, domyślił się Reacher, a także córki Rodina. Po wschodniej stronie placu wznosił się budynek mieszczący wydział komunikacji i biuro werbunkowe. To stamtąd pochodziły ofiary. Wyszły tamtymi drzwiami. Jak powiedziała Ann Yanni? Po długim tygodniu pracy? Spieszyli ku zachodniej stronie placu, do zaparkowanych samochodów lub na przystanek autobusowy, a znaleźli się w polu ostrzału. W wąskim przejściu musieli poruszać się wolno i pojedynczo. Jak kaczki na strzelnicy.

Reacher przeszedł wzdłuż brzegu pustej fontanny do obrotowych drzwi na parterze wieżowca. Wszedł i poszukał w holu tablicy informacyjnej. Znalazł oszkloną, na czarnym tle widniały wytłoczone białe napisy. Filia NBC mieściła się na pierwszym piętrze. Niektóre biura były wolne i Reacher odgadł, że pozostałe zmieniały najemców tak szybko, że nie warto było zamieszczać ich nazw. Na trzecim piętrze mieściło się „Biuro prawnicze Helen Rodin”. Litera napisu były trochę krzywe i nierówno rozmieszczone. Nie jest to Rockefeller Center, pomyślał Reacher.

Zaczekał przed windą w dwuosobowej kolejce, złożonej z niego i ślicznej blondynki. Popatrzył na nią, a ona na niego. Wysiadła na drugim i dopiero wtedy uświadomił sobie, że to była Ann Yanni. Rozpoznał ją z wiadomości. Potem doszedł do wniosku, że jeśli tylko spotka się z Emersonem z miejscowej policji, ta sprawa znów znajdzie się w centrum uwagi mediów.

Znalazł biuro Helen Rodin. Było od frontu. Czyli jego okna wychodziły na plac. Zapukał. Usłyszał stłumione zaproszenie i wszedł. Zobaczył pusty sekretariat i biurko. Za biurkiem nikogo nie ujrzał. Było używane, ale nie ostatnio. Jeszcze nie ma sekretarki, pomyślał. Dopiero zaczęła.

Zapukał do następnych drzwi. Znowu usłyszał ten sam głos. Wszedł i zastał Helen Rodin za drugim używanym biurkiem. Rozpoznał ją ze zdjęcia w gabinecie jej ojca. W rzeczywistości była jeszcze ładniejsza. Zapewne najwyżej trzydziestoletnia, dość wysoka i zgrabna. Szczupła, ale wysportowana. Nie anorektyczka. Biegała, grała w piłkę albo miała bardzo dobrą

przemianę materii. Długie jasne włosy i niebieskie oczy zapewne odziedziczyła po ojcu. Skrzyły się inteligencją. Była ubrana na czarno, w spodnie i żakiet, pod którym miała mocno opięty elastyczny top. Lycra, pomyślał Reacher. Nie ma nic lepszego.

— Cześć — powiedziała.

— Jestem Jack Reacher — przedstawił się.

Wytrzeszczyła oczy.

— Żartuje pan. Naprawdę?

Kiwnął głową.

— Zawsze byłem i zawsze będę.

— Niewiarygodne.

— Niezupełnie. Każdy jakoś się nazywa.

— Chciałam zapytać, skąd pan wiedział, że powinien tu przyjść! Nie mogliśmy pana znaleźć.

— Usłyszałam to w wiadomościach. Ann Yanni, w sobotę rano.

— Cóż, dzięki Bogu za telewizję — powiedziała. — I za to, że jest pan tutaj.

— Byłem w Miami — rzekł. — Z tancerką.

— Z tancerką?

— Norweżką — poinformował ją.

Podszedł do okna i wyjrzał. Biuro mieściło się na trzecim piętrze i główna ulica odchodziła od budynku na południe, w dół zbocza, co jeszcze zwiększało wysokość. Dłuższy bok zbiornika fontanny biegł dokładnie wzdłuż ulicy. Właściwie fontanna znajdowała się na ulicy, lecz tę zagrodzono murkiem, tworząc plac. Ktoś wracający tu po długiej nieobecności zdziwiłby się na widok wielkiego zbiornika z wodą w miejscu, gdzie kiedyś biegła ulica. Fontanna była o wiele dłuższa i węższa, niż wydawała się z dołu. Wyglądała smutnie i pusto, z cienką warstwą szlamu na czarnych kafelkach. Za nią i nieco na prawo wznosiła się nowa część piętrowego parkingu. Trochę niżej niż plac. Może pół piętra różnicy.

— Była tu pani, kiedy to się stało? — zapytał Reacher.

— Tak — odpowiedziała spokojnie Helen Rodin.

— Widziała to pani?

— Nie od razu. Usłyszałam trzy pierwsze strzały. Padły

prawie jednocześnie. Pierwszy, króciutka przerwa, a potem dwa następne. Potem znów przerwa, nieco dłuższa, ale trwająca ułamek sekundy. Zerwałam się z krzesła, zanim padły następne trzy. Straszne.

Reacher skinął głową. Odważna dziewczyna, pomyślał. Słyszy strzały i zrywa się. Nie chowa się pod biurkiem. Potem pomyślał: Pierwszy strzał i króciutka przerwa. Doświadczony strzelec sprawdzający, gdzie trafił jego pierwszy strzał. Tyle czynników. Zimna lufa, odległość, wiatr, kąt strzału, widoczność.

— Widziała pani śmierć ofiar? — zapytał.

— Dwóch — powiedziała za jego plecami. — To było okropne.

— Trzy strzały i dwie ofiary?

— Jeden strzał chybił. Czwarty lub piąty, nie jestem pewna. Znaleźli kulę w fontannie. To dlatego jest pusta. Osuszili ją.

Reacher nic nie powiedział.

— Ta kula jest jednym z dowodów — kontynuowała Helen. — Wiąże karabin ze zbrodnią.

— Znała pani kogoś z zabitych ludzi?

— Nie. Sądzę, że to były przypadkowe osoby. Ludzie, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Reacher słuchał.

— Widziałam ogień z lufy — powiedziała Helen. — O tam, w tym budynku, w mroku. Czerwone płomyki.

— Błyski strzałów — mruknął Reacher.

Odwrócił się plecami do okna. Ona wyciągnęła rękę.

— Jestem Helen Rodin — powiedziała. — Przepraszam, powinnam wcześniej się przedstawić.

Reacher ujął jej dłoń. Była ciepła i silna.

— Po prostu Helen? — zapytał. — Nie Helena Aleksiejewna czy jakoś tak?

Znów wytrzeszczyła oczy.

— Skąd, do licha, pan to wie?

— Poznałem pani ojca — odparł i puścił jej dłoń.

— Naprawdę? Gdzie?

— W jego biurze, przed chwilą.

— Był pan w jego biurze? Dzisiaj?  
— Właśnie stamtąd wracam.  
— Dlaczego poszedł pan do jego biura? Jest pan moim świadkiem. Nie powinien z panem rozmawiać.  
— Bardzo chciał ze mną pogadać.  
— Co mu pan powiedział?  
— Nic. Natomiast zadałem mu kilka pytań.  
— Jakich pytań?  
— Chciałem wiedzieć, jak mocne ma dowody obciążające Jamesa Barra.  
— Ja reprezentuję Jamesa Barra. A pan jest świadkiem obrony. Powinien pan porozmawiać ze mną, nie z nim.  
Reacher nic nie odpowiedział.  
— Niestety, dowody obciążające Jamesa Barra są bardzo mocne — powiedziała.  
— Skąd wzięliście moje nazwisko? — zapytał Reacher.  
— Od Jamesa Barra, oczywiście — odparła. — Od kogoż by innego?  
— Od Barra? Nie wierzę.  
— Niech pan posłucha.  
Wróciła do biurka i nacisnęła klawisz starego magnetofonu kasetowego. Reacher usłyszał nieznanego głosu, mówiącego: Nie ma sensu zaprzeczać. Helen wcisnęła klawisz pauzy i przytrzymała.  
— To jego pierwszy adwokat — wyjaśniła. — Wczoraj przejęłam sprawę.  
— Jak to? Przecież wczoraj był w śpiączce.  
— Formalnie moją klientką jest siostra Jamesa Barra. Jego najbliższa krewna.  
Potem puściła klawisz i Reacher usłyszał szmery, syk takiego głosu, którego nie słyszał od czternastu lat. Głos był dokładnie taki, jaki zapamiętał. Niski, spięty, chrapliwy. Głos człowieka, który rzadko się odzywa. Powiedział: „Sprowadźcie mi Jacka Reachera”.  
Stał zaskoczony.  
Helen Rodin wcisnęła klawisz „Stop”.  
— Widzi pan?

Potem spojrzała na zegarek.

— Dziesiąta trzydzieści — powiedziała. — Niech pan zostanie i weźmie udział w naradzie.

\*\*\*

Zaprezentowała go jak magik na estradzie. Niczym królika wyjętego z cylindra. Najpierw facetowi, w którym Reacher natychmiast rozpoznał byłego policjanta. Przedstawiła go jako Franklina, prywatnego detektywa pracującego na zlecenie biur prawniczych. Uścisnęli sobie dłonie.

— Trudno pana znaleźć — rzekł Franklin.

— Poprawka — odparł Reacher. — Mnie nie można znaleźć.

— Zechce mi pan powiedzieć dlaczego? — W oczach Franklina natychmiast pojawił się czujny błysk. Typowe wątpliwości policjanta: Jak dalece wiarygodnym świadkiem może być ten facet? Kim on jest? Oszustem? Zbiegiem? Czy może złożyć zeznanie pod przysięgą?

— To takie hobby — wyjaśnił Reacher. — Sposób na życie.

— Jest pan cool?

— Jak lodowisko.

Potem przyszła kobieta ubrana jak urzędniczka. Była prawdopodobnie dobrze po trzydziestce, przygnębiona i niewyspana. Pomimo to całkiem atrakcyjna. Wyglądała na miłą i porządną osobę. Nawet ładną. Jednak nie ulegało wątpliwości, że była siostrą Jamesa Barra. Reacher domyślił się tego, zanim jeszcze zostali sobie przedstawieni. Miała taką samą karnację, a jej twarz, choć kobieca i bardziej zaokrąglona, była jednak bliźniaczo podobna do twarzy brata starszego od niej o czternaście lat.

— Jestem Rosemary Barr — powiedziała. — Tak się cieszę, że pan nas znalazł. To zrządzenie opatrności. Teraz czuję, że mamy jakieś szanse.

Reacher tego nie skomentował.

W biurze Helen Rodin nie było sali konferencyjnej. Reacher pomyślał, że może dorobi się jej z czasem. Może. Jeśli osiągnie sukces. Tak więc wszyscy czworo stłoczyli się w jej gabinecie. Helen usiadła za biurkiem. Franklin na rogu biurka. Reacher

na parapecie. Rosemary Barr nerwowo przechadzała się po pokoju. Gdyby był tam dywan, wytarłaby w nim dziury.

—No dobrze — powiedziała Helen. — Strategia obrony. W najgorszym razie oprzemy ją na niepoczytalności oskarżonego. Jednak chcemy osiągnąć coś więcej. Ile, to zależy od wielu czynników. W związku z tym jestem pewna, że wszyscy chcemy usłyszeć, co ma do powiedzenia pan Reacher.

—Raczej nie — powiedział Reacher.

—Co raczej nie?

—Raczej nie chcecie usłyszeć tego, co mam do powiedzenia.

—Dlaczego?

—Ponieważ wychodzicie z błędnego założenia.

—Jakiego?

—Jak pani sądzi, dlaczego najpierw poszedłem zobaczyć się z pani ojcem?

—Nie wiem.

—Ponieważ nie przyjechałem tu pomoc Jamesowi Barrowi. Wszystkich замуrowało.

—Przyjechałem tu, żeby go pogrążyć. Wytrzeszczyli oczy.

—Ale dlaczego? — zapytała Rosemary Barr.

—Ponieważ już kiedyś to zrobił. I tamten jeden raz wystarczy.

# 3

Reacher podszedł do okna i oparł się ramieniem o futrynę, stając tak, żeby móc patrzeć na plac. I nie widzieć swoich słuchaczy.

— Czy tę rozmowę obejmuje tajemnica zawodowa?

— Tak — odpowiedziała Helen Rodin. — Obejmuje. To narada nad strategią obrony. Tego, co tu mówimy, nie można powtarzać.

— Czy wysłuchiwanie złych wieści nie narusza etyki prawniczej?

Zapadła długa cisza.

— Zamierza pan być świadkiem oskarżenia? — zapytała Helen Rodin.

— Nie sądzę, żebym musiał w tych okolicznościach. Jednak będę w razie potrzeby.

— W takim razie i tak usłyszelibyśmy te złe wieści. Przed procesem zażądamy od pana zaprzysiężonego zeznania. Aby uniknąć kolejnych niespodzianek.

Znów zamilkli.

— James Barr był strzelcem wyborowym — powiedział Reacher. — Nie najlepszym, jakiego miała armia, ale i nie najgorszym. Po prostu dobrym, kompetentnym snajperem. Przeciętym pod każdym względem.

Zamilkł, odwrócił głowę i spojrzał na lewą stronę placu. Na tandetny nowy budynek i mieszczące się w nim biuro werbunkowe. Wojsk lądowych, marynarki i lotnictwa.



—Do wojska zaciągają się cztery kategorie ludzi — rzekł. — Dla jednych, tak jak dla mnie, to rodzinna tradycja. Inni są patriotami chcącymi służyć ojczyźnie. Jeszcze inni po prostu potrzebują pracy. I są jeszcze ludzie, którzy chcą zabijać innych ludzi. Wojsko to jedyne miejsce, gdzie można to robić legalnie. James Barr należał do tej czwartej kategorii. W głębi duszy uważał, że fajnie byłoby zabijać.

Rosemary Barr odwróciła głowę. Nikt się nie odezwał.

— Jednak nigdy nie miał okazji — ciągnął Reacher. — Jako żandarm byłem bardzo dociekliwy i dowiedziałem się o nim wszystkiego. Przystudiowałem jego życiorys. Szkolił się pięć lat. Sprawdziłem historię jego służby. Czasem wystrzeliwał dwa tysiące pocisków na tydzień. Wszystkie do papierowych tarcz lub sylwetek. Wylczyłem, że w trakcie służby oddał prawie ćwierć miliona strzałów i ani jednego do nieprzyjaciela. Nie pojechał do Panamy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. Wtedy mieliśmy bardzo liczną armię, a potrzebowaliśmy tylko kilku oddziałów, więc większość chłopców ominęła zabawa. To go gryzło. Potem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym zaczęła się Pustynna Tarcza. Pojechał do Arabii Saudyjskiej. Jednak nie załapał się na Pustynną Burzę w dziewięćdziesiątym pierwszym. Tę operację prowadził głównie wojska pancerne. James Barr tkwił w Arabii Saudyjskiej, czyszcząc karabin z piasku i oddając dwa tysiące strzałów tygodniowo na strzelnicy. A kiedy skończyła się Pustynna Burza, wysłali go do Kuwejtu, gdzie trzeba było zaprowadzić porządek.

— I co się tam stało? — zapytała Rosemary Barr.

— Załamał się — odparł Reacher. — Oto co się stało. Związek Radziecki się rozpadł. Irak podkulił ogon pod siebie. James Barr spojrział w przyszłość i zrozumiał, że wojna się skończyła. Szkolił się prawie sześć lat, a nie oddał i nigdy nie miał oddać ani jednego strzału do wroga. Znaczną częścią szkolenia snajpera są ćwiczenia wyobraźni. W myślach bierze na cel rdzeń przedłużony, miejsce, gdzie rdzeń kręgowy rozszerza się przy podstawie czaszki. Wypuszcza powietrze z płuc i naciska spust. Czeka ułamek sekundy, gdy kula leci do celu.

I widzi obłoczek różowej mgiełki, tryskający z głowy. Wyobrażał to sobie. Wiele razy. Jednak nigdy tego nie widział. Ani razu. Nigdy nie widział tej różowej mgiełki. A naprawdę chciał. W pokoju zapadła cisza.

— Tak więc pewnego dnia poszedł sam — podjął opowieść Reacher — do centrum Kuwejtu. Wybrał stanowisko i czekał. Potem otworzył ogień i zabił cztery osoby wychodzące z bloku mieszkalnego.

Helen Rodin patrzyła na niego oniemiała.

— Strzelał z piętrowego parkingu — rzekł Reacher. — Z pierwszego piętra. Dokładnie naprzeciwko drzwi bloku. Przypadkowymi ofiarami byli amerykańscy podoficerowie. Byli na tygodniowych przepustkach i po cywilnemu.

Rosemary Barr kręciła głową.

— To nie może być prawda — powiedziała. — Po prostu nie może. On by tego nie zrobił. A gdyby nawet, to przecież poszedłby do więzienia. Tymczasem zwolniono go z honorami. Zaraz po wojnie w Zatoce. I dostał medal. Tak więc to nie mogło się zdarzyć.

— Właśnie dlatego tu jestem — ciągnął Reacher. — Mielśmy poważny problem. Zapamiętajcie sobie kolejność wydarzeń. Mielśmy czterech martwych facetów i od tego zaczęliśmy. W końcu udało nam się dotrzeć do pani brata, ale było to bardzo trudne śledztwo. Kilkakrotnie zbaczało na ślepe tory. I podążając jednym z nich, dowiedzieliśmy się czegoś o tych czterech zabitych. Czegoś, czego wolelibyśmy nie wiedzieć. Ponieważ oni robili coś, czego nie powinni byli robić.

— Co takiego? — spytała Helen Rodin.

— Kuwejt był niesamowitym miastem. Pełnym bogatych Arabów. Nawet biedni mieli złote zegarki, rolls-royce'y i marmurowe wanny ze złotymi kranami. I wielu z nich wyjechało na czas irackiej napaści. A niektórzy zostawili swoje rodziny. Żony i córki.

— I?

— Nasi czterej zabici podoficerowie poczuli się zdobywcami, tak jak poprzednio Irakijczycy. Pewnie uważali, że im się to należy. My uważaliśmy to za gwałty i napady z bronią

w ręku. I przypadkiem właśnie tym się zajmowali tamtego dnia, w tym budynku. I wcześniej w innych budynkach. Znaleźliśmy w ich szafkach dość biżuterii, żeby otworzyć filię Tiffany'ego. Zegarki, diamenty, wszelkiego rodzaju biżuterię. I bieliznę. Pewnie kolekcjonowali ją, żeby nie stracić rachuby zgwałconych ofiar.

— I co się stało?

— Sprawa mogła mieć poważne reperkusje polityczne. Dotarła aż do najwyższych szczebli dowodzenia. Wojna w Zatoce miała być naszym wspaniałym sukcesem. Miała być stuprocentowo cudowna i stuprocentowo czyściutka. A Kuwejtczyzy byli naszymi sojusznikami i tak dalej. Dlatego w końcu kazano nam zatuszować przestępstwa tych czterech facetów, zapomnieć o całej sprawie. Tak też zrobiliśmy. Niestety, to oznaczało również wypuszczenie Jamesa Barra. Ponieważ zaczęły krążyć plotki i wiedzieliśmy, że jego adwokat by je wykorzystał. Po prostu obawialiśmy się szantażu. Gdybyśmy postawili Barra przed sądem, jego adwokat argumentowałby, że te zabójstwa były w pełni usprawiedliwione. Twierdziłby, że Barr bronił honoru armii, choć w okrutny i gwałtowny sposób. A w trakcie procesu prawda wyszłaby na jaw. Kazano nam nie ryzykować. Mieliśmy związane ręce. Znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

— Może to były usprawiedliwione zabójstwa—powiedziała Rosemary Barr. — Może James wiedział o wszystkim.

— Proszę pani, nie wiedział. Bardzo mi przykro, ale nie. Nigdy przedtem nie spotkał tych facetów. Nie znał żadnego z nich. Nie potrafił mi nic o nich powiedzieć, kiedy do niego dotarłem. Był w Kuwejcie od niedawna. Nie dość długo, żeby czegoś się dowiedzieć. Po prostu zabił czterech mężczyzn. Dla zabawy. Wyznał mi to osobiście, zanim jeszcze wyszły na jaw sprawy tamtych.

W pokoju było cicho.

— Tak więc zatuszowaliśmy sprawę i zwolniliśmy go do cywila — powiedział Reacher. — Ogłosiliśmy, że tych czterech facetów zabili Palestyńczycy, co było możliwe w Kuwejcie w dziewięćdziesiątym pierwszym. Byłem trochę wkurzony tym wszystkim. Nie była to najgorsza z sytuacji, jakie widziałem,

ale też i nie najprzyjemniejsza. James Barr miał szczęście i poczwórne morderstwo uszło mu na sucho. Dlatego zanim został zwolniony, odwiedziłem go i powiedziałem, żeby nie prowokował losu i już nigdy nie łamał prawa, nigdy więcej, do końca życia. Powiedziałem mu, że jeśli mnie nie usłucha, znajdę go i sprawię, że gorzko tego pożałuje.

W pokoju znów zaległa cisza. Zdawała się nie mieć końca.

— Dlatego tu jestem — rzekł Reacher.

— To na pewno zastrzeżone informacje — powiedziała Helen Rodin. — Chcę powiedzieć, że z pewnością nie można ich wykorzystać. Wybuchłby potworny skandal.

Reacher skinął głową.

— To ściśle tajne informacje. Znane jedynie Pentagonowi. Właśnie dlatego zapytałem, czy naszą rozmowę obejmuje tajemnica zawodowa.

— Miałby pan poważne kłopoty, gdyby je pan wyjawiał.

— Miewałem już poważne kłopoty. Przyjechałem tu, żeby sprawdzić, czy znów muszę je mieć. Tak się składa, że chyba nie. Myślę, że pani ojciec zdoła uzyskać wyrok skazujący bez mojej pomocy. Jednak w razie potrzeby zawsze może na nią liczyć.

Teraz Helen zrozumiała.

— Przyszedł pan tu, żeby mnie ostrzec. Prawda? Chce mi pan powiedzieć, że jeśli będę się za bardzo starała, to podetnie mi pan skrzydła.

— Przyszedłem tu, żeby dotrzymać obietnicy — odparł Reacher. — Danej Jamesowi Barrowi.

\*\*\*

Zamknął drzwi i zostawił ich tam, troje rozczarowanych i milczących ludzi. Potem zjechał na dół windą. Ann Gianni wsiadła na drugim. Przez moment zastanawiał się, czy ona spędza całe dni w windzie w nadziei, że ktoś ją rozpozna. Licząc, że ktoś poprosi ją o autograf. Zignorował ją. Wysiadł z nią na parterze i poszedł do drzwi.

Przez chwilę stał na placu, namyślając się. Stan zdrowia Jamesa Barra komplikował sytuację. Reacher nie chciał tkwić

tutaj, dopóki facet się nie ocknie. To może potrwać kilka tygodni, jeśli w ogóle nastąpi. Reacher nie był człowiekiem lubiącym siedzieć w jednym miejscu. Lubił być w ruchu. Dwa dni w jednym miejscu to górna granica. Jednak nie miał wielkiego wyboru. Nie mógł niczego zasugerować Alexowi Rodinowi. Nie mógł zostawić mu numeru telefonu na wszelki wypadek. Po pierwsze, nie miał telefonu. Po drugie, człowiek tak pedantyczny i ostrożny jak Alex Rodin zaniepokoiłby się każdą sugestią i zaczął ją sprawdzać. Z łatwością odkryłby związek z Pentagonem. Reacher przecież zapytał, czy uzyskała jego nazwisko z Pentagonu. To był głupi błąd. Alex Rodin mógłby dodać dwa do dwóch. Dojść do wniosku, że coś w tym jest i odpowiedź można znaleźć w Pentagonie. Oczywiście napotkałby mur milczenia. Tylko że Rodin nie lubił murów na swej drodze. Zwróciłby się do mediów. Zapewne do Ann Yanni. Ona ochoczo rzuciłaby się na następną sensację. A Rodin zacząłby się obawiać przegranej i po prostu musiałby poznać prawdę. Nie zrezygnowałby.

A Reacher nie chciał, żeby wszystko wyszło na jaw. Przynajmniej dopóki nie jest to absolutnie konieczne. Weterani wojny w Zatoce i tak wiele przeczepieli, pozatruwani toksycznymi substancjami i uranem. Jedyne, co im pozostało, to zaszczyt udziału w zwyczajnej, czystej wojnie. Nie zasługiwali na to, aby ich łączono z takimi jak Barr i jego ofiary. Ludzie powiedzieliby: „O rany, oni wszyscy tak robili”. A Reacher wiedział, że to nieprawda. Służyli tam dobrzy żołnierze. Dlatego nie chciał ujawniać tej historii, dopóki nie jest to absolutnie konieczne i tylko jeśli sam uzna, że tak trzeba.

Dlatego nic nie należy sugerować Alexowi Rodinowi. Ani dzwonić na wszelki wypadek.

Zatem... Właściwie co?

Postanowił zostać jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Może w tym czasie lekarze będą w stanie podać dokładniejsze rokowania. Pewnie porozmawia z Emersonem i zapozna się z dowodami. A wtedy przypuszczalnie będzie mógł spokojnie pozostawić sprawę w rękach Rodina jako sędowniczy samograj. A gdyby w jakiejś odległej przyszłości znów pojawiły się

problemy, przeczyta o nich w gazecie na jakiejś plaży lub w barze, po czym znowu tu wróci.

Miał więc spędzić dwadzieścia cztery godziny w prowincjonalnym miasteczku.

Postanowił sprawdzić, czy jest tu rzeka.

\*\*\*

Była. Szeroka, o leniwym nurcie, płynąca z zachodu na wschód przez południową część miasta. Domyślił się, że to jakiś dopływ Ohio. Jej północny brzeg był wyrównany i wzmocniony potężnymi kamiennymi blokami na odcinku około trzystu jardów. Każdy z tych głazów ważył około pięćdziesięciu ton. Były idealnie ociosane i dobrze dopasowane. Tworzyły osłonę. Nabrzeże. Osadzono w nich grube żelazne grzyby pachółków do mocowania cum. Nabrzeże z kamiennych bloków wznosiło się trzydzieści stóp nad poziomem wody. Wzdłuż niego stały drewniane wiaty, otwarte od strony rzeki i ulicy. Ulica była brukowana. Przed stu laty cumowały tu wielkie barki. Tłumy ludzi uwijały się przy ich rozładunku. Wozy z łoskotem przejeżdżały po bruku. Teraz było tu pusto. W głębokiej ciszy słychać było tylko szum wody. Rdza porastała żelazne grzyby pachółków, a kępy wodorostów sterczały między kamiennymi głazami.

Na niektórych szopach pozostały wyblakłe napisy. Suszone owoce McGinty'ego. Centrala Nasienna Allentown. Hurtownia Parkera. Reacher przeszedł całe trzystujardowe nabrzeże, oglądając te magazyny. Wciąż stały, mocne i solidne. Przygotowane do remontu, domyślił się. Miasto, które stawia fontannę na miejskim placu, odnowi także nabrzeże. To nieuniknione. W całym mieście trwały prace budowlane. Miasto rozrośnie się na południe. Dadzą komuś ulgi podatkowe, żeby otworzył kawiarnię nad rzeką. Albo bar. Może z muzyką na żywo, od czwartku do soboty. Może z małym muzeum tuższego rzeczno-handlu.

Odwrócił się, żeby odejść, i stanął oko w oko z Helen Rodin.

— Nie jest pana aż tak trudno znaleźć — powiedziała.

— Najwyraźniej — odparł.

— Turyści zawsze przychodzą do doków. Miała w ręku dyplomatkę.

— Mogę postawić panu lunch?

\*\*\*

Poprowadziła go z powrotem na północ, na skraj dawnej dzielnicy nędzy. Tutaj na odcinku jednego kwartału miasto zmieniało się ze starego i podupadłego w nowe i odrestaurowane. W miejscu rodzinnych sklepików, z wystawami eksponującymi worki do odkurzaczy i węże do zmywarek, pojawiały się nowe butiki z sukienkami za sto dolarów. A także kafejki z kawą po cztery dolary, sklepy z butami i wyrobami z tytanu. Przeszli obok kilku z nich, a potem Helen Rodin wprowadziła go do jadalni. Widywał już tego rodzaju lokale. Zazwyczaj ich unikał. Białe ściany, trochę odsoniętych cegieł, błyszczące chromem stoliki i krzesła, przedziwne sałatki. Przygodkowy dobór składników nazywany inwencją.

Zaprowadziła go do stolika w kącie. Tryskająca energią dziewczyna przyniosła jadłospis. Helen Rodin zamówiła coś z pomarańczami, włoskimi orzechami i serem gorgonzola. Oraz filiżankę ziołowej herbaty. Reacher zrezygnował ze studiowania menu i zamówił to samo, tylko z kawą, zwykłą, czarną.

— To mój ulubiony lokal — oznajmiła Helen.

Skinął głową. Wierzył jej. Wyglądała tu jak w domu. Rozpuszczone długie włosy, czarny strój. Młodzieńczy entuzjazm. On był starszy, z innych czasów i innego świata.

— Chciałabym, żeby mi pan coś wyjaśnił — powiedziała.

Pochyliła się i otworzyła teczkę. Wyjęła ten stary magnetofon kasetowy. Ostrożnie postawiła go na stoliku. Nacisnęła klawisz odtwarzania. Reacher usłyszał głos pierwszego adwokata Jamesa Barra, mówiący: **Nie ma sensu zaprzeczać.** A potem głos Barra, mówiącego: **Sprowadźcie mi Jacka Reachera.**

— Już mi to pani puszczała — przypomniał.

— Dlaczego tak powiedział? — zapytała Helen.

— To właśnie mam pani wyjaśnić?

Kiwnęła głową.

— Nie potrafię.  
— Logicznie rzecz biorąc, jest pan ostatnią osobą, z którą chciałby się widzieć.  
— Racja.  
— Czy mógł mieć jakieś wątpliwości co do pańskich emocji? Przed czternastoma laty?

— Nie sędzę. Wyraziłem się wystarczająco jasno.  
— Dlaczego więc prosił teraz, żeby pana sprowadzić?  
Reacher nie odpowiedział. Kelnerka przyniosła posiłek i zaczęli jeść. Pomarańcze, orzechy włoskie, ser gorgonzola, rozmaite liście i warzywa oraz winny sos z jeżyn. Całkiem niezłe. A kawa była w porządku.

— Chcę przesłuchać całą taśmę.  
Odłożyła widelec i wcisnęła klawisz powrotnego przewijania. Trzymała rękę jak pianistka, każdy palec na innym klawiszu. Miała długie palce. Nie nosiła pierścionków. Umalowane paznokcie, równo przycięte. Nacisnęła klawisz odtwarzania i podniosła widelec. Reacher przez chwilę nie słyszał żadnego dźwięku, dopóki nie skończyła się taśma rozbiegowa. Potem usłyszał więzienne odgłosy. Echa, brzęk metalu w oddali. Ludzki oddech. Odgłos otwierania drzwi i siadania na krześle. Nie było chrobotu przesuwania. Więzienne krzesło, przyśrubowane do podłogi. Adwokat zaczął mówić. Był stary i znudzony. Nie miał ochoty tam być. Wiedział, że Barr jest winny. Przez chwilę wygłaszał komunały. Zirytował się milczeniem Barra. Potem rzekł ze zniechęceniem: Nie pomogę panu, jeśli pan sam nie chce sobie pomóc. Zapadła bardzo długa cisza, a później znów rozległ się głos Barra, poruszonego, mówiącego prosto do mikrofonu: Mają niewłaściwego faceta. Barr powtórzył to. Potem prawnik zaczął od nowa, nie wierząc mu, mówiąc, że mają wszystkie dowody, szukając jakiegoś sensu tej wypowiedzi. Potem Barr poprosił o sprowadzenie Reachera, dwukrotnie, a adwokat też dwa razy spytał, czy Reacher jest lekarzem. Następnie Barr wstał i odszedł. Słyszał było łomotanie w drzwi, a potem zapadła cisza.

Helen Rodin wcisnęła klawisz „Stop”.



—Zatem dlaczego? — zapytała. — Dlaczego powiedział, że tego nie zrobił, a potem zażądał sprowadzenia faceta, który na pewno wie, że on to już kiedyś zrobił?

Reacher tylko wzruszył ramionami. Mimo to po minie Helen poznał, że ona zna już odpowiedź.

—Pan coś wie. Może sam pan nie zdaje sobie z tego sprawy. Jednak musi pan coś wiedzieć. Coś, co jego zdaniem może mu pomóc.

—Czy to ma teraz jakieś znaczenie? On jest w śpiączce. Może nigdy się nie wybudzi.

—To ma ogromne znaczenie. Mógłby być lepiej traktowany.

—Ja nic nie wiem.

—Na pewno? Czy przed laty przeszedł badania psychiatryczne?

—Sprawy nie zaszły aż tak daleko.

—Czy twierdził, że był niepoczytalny?

—Nie, był dumny z wyniku. Z czterech trafień na cztery strzały.

—Uważał go pan za wariata?

—To wielkie słowo. Czy trzeba być wariatem, żeby zastrzelić czterech ludzi dla zabawy? Oczywiście, że tak. Czy formalnie był wariatem? Jestem pewien, że nie.

—Pan coś musi wiedzieć, Reacher. Może to tkwi w pańskiej podświadomości. Musi pan sobie przypomnieć.

Milczał chwilę.

—Czy widziała pani dowody? — zapytał.

—Ich opis.

—I co?

—Są niezbite. Nie ma cienia wątpliwości, że on to zrobił. Chodzi mi o złagodzenie wyroku, nic więcej. I o stan jego umysłu. Nie mogę pozwolić, żeby stracili niepoczytalnego.

—Niech więc pani poczeka, aż odzyska przytomność i wtedy każe go zbadać.

—To nic nie da. Może ocknąć się jako zupełny świr i oskarżenie powie, że jest to spowodowane uderzeniem w głowę podczas więziennej bójkki. Uznają, że w chwili popełniania zbrodni był zupełnie zdrowy na umyśle.

- Czy pani ojciec walczy fair?
- Żyje po to, aby zwyciężyć.
- Jaki ojciec, taka córka? Zastanowiła się.
- Trochę — przyznała.

Reacher skończył sałatkę. Przez chwilę gonił widelcem orzech po talerzu, a potem poddał się i chwycił go palcami.

— O czym pan myśli? — zapytała Helen.

— O pewnym drobnym szczególe — odparł. — Czternaście lat temu mieliśmy trudną sprawę i skąpy materiał dowodowy. A on się przyznał. Tym razem materiał dowodowy jest przytłaczający, a on nie przyznaje się do winy.

— Co to oznacza?

— Nie wiem.

— A więc niech pan pomyśli o tym, co pan wie — powiedziała Helen. — Proszę. Musi pan coś wiedzieć. Niech pan zada sobie pytanie, dlaczego on wymienił pańskie nazwisko? Musi być jakiś powód.

Reacher nic nie powiedział. Młoda kelnerka przysłała i zabrała talerze. Reacher wskazał na filiżankę, a dziewczyna zrobiła jeszcze jeden kurs i przyniosła mu drugą kawę. Reacher wziął filiżankę w dłoń i wdychał aromatyczną woń.

— Mogę zadać panu osobiste pytanie?

— Zależy jak bardzo osobiste — odparł ostrożnie.

— Dlaczego tak trudno pana znaleźć? Zwykle tacy jak Franklin potrafią znaleźć każdego.

— Może nie jest taki dobry, jak pani myśli.

— On jest zapewne lepszy, niż myślę.

— Nie każdego można znaleźć.

— Racja. Jednak pan nie wygląda na należącego do tej kategorii ludzi.

— Byłem trybikiem maszyny — powiedział Reacher. — Przez całe życie. Potem maszyna zacięła się i mnie wypłuła. Pomyślałem sobie: dobrze, jak nie, to nie. Nie i już. Trochę się zirytowałem i pewnie była to niedojrzała reakcja. Jednak przyzwyczailem się do tego.

— To jest jak gra?

— Jak nałóg — odparł Reacher. — Jestem nałogowym outsiderem.

Dziewczyna przyniosła rachunek. Helen Rodin zapłaciła. Potem schowała magnetofon kasetowy z powrotem do teczki i razem z Reacherem opuściła lokal. Poszli na północ, mijając plac budowy na końcu First Street. Ona szła do pracy, a on zamierzał poszukać hotelu.

\*\*\*

Niejaki Grigor Linsky obserwował ich, gdy szli. Siedział skulony w samochodzie zaparkowanym na chodniku. Wiedział, gdzie czekać. Wiedział, gdzie ona jada, kiedy ma towarzystwo.

## 4

Reacher zameldował się w śródmiejskim hotelu Metropole Palace, dwie przecznice na wschód od First Street, niedaleko głównego pasażu handlowego. Zapłacił z góry za jedną noc i podał się za Jimmy'ego Reese'a. Już dawno temu wykorzystał wszystkich byłych prezydentów oraz wiceprezydentów i teraz podawał nazwiska zawodników drużyny Yankees, grających na drugiej bazie w latach, gdy nie zdobyli mistrzostwa. Jimmy Reese grał bardzo dobrze przez część sezonu w 1930 roku i fatalnie przez część 1931. Zjawił się znikąd i przeniósł do St Louis w 1932. Potem porzucił sport. Zmarł w Kalifornii w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat. Jednak teraz wrócił i zamieszkał w pokoju z łazienką w Metropole Palace, tylko na jedną noc, zamierzając wyprowadzić się rano przed jedenastą.

Metropole był smutnym, w połowie pustym, podupadłym starym hotelem. Kiedyś jednak nieźle prosperował. Reacher z łatwością mógł to sobie wyobrazić. Przed stu laty handlarze zbożem wspinali się z doków na wzgórze i zostawali tu na noc. Domyślał się, że hol wyglądał kiedyś jak saloon z Dzikiego Zachodu, lecz teraz był skąpo umeblowany w modernistycznym stylu. Winda była wyremontowana, drzwi pokoi zamykane na karty kodowe, a nie na klucz. Jednak Reacher odgadł, że ten budynek właściwie niewiele się zmienił. Jego pokój niewątpliwie był staroświecki i ponury. Materac sprawiał wrażenie elementu oryginalnego wyposażenia.

Położył się na łóżku i splótł dłonie pod głową. Wrócił myślami ponad czternaście lat wstecz, do Kuwejt. Każde miasto kojarzy się z określonym kolorem. Kuwejt był biały. Białe stiuki, pomalowany na biało beton, biały marmur. Niebo rozpalone do białości przez słońce. Ludzie w białych szatach. Piętrowy parking, z którego strzelał James Barr, też był biały, tak samo jak budynek naprzeciwko. Wszyscy czterej zastrzeleni nosili przeciwsłoneczne okulary. Każdy z nich został trafiony w głowę, ale żadne okulary się nie rozbiły. Tylko pospadały im z nosów. Wydobyto wszystkie cztery kule i dzięki nim rozwiązano tę sprawę. Były to ręcznie robione pociski BT o wadze 168 granów każdy. Nie miały wklęsłych czubków, zakazanych przez konwencję genewską. Takich kul używali amerykańscy strzelcy wyborowi w piechocie i marynarce. Gdyby Barr użył zwykłego karabinu, pistoletu maszynowego lub broni krótkiej, Reacher by go nie dopadł. Oprócz karabinów snajperskich we wszystkich pozostałych rodzajach broni palnej używa się standardowej amunicji NATO, co o wiele za bardzo rozszerzałoby obszar poszukiwań, ponieważ wtedy w Kuwejcie stacjonowały chyba wszystkie oddziały NATO. Jednak Barr chciał posłużyć się swoją snajperską bronią, tylko ten jeden raz, ale nie na strzelnicy. W rezultacie te cztery kule po trzyście centów każda pozwoliły go schwytać.

Była to jednak trudna, bardzo trudna sprawa. Może najtrudniejsza w karierze Reachera. Musiał użyć logiki, dedukcji, intuicji, a w końcu eliminacji. Grzebał w papierach i szukał w terenie. W końcu wpadł na ślad Jamesa Barra, człowieka, który wreszcie zobaczył czerwoną mgiełkę i dziwnie nie przejmował się swoim aresztowaniem.

Przyznał się do winy.

Zrobił to dobrowolnie, szybko i wyczerpująco. Reacher nawet go nie przyciskał. Barr chętnie opowiedział o wszystkim. Potem zaczął dopytywać się o przebieg śledztwa, najwyraźniej zafascynowany szczegółami. Najwidoczniej nie spodziewał się, że zostanie aresztowany. Nigdy w życiu. Był jednocześnie zły i pełen podziwu. Nawet okazywał Reacherowi współczucie, gdy w końcu zwolniono go z obawy przed politycznymi reper-

kusjami. Jakby było mu przykro, że wysiłki Reachera spełzły na niczym.

Czternaście lat później nie przyznał się do winy.

I była jeszcze jedna różnica między tym a poprzednim razem. Tyle że Reacher nie potrafił jej uchwycić. Miało to coś wspólnego z tym, jak gorąco było w Kuwejcie.

\*\*\*

Grigor Linsky wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Zeka. Ten był człowiekiem, dla którego pracował. Nie jakiś tam Zek. Ten Zek. To kwestia szacunku. Zek miał osiemdziesiąt lat, ale wciąż łamał kości tym, którzy nie okazali mu szacunku. Był niczym stary byk. Wciąż silny i agresywny. Dożył osiemdziesięciu lat dzięki tej sile i agresywności. Bez nich umarłby w wieku dwudziestu lat. Albo później, jako trzydziestolatek, kiedy oszalał i w końcu zapomniał, jakie jest jego prawdziwe nazwisko.

— Adwokat wróciła do swojego biura — powiedział Linsky. — Reacher poszedł na wschód First Street. Trzymałem się z daleka i nie śledziłem go. Jednak nie skierował się na dworzec autobusowy. Tak więc możemy założyć, że nadal przebywa w mieście. Podejrzewam, że zatrzymał się w Metropole Palace. W kierunku, w którym poszedł, nie ma innego hotelu.

Zek nic nie powiedział.

— Czy powinniśmy coś z tym zrobić? — zapytał Linsky.

— Na jak długo przyjechał?

— To zależy. Najwyraźniej przyjechał pomóc.

Zek znów nic nie powiedział.

— Czy powinniśmy coś z tym zrobić? — ponownie spytał Linsky.

W komórce słychać było tylko szum zakłóceń i oddech starego człowieka.

— Może powinniśmy odwrócić jego uwagę — rzekł Zek. — Albo go zniechęcić. Powiedziano mi, że był żołnierzem. Tak więc zapewne będzie postępował w przewidywalny sposób. Jeśli zatrzymał się w Metropole, nie zostanie tam na noc. Nie tam. Tam nie ma żadnych rozrywek dla żołnierza. Wybierze

się gdzieś. Zapewne sam. Może mu się coś przytrafić. Użyj wyobraźni. Opracuj dobry scenariusz. Nie posyłaj własnych ludzi. I niech to wygląda na przypadek.

— Obrażenia?

— Co najmniej kilka złamań. Może obrażenia głowy. Może skończy na intensywnej terapii obok swojego przyjaciela, Jamesa Barra.

— A co z tą panią adwokat?

— Zostaw ją w spokoju. Na razie. Później otworzymy tę puszkę z robakami. Jeśli będzie trzeba.

\*\*\*

Helen Rodin spędziła godzinę za biurkiem. Odebrała trzy telefony. Pierwszy był od Franklina. Wycofywał się.

— Przykro mi, ale to przegrana sprawa — powiedział. — A ja muszę pilnować interesu. Nie mogę dłużej zajmować się nią za darmo.

— Nikt nie lubi beznadziejnych spraw — odparła dyplomatycznie Helen. Jeszcze będzie potrzebowała jego usług. Nie było sensu go naciskać.

— Tym bardziej beznadziejnych spraw pro publico bono — dodał Franklin.

— Jeśli zdobędę fundusze, wrócisz na pokład?

— Jasne — odparł. — Wystarczy, że zadzwonisz.

Zakończyli rozmowę, uprzejmie i z szacunkiem, bez uszczerbku dla wzajemnych stosunków. Następnym telefonem odebrała dziesięć minut później. Dzwonił ojciec, który sprawiał wrażenie zatroskanego.

— Wiesz, że nie powinnaś była brać tej sprawy — powiedział.

— Raczej nie ma ich zbyt wiele do wyboru.

— Czasem porażka może być zwycięstwem, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

— A zwycięstwo może być zwycięstwem.

— Nie, zwycięstwo to porażka. Musisz to zrozumieć.

— Czy ty kiedyś z rozmysłem przegrałeś sprawę?

Ojciec nie odpowiedział. Zamiast tego zaczął ją sondować.

— Czy Jack Reacher cię znalazł? — spytał, co oznaczało:  
Czy powinienem się niepokoić?

— Owszem — odparła lekkim tonem.

— Był interesujący?

Co miało oznaczać: Czy powinienem się bardzo niepokoić?

— Powiedział coś, co naprawdę dało mi do myślenia.

— Cóż, może powinniśmy to przedyskutować?

Co oznaczało: Proszę, powiedz mi.

— Jestem pewna, że wkrótce to zrobimy. W odpowiednim czasie.

Jeszcze przez chwilą rozmawiali o niczym i umówili się na obiad. Spróbował jeszcze raz: Proszę, powiedz. Nie zrobiła tego. Skończyli rozmowę. Helen uśmiechnęła się. Nie okłamała go. Nawet nie blefowała. Mimo to miała wrażenie, że dobrze jej poszło. Prawo to gra i jak każda gra ma swoją psychologię.

Trzeci telefon był od Rosemary Barr, ze szpitala.

— James się budzi — oznajmiła. — Wykaszał rurkę intubacyjną. Odzyskuje przytomność.

— Mówi coś?

— Lekarze twierdzą, że może jutro.

— Będzie coś pamiętał?

— Lekarze mówią, że niewykluczone.

\*\*\*

Godzinę później Reacher opuścił Metropole. Trzymając się na wschód od First Street, ruszył na północ, w kierunku sklepów, które widział w pobliżu gmachu sądu. Potrzebował ubrania. Takiego, jakie nosi się tutaj. Może nie dzinsowych ogrodniczków, ale na pewno czegoś mniej rzucającego się w oczy od jego stroju z Miami. Ponieważ spodziewał się, że może teraz pojedzie do Seattle. Na kawę. A nie mógł kręcić się po Seattle w jaskrawożółtej koszuli.

W sklepie z ubraniami kupił spodnie, które według etykiety były brązowszare, a według niego brudnooliwkowe. Znalazł flanelową koszulę prawie w takim samym kolorze. I bieliznę. Zainwestował również w parę skarpetek. Przebrał się w przymierzalni i wyrzucił stare ciuchy do kosza na śmieci. Czter-



dziesięć dolarów za ubranie na cztery dni. Ekstrawagancja, ale za tych dziesięć dolarów dziennie nie musiał taszczyć walizki.

Wyszedł ze sklepu i poszedł na zachód, ku zachodzącemu słońcu. Koszula była trochę za gruba na tę pogodę, ale mógł to naprawić, podwijając rękawy i rozpinając drugi guzik pod szyją. W porządku. Na Seattle będzie w sam raz.

Dotarł do placu i zobaczył, że fontanna znów jest czynna. Zbiornik bardzo wolno napełniał się wodą. Muł na jego dnie miał cal grubości i podnosił się z dna. Kilka osób stało i przyglądało się temu. Inni obojętnie przechodzili obok. Jednak nikt nie szedł tym wąskim przejściem, gdzie zginęły ofiary Barra, a teraz były kwiaty i świece. Wszyscy nakładali drogi. Instynktownie, z szacunku czy strachu — Reacher nie był pewien.

Ostrożnie przeszedł obok kwiatów i usiadł na murku. Za plecami słyszał plusk fontanny, a przed sobą miał piętrowy parking. Słońce grzało mu jedno ramię, drugie znajdowało się w chłodnym cieniu. Pod nogami czuł warstewkę piasku. Spojrzał w lewo, na drzwi budynku, w którym mieścił się wydział komunikacji. Popatrzył w lewo, na samochody sunące estakadą. Wjeżdżały na jej łuk, pnąc się w górę, jeden za drugim, rzędem, pojedynczo. Nie było ich wiele. Ruch był jeszcze słaby, chociaż na First Street już pojawiła się zapowiedź godziny szczytu. Potem znów spojrzął w lewo i zobaczył siadającą obok niego Helen Rodin. Była lekko zdyszana.

— Myliłam się — powiedziała. — Naprawdę trudno pana znaleźć.

— Mimo to udało się to pani — zauważył.

— Tylko dlatego, że zobaczyłam pana przez okno. Zbiegłam po schodach, mając nadzieję, że nie zdąży pan odejść. Pół godziny temu obdzwoniłam wszystkie hotele w mieście i usłyszałam, że w żadnym pana nie ma.

— Hotele nie muszą wiedzieć wszystkiego.

— James Barr się budzi. Może jutro zacznie mówić.

— A może nie.

— Zna się pan na urazach głowy'?

— Tylko na tych, które sam powoduję.

— Chciałabym, żeby pan coś dla mnie zrobił.

— Na przykład co? — zapytał.

— Może mi pan pomóc — odparła. — W ważnej sprawie.

— Mogę?

— I sobie też.

Nic nie odpowiedział.

— Chciałabym, żeby przeanalizował pan dla mnie dowody.

— Ma pani od tego Franklina. Potrząsnęła głową.

— Franklin ma zbyt wielu kolegów w policji. Nie byłby dość obiektywny. Nie chciałby ich krytykować.

— A ja tak? Proszę pamiętać, że ja też chcę uziemić Barra.

— No właśnie. Dlatego to pan powinien to zrobić. Potwierdzić, że te dowody są niepodważalne. Potem będzie pan mógł spokojnie opuścić to miasto.

— A czy powiedziałbym pani, gdybym znalazł jakąś lukę?

— W pańskich oczach czytam, że tak. Poza tym, poznam to po pańskim zachowaniu. Jeśli pan wyjedzie, dowody są mocne. Jeśli pan zostanie, słabe.

— Franklin się wycofał, prawda?

Po chwili kiwnęła głową.

— To przegrana sprawa, pod każdym względem. Zajmuje się nią *pro publico bono*. Ponieważ nikt inny jej nie weźmie. Franklin musi pilnować interesu.

— On nie będzie pracował za darmo, a ja tak?

— Pan musi. Sądzę, że i tak by pan to zrobił. Właśnie dlatego najpierw poszedł pan do mojego ojca. On jest pewny swego, to oczywiste. Sam pan widział. Ale mimo to chce pan zobaczyć dowody. Był pan skrupulatnym żandarmem. Perfekcjonistą. Będzie pan chciał wyjechać stąd z przekonaniem, że zrobił pan wszystko, co należało, zgodnie z pańską dewizą.

Reacher nic nie powiedział.

— W ten sposób będzie pan mógł wszystko naprawdę dokładnie sprawdzić — powiedziała. — To ich konstytucyjny obowiązek. Muszą nam pokazać wszystko. Obrona ma prawo poznać się z całym materiałem dowodowym.

Reacher nadal milczał.

— Nie ma pan wyboru — dodała. — Inaczej niczego panu nie pokażą. Nie pokazują niczego obcym przychodzącym z ulicy.

Naprawdę dokładnie sprawdzić. Spokojnie wyjechać z miasta. Nie mam wyboru.

— Dobrze — odparł Reacher.

— Proszę przejść cztery przecznice na zachód i jedną na południe. Tam jest posterunek policji. Ja pójdą na górę i zadzwonię do Emersona.

— Tak od razu?

— James Barr budzi się ze śpiączki. Chcę mieć to z głowy. Jutro większość dnia spędzę na szukaniu psychiatry, który zbada go za darmo. Niepoczytalność to wciąż nasz główny cel.

\*\*\*

Reacher powędrował cztery przecznice na zachód i jedną na południe. Przeszedł pod estakadą i znalazł posterunek. Policja miała dla siebie cały kwartał. Większość tego terenu zajmował budynek komisariatu, a resztę rozległy parking w kształcie litery L. Stały na nim czarno-białe radiowozy, nie oznakowane wozy tajniaków, furgonetka ekipy kryminalistycznej oraz wóz SWAT. Sam budynek wzniesiono z glazurowanej pomarańczowej cegły. Miał płaski dach, a na nim gęstą sieć kabli. Kraty w oknach. Tu i ówdzie na otaczającym teren murze znajdował się drut kolczasty.

Reacher wszedł do środka, zapytał o drogę i znalazł Emersona, który czekał na niego za biurkiem. Natychmiast rozpoznał w nim policjanta z sobotnich wiadomości telewizyjnych. Ten sam facet, błady, spokojny, kompetentny, nie wysoki, nie niski. Sprawiał wrażenie człowieka, który jest policjantem od dnia urodzenia. Może nawet od dnia poczęcia. Miał to w porach skóry, w DNA. Ubrany był w spodnie z szarej flaneli i białą koszulę z krótkimi rękawami rozpiętą pod szyją. Krawata nie założył. Tweedowa marynarka wisiała na oparciu krzesła. Twarz i ciało miał trochę nieforemne, jakby kształtowane przez nieustanne naciski.

— Witamy w Indianie — powiedział.

Reacher się nie odezwał.

— Mówię to szczerze — rzekł Emerson. — Naprawdę. Uwielbiamy, kiedy starzy przyjaciele oskarżonych przybywają, żeby podważać zebrane przez nas dowody.

— Przyszedłem tu na prośbę jego adwokata — odparł Reacher. — Nie jako jego przyjaciel.

Emerson skinął głową.

— Sam naszkicuję panu obraz sytuacji — rzekł. — Potem kierownik zespołu kryminalistów poda panu szczegóły. Może pan oglądać wszystko, co pan chce, i pytać o wszystko.

Reacher się uśmiechnął. Sam był policjantem przez trzynaście długich lat trudnej służby, więc znał ten język i wszystkie jego niuanse. Znał ten ton. Sposób, w jaki mówił Emerson, coś mu powiedział. Na przykład, że pomimo nieprzyjaznego przyjęcia ten facet w duchu jest zadowolony, widząc tu krytyka. Ponieważ jest absolutnie przekonany, że sprawa jest pewna jak w banku.

— Znał pan Jamesa Barra bardzo dobrze, mam rację? — zapytał Emerson.

— A pan? — odparował Reacher.

Emerson przecząco pokręcił głową.

— Nigdy go nie spotkałem. Nie było żadnych znaków ostrzegawczych.

— Miał pozwolenie na broń?

Emerson skinął głową.

— Była zarejestrowana i nieprzerabiana. Wszystkie egzemplarze.

— Polował?

Emerson ponownie zaprzeczył.

— Nie był członkiem NRA \* i nie należał do żadnego klubu strzeleckiego. Nigdy nie widziano go na wzgórzach. Nigdy nie miał żadnych kłopotów z prawem. Po prostu zwyczajny spokojny obywatel. Nawet bardzo spokojny. Żadnych sygnałów ostrzegawczych.

— Spotykał się pan już z takimi przypadkami?

\* National Rifle Association — Krajowe Stowarzyszenie Posiadaczy Broni Palnej

— Zbyt często. Jeśli liczyć Dystrykt Kolumbii, to Indiana zajmuje szesnaste miejsce na pięćdziesiąt jeden możliwych pod względem liczby zabójstw. Plasuje się wyżej niż Nowy Jork i Kalifornia. To miasto nie jest najgorsze w tym stanie, ale też nie najlepsze. Tak widzieliśmy tu już wszystko. Czasem są sygnały ostrzegawcze, a czasem nie, ale tak czy inaczej wiemy, co robimy.

— Rozmawiałem z Alexem Rodinem — powiedział Reacher. — Jest pod wrażeniem.

— Powinien być. Dobrze się spisaliśmy. Pański stary kumpel został posadzony sześć godzin po tym, jak oddał pierwszy strzał. Podręcznikowy przypadek, od początku do końca.

— Żadnych wątpliwości?

— Ujmijmy to tak. Napisałem raport w sobotę rano i od tej pory już niewiele myślałem o tej sprawie. Jest zamknięta. W najlepszym stylu, jaki widziałem, a widziałem ich wiele.

— Zatem czy przeglądanie zebranych dowodów ma jakiś sens?

— Na pewno ma. Mój kierownik sekcji kryminalistycznej aż piszczy, żeby się popisać. To porządny facet i zasługuje na chwilę chwały.

\*\*\*

Emerson zaprowadził Reachera do laboratorium i przedstawił go jako analityka, a nie przyjaciela Jamesa Barra, co trochę poprawiło atmosferę. Potem go tam zostawił. Kierownikiem sekcji kryminalistycznej był poważny czterdziestoletni mężczyzna, który nazywał się Bellantonio. To nazwisko niezbyt do niego pasowało. Był wysoki, ciemnoskóry, chudy i zgarbiony. Wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy. Podejrzewał, że James Barr przyzna się do winy. Uważał, że nie będzie miał swojego dnia w sądzie. To było oczywiste. Ułożył zebrane dowody w logicznym szeregu na długich stołach w zamkniętej części podziemnego policyjnego parkingu, żeby pokazać gościom to, czego nigdy nie pokaże sądowi.

Stoły były białe, wyglądały jak wypożyczone z bufetu i stały wzdłuż wszystkich ścian pomieszczenia, tworząc kwadrat. Nad

stolikami wisały korkowe tablice z setkami przypiętych do nich zadrukowanych kartek. Każda kartka była umieszczona w plastikowej koszulce i zawierała opis leżącego pod nią przedmiotu. W samym środku kwadratu stał beżowy dodge caravan Jamesa Barra. Pomieszczenie było czyste i jasno oświetlone jarzeniówkami, a samochód wyglądał tu zwalście i obco. Był stary, brudny, śmierdzał benzyną, olejem i gumą. Przesuwane tylne drzwi były otwarte i Bellantonio przymocował w środku lampkę oświetlającą dywanik.

— Ładnie to wszystko wygląda — pochwalił Reacher.

— Najlepsza dokumentacja miejsca zbrodni, jaką zdarzyło mi się opracować — rzekł Bellantonio.

— Proszę mnie oprowadzić.

Bellantonio zaczął od styropianowego słupka. Ten stał na arkuszu pergaminu, wyglądając niezgrabnie, dziwnie i jakby nie na swoim miejscu, Reacher dostrzegł na nim proszek daktyloskopijny i przeczytał notatkę. Bar dotykał tego słupka, nie było co do tego wątpliwości. Zacisnął na nim prawą dłoń, tuż przy wierzchołku, gdzie słupek był najcieńszy. Kilkakrotnie. Zostawił odciski palców i dłoni. Zidentyfikowano je z łatwością. Było więcej punktów zgodności, niż domagałby się jakikolwiek sąd.

To samo dotyczyło ćwierćdolarówki z parkometru i łuski karabinowej. Bellantonio pokazał Reacherowi laserowe wydruki zdjęć z kamery na parking, ukazujące dodge'a wjeżdżającego tuż przed strzelaniną i odjeżdżającego zaraz po niej. Pokazał mu wnętrze samochodu, włókna z dywanika zebrane na surowym betonie, psią sierść, nitki z dżinsów i prochowca. Pokazał prostokątny chodnik zabrany z domu Barra i pasujące do niego nitki, które znaleziono na miejscu zbrodni. Pokazał buty i to, w jaki sposób kauczukowe podeszwy zbierają kurz. Pokazał, jak maleńkie okruchy gumy znalezione w budynku pasują do świeżych otarć na czubkach butów. Pokazał cementowy pył znaleziony w domu Barra, zebrany w jego piwnicy, kuchni, salonie i sypialni. Na koniec zaprezentował próbkę porównawczą zebraną na parking i raport laboratorium dowodzący, że to ten sam pył.

Reacher przejrzał zapis zgłoszeń pod 911 i rozmów radiowych pomiędzy radiowozami. Później przeczytał protokół z miejsca zbrodni. Wstępne czynności umundurowanych policjantów, kryminalistyczne badania wykonane przez ludzi Bellantonia, natchniony pomysł Emersona, żeby sprawdzić parkometr. Później przeczytał protokół aresztowania. Ten był wydrukowany i przyczepiony do korkowej tablicy jak wszystkie inne kartki. Taktyka SWAT, śpiący podejrzany, identyfikacja na podstawie prawa jazdy wyjętego z kieszeni spodni. Oględziny wykonane przez sanitariuszy. Schwywanie psa przez policjantów z sekcji K9. Ubrania w szafie. Buty. Broń w piwnicy. Przeczytał zeznania świadków. Komandos z biura werbunkowego słyszał sześć strzałów. Operator telefonii komórkowej dostarczył zapis rozmowy. Dołączono do niego wykres. Szare widmo dźwiękowe z sześcioma ostrymi sygnałami. Od lewej do prawej, układały się we wzór zgodny z tym, co powiedziała Helen Rodin. Pierwszy, drugi-trzeci, pauza, czwarty-piąty-szesty. Pionowa oś wykresu reprezentowała natężenie. Strzały były ciche, ale wyraźnie widoczne w widmie. Sześć strzałów w niecałe cztery sekundy. Cztery sekundy, które zmieniły to miasto. Przynajmniej na jakiś czas.

Reacher spojrzął na karabin. Ten był w szczelnie zamkniętym plastikowym worku. Przeczytał przypięty nad nim raport. Springfield M1 A super match, magazynek na dziesięć pocisków, w którym pozostały jeszcze cztery naboje. Wszędzie odciski palców Barra. Zadrapania na łożu pasujące do odprysków lakieru znalezionych na miejscu zbrodni. Nietknięta kula wyjęta z fontanny. Raport laboratorium balistycznego, zgodnie z którym kula została wystrzelona z tej lufy. Drugi raport, identyfikujący ślad wyrzutnika na fusce. Murowana sprawa. Stuprocentowa.

— W porządku, wystarczy — rzekł Reacher.

— Są dobre, prawda? — spytał Bellantonio.

— Najlepsze, jakie widziałem — przyznał Reacher.

— Lepsze niż stu świadków.

Reacher uśmiechnął się. Kryminaliści uwielbiają tak mówić.

— Czy jest coś, co się panu nie podoba? — zapytał.

— Podoba mi się wszystko — odparł Bellantonio.

Reacher spojrział na swoje odbicie w przyciemnionej szybie dodge'a. W czarnej szybie jego nowa koszula była szara.

— Dlaczego zostawił ten styropianowy słupek? — zapytał. — Przecież bez trudu mógł go wrzucić do bagażnika.

Bellantonio nic nie powiedział.

— I dlaczego zapłacił za parkowanie?

— Jestem kryminalistyką — odparł Bellantonio. — Nie psychologiem.

Emerson wrócił i stał, czekając, aż Reacher się podda. Reacher poddał się bez wahania. Uścisnął im dłonie i pogratulował dobrze wykonanej roboty.

\*\*\*

Poszedł z powrotem, jedną przecnicę na północ i cztery na wschód, pod łukiem estakady, kierując się ku wieżowcowi z czarnego szkła. Była piąta po południu i słońce grzało mu plecy. Dotarł do placu i zobaczył, że fontanna wciąż jest czynna, a poziom wody w zbiorniku podniósł się o następny cal. Wszedł do środka, mijając znak NBC, i wjechał windą na górę. Ann Yanni nie pokazała się. Może szykowała się do popołudniowego wydania wiadomości.

Zastał Helen Rodin przy jej biurku.

— Patrz mi w oczy — powiedział.

Popatrzyła.

— Wybierz któryś z typowych zwrotów — zaproponował. — Sprawa jest murowana, stuprocentowa, jasna jak słońce.

Patrzyła na niego w milczeniu.

— Widzisz choć cień wątpliwości w moich oczach? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała. — Nie widzę.

— Zatem zacznij dzwonić do psychiatrów. To z nimi powinniśmy porozmawiać.

— On ma prawo do obrony, Reacher.

— Złamał prawo.

— Nie możemy go zlinczować.

Reacher zamilkł. Potem skinął głową.



— Psychiatra powinien zastanowić się nad tym parkometrem. No wiesz, kto płaci za dziesięć minut parkowania, nawet jeśli nie zamierza strzelać do ludzi? Wydaje mi się to dziwne. To takie praworzadne, no nie? Nadaje całej tej historii prawo rządny posmak. Może tym razem naprawdę był stuknięty. No wiesz, może nie wiedział, co robi.

Helen Rodin zanotowała to sobie.

— Na pewno o tym wspomnę.

— Masz ochotę na kolację?

— Jesteśmy po przeciwnych stronach.

— Zjedliśmy już lunch.

— Tylko dlatego, że czegoś od ciebie chciałam.

— Możemy nadal być dla siebie uprzejmi.

Pokręciła głową.

— Jem kolację z ojcem.

Reacher nic nie odrzekł.

— Policjanci byli w porządku? — spytała.

Reacher kiwnął głową.

— Dość uprzejmi.

— Twój widok nie mógł ich ucieszyć. Nie rozumieją, dlaczego w ogóle tu jesteś.

— Nie mają powodu do obaw. Mają pewną sprawę.

— To jeszcze nie koniec przedstawienia.

— Ono skończyło się już w piątek. Teraz tylko czekają na oklaski.

— Może moglibyśmy później pójść na drinka — powiedziała. — Jeśli zdołam się wyrwać. Sześć przecznic na północ stąd jest sportowy bar. W poniedziałkowy wieczór to chyba jedyny możliwy lokal w mieście. Wpadnę tam i zobaczę, czy cię zastanę. Jednak niczego nie mogę obiecać na pewno.

— Ja też nie — rzekł Reacher. — Może pójdę do szpitala, żeby odłączyć tlen Jamesowi Barrowi.

\*\*\*

Zjechał windą na parter i zobaczył Rosemary Barr czekającą na niego w holu. Domyślił się, że wróciła ze szpitala, zadzwoniła na górę i dowiedziała się od Helen Rodin, że on

właśnie zmierza do wyjścia. Tak więc zaczęła. Nerwowo przechadzała się tam i z powrotem, raz po raz pokonując drogę od wind do drzwi wyjściowych.

— Możemy porozmawiać? — zapytała.

— Na zewnątrz — odparł.

Wyprowadził ją na zewnątrz i przeszli przez plac, do południowej krawędzi fontanny. Ta wciąż powoli się napełniała. Woda pluskała i szemrała. Usiadł w tym samym miejscu, gdzie poprzednio, obok kwiatów i świec. Rosemary Barr stanęła przed nim, twarzą do niego, bardzo blisko, patrząc mu w oczy, nie zerkając na kwiaty, świece i zdjęcia.

— Musi pan mieć otwarty umysł — powiedziała.

— Naprawdę?

— James chciał, żeby pan tu przyjechał, więc nie może być winny.

— To daleko idący wniosek.

— Ale logiczny.

— Dopiero co oglądałem dowody — rzekł. — Są więcej niż wystarczające.

— Nie zamierzam spierać się o to, co było czternaście lat temu.

— Nie może pani.

— Jednak teraz jest niewinny.

Reacher nic nie odparł.

— Rozumiem, co pan czuje — ciągnęła Rosemary. — Uważa pan, że on pana zawiódł.

— Bo zawiódł.

— Załóżmy jednak, że nie? Załóżmy, że posłuchał pańskiego ostrzeżenia, a wszystko to jest pomyłką? Jak by się pan czuł? Co by pan dla niego zrobił? Jeśli był pan gotowy go pograżyć, to nie sądzi pan, że powinien pan być równie gotowy go bronić?

— To dla mnie nazbyt hipotetyczne.

— To nie jest hipoteza. Ja tylko pytam, czy gdyby się okazało, że to pomyłka i on tego nie zrobił, czy równie energicznie próbowałby mu pan pomóc?

— Gdyby to była pomyłka, nie potrzebowałby mojej pomocy.

— A jeśli?  
— W takim wypadku tak — odparł Reacher, ponieważ bezpiecznie mógł tak powiedzieć.  
— Zatem musi pan mieć otwarty umysł.  
— Dlaczego się pani wyprowadziła?  
Zawahała się.  
— Był wciąż rozdrażniony. Nieprzyjemnie się z nim mieszkano.  
— Co go drażniło?  
— Wszystko.  
— A więc może to pani powinna mieć otwarty umysł.  
— Mogłam wymyślić jakiś powód. Nie zrobiłam tego. Powiedziałam panu prawdę. Nie chcę niczego ukrywać. Chcę, żeby mi pan ufał. Muszę sprawić, żeby mi pan uwierzył. To nieszczęśliwy człowiek, może nawet niezrównoważony. Jednak on tego nie zrobił.  
Reacher patrzył na nią w milczeniu.  
— Będzie pan miał otwarty umysł? — zapytała.  
Reacher nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami i odszedł.

\*\*\*

Nie skierował się do szpitala. Nie odciął tlenu Jamesowi Barrowi. Zamiast tego wrócił do Metropole Palace, wziął prysznic i poszedł do sportowego baru. Minąwszy sześć przecznic na północ od wieżowca z czarnego szkła, znów przeszedł pod estakadą i znalazł się na obrzeżu miasta. Poprzednio zauważył, że odnowiona część dzielnicy ma swoją granicę od południa, a teraz stwierdził, że również od północy. Bar znajdował się kawałek za nią. W zwyczajnym budynku, w którym kiedyś mogło mieścić się wszystko. Może sklep spożywczy, salon samochodowy lub bilardowy. Miał płaski dach, zamurowane okna i mech rosnący w niedrożnych rynnach.

W środku było lepiej, chociaż typowo. Jak w każdym innym sportowym barze, jaki Reacher widział. Jedna wysoka sala miała pomalowane na czarno kanały klimatyzacyjne przymocowane do sklepienia. Na ścianach i pod sufitem zawieszono

trzy tuziny ekranów telewizyjnych. Ponadto było tam mnóstwo przedmiotów, jakie zwykle widuje się w sportowym barze: podpisane koszulki futbolistów w szklanych gablotach, kaski ochronne na półkach, kije hokejowe, piłki do koszykówki i baseballu, stare programy sportowe. Wszystkie kelnerki miały na sobie mundurki cheerleaderek. Barmani byli ubrani w pasias- te stroje sędziów.

Wszystkie ekrany pokazywały transmisję z meczu futbolu. To nieuniknione, pomyślał Reacher, w poniedziałkowy wieczór. Były tam zarówno telewizory kineskopowe, jak i plaz- mowe oraz ekrany projekcyjne. Ten sam moment można było zobaczyć na kilkudziesięciu ekranach, nieznacznie róż- niących się barwą i ostrością, dużych i małych, jasnych i ciemnych. W sali panował tłok, ale Reacher miał cały stolik dla siebie. W kącie, tak jak lubił. Zalatana kelnerka przybie- gła do niego, a on zamówił piwo i cheeseburgera. Nie zajrzał do menu. W sportowych barach zawsze mają piwo i cheese- burgery.

Zjadł posiłek i pił piwo, oglądając mecz. Czas płynął i w lo- kalu robiło się coraz tłoczniej i głośniejsze, ale nikt się do niego nie przysiadł. Reacher właśnie tak działał na ludzi. Siedział tam sam, jak w szklanej bańce z wyraźnie wyrzytą na niej wiadomością: Trzymajcie się ode mnie z daleka.

Nagle ktoś zignorował to ostrzeżenie i przysiadł się do nie- go. Częściowo była to jego wina. Oderwał wzrok od ekranu i zobaczył stojącą w pobliżu dziewczynę. Trzymała butelkę piwa i talerz ze stertą tacos. Była wystrzałowa. Miała falujące rude włosy i czerwoną bawełnianą bluzkę, rozpiętą i zawią- zaną w pasie na węzeł. Obcisłe spodnie wyglądały jak dzinsy, ale musiały być z lycry. Miała figurę jak klepsydra i potrafiła ją pokazywać. I błyszczące buty z krokodylowej skóry. Otwórz encyklopedię na hasło „amerykańska dziewczyna”, a z kartki spojrzysz na ciebie jej zdjęcie. Wydawało się, że jest za młoda na picie alkoholu, ale była już dojrzałą kobietą. Bez dwóch zdań. Czerwona bluzeczka niemal pękała na piersiach. A pod lycrą odcinały się majteczki. Reacher przyglądał się jej sekundę za długo, co uznała za zaproszenie.

— Mogę się przysiąc? — zapytała, stojąc o krok od niego.

— Proszę — odparł.

Usiadła. Nie naprzeciw, ale obok niego.

— Dziękuję.

Pociągnęła z butelki, nie spuszczać go z oczu. Jej oczy były zielone, jasne, szeroko otwarte. Obróciła się bokiem i wypięła piersi. Trzy górne guziki bluzki miała rozpięte. Chyba 34D, pomyślał Reacher, miseczki uwydatniające piersi. Widział ich brzeg. Biała koronka.

Nachyliła się do niego, żeby usłyszał ją w tym gwarze.

— Podoba ci się? — zapytała.

— Co?

— Mecz.

— Średnio — odparł.

— Też grałeś?

Grałeś, a nie grasz. Poczul się staro.

— Bo masz odpowiednią posturę

— Trochę w wojsku — odparł. — Kiedy byłem w West Point.

— Byłeś w reprezentacji?

— Tylko raz.

— Zrezygnowałeś z powodu kontuzji?

— Nie, byłem zbyt agresywny.

Uśmiechnęła się niepewnie, nie wiedząc, czy żartuje.

— Chcesz taco? — zapytała.

— Dopiero co jadłem.

— Jestem Sandy — powiedziała.

Jak piasek, pomyślał. W piątek miałem go mnóstwo na plaży.

— A jak ty się nazywasz? — zapytała.

— Jimmy Reese.

Zobaczył błysk zdziwienia w jej oczach. Nie wiedział dlaczego. Może miała kiedyś chłopca, który tak się nazywał. A może zapamiętała kibicowała nowojorskim Yankees.

— Miło mi cię poznać, Jimmy Reese — powiedziała.

— Mnie ciebie też — powiedział i znów spojrzął na ekran.

— Jesteś nowy w tym mieście, prawda? — zapytała.

— Jak zwykle — odparł.

— Pomyślałam sobie — dodała — że jeśli mecz tylko średnio ci się podoba, to może chciałbyś mnie gdzieś zabrać.

— Na przykład gdzie?

— Na przykład w jakieś spokojniejsze miejsce. I może trochę mniej tłoczne.

Nic nie odrzekł.

— Mam samochód — zachęcała.

— Jesteś dość dorosła, by prowadzić?

— Jestem dość dorosła, żeby robić różne rzeczy. I w niektórych jestem naprawdę dobra.

Przesunęła krzesło. Odsunęła je trochę od stolika. Obróciła się do Reachera i spojrzała w dół.

— Podobają ci się te spodnie? — zapytała.

— Myślę, że są doskonale dopasowane.

— Ja też tak sędzę. Tylko że są za ciasne, by nosić coś pod spodem.

— Każdy z nas musi dźwigać swój krzyż.

— Uważasz, że za dużo odsłaniają?

— Są półprzezroczyste. Zwykle to mi wystarcza.

— Wyobraź sobie, że je zdejmujesz.

— Nie potrafię. Wątpię, czy zdołałbym się w nie zmieścić. Zmrużyła zielone oczy.

— Jesteś ciotą?

— A ty dziwką?

— Skądże. Pracuję w sklepie z częściami samochodowymi.

Nagle zamilkła i zastanowiła się. Rozważyła coś. Najwi-  
doczniej znalazła lepszą odpowiedź. Zerwała się z krzesła,  
wrzasnęła i uderzyła go w twarz. Krzyk i policzek były gło-  
sne, więc wszyscy spojrzeli w ich kierunku.

— Nazwał mnie kurwą! — wrzasnęła. — Nazwał mnie  
przeklętą kurwą!

Kilku gości poderwało się, szurając krzesłami. Rośli faceci,  
w dżinsach, roboczych buciorach i koszulach z grubej flaneli.  
Wsioki. Jednak było ich pięciu.

Dziewczyna uśmiechnęła się triumfalnie.

— To moi bracia — oznajmiła.

Reacher nic nie powiedział.

— Właśnie nazwałeś mnie kurwą przy moich braciach. Pięciu młodzieńców gapiło się złowrogo.

— On nazwał mnie kurwą — zaskowyczała dziewczyna.

Zasada numer jeden, wstań i przygotuj się.

Zasada numer dwa, pokaż, co ich czeka.

Reacher wstał, powoli i zwinnie. Sześć stóp i pięć cali, dwieście pięćdziesiąt funtów, chłodne spojrzenie, ręce luźno opuszczone.

— Nazwał mnie kurwą — znów zaskomliła dziewczyna.

Zasada numer trzy, zidentyfikuj przywódcę.

Tamtych było pięciu. Taka piątka musi mieć jednego przywódcę, dwóch jego przybocznych i dwóch mniej entuzjastycznych pomocników. Załatw przywódcę oraz tych dwóch przybocznych, a będzie po wszystkim. Dwaj pozostali uciekną. Tak więc nie ma pięciu na jednego. W najgorszym razie trzech na jednego.

Zasada numer cztery: przywódcą jest ten, który wykona pierwszy ruch.

Pierwszy ruch należał do spasionego drągała po dwudziestce, ze strzechą słomianych włosów i okrągłą czerwoną twarzą. Dał krok naprzód, a pozostali poszli za jego przykładem, ustawiając się w wachlarzowatym szyku. Reacher też zrobił krok naprzód, wychodząc im na spotkanie. Ponieważ z tego kąta nie było innego wyjścia.

I dobrze.

Ponieważ zasada numer pięć głosi: nigdy się nie cofaj.

A zasada numer sześć: nie łam mebli.

Połamiesz umeblowanie baru, to właściciel zacznie rozmyślać o ubezpieczeniu, firmy ubezpieczeniowe wymagają protokołów policyjnych, a pierwszą reakcją mundurowych jest zgarnięcie wszystkich i wyjaśnienie sprawy później. Co zwykle sprowadza się do zasady: Wszystkiemu winien ten obcy.

— Nazwał mnie kurwą — powiedziała prosząco dziewczyna.

Jakby złamał jej serce. Stała nieco z boku, patrząc to na

tych pięciu facetów, to na Reachera. Poruszała głową jak kibic na meczu tenisa.

— Wychodzimy — powiedział dryblas.

— Najpierw zapłać rachunek — poradził mu Reacher.

— Później.

— Później nie będziesz w stanie.

— Myślisz?

— I na tym polega różnica.

— Jaka różnica?

— Między nami.

— Masz niewyparzoną gębę, koleś.

— To najmniejsze z twoich zmartwień.

— Nazwałeś moją siostrę kurwą.

— Ty wolisz sypiać z dziewczycami?

— Wychodź, koleś, albo załatwię cię tutaj.

Zasada siódma: działaj, a nie reaguj.

— W porządku — powiedział Reacher. — Chodźmy na zewnątrz.

Dryblas się uśmiechnął.

— Ja za wami — powiedział Reacher.

— Zostań tu, Sandy — polecił dryblas.

— Nie boję się widoku krwi — odparła.

— Na pewno cię cieszy — dodał Reacher. — Raz na cztery tygodnie jej widok przynosi ci ulgę.

— Wychodź — syknął dryblas. — Już!

Odwrócił się i wraz z pozostałymi ruszył w kierunku drzwi. Poszli gęsiego, lawirując między stolikami. Tupiąc buciorami o podłogę. Dziewczyna o imieniu Sandy poszła za nimi. Inni goście schodzili im z drogi. Reacher położył na stole dwadzieścia dolarów i spojrział na mecz. Ktoś wygrywał, ktoś przegrywał.

Podążył za dziewczyną zwaną Sandy. Za niebieskimi spodniami z lycry.

Tamci czekali na niego na chodniku. Rozstawili się w płytką podkowę. W odległości dwudziestu jardów na północ i na południe oraz po drugiej stronie ulicy paliły się latarnie. Każdy ze stojących rzucał trzy cienie. Neon nad barem barwił te



cienie różem i błękitem. Ulica była pusta. I cicha. Żadnego dźwięku prócz gwaru tłumionego przez drzwi baru.

Było ciepło. Nie za gorąco, nie za zimno.

Zasada ósma: ocenić sytuację.

Dryblas był mocno zbudowany i zaokrąglony, jak mors. Może dziesięć lat po szkole średniej. Nie miał złamanego nosa, blizn na łukach brwiowych ani zdeformowanych knykci. A więc nie był bokserem. Pewnie baseballista. Będzie walczył jak zapaśnik. Będzie próbował powalić przeciwnika na ziemię.

Zatem zaatakuje pochylony. Rzuci się głową naprzód.

Tak ocenił go Reacher.

I miał rację.

Facet wystartował jak z bloku, ze spuszczoną głową. Mierząc w pierś Reachera. Zamierzając odrzucić go w tył, żeby potknął się i upadł. Wtedy czterej pozostali mogliby go dopaść i skopać, ile dusza zapragnie.

Błąd.

Ponieważ zasada numer dziewięć głosi: nie atakuj bykiem Jacka Reachera.

A już na pewno nie wtedy, kiedy się tego spodziewa. Równie dobrze mógłbyś walić głową w mur.

Dryblas zaatakował, a Reacher obrócił się bokiem, lekko ugiął kolana i wymierzył mu w twarz cios, poparty całym ciężarem ciała i odbiciem z obu nóg.

Energia kinetyczna to wspaniała rzecz.

Reacher prawie się nie ruszył, ale dryblas odleciał wstecz, ogłuszony, zataczając się na sztywnych nogach, rozpaczliwie usiłując złapać równowagę, przebierając stopami w powietrzu. Wylądował sześć stóp dalej, na szeroko rozstawionych nogach, niczym wielka litera A.

Z zakrwawioną twarzą.

Teraz już miał złamany nos.

Załatwić przywódcę.

Reacher doskoczył i kopnął go w krocze, ale lewą nogą. Gdyby kopnął prawą, kawałki miednicy wyszłyby gościowi nosem. „Masz miękkie serce — mawiał mu kiedyś instruktor w wojsku. To cię pewnego dnia zgubi”.

Nie dziś, pomyślał Reacher. Nie tu. Drągał padł. Osunął się na kolana i upadł na twarz.

Reszta była naprawdę łatwa.

Następni dwaj zaatakowali w tej samej chwili i Reacher rozłożył jednego, waląc go bykiem w twarz, a drugiego łokciem w szczękę. Obaj upadli i nie ruszali się. Było po wszystkim, ponieważ pozostali dwaj uciekli. Dwaj ostatni zawsze uciekają. Dziewczyna o imieniu Sandy pobiegła za nimi. Niezbyt szybko. Nie pozwalały jej na to obcisłe spodnie i buty na wysokich obcasach. Jednak Reacher pozwolił jej uciec. Odwrócił się i kopnął każdego z jej trzech braci w żebra. Sprawdził, czy oddychają. Przejrzał zawartość ich kieszeni. Znalazł portfele. Obejrzał prawa jazdy. Potem zostawił je, wstał i odwrócił się, ponieważ usłyszał podjeżdżający samochód.

Przy krawężniku zatrzymała się taksówka. Wysiadła z niej Helen Rodin.

Rzuciła banknot kierowcy, który pospiesznie odjechał, demonstracyjnie patrząc prosto przed siebie. Helen Rodin stanęła na chodniku i wytrzeszczyła oczy. Reacher był dziesięć stóp od niej, wraz z trzema neonowymi cieniami i trzema nieruchomymi ciałami.

— Co się tu dzieje, do diabła? — zapytała.

— Ty mi powiedz — odparł. — Ty tu mieszkasz. Znasz tych palantów.

— Co to ma znaczyć? Co się stało?

— Chodźmy — zaproponował.

Poszli na południe szybkim krokiem, a na rogu skręcili na wschód. I znów na południe. Potem trochę zwolnili.

— Masz zakrwawioną koszulę — zauważyła Helen Rodin.

— To nie moja krew — odrzekł Reacher.

— Co się tam stało?

— Siedziałem w barze, oglądając mecz. Pilnując swojego nosa. Nagle jakaś nieletnia rudowłosa cizia zaczęła się do mnie przystawiać. Nie reagowałem, ale udało jej się znaleźć powód, żeby mnie spoliczkować. Wtedy rzuciło się na mnie pięciu facetów. Powiedziała, że to jej bracia. Wyszliśmy na zewnątrz.

— Pięciu?  
— Dwaj uciekli.  
— Po tym, jak pobiłeś pierwszych trzech?  
— W obronie własnej. To wszystko. Użyłem minimum siły.  
— Spoliczkowała cię?  
— Uderzyła mnie w twarz.  
— Co jej powiedziałaś?  
— Nieważne, co jej powiedziałem. To było ukartowane.  
Dlatego pytam cię, czy tak bawią się tutejsi? Zaczepiając obcych w barze?  
— Muszę się napić — powiedziała Helen Rodin. — Przyjechałam, żeby napić się z tobą drinka.  
Reacher przystanął.  
— No to wracajmy tam.  
— Nie możemy tam wrócić. Mogli wezwać policję. Zostawiłeś trzech nieprzytomnych na chodniku.  
Obejrzał się przez ramię.  
— No to chodźmy do mojego hotelu — rzekł. — Może mają tam jakiś bar.  
Poszli razem w milczeniu ciemnymi i cichymi ulicami, cztery przecznice na południe. Ominęli plac od wschodu i przeszli obok budynku sądu. Reacher spojrzął na gmach.  
— Jak się udała kolacja? — zapytał.  
— Ojciec próbował coś ze mnie wyciągnąć. Nadal sądzi, że jesteś moim świadkiem.  
— Wyjaśniłaś mu, że nie?  
— Nie mogę mu powiedzieć. Twoje informacje są zastrzeżone. Dzięki Bogu.  
— Chcesz, żeby się denerwował.  
— On się nie denerwuje. Jest całkowicie pewien wygranej.  
— Ma rację.  
— Zatem jutro wyjeżdżasz?  
— Możesz być tego pewna. To dziwne miasto.  
— Jakaś dziewczyna przystawia się do ciebie, czy to zaraz musi być spisek?  
Reacher nie odpowiedział.  
— Takie rzeczy się zdarzają — ciągnęła. — No nie? Bar,

obcy facet, sam w mieście, dlaczego jakaś dziewczyna nie miałyby się zainteresować? No wiesz, nie jesteś odrażający. Reacher szedł, nie odzywając się.

— Co jej powiedziałeś, że cię spoliczkowała?

— Nie okazywałem zainteresowania, ona nie rezygnowała, zapytałem, czy jest dziwką. Mniej więcej.

— Dziwką? Za coś takiego w Indianie możesz zostać spoliczkowany. A jej braciom może się to nie podobać.

— To było ukartowane, Helen. Bądźmy realistami. Miło z twojej strony, że tak mówisz, ale nie jestem facetem, za którym uganiają się kobiety. Wiem o tym, jasne? Tak więc to była zasadzka.

— Żadna kobieta jeszcze się za tobą nie uganiała?

— Ona uśmiechnęła się triumfalnie. Jakby znalazła okazję, żeby mnie wrobić. Jakby coś jej się udało.

Helen Rodin nic nie powiedziała.

— A ci faceci nie byli jej braćmi — dodał Reacher. — Wszyscy byli mniej więcej w tym samym wieku, a w ich prawach jazdy widniały różne nazwiska.

— Och!

— Tak więc to zostało zaaranżowane. I to jest dziwne. Coś takiego robi się tylko z dwóch powodów. Dla zabawy lub dla pieniędzy. Gość w barze może mieć kilka dolarów, ale niewiele. Tak więc zrobili to dla zabawy. A to jest dziwne. Podwójnie dziwne, bo dlaczego wybrali akurat mnie? Musieli zdawać sobie sprawę z tego, że mogą im dokopać.

— Było ich pięciu. Pięciu facetów nie mogło się spodziewać, że jeden gość skopie im tyłki. Szczególnie w Indianie.

— Może byłem jedynym obcym w barze.

Popatrzyła przed siebie.

— Zatrzymałeś się w Metropole Palace?

Skinął głową.

— Ja i kilka innych osób.

— Przecież dzwoniłam tam i usłyszałam, że cię tam nie ma. Obdzwoniłam wszystkie hotele, kiedy szukałam cię po południu.

— W hotelach podają przybrane nazwiska.

— Dlaczego?

— Po prostu zły nawyk. Już ci mówiłem. To odruchowe.

Razem weszli po frontowych schodach i przez grube mosiężne drzwi. Pomimo wczesnej pory w hotelu panowała cisza. W holu nie było nikogo. W jednej z bocznych sal mieścił się bar. Był pusty, tylko senny barman opierał się o kasę.

— Piwo — powiedziała Helen Rodin.

— Dwa — dorzucił Reacher.

Zajęli stolik przy zasłoniętym oknie, a barman przyniósł im dwie butelki piwa, dwie serwetki, dwie oszronione szklanki i miseczkę z orzechami. Reacher podpisał rachunek i podał numer swojego pokoju.

Helen Rodin uśmiechnęła się.

— Zatem za kogo biorą cię w Metropole?

— Za Jimmy'ego Reese'a — odparł Reacher.

— Kto to taki?

— Chwileczkę — powiedział Reacher.

Błysk zdziwienia w jej oczach. Nie wiedział dlaczego

Miło mi cię poznać, Jimmy Reese.

— Ta dziewczyna mnie szukała — powiedział. — Nie przypadkowego samotnego faceta.

— Naprawdę?

Skinął głową.

— Zapytała, jak się nazywam. Powiedziałem, że Jimmy Reese. To na moment zbiło ją z tropu. Była wyraźnie zaskoczona. Jakby chciała powiedzieć: Ktoś przed chwilą mi mówił, że ty jesteś Jack Reacher, a nie Jimmy Reese. Zamilkła, ale zaraz doszła do siebie.

— Pierwsze litery są takie same. Jimmy Reese, Jack Reacher. Ludzie często tak robią.

— Była bystra — powiedział. — Wcale nie taka głupia, na jaką wyglądała. Ktoś jej mnie wskazał i nie dała się zwieść. Jack Reacher miał oberwać dziś wieczorem, a ona miała tego dopilnować.

— Kim oni byli?

— A kto zna moje nazwisko?

— Policja. Dopiero co tu przyjechałeś.

Reacher tego nie skomentował.

— No co? — nalegała Helen. — Policjanci? Chcieli bronić swojej sprawy?

— Nie przyjechałem tu atakować ich sprawy.

— Jednak oni o tym nie wiedzą. Myślą, że przyjechałeś tu właśnie po to.

— Ta sprawa nie potrzebuje takiej obrony. Jest murowana. A ponadto nie wyglądali na policjantów.

— A kto jeszcze jest zainteresowany?

— Rosemary Barr. Jest zainteresowana. Zna moje nazwisko. I wie, dlaczego tu jestem.

— To śmieszne — orzekła Helen.

Reacher milczał.

— To śmieszne — powtórzyła. — Rosemary Barr to zwyczajna myszowata sekretarka. Nie wymyśliłaby czegoś takiego. Nie wiedziałyby, jak to zrobić. Nigdy w życiu.

— To była czysta amatorszczyzna.

— W porównaniu z czym? Tamtych było pięciu. Na większość facetów by wystarczyło.

Reacher znów nic nie powiedział.

— Rosemary Barr była w szpitalu — ciągnęła Helen. — Poszła do niego po naradzie w moim biurze, siedziała tam przez większość popołudnia i założyła się, że wciąż tam jest. Ponieważ jej brat odzyskuje przytomność. Ona chce być przy nim.

— Zakład o dziesięć dolców, że ma telefon komórkowy.

— Na intensywnej terapii nie można używać komórek. Powodują zakłócenia.

— No to z automatu.

Jest zbyt zajęta.

— Ratowaniem brata.

Teraz Helen Rodin nie odpowiedziała.

— To twoja klientka — rzekł Reacher. — Jesteś pewna swojej bezstronności?

— Nie myślisz jasno. James Barr prosił, żeby cię sprowadzić. Chciał, żebyś tu był. Tak więc jego siostra również sobie tego życzy. Chce, żebyś został tutaj, dopóki nie wyjaśni się, w jaki

sposób możesz mu pomóc. I jest pewna, że możesz pomóc, bo czy w innym wypadku brat prosiłby, żeby cię tu ściągnąć? Reacher milczał.

— Przyjmij to do wiadomości — powiedziała Helen. — To nie była Rosemary Barr. W jej najlepszym interesie leży, żebyś był tutaj, cały, zdrowy i przytomny.

Pociągnął długi łyk piwa. Potem kiwnął głową.

— Najwidoczniej ktoś szedł za mną dziś do tego baru. Od tego hotelu. Zatem byłem śledzony od lunchu. Jeśli Rosemary zaraz po naradzie poszła do szpitala, nie miała czasu, aby to zorganizować.

— Czyli wracamy do kogoś, kto uważa, że możesz podważyć dowody. Dlaczego nie policja? Policjanci mogli cię śledzić. Jest ich wielu i mają radiostacje.

— Policjanci stawiają czoło kłopotom. Nie wyręczają się dziewczynami.

— Ona też mogła być policjantką.

Reacher pokręcił głową.

— Za młoda. Zbyt roztrzepana. Za długie włosy.

Helen wyjęła z torebki długopis i napisała coś na serwetce. Podsunęła mu ją.

— To mój numer telefonu komórkowego — powiedziała. — Może ci się przydać.

— Nie sądzę, żeby ktoś chciał dochodzić ode mnie odszkodowania.

— Nie tego się obawiam. Boję się, że możesz zostać aresztowany. Nawet jeśli to nie była sprawa policjantów, mogli zajrzeć do tego baru. Mógł ich wezwać właściciel. Albo szpital. Bo ci trzech chłopcy na pewno wyładowali w szpitalu. A dziewczyna zna teraz twoje przybrane nazwisko. Tak więc możesz mieć kłopoty. Gdybyś miał, wysłuchaj, jak odczytają ci prawa, a potem zadzwoń do mnie.

Reacher uśmiechnął się.

— Uganiasz się za pracą?

— Pilnuję cię.

Reacher podniósł serwetkę. Schował ją do tylnej kieszeni spodni.

— W porządku — powiedział. — Dzięki.  
— Wciąż zamierzasz jutro wyjechać?  
— Jeszcze nie wiem. Może zostaną i zastanowię się, dlaczego ktoś miałby uciekać się do użycia przemocy w obronie stuprocentowo pewnej sprawy.

\*\*\*

Siedząc w swoim samochodzie, Grigor Linsky zadzwonił z telefonu komórkowego do Zeka.

— Nie udało się im — powiedział. — Bardzo mi przykro.  
Zek nic nie powiedział, co było gorsze od gniewnej tyrady.  
— Nie połączą ich z nami — rzekł Linsky.  
— Dopilnujesz tego?  
— Oczywiście.

Zek zamilkł.

— Nic się nie stało — powiedział Linsky.

— Chyba że sprowokowaliśmy tego żołnierza — rzekł Zek. — Wtedy może być źle. Nawet bardzo źle. W końcu jest przyjacielem Jamesa Barra. Ten fakt rodzi pewne konsekwencje. Pokaż mu się jeszcze raz. Niewielki nacisk może pomóc. Jednak potem już mu się nie pokazuj.

— Tylko co?

— Kontroluj sytuację — powiedział Zek. — Musimy mieć absolutną pewność, że nie zmieni się ze złej na jeszcze gorszą.

\*\*\*

Reacher odprowadził Helen Rodin do taksówki, a potem poszedł na górę do swojego pokoju. Zdjął koszulę, wrzucił ją do umywalki w łazience i namoczył w zimnej wodzie. Nie chciał plam krwi na jednodniowej koszuli. Na trzydniowej mogłyby być. Jednak nie na zupełnie nowej.

Pytania. Było wiele pytań, lecz jak zawsze należało znaleźć odpowiedź na podstawowe, kluczowe pytanie. Dlaczego ktoś miałby uciekać się do użycia przemocy w obronie stuprocentowo pewnej sprawy? Pierwsze nasuwające się pytanie: czy ta sprawa naprawdę jest stuprocentowo pewna? Odtworzył w myśl-



lach wydarzenia minionego dnia i usłyszał słowa Alexa Rodina: „Tak mocnych, jak to tylko możliwe. Najlepszych, jakie kiedykolwiek widziałem”. Emerson powiedział: „W najlepszym stylu, jaki widziałem”. A wyglądający jak przedsiębiorca pogrzebowy Bellantonio rzekł: „Najlepsza dokumentacja miejsca zbrodni, jaką zdarzyło mi się opracować”. Oczywiście, oni wszyscy mieli w tym własny zawodowy interes. Przemawiała przez nich duma. Jednak Reacher też widział wyniki pracy Bellantonio. I orzekł: „Sprawa jest murowana, stuprocentowa, jasna jak słońce”.

Czy była?

Owszem, była. Pewna jak śmierć i podatki. Tak pewna, jak to tylko możliwe.

Jednak nie takie było podstawowe pytanie.

Przeplukał koszulę, mocno ją wyżał i rozwiesił na grzejniku w pokoju. Włączył ogrzewanie i otworzył okno. Na zewnątrz nie było ulicznego ruchu. Tylko cisza. Nie jak w Nowym Jorku. Jakby o dziewiątej wieczorem zwijali asfalt. Pojechałem do Indiany, ale była zamknięta. Położył się na łóżku. Wyciągnął się wygodnie. Parująca koszula wypełniła pokój zapachem wilgotnej bawełny.

Jakie było podstawowe pytanie?

Kaseta odsłuchana przez Helen Rodin. Głos Jamesa Barra, niski, chrapliwy, sfrustrowany. Jego żądanie: „Sprowadźcie mi Jacka Reachera”.

Dlaczego tak powiedział?

Kim był Jack Reacher w oczach Jamesa Barra?

Podstawowe pytanie.

Najlepsza dokumentacja miejsca zbrodni, jaką zdarzyło mi się opracować.

Najlepsza, jaką widziałem.

Dlaczego zapłacił za parkowanie?

Będzie pan miał otwarty umysł?

Sprowadźcie mi Jacka Reachera.

Jack Reacher spoglądał na sufit. Pięć minut. Dziesięć. Dwadzieścia. Potem przetoczył się na bok i wyjął z tylnej kieszeni spodni serwetkę. Obrócił się na drugi bok i wybrał numer.

Helen Rodin odpowiedziała po ósmym dzwonku. Miała zaspany głos. Obudził ją.

— Tu Reacher — powiedział.

— Masz kłopoty?

— Nie, ale mam kilka pytań. Czy Barr już odzyskał przytomność?

— Nie, ale niewiele brakuje. Rosemary wróciła do szpitala. Zostawiła mi wiadomość.

— Jaka tu była pogoda w zeszły piątek o piątej?

— Pogoda? W piątek? Raczej taka sobie. Pochmurna.

— Czy to normalne?

— Nie, raczej nie. Zazwyczaj jest słoneczna. Albo deszczowa. O tej porze roku zwykle jedno z dwojga. Częściej jest słonecznie.

— Było ciepło czy zimno?

— Niezbyt zimno. Ale i nie gorąco. Zdaje się, że normalnie.

— Co włożyłaś na siebie, gdy szłaś do pracy?

— Cóż to, zadzwoniłeś poświntuszyć?

— Powiedz.

— To samo co dziś. Żakiet i spodnie.

— Bez płaszcza?

— Nie był mi potrzebny.

— Masz samochód?

— Tak, mam samochód. Jednak do pracy jeżdżę autobusem.

— Jutro weź samochód. Spotkamy się o ósmej w twoim biurze.

— O co chodzi?

— Jutro—powiedział. — O ósmej. A teraz wracaj do łóżka.

Rozłączył się. Wstał z łóżka i sprawdził koszulę. Była ciepła i wilgotna. Do rana wyschnie. Miał nadzieję, że się nie zbiergnie.

# 5

Reacher zbudził się o szóstej i wziął długi zimny prysznic, ponieważ w pokoju było gorąco. Jednak koszula wyschła. Była sztywna jak deska i wciąż na niego pasowała. Hotelowa restauracja nie przyjmowała zamówień do pokoi. Reacher poszedł zjeść śniadanie. Na ulicach było pełno ciężarówek rozwożących żwir i tłuczeń oraz betoniarek zaspokajających nienasycony apetyt placów budów. Przemknął między nimi i poszedł na południe, w kierunku rzeki. Przekroczył granicę dzielnic. Znalazł bar z typowym menu dla robotników. Wypił kawę i zjadł jajecznicę. Siedząc przy oknie, patrzył na ulicę, szukając kogoś, kto bez celu wystawałby w bramie lub siedział w zaparkowanym samochodzie. Ponieważ śledzono go poprzedniego wieczoru, można było logicznie założyć, że teraz również. Dlatego miał oczy otwarte. Jednak nikogo nie dostrzegł.

Potem poszedł First Street na północ. Słońce miał po prawej. Wykorzystując witryny sklepowe jako lustro, sprawdzał ulicę za plecami. Wielu ludzi podążało w tym samym kierunku co on, ale nikt go nie śledził. Odgadł, że ten ktoś będzie czekał na niego na placu, chcąc potwierdzić to, czego z pewnością się domyślał: **świadek poszedł do biura adwokata.**

Fontanna wciąż była czynna. Zbiornik napełnił się już prawie do połowy. Kwiaty i świece nadal tam były, równo ustawione, starsze o kolejny dzień, trochę bardziej wyblakłe, trochę bardziej zwieńdnięte. Pomyślał, że będą tu jeszcze mniej więcej tydzień.

Do ostatniego pogrzebu. Potem zostaną usunięte, dyskretnie, w środku nocy, i miasto zajmie się czymś innym.

Przez chwilę siedział na postumencie NBC, plecami do budynku, jak facet czekający tu, ponieważ zbyt wcześnie się zjawił. Tak też było. Była siódma czterdzieści pięć. Inni ludzie też znaleźli się w takiej sytuacji. Stali wokół, pojedynczo albo w dwu- lub trzyosobowych grupkach, dopalając papierosy, czytając poranne wiadomości, gawędząc przed codzienną harówką. Reacher najpierw przyjrzał się samotnym mężczyznom czytającym gazety. To tradycyjna przykrywka śledzącego. Chociaż jego zdaniem obecnie ustępująca pola nowej — wypędzonego na dwór palacza. Nowymi niewidzialnymi stali się obecnie palacze stojący przy drzwiach. Albo rozmawiający przez telefony. Możesz tak sobie stać całe wieki z komórką przyciśniętą do ucha i nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

W końcu wybrał gościa, który jednocześnie palił i rozmawiał przez telefon. Niski facet około sześćdziesiątki. Może starszy. Inwalida. Lekko przechylony na bok. Zapewne dawne obrażenia kręgosłupa. Albo połamane zębra, które źle zrosły się przed wieloma laty. Jakkolwiek było, nadawało mu nieprzyjemny, awanturniczy wygląd. Nie był typem człowieka, który godzinami może gadać o niczym. A jednak właśnie to robił. Miał rzadkie siwe włosy, niedawno ostrzyżone, ale nie wymodelowane. Jego dwurzędowy garnitur był szyty przez drogiego krawca, ale nie w Stanach. Był za krótki i za szeroki w ramionach, za gruby na taką pogodę. Może Polak. Albo Węgier. Na pewno z Europy Wschodniej. Twarz blada, oczy czarne. Ani razu nie spojrzął w kierunku Reachera.

Reacher spojrzął na zegarek. Siódma pięćdziesiąt pięć. Zsunął się z błyszczącego granitu i wszedł do wieżowca.

\*\*\*

Grigor Linsky przestał udawać i naprawdę zadzwonił ze swojego telefonu komórkowego. — Jest tutaj — powiedział. — Właśnie pojechał na górę.

— Widział cię? — zapytał Zek.

— Tak. Jestem tego pewien.

— Niech to będzie ostatni raz. Od tej pory trzymaj się w cieniu.

\*\*\*

Okazało się, że Helen Rodin już jest w biurze. Wyglądało na to, że siedzi tam od dawna. Miała na sobie ten sam czarny kostium, ale pod niego włożyła prosty golf, niezbyt obcisły. Jasnoniebieski, dokładnie w takim samym odcieniu jak jej oczy. Włosy związała w długi koński ogon. Biał jej biurka był zasypany prawniczymi książkami. Jedne leżały grzbietami do góry, inne do dołu. Wszystkie były pootwierane. Kończyła ósmą stronę notatek w żółtym notatniku. Źródła, notatki dotyczące sprawy, wyroki, precedensy.

— James Barr jest przytomny — powiedziała. — Rosemary dzwoniła do mnie o piątej rano.

— Mówił coś?

— Tylko do lekarzy. Na razie nikogo do niego nie dopuszczają. Nawet Rosemary.

— A policjantów?

— Ci też muszą czekać. Muszę tam być pierwsza. Nie mogę pozwolić, żeby rozmawiał z policją pod nieobecność swojego adwokata.

— A co mówi lekarzom?

— Że nie wie, dlaczego tam jest. Nie pamięta piątku. Lekarze twierdzą, że należało się tego spodziewać. Przy urazach głowy może dojść do amnezji obejmującej nawet kilka dni przed urazem. Czasem nawet kilka tygodni.

— I w jakiej cię to stawia sytuacji?

— Przed dwoma poważnymi problemami. Po pierwsze, on może symulować amnezję. A tego bardzo trudno dowiedzieć. Tak więc teraz muszę znaleźć specjalistę, który potrafi wydać opinię i w tej sprawie. Jeżeli nie udaje, to mamy prawdziwy problem. Jeśli jest zdrowy na umyśle teraz i był zdrowy przedtem, ale nie pamięta wydarzeń ostatniego tygodnia, to jak może mieć uczciwy proces? Nie będzie mógł współpracować ze swoim obrońcą. Przecież nie będzie miał pojęcia, o czym my wszyscy

mówimy. I to władze stanowe są za to odpowiedzialne. To one dopuściły do jego pobicia. To był stanowy areszt. Nie mogą robić takich rzeczy, a potem sądzić poturbowanego.

— Co zrobi twój ojciec?

— Będzie walczył zębami i pazurami. To oczywiste. Żaden prokurator nie może dopuścić do tego, żeby amnezja wpływała na proces. W przeciwnym razie mielibyśmy setki takich przypadków. Wszyscy przestępcy chcieliby zostać poturbowani. W areszcie śledczym. Nagle nikt by nic nie pamiętał.

— To na pewno nie pierwszy taki przypadek.

Helen kiwnęła głową.

— Nie pierwszy.

— I co mówią prawnicze księgi?

— Właśnie je przeglądam. Jak widzisz. Dusky przeciwko Stanom Zjednoczonym, Wilson przeciwko Stanom Zjednoczonym.

— I?

— Jest mnóstwo „jeśli” i „ale”.

Reacher nic nie powiedział. Helen spojrzała mu w oczy.

— Wszystko wymyka się spod kontroli — oświadczyła. — Teraz ugrzęźniemy w ekspertyzach. Ta sprawa prawdopodobnie dojdzie aż do Sądu Najwyższego. Nie jestem na to przygotowana. Nie chcę tego. Nie zamierzam być adwokatem, który wyciąga ludzi, powołując się na błędy proceduralne. To nie dla mnie i nie mogę pozwolić, żeby przywarła do mnie taka etykieta.

— No to ogłoś, że jest winny, i do diabła z tym.

— Kiedy zadzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem, myślałam, że zamierzasz przyjść tu dziś rano i powiedzieć, że on jest niewinny.

— Chyba śnisz — rzekł Reacher.

Odwróciła głowę.

— Jednak...

Znów na niego spojrzała.

— Jest jakies jednak?

Kiwnął głową.

— Niestety.

- Jakie?  
—Nie jest aż tak winny, jak myślałem.  
—Jak to?  
—Siądźmy do twojego samochodu, to ci pokażę.

\*\*\*

Zjechali razem do podziemnego parkingu, wyłącznie dla mieszkańców budynku. Stały tam wozy transmisyjne NBC oraz samochody osobowe, furgonetki i limuzyny różnych marek i roczników. Był nowy błękitny mustang kabriolet z nalepką NBC na przedniej szybie. Zapewne Ann Yanni, pomyślał Reacher. Pasował do niej. W wolne dni jeździłaby z odkrytym dachem, a w dni pracy opuszczałaby go, żeby nie zepsuła jej się fryzura przed występem. A może używała mnóstwa sprayu.

Do Helen Rodin należał ciemnozielony mały sedan, tak niepozorny, że Reacher nawet nie znał jego marki. Może saturn. Samochód był nieumyty i nienowy. Wóz świeżego absolwenta uczelni, kupiony po podjęciu pracy, kiedy jest już z czego go spłacać. Reacher wiedział wszystko o zakupach na raty. Podczas sprawozdań z meczów baseballowych w telewizji puszczano mnóstwo reklam. W trakcie każdej przerwy.

—Dokąd jedziemy? — spytała Helen.

—Na południe — odparł Reacher.

Przesunął swój fotel do tyłu, zgniatając jakieś przedmioty poupychane za oparciem. Ona siedziała blisko kierownicy, chociaż nie była niska. W rezultacie spoglądał na nią nieco z tyłu.

—Co wiesz? — zapytała.

—Nie chodzi o to, co ja wiem — odparł — tylko o to, co wie James Barr.

—O czym?

—O mnie.

Wyjechała z parkingu i ruszyła na południe ulicą równoległą do First Street. O ósmej rano na ulicach panował jeszcze ożywiony ruch. Zapewne ludzie jechali w przeciwną stronę niż w popołudniowych godzinach szczytu.

— Co wie o tobie James Barr? — zapytała.  
— Coś, co sprawiło, że chce, żebym tu był — odparł.  
— Powinien cię nienawidzić.  
— Na pewno nienawidzi. Mimo to chciał, żebym tu był.  
Wlekli się na południe, w kierunku rzeki.  
— Nigdy przedtem mnie nie spotkał — powiedział Reacher. — Ani nigdy potem. Zналиśmy się przez jakieś trzy tygodnie przed ponad czternastoma laty.  
— Znał cię jako detektywa. Faceta, który rozwiązał trudną sprawę.  
— Sprawę, którą uważał za niemożliwą do rozwiązania. Patrzył, jak doszedłem do rozwiązania. Miał miejsce w pierwszym rzędzie. Uważał mnie za geniusza.  
— Dlatego chciał, żebyś tu przyjechał? Reacher skinął głową.  
— Wczorajszego wieczoru usiłowałem zasłużyć na tę opinię.  
Przejechali przez rzekę długim żelaznym mostem. Słońce mieli po lewej. Po prawej nabrzeże. Poniżej rzeka leniwie toczyła swe szare wody.  
— Teraz jedź na zachód — powiedział Reacher.  
Skreśliła w prawo i wjechała na dwukierunkową lokalną drogę. Wzdłuż brzegu rzeki stały sklepiki z przynętą i budy sprzedające dania z rożna, piwo oraz pokruszony lód.  
— Przecież ta sprawa już została rozwiązana — powiedziała. — On o tym wie.  
— Tylko połowicznie — rzekł Reacher. — Oto co wie.  
— Połowicznie?  
Reacher skinął głową, chociaż nie mogła tego widzieć.  
— W tej sprawie kryje się dużo więcej, niż dostrzegł Emerson. Barr chciał, żeby ktoś to zrozumiał. Jednak jego pierwszy adwokat był leniwy. Nie interesowało go to. Dlatego Barr był taki zniechęcony.  
— Co więcej?  
— Pokażę ci.  
— Dużo więcej?  
— Tak sądzę.  
— Czemu więc nie podał faktów, jakiegokolwiek one są?



— Ponieważ nie mógł. I ponieważ i tak nikt by mu nie uwierzył.

— Dlaczego? Co się tam stało, do diabła?

Przed nimi pojawił się wjazd na autostradę, tak jak Reacher oczekiwał.

— Pokażę ci — powtórzył. — Jedź autostradą na północ. Skierowała samochód na wjazd i włączyła się do ruchu.

Sznur pojazdów ciągnął na północ. Osiemnastokątne ciężarówki, naczepy, furgonetki, samochody osobowe. Autostrada przekraczała rzekę po betonowym moście. Nabrzeże było widać na wschodzie, w oddali. Centrum miasta mieli przed sobą, po prawej. Szosa wznosiła się łagodnie. Jechali dalej, a po obu stronach migały dachy pierwszych budynków przedmieścia.

— Bądź gotowa skrócić w zjazd za biblioteką — powiedział Reacher.

Miał to być skręt w prawo. Tablica oznajmiła to ze sporym wyprzedzeniem. Przerywana linia, oddzielająca prawy pas od środkowego, zmieniła się w ciągłą. Potem ciągła przeszła w klin. Jadący dalej pomknęli lewym pasem. Oni zjechali na prawy i pozostali na nim. Klin poszerzył się i wypełnił skrzyżowanymi pasami. Przed nimi były żółte beczki. Minęli je i znaleźli się na zjeździe wiodącym za bibliotekę. Reacher obrócił się na fotelu i spojrzął przez tylną szybę. Nikt za nimi nie jechał.

— Zwolnij — polecił.

Dwieście jardów dalej wjazd zaczynał skręcać za gmach biblioteki, za wieżowiec z czarnego szkła. Szosa była dostatecznie szeroka, żeby poprowadzić na niej dwa pasy. Jednak promień skrętu sprawiał, że dwa szybko jadące obok siebie samochody mogłyby mieć problemy na zakręcie. Specjaliści z nadzoru ruchu drogowego chcieli tego uniknąć. Wybrali inne rozwiązanie. Wyznaczyli tylko jeden pas ruchu. Nieco szerszy niż zwykle, z poprawką na niewłaściwą ocenę szybkości. Pas biegł od lewej do prawej, przecinając zakręt pod znacznie szerszym kątem.

— Teraz jedź naprawdę wolno — rzekł Reacher.

Samochód zwolnił. Przed nimi po lewej pojawił się półksiężycowaty kształt białych, krzyżujących się linii. Tuż obok

nich po prawej zaczynał się długi i cienki, biały trójkąt. Zwyczajne białe linie na asfalcie, wytyczające bezpieczny kierunek mchu.

— Zatrzymaj się — powiedział Reacher. — Tutaj, po prawej.

— Tu nie wolno się zatrzymywać — odparła Helen.

— Jakbyś złapała gumę. Stań. Tutaj.

Zahamowała i skręciła, kierując samochód na pasy ziemi niczyjej po prawej. Poczuli, jak opony podskakują na tych grubych białych liniach. Gwałtowne, rytmiczne wstrząsy. Rytm stał się wolniejszy, gdy samochód zwolnił.

Zatrzymała wóz.

— Cofnij trochę — powiedział Reacher.

Cofnęła, jakby chciała zaparkować przy betonowej balustradzie.

— A teraz jard do przodu. Podjechała jard.

— W porządku.

Opuścił szybę. Po lewym pasie jechało się gładko i spokojnie, lecz pomalowana w pasy ziemia niczyja, na której stanęli, była pokryta warstwą ziemi, śmieci i rozmaitych resztek pozostawionych tu w ciągu lat przez przejeżdżające pojazdy. Puszki, butelki, połamane kołpaki, okruchy szkła z reflektorów i plastikowe drzazgi z potrzaskanych zderzaków. W oddali po lewej jadące dalej pojazdy z warkotem mknęły po oddzielnym moście. Panował na nim spory ruch. Tutaj jednak czekali całą minutę, zanim następny pojazd przejechał tą samą drogą co oni. Samotny pick-up przejechał tak blisko nich, że podmuch zakłócił samochodem. Potem na zjeździe znów zrobiło się cicho.

— Słaby ruch — zauważył Reacher.

— Nigdy nie jest duży — odparła Helen. — Ten zjazd nie prowadzi w żadne uczęszczane miejsce. Kompletna strata pieniędzy. Oni chyba po prostu muszą nieustannie coś budować.

— Spójrz na dół — powiedział Reacher.

Estakada była wsparta na wysokich filarach. Szosa znajdowała się około czterdziestu stóp nad ziemią. Balustrada miała trzy stopy wysokości. Dalej, przed nimi i po prawej, były górne piętra budynku biblioteki. Miała ozdobny gzyms z rzeźbionego

wapienia i pokryty dachówkami dach. Ten był niemal na wyciągnięcie ręki.

— Co? — zapytała Helen.

Reacher wskazał kciukiem, a potem odchylił się, żeby mogła się przyjrzeć. Po prawej mieli widok na cały plac, przy czym wąskie przejście między brzegiem zbiornika fontanny a murkiem znajdowało się dokładnie naprzeciw nich. A za nim, idealnie na wprost, były drzwi wydziału komunikacji.

— James Barr był strzelcem wyborowym — powiedział Reacher. — Nie najlepszym, nie najgorszym, ale był jednym z naszych i szkolił się ponad pięć lat. Takie szkolenie ma pewien cel. Z ludzi, którzy niekoniecznie są sprytni, robi bardzo sprytnych, wbijając im do głów pewne reguły. Aż zaczną ich przestrzegać zupełnie odruchowo.

— Nie rozumiem.

— To jest miejsce, z którego strzelałby snajper. Tutaj, z autostrady. Ponieważ stąd widziałby swoje cele idące w jego kierunku. Szeregiem, w wąskim przejściu. Wycelowałby w jeden poruszający się cel i nic więcej nie musiałby robić. Cele weszłyby w pole ostrzału, jeden po drugim. Strzelać z boku jest znacznie trudniej. Cele przesuwają się stosunkowo szybko, trzeba odłożyć poprawkę i przesunąć lufę po każdym strzale.

— Ale on nie strzelał stąd.

— Właśnie o to mi chodzi. Powinien, ale nie zrobił tego.

— A zatem?

— Miał minivana. Powinien zaparkować go w tym miejscu, gdzie teraz stoimy. Dokładnie tutaj. Powinien przejść na tył wozu i otworzyć przesuwane drzwi. Powinien strzelać z wnętrza samochodu, Helen. Jego wóz miał przyciemnione szyby. Z mijających go samochodów nikt niczego by nie zauważył. Powinien oddać sześć strzałów, do znacznie łatwiejszych celów, a wtedy sześć łusek pozostałoby w samochodzie. Potem zamknąłby drzwi, wrócił za kierownicę i odjechał. Miałby znacznie lepsze stanowisko i nie zostawiłby żadnych śladów. Żadnych materialnych dowodów poza śladami opon na drodze, ponieważ niczego nie musiałby dotykać.

— Stąd jest dalej. Musiałby strzelać z większej odległości.

— Najwyżej siedemdziesiąt jardów. Barr potrafił celnie strzelać z pięciokrotnie większej odległości. Jak każdy wojskowy snajper. Dla M1A super match siedemdziesiąt jardów to jak strzał z przystawienia.

— Ktoś mógłby zapamiętać numery rejestracyjne. Wprawdzie rzadko, ale jeżdżą tu samochody. Ktoś mógł go zapamiętać.

— Tablice rejestracyjne jego wozu były zachlapane błotem. Zapewne celowo. Odjechałby niepostrzeżenie. Po pięciu minutach byłby pięć mil stąd. To lepsze od przedzierania się przez korki w centrum miasta.

Helen Rodin nic nie odparła.

— I spodziewał się pogodnego dnia — rzekł Reacher. — Mówiłaś mi, że tu przeważnie jest pogodnie. O piątej po południu zachodzące słońce miałby za plecami. Strzelałby ukryty w słońcu. To najlepsze stanowisko, o jakim może marzyć snajper.

— Czasami pada.

— To też by mu nie przeszkadzało. Deszcz zatarłby ślady jego opon w tym błocie. Tak czy inaczej, powinien przyjechać tutaj. Miał wszelkie możliwe powody, żeby być właśnie tu.

— Jednak nie był.

— Najwyraźniej.

— Dlaczego?

— Powinniśmy wrócić do twojego biura. Tam powinnaś teraz się znaleźć. Musisz opracować strategię.

\*\*\*

Helen Rodin usiadła przy biurku. Reacher podszedł do okna i spojrzął na plac. Poszukał wzrokiem mężczyzny w grubym garniturze. Nie zauważył go.

— Jaką strategię? — spytała Helen. — Barr wybrał sobie stanowisko, to wszystko, i twoim zdaniem wybrał nie najlepiej, niezgodnie z wojskową doktryną sprzed czternastu lat, o której zapewne zapomniał w dniu, kiedy odszedł z wojska.

— Tego się nie zapomina — rzekł Reacher.

— To mnie nie przekonuje.

— Właśnie dlatego wypiął się na Chapmana. Ten też nie dałby się przekonać. Dlatego poprosił, żebyście ściągnęli mnie.

— A ciebie to przekonuje?

— Dziwi mnie, że wyszkolony strzelec wyborowy rezygnuje z idealnego stanowiska strzeleckiego na rzecz znacznie gorszego.

— W Kuwejcie strzelał z parkingu. Sam tak mówiłeś.

— Ponieważ tam miał idealną pozycję. Dokładnie naprzeciwko drzwi do budynku. Ci czterej faceci wyszli prosto na niego. I upadli jak kostki domina.

— Minęło czternaście lat. On nie jest już taki dobry, jak był. To wszystko.

— Tego się nie zapomina — powtórzył Reacher.

— No i co, to czyni go mniej winnym?

— Jeśli ktoś wybiera okropne B zamiast wspaniałego A, musi być po temu jakiś powód. A powody mają swoje konsekwencje.

— Jaki on miał powód?

— Musiał to być dobry powód, no nie? Ponieważ dobrowolnie wszedł w pułapkę, jaką był budynek parkingu, wybrał stanowisko znajdujące się znacznie niżej i w zamkniętej przestrzeni, z którego trudniej było strzelać i które z samej swej natury było najlepszym miejscem do zbierania dowodów, jakie weteran Emerson widział w swojej dwudziestoletniej praktyce.

— W porządku, powiedz mi, dlaczego to zrobił.

— Ponieważ dosłownie wychodził z siebie, żeby dostarczyć nam wszystkich możliwych dowodów.

Wytrzeszczyła oczy.

— To szaleństwo.

— Dowody były doskonałe. Wszyscy byli tak zachwyceni tymi doskonałymi dowodami, że nikomu nie przyszło do głowy, że są zbyt doskonałe. Mnie również. To było jak z serialu kryminalnego, Helen. Pewnie taką sprawę dali Bellantoniowi pierwszego dnia w Akademii Policyjnej. O wiele za dobrą, żeby była prawdziwa, tak więc nieprawdziwą. Wszystko było nie tak. Na przykład, dlaczego włożył prochowiec? Było ciepło,

nie padało, a on jechał samochodem i ani chwili nie przebywał pod gołym niebem. Włożył go, żeby zostawić włókna materiału na filarze. Dlaczego miał na nogach te idiotyczne buty? Wystarczy na nie spojrzeć, żeby wiedzieć, że przyczepi się do nich każdy paproch. Czemu strzelał z ciemności? Aby ludzie zauważyli błyski strzałów i zlokalizowali jego stanowisko, żeby technicy mogli zaraz tam pójść i zebrać wszystkie dowody. Dlaczego porysował karabin o murek? Przecież to broń za dwa i pół tysiąca dolarów. Dlaczego nie zabrał ze sobą tego styropianowego słupka? Łatwiej byłoby wrzucić go do bagażnika, niż zostawiać.

— To szaleństwo — powtórzyła Helen.

— Są dwa kluczowe fakty — ciągnął Reacher. — Dlaczego zapłacił za parkowanie? Od początku mnie to niepokoiło. No wiesz, kto tak robi? A on to zrobił. I zrobił to tylko po to, żeby zostawić jeszcze jeden ślad. Żadne inne wyjaśnienie nie ma sensu. Chciał zostawić w parkometrze ćwierćdolarówkę ze swoimi odciskami palców. Aby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Żeby odciski pasowały do tych na łusce, którą pewnie też zostawił specjalnie.

— Wpadła do szczeliny.

— Mógł ją wyjąć. Według raportu Bellantonia leżało tam mnóstwo kawałków drutu. Zajęłoby mu to półtorej sekundy.

Helen Rodin zastanowiła się.

— A drugi kluczowy fakt?

— Łatwo go dostrzec, kiedy spojrzy się z odpowiedniej strony. On chciał patrzeć na fontannę od południa, nie od zachodu. To było najważniejsze. Chciał strzelać wzdłuż niej, nie w poprzek.

— Dlaczego?

— Ponieważ wcale nie chybił, Helen. Ten jeden strzał rozmyślnie oddał do fontanny. Chciał wpakować kulę w wodę, po dłuższej osi, pod ostrym kątem, jakby strzelał do kulochwyty w laboratorium balistycznym, żeby znaleziono ją później nieuszkodzoną. Żeby można było ustalić, że została wystrzelona z jego broni. Nie osiągnąłby tego celu, gdyby strzelał w poprzek. Kula miałaby zbyt krótki odcinek do pokonania, nie zostałaby

wyhamowana przez wodę i za mocno uderzyłaby w murek. Zostałaby zniekształcona.

— Tylko dlaczego zrobił to wszystko?

Reacher nie odpowiedział.

— Skrucha? Z powodu tego, co zrobił czternaście lat temu? Chciał zostać złapany i ukarany?

Reacher pokręcił głową.

— W takim wypadku przyznałby się do winy zaraz po aresztowaniu. Gdyby dręczyły go wyrzuty sumienia, od razu by się przyznał.

— Zatem dlaczego to zrobił?

— Ponieważ musiał, Helen. Po prostu

Wytrzeszczyła oczy.

— Ktoś go zmusił — wyjaśnił Reacher. — Zmuszono go, żeby to zrobił i żeby zostawił obciążające dowody. Kazano mu po wszystkim jechać do domu i czekać na aresztowanie. Dlatego zażył środki nasenne. Zapewne był bliski szaleństwa, gdy siedział tam i czekał na policję.

Helen Rodin milczała.

— Został wrobiony — powiedział Reacher. — Wierz mi. To jedyne logiczne wytłumaczenie. Nie jest wariatem. Właśnie dlatego powiedział: „Mają niewłaściwego faceta”. To była wiadomość. Miał nadzieję, że ktoś ją zrozumie. Chciał przez to powiedzieć, że powinni szukać drugiego faceta. Tego, który kazał mu to zrobić. Tego, który, jego zdaniem, jest bardziej winny.

Helen Rodin nadal milczała.

— Faceta, który pociągał za sznurki — zakończył Reacher.

\*\*\*

Reacher ponownie spojrzął z okna na plac. Zbiornik fontanny był w dwóch trzecich pełny. Fontanna wesoło pluskała. Słońce zaszło. Nie zauważył nikogo kręcącego się bez celu.

Helen Rodin podniosła się zza biurka. Stała i nie ruszała się.

— Powinam fikać koziołki — powiedziała.

— On zabił pięć osób.

— Jednak jeśli został do tego zmuszony, to zmienia jego sytuację. Jak sądzisz, co to było? Rodzaj wyzwania? Szukanie wrażeń.

— Może — odparł Reacher. — Chociaż wątplię. Przede wszystkim James Barr jest o dwadzieścia lat za stary na wyzwania. To dobre dla dzieci. I w takim wypadku strzelałby z autostrady. Chcieliby, żeby wyszedł cało i mógł robić to znowu.

— Zatem co?

— Coś zupełnie innego. Coś konkretnego.

— Czy nie powinniśmy pójść z tym do Emersona?

— Nie — powiedział Reacher.

— Ja sądzę, że powinniśmy.

— Mamy powody, żeby tego nie robić.

— Jakie?

— Pierwszy to ten, że Emerson ma najlepszą sprawę w swojej karierze. Nie będzie chciał jej psuć. Żaden policjant by nie chciał.

— Co więc powinniśmy zrobić?

— Powinniśmy zadać sobie trzy podstawowe pytania — rzekł Reacher. — Kto, jak i dlaczego. To był rodzaj transakcji. Musimy dojść do tego, kto na niej skorzystał. Ponieważ na pewno nie był to James Barr.

— Tym kimś jest na pewno ten, kto nasłał na ciebie tych facetów wczoraj wieczorem. Ponieważ jest zadowolony z transakcji i nie chce, żeby jakiś obcy zaczął kołysać łodzią.

— Słusznie — pochwalił Reacher.

— Powinnam więc poszukać tego kogoś.

— Może nie.

— Dlaczego nie?

— Aby chronić życie klienta.

— James Barr jest w szpitalu, pilnowany dzień i noc.

— On nie jest twoim klientem. Jest nią Rosemary Barr. Powinnaś się zastanowić, jaka groźba mogła zmusić kogoś takiego jak James Barr do popełnienia takiego czynu. Przecież w najlepszym razie mógł oczekiwać dożywcia. W najgorszym kaftana bezpieczeństwa. On dobrze o tym wiedział. Musiał



wiedzieć. Zatem dlaczego to zrobił? Dlaczego posłusznie wykonał rozkaz? To musiała być bardzo poważna groźba, Helen. A co Barr miał do stracenia? Nie ma żony ani dzieci, ani nikogo innego. Poza siostrą.

Helen Rodin nic nie odparła.

— Kazano mu siedzieć cicho do końca. Najwyraźniej. Dlatego chciał, żebyście mnie tu sprowadzili. To był rodzaj zaszifrowanej wiadomości. Ponieważ marionetka nie może mówić o swoim panu, nigdy, gdyż groźba nadal jest aktualna. Sądzę, że poświęcił swoje życie za życie siostry. A to rodzi poważny problem. Jeśli ten, kto pociąga za sznurki, zobaczy, że zaczynasz węszyć, pomyśli, że marionetka zaczęła mówić. Właśnie dlatego nie możesz pójść z tym do Emersona.

— Jednak marionetka nic nie powiedziała.

— Możemy dać ogłoszenie w gazecie. Myślisz, że ktoś w to uwierzy?

— No to co mam robić?

— Nic — odparł Reacher. — Nic nie możesz zrobić. Ponieważ im bardziej będziesz się starała pomóc Jamesowi Barrowi, tym bardziej narazisz życie Rosemary Barr.

Helen Rodin milczała długą chwilę.

— Możemy zapewnić jej ochronę? — zapytała.

— Nie — odrzekł Reacher. — Nie możemy. Jest nas tylko dwoje. Potrzebowalibyśmy co najmniej czterech ludzi i bezpiecznej kryjówki. A to byłoby bardzo kosztowne.

Helen Rodin wyszła zza biurka. Obeszła je, stanęła obok Reachera i spojrzała przez okno. Lekko oparła dłoń o parapet, jak pianistka o klawiaturę. Potem odwróciła się i oparła o szybę. Ładnie pachniała, jakby mydłem.

— Mógłbyś poszukać winnego — powiedziała.

— Mógłbym? — zapytał beznamiętnie.

Kiwnęła głową.

— Popenił błąd. Dał ci powód niezwiązany z Jamesem Barrem. Nie bezpośrednio. Nasłał na ciebie tych chłopców. W ten sposób dał ci dobry powód do szukania ich pracodawcy. Niezależny powód. Mógłbyś zacząć go szukać, a on niekoniecznie musiałby dojść do wniosku, że James Barr coś powiedział.

— Nie przyjechałem tutaj go bronić.

— Możesz uważać, że pomagasz prokuratorowi. Jeśli w tę zbrodnię były zamieszane dwie osoby, to obie zasługują na karę. Dlaczego tylko jedna ma zapłacić za wszystko?

Reacher nie odpowiedział.

— Albo uważaj, że mnie pomagasz — powiedziała Helen.

\*\*\*

Grigor Linsky zadzwonił ze swojej komórki.

— Wrócili do jej biura — powiedział. — Widzę ich oboje w oknie.

## 6

Reacher wjechał windą na samą górę wieżowca z czarnego szkła i znalazł schody prowadzące na dach. Wyszedł nań przez metalowy właz obok zbiornika na wodę i mechanizmu napędowego windy. Dach był pokryty szarą papą posypaną żwirem. Wieżowiec miał piętnaście pięter, niewiele w porównaniu z wieżowcami w innych miastach. Mimo to sprawiał wrażenie najwyższego w Indianie. Reacher zobaczył płynącą na południu rzekę. Na południu i na zachodzie z miasta wychodziły nitki autostrady. Przeszedł na północno-zachodni narożnik, gdzie smagnął go wiatr, przyciskając koszulę do piersi i tarmosząc nogawki. Pod nim zjazd z autostrady zawijał się za budynek biblioteki i wieżowiec, aby potem pobiec na wschód. W oddali skryta we mgle autostrada stanowa podążała na północ i napotykała rozjazd w kształcie koniczynki. Od tej odchodziła długa i prosta droga, prowadząca w kierunku wieżowca. Zapamiętał ją, ponieważ właśnie ta droga była mu potrzebna.

Zjechał na parter i wyszedł z budynku. Na poziomie ulicy było ciepło i bezwietrznie. Udał się na północ i na zachód, tak więc ominął sportowy bar. Drogę, którą widział z dachu, napotkał nieco na południe od niego. Była prosta i szeroka. Czteropasmowa. Bliżej śródmieścia pojawiały się przy niej nędzne sklepiki. Był sklep z bronią, z grubą siatką w oknach. Salon fryzjerski z napisem: Każda fryzura 7 \$. Staromodny

motel stojący na parceli, która kiedyś zapewne znajdowała się na skraju miasta. Za nie oznakowanym skrzyżowaniem sklepy stawały się okazalsze, a budynki nowsze. To nowe centrum handlowe. Brakowało zabudowań, które trzeba by burzyć. Niegdyś ziemia niczyja, teraz rozchwytywana.

Szedł dalej i po przejściu następnej mili minął zajazd z barem szybkiej obsługi. Potem sklep z oponami. Cztery nowe radialne za 99 \$! Potem sklep z olejami samochodowymi i salon małowitrazowych koreańskich samochodów. Najlepsza gwarancja w Ameryce! Pilnie się rozglądał, ponieważ przypuszczał, że jest już blisko.

Jesteś dziwką?

Skądże! Pracuję w sklepie z częściami samochodowymi.

Nie w jednym ze sklepów z częściami samochodowymi. W sklepie. Może jedynym w mieście, a przynajmniej głównym. Największym. Który w każdym mieście można znaleźć w tym samym ciągu handlowym co sklepy opon, salony samochodowe i sklepy z olejami silnikowymi. I w każdym mieście ten ciąg zaczyna się zaraz po zjeździe z autostrady. Miasta są różne, ale także do siebie podobne.

Przez dziesięć minut szedł wzdłuż ogrodzenia przedstawicielstwa Forda, gdzie prawie tysiąc nowych pick-upów stało rzędem obok siebie, przednimi kołami na podwyższeniu. Za nimi wznosił się wielki nadmuchany goryl, przytrzymywany stalowymi linami. Do lin były umocowane blaszane poręczki. Za nowymi samochodami stały stare. Z wymiany, odgadł Reacher, czekające na nowych właścicieli. Za parkingiem używanych wozów znajdowała się droga ewakuacyjna.

A potem sklep z częściami samochodowymi.

Budynek był długi i niski, ładny i zadbane, z pewnością wzięty w ajencję. Nowy asfalt na parkingu, reklamy w oknach. Tanie filtry olejowe, tani płyn do chłodziw, gwarantowane części do hamulców, superwydajne akumulatory. Parking był w jednej czwartej wypełniony. Stały tam poobijane hondy z szerokimi rurami wydechowymi, niebieskimi reflektorami i chromowanymi felgami. Sfatygowane pick-upy z połamanymi resorami.

Znużone sedany, mające na licznikach ponad dwieście tysięcy mil. Na samym końcu parkingu stały obok siebie dwa samochody. Własność personelu, domyślił się Reacher. Nie mogli parkować na najlepszych miejscach od frontu, ale chcieli je widzieć z okien. Jednym był czterocylindrowy chevrolet, a drugim mała toyota. Chevrolet miał na fartuchach chromowane sylwetki leżących kobiet, tak więc do rudej należała toyota. A przynajmniej tak przypuszczał Reacher.

Wszedł do budynku. W środku było bardzo chłodno i unosił się silny zapach chemikaliów. Około pół tuzina interesantów przechadzało się, oglądając towar. Przy wejściu stały stojaki pełne szklanych i chromowanych przedmiotów. Akcesoria do pielęgnacji, domyślił się Reacher. Z tyłu były półki z czerwonymi kartonami. Tarcze hamulcowe, okładziny, węże do chłodnic i tym podobne. Części. Nigdy nie wymieniał niczego w samochodzie. W wojsku robili to za niego inni, a od zakończenia służby nie miał własnego samochodu.

Między blichtrzem a prozą automobilizmu znajdowała się zagroda zrobiona z czterech kontuarów. Tam były kasy, komputery oraz grube instrukcje obsługi. Przy jednym komputerze stał wysoki, mniej więcej dwudziestoletni chłopiec. Reacher nigdy przedtem go nie widział. Nie był jednym z tych, których poturbował poprzedniego wieczoru. Zwyczajny chłopak. Wyglądało na to, że to on tu rządzi. Nosił czerwony kombinezon. Uniform, domyślił się Reacher. Noszony częściowo z czysto praktycznych względów, a częściowo dlatego, że był podobny do stroju mechaników na torze wyścigowym w Indianapolis. Coś jak symbol. Sugerujący szybką pomoc we wszystkich możliwych kłopotach z samochodem. Reacher domyślił się, że chłopak jest tu kierownikiem, a nie agentem. Z pewnością nie, jeśli jeździ do pracy czterocylindrowym chevroletem. Na kombinezonie na lewej piersi miał wyhaftowane imię Gary. Z bliska wyglądał ponuro i nieprzyjaźnie.

— Muszę porozmawiać z Sandy — powiedział do niego Reacher. — Tą rudą.

— Jest na zapleczu — poinformował go facet o imieniu Gary.

- Mam tam pójść czy przyprowadzi ją pan?
- A o co chodzi?
- Sprawa osobista.
- Ona pracuje.
- Mam do niej kilka pytań.
- Pan nie jest policjantem.
- Reprezentuję kancelarię prawną.
- Muszę zobaczyć pańskie dokumenty.
- Nie, Gary, nie musisz. Musisz sprowadzić mi Sandy.
- Nie mogę. Brak mi dziś rąk do pracy.
- Możesz po nią zadzwonić. Albo posłać sygnał na pager.

Chłopak o imieniu Gary stał w bezruchu. Reacher wzruszył ramionami, minął kontuar i skierował się do drzwi z napisem **Wstęp wzbroniony**. Zgadywał, że znajdzie za nimi biuro lub pokój socjalny. Nie magazyn. W takim sklepie dostarczony towar wyładowywano bezpośrednio na półki. Żadnych ukrytych towarów. Reacher wiedział, na czym polega nowoczesny handel częściami. Czytywał gazety, które ludzie zostawiają w autobusach i restauracjach.

Zobaczył biuro, małe, najwyżej dziesięć na dziesięć, zdominowane przez biurko z białego laminatu ze śladami tłustych palców. Sandy siedziała przy nim w czerwonym kombinezonie. Wyglądała w nim znacznie lepiej niż Gary. Kombinezon był ściągnięty w talii paskiem, a ekler pod szyją rozpięty. Jej imię, wyhaftowane na lewej piersi, uwydatniało się o wiele bardziej niż Gary'ego. Reacher pomyślał, że jako agent postawiłby Sandy za kontuarem, a Gary'ego zamknął w tej klitce.

— Znowu się spotykamy — rzekł.

Nic nie powiedziała. Tylko patrzyła na niego. Sprawdzała zamówienia. Jedna kupka papierów leżała po jej lewej ręce, a druga po prawej. Wydawała się mniejsza, niż ją zapamiętała, a cichsza, mniej energiczna, nudniejsza. Oklapnięta.

— Musimy porozmawiać — rzekł. — Prawda?

— Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało — powiedziała.

— Nie przepraszaj. Nie obraziłem się. Chcę tylko wiedzieć, jak do tego doszło.

— Sama nie wiem.  
— Wiesz, Sandy. Byłaś tam.  
Nie odpowiedziała. Tylko położyła zamówienie na kupce po prawej i wyrównała ją palcami.  
— Kto was nasłał? — spytał Reacher.  
— Nie wiem.  
— Musisz wiedzieć, kto ci powiedział, co masz robić.  
— Jeb — odparła. — Jeb Oliver — wyjaśniła. — Pracuje tu. Czasem gdzieś chodzimy.  
— Jest tu dzisiaj?  
— Nie, nie przyszedł.  
Reacher kiwnął głową. Gary powiedział: „Brak mi dziś rąk do pracy”.  
— Widziałaś go wczoraj wieczorem? Później?  
— Nie, uciekłam stamtąd.  
— Gdzie on mieszka?  
— Nie wiem. Gdzieś ze swoją matką. Nie znam go aż tak dobrze.  
— Co ci powiedział?  
— Że mogę mu pomóc w czymś, co musi zrobić.  
— Pomyślałaś, że to będzie dobra zabawa?  
— W poniedziałkowy wieczór w tym mieście każda zabawa jest dobra. Nawet słuchanie trzeszczenia desek w stodole.  
— Ile ci zapłacił? Sandy milczała.  
— Czegoś takiego nie robi się za darmo — ciągnął Reacher.  
— Sto dolarów — powiedziała.  
— A tamci czterej, ile dostali?  
— Tyle samo.  
— Kim oni byli?  
— Jego kumplami.  
— Kto to wymyślił? Ten numer z braćmi?  
— To był pomysł Jeba. Miałaś zacząć mnie obmacywać.  
Nie wyszło.  
— Nieźle improwizowałaś.  
Uśmiechnęła się słabo, jakby był to jeden z jej nielicznych życiowych sukcesów.

— Skąd wiedzieliście, gdzie mnie znaleźć? — spytał Reacher.

— Krążyliśmy po mieście furgonetką Jeba. W kółko. Czekaliśmy w pogotowiu. Potem dostał wiadomość na komórkę.

— Kto zadzwonił?

— Nie wiem.

— Czy jego kumple wiedzą?

— Nie sądzę. Jeb lubi mieć swoje tajemnice.

— Zechcesz pożyczyć mi swój samochód?

— Mój samochód?

— Muszę odszukać Jeba.

— Nie wiem, gdzie on mieszka.

— To możesz zostawić mnie. Jednak potrzebny mi wóz.

— Sama nie wiem.

— Jestem dość dorosły, żeby robić różne rzeczy. I w niektórych jestem naprawdę dobry.

Znów uśmiechnęła się krzywo, bo zacytował jej wypowiedź z poprzedniego wieczoru. Odwróciła głowę, a potem znów na niego spojrzała, zawstydzona, ale zaciekawiona.

— Jak wypadłam? — spytała. — No wiesz, wczoraj, jak odstawiałam ten numer.

— Doskonale — odparł. — Byłem zamyślony, inaczej w gnieniu oka przestałbym oglądać mecz.

— Na jak długo potrzebny ci samochód?

— Czy to duże miasto?

— Niezbyt.

— No to na niezbyt długo.

— Co to za interes?

— Dostałaś sto dolców. Tamci czterej też. To razem pięćset. Domyślał się, że Jeb zostawił drugie pięć sobie. Zatem ktoś zapłacił mu tysiąc dolców, żeby posłać mnie do szpitala. To dość duży interes. Przynajmniej dla mnie.

— Teraz żałuję, że się w to wplątałam.

— Wszystko dobrze się skończyło.

— Będę miała kłopoty?

— To zależy — odparł Reacher. — Możemy zawrzeć urno-



wę. Pożyczysz mi samochód, a ja zapomnę, że cię kiedykolwiek widziałem.

— Obiecujesz?

— Nic się nie stało, więc nie ma sprawy — rzekł Reacher.

Pochyliła się i podniosła z podłogi torebkę. Poszperała w niej i znalazła kluczyki.

— To toyota — poinformowała go.

— Wiem — odparł Reacher. — Na samym końcu, obok chevroleta Gary'ego.

— Skąd wiesz?

— Intuicja — rzekł.

Wziął kluczyki, zamknął drzwi z drugiej strony i ruszył z powrotem w kierunku kontuarów. Gary właśnie kasował należność za jakiś towar. Reacher zczekał w kolejce. Po dwóch minutach znalazł się przy kasie.

— Potrzebny mi adres Jeba Olivera — powiedział.

— Po co?

— Muszę z nim porozmawiać.

— Chcę zobaczyć jakiś dokument.

— Pracownicy tego sklepu brali udział w przestępczej zмовie. Na twoim miejscu wolałbym wiedzieć o tym jak najmniej.

— Chcę zobaczyć jakiś dokument.

— A może wewnątrz ambulansu? Zaraz je zobaczysz, Gary, jeśli nie podasz mi adresu Jeba Olivera.

Chłopak zawahał się. Zerknął na kolejkę za plecami Reachera. Najwidoczniej doszedł do wniosku, że lepiej na oczach tyłu ludzi nie wdawać się w bójkę, której nie zdoła wygrać. Otworzył szufladę, wyjął akta i przepisał adres na kartkę papieru wydartą z notatnika ze znakiem firmowym producenta filtrów olejowych.

— Na północy — powiedział. — Około pięciu mil stąd.

— Dziękuję — odparł Reacher i wziął karteczkę.

\*\*\*

Toyota rudzielca zapaliła przy pierwszym obrocie kluczyka. Reacher zostawił silnik na jałowym biegu, obejrzał tylne sie-

dzenie i popawił lusterko. Zapiął pas i przymocował kartkę do tablicy rozdzielczej. Teraz nie widział szybkościomierza, ale niezbyt ciekawiły go informacje, jakie ten mógł mu dostarczyć. Interesowało go tylko to, ile benzyny jest w zbiorniku, a wyglądało na to, że więcej niż dosyć, aby przejechać pięć mil tam i pięć z powrotem.

Adres sugerował, że Jeb Oliver mieszkał w wolno stojącym domu na peryferiach. Łatwiej znaleźć takie numery niż ulicę mającą nazwę, na przykład Elm Street lub Maple Street. Reacher wiedział z doświadczenia, że niektóre miasta mają więcej ulic o nazwach drzew niż samych drzew.

Wyjechał z parkingu i ruszył na północ, do rozjazdu w kształcie koniczynki. Tam zobaczył typowy las znaków. Wypatrzył ulicę o podanym numerze. Skręcała pod ostrym kątem, najpierw w prawo, a potem w lewo. Na wschód, a potem na północ. Silnik samochodu cicho mruczał. Wóz był trochę za wysoki przy tym rozstawie kół i przez to trochę niestabilny na zakrętach, ale się nie przewracał. Mały silnik ciężko pracował. Wnętrze pachniało perfumami.

Odcinek ulicy biegnący ze wschodu na zachód pokrywał się z jakąś większą drogą trzeciej kategorii. Jednak po skręceniu na północ szosa się zwężała, a jej pobocza stały się nierówne. Po obu stronach ciągnęły się pola uprawne. Jakieś rośliny ozime posadzono na nich w olbrzymich kręgach. Ramiona spryskiwaczy poruszały się leniwie. Naroża pól, gdzie nie padały krople wody, były nieuprawiane i kamieniste. W wyniku takiego nawadniania tracono ponad dwadzieścia procent areалу z każdego akra, ale Reacher doszedł do wniosku, że może to być rozsądne w takich miejscach, gdzie ziemi jest mnóstwo, a spryskiwaczy nie.

Przejechał jeszcze cztery mile wśród pól, mijając pół tuzina bocznych dróg ze stojącymi przy nich skrzynkami na listy. Na skrzynkach były numery, a dróżki odchodziły na zachód lub na wschód, do niewielkich gospodarstw, znajdujących się dwieście jardów od szosy. Patrzył na te numery i zwolnił przed domem Olivera. Przy dróżce stała skrzynka pocztowa, niczym nieróżniącą się od innych, na słupku z dwóch ułożonych jeden

na drugim betonowych bloczków. Numer był namalowany białą farbą na prostokątnym kawałku spłowiejącej od deszczu dytki, przymocowanej drutem do betonu. Dróżka była wąska: dwie» błotniste koleiny i porośnięty chwastami garb pośrodku. W błocie pozostały wyraźnie odcisnięte ślady opon. Nowe ogumienie, szerokie, agresywne, dużej furgonetki. Na pewno nie kupione w sklepie za 99 \$.

Reacher skręcił i toyota zaczęła podskakiwać na wybojach. Na końcu dróżki widział drewniany domek, za nim stodołę i czysty czerwony pick-up. Samochód stał przodem do wyjazdu i miał masywną, chromowaną kratownicę chłodnicy. Dodge ram, pomyślał Reacher. Zaparkował przed nim i wysiadł. Dom i stodoła miały ze sto lat, ale samochód najwyżej miesiąc. Dodge miał potężny silnik, obszerną kabinę, napęd na cztery koła i olbrzymie opony. Zapewne był wart więcej niż dom, który wyglądał na zaniedbany i mógł przetrzymać najwyżej tę jedną zimę. Stodoła była w niewiele lepszym stanie. Jednak miała nowe żelazne zawiasy i została zamknięta na kieszka kłódkę.

Wokół panowała cisza, którą zakłócał tylko szmer kropli wody, tryskających z leniwie obracających się w oddali opryskiwaczy. Nikogo. Żadnego ruchu na drodze. Żadnego szczekania psów. Powietrze było nieruchome, przesycone ostrym zapachem nawozu i ziemi. Reacher podszedł do drzwi frontowych i dwukrotnie uderzył w nie otwartą dłoń. Żadnej reakcji. Spróbował jeszcze raz. Brak reakcji. Przeszedł na tyły domu i znalazł tam kobietę na bujanym fotelu. Była chuda, z cerą jak rzemień, w spranej bawełnianej sukience. W rękę trzymała butelkę z jakimś złocistym płynem. Zapewne miała pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze można jej było dać siedemdziesiąt lub czterdzieści — gdyby wzięła kąpiel i przespała kilka godzin. Jedną nogę podwinęła pod siebie, a drugą kotysała fotel. Była boso.

— Czego pan chce? — spytała.

— Jeba — odparł Reacher.

— Nie ma go tu.

— W pracy też.

—Wiem.  
—Zatem gdzie jest?  
—Skąd mam wiedzieć?  
—Jest pani jego matką?  
—Tak, jestem. Myśli pan, że go ukrywam? To niech pan szuka.

Reacher nic nie powiedział. Kobieta patrzyła na niego i kiwała się na fotelu, do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Butelka bezpiecznie spoczywała na podolku.

—Nalegam — powiedziała kobieta. — Mówię serio. Niech pan przeszuka ten przeklęty dom.

—Wierzę pani na słowo.

—Dlaczego?

—Ponieważ skoro namawia mnie pani do przeszukania domu, to oznacza, że Jeba tu nie ma.

—Jak powiedziałam. Nie ma go tu.

—A w stodole?

—Jest zamknięta z zewnątrz. Jest do niej tylko jeden klucz i to on go ma.

Reacher patrzył i milczał.

—Poszedł sobie — powiedziała kobieta. — Zniknął.

—Zniknął?

—Mam nadzieję, że tylko chwilowo.

—Czy to jego samochód?

Kobieta kiwnęła głową. Pociągnęła łyczek z butelki.

—Poszedł pieszo? — dociekał Reacher.

—Ktoś go podwiózł. Jakiś znajomy.

—Kiedy?

—Wczoraj późnym wieczorem.

—Dokąd?

—Nie mam pojęcia.

—Niech pani spróbuje zgadnąć.

Kobieta wzruszyła ramionami, zakołysała fotelem, pociągnęła łyk.

—Pewnie daleko stąd — powiedziała. — Wszędzie ma znajomych. Może do Kalifornii lub Arizony. Albo do Teksasu. Albo Meksyku.

— To była zaplanowana podróż? — zapytał Reacher.

Kobieta otarła szyjkę butelki rąbkiem sukni i podała ją Reacherowi. Odmownie pokręcił głową. Usiadł na stopniu ganku. Stare deski zaskrzypiały pod jego ciężarem. Fotel kołysał się, do przodu i do tyłu. Było niemal zupełnie cicho. Prawie, ale nie całkiem. Każdemu wychyleniu fotela towarzyszył cichy zgrzyt, a potem skrzypnięcie desek ganku. Reacher poczuł stęchły zapach poduszek i woń taniej whisky.

— Karty na stół, kimkolwiek jesteś, do diabła — rzekła kobieta. — Jeb utykał, kiedy wczoraj wieczorem wrócił do domu. Miał rozbity nos. Domyślam się, że to pan mu go rozbił.

— Dlaczego?

— A kto inny mógłby go szukać? Domyślam się, że zaczął coś, czego nie potrafił skończyć.

Nic nie powiedział.

— Tak więc uciekł — mruknęła kobieta. — Cipa.

— Dzwonił do kogoś wieczorem? Albo ktoś do niego?

— Skąd mam wiedzieć? Dzwoni tysiąc razy dziennie i odbiera tysiąc telefonów. Komórka to najważniejsza rzecz w jego życiu. Poza samochodem.

— Widziała pani, z kim odjechał?

— Z jakimś facetem. Cekał na niego na szosie. Nie podjechał pod dom. Niewiele widziałam. Było ciemno. Białe światła z przodu, czerwone z tyłu, jak każdy samochód.

Reacher kiwnął głową. W błocie zostały tylko jedne ślady opon — dużego pick-upa. Wóz czekający na szosie to prawdopodobnie zwykły samochód osobowy, mający za niskie zawieszenie, żeby jeździć po polnych drogach.

— Powiedział, jak długo go nie będzie? Kobieta tylko pokręciła głową.

— Bał się czegoś?

— Był znużony. Okłapnięty.

Okłapnięty. Jak ruda dziewczyna ze sklepu z częściami samochodowymi.

— W porządku — powiedział Reacher. — Dziękuję.

— Teraz pan sobie pójdzie?

— Tak — odparł Reacher.

Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, słuchając poskrzy-  
pywania fotela i szmeru kropel wody. Tyłem dojechał aż do  
szosy, zawrócił i pojechał na południe.

\*\*\*

Postawił toyotę obok chevroleta i wszedł do sklepu. Gary  
wciąż tkwił za kontuarem. Reacher zignorował go i poszedł  
prosto do drzwi z napisem *Wstęp wzbroniony*. Ruda nadal  
siedziała przy biurku. Prawie skończyła sprawdzać zamówienia.  
Kupka po prawej była wysoka, a po lewej leżało tylko jedno  
zamówienie. Nic z nim nie robiła. Siedziała wygodnie wyciąg-  
nięta w fotelu, nie chcąc kończyć, bo wówczas musiałyby  
wrócić do głównej sali. Albo do Gary'ego.

Reacher położył kluczyki na biurku.

— Dzięki za pożyczenie — powiedział.

— Znalazłeś go? — spytała.

— Zniknął. Wyglądasz na zmęczoną — zauważył Reacher.  
Nic nie powiedziała.

— Jakbyś nie miała sił. Ikry. Entuzjazmu.

— Co z tego?

— Wczoraj wieczorem tryskałaś energią.

— Teraz pracuję.

— Wczoraj wieczorem też pracowałaś. Miałaś otrzymać  
zapłatę.

— Mówiłeś, że zapomnisz o całej tej historii.

— Zapomniałem. Miłego dnia, Sandy. Przyglądała mu się  
przez chwilę.

— Tobie też, Jimmy Reese.

Odwrócił się, znów zamknął za sobą drzwi i wyszedł ze  
sklepu. Poszedł na południe, z powrotem do miasta.

\*\*\*

Kiedy dotarł do biura Helen Rodin, zastał tam cztery osoby.  
Helen oraz troje obcych ludzi. Jednym z nich był mężczyzna  
w drogim garniturze. Siedział na fotelu Helen, za jej biurkiem.  
Ona stała obok niego, pochylona, coś mówiła. Najwyraźniej  
trwała jakaś narada. Dwie pozostałe osoby stały pod oknem,

jakby na coś czekając, może na swoją kolej. Mężczyzna i kobieta. Kobieta miała długie ciemne włosy i okulary. Mężczyzna nie miał ani włosów, ani okularów. Oboje nosili zwyczajne, codzienne ubrania. Oraz przypięte na piersi identyfikatory. Na należącem do kobiety po napisie *Mary Mason* widniał szereg skrótów, które musiały oznaczać tytuły medyczne. Na plakietce mężczyzny po imieniu i nazwisku — *Warren Niebuhr* — wypisano szereg takich samych skrótów. Lekarze, domyślił się Reacher, zapewne psychiatrzy. Identyfikatory nadawały im wygląd uczestników jakiegoś kongresu. Jednak to im najwyraźniej nie przeszkadzało. Helen przerwała rozmowę.

— Proszę państwa, to jest Jack Reacher — oznajmiła. — Mój detektyw zrezygnował i pan Reacher zgodził się przejąć jego obowiązki.

To dla mnie nowina, pomyślał Reacher, ale tego nie skomentował. Helen z dumą wskazała mężczyznę siedzącego na jej fotelu.

— To jest Alan Danuta — powiedziała. — Jest prawnikiem specjalizującym się w sprawach weteranów. Z Waszyngtonu. Zapewne najlepszym z branży, jakiego znam.

— Szybko pan przyleciał — zauważył Reacher.

— Musiałem — odparł mężczyzna. — Dzisiejszy dzień będzie decydujący dla pana Barra.

— Wszyscy wybieramy się do szpitala — powiedziała Helen. — Lekarze twierdzą, że on może z nami rozmawiać. Miałam nadzieję, że uda mi się skonsultować z Alanem telefonicznie lub przez pocztę elektroniczną, a tymczasem on przyleciał do nas.

— Tak jest mi łatwiej — powiedział Danuta.

— Nie, po prostu miałam szczęście — rzekła Helen. — Co więcej, właśnie zaczęła się tygodniowa konferencja psychiatrów w Bloomington. Doktor Mason i doktor Niebuhr od razu tu przyjechali.

— Moja specjalność to przypadki utraty pamięci — powiedziała doktor Mason.

— A moja działanie pod przymusem — dodał doktor Niebuhr. — Typowe zachowania przestępcze i tym podobne kwestie.

— Tak więc to jest nasz zespół — oświadczyła Helen.

— Co z jego siostrą? — spytał Reacher.

— Już przy nim jest.

— Musimy porozmawiać.

— W cztery oczy?

— Tylko przez chwilę.

Przeprosiła pozostałych i wyprowadziła Reachera do poczekalni.

— Odkryłeś coś? — zapytała.

— Cizię i czterech z tych pięciu facetów zwerbował ich znajomy, niejaki Jeb Oliver. Zapłacił wszystkim po sto dolców. Zakładam, że pięćset zostawił sobie za fatygę. Byłem w jego domu, ale wyjechał.

— Dokąd?

— Nikt nie wie. Zabrał go jakiś gość, samochodem.

— Kto to taki?

— Pracuje w sklepie z częściami, razem z rudą cizią. Jednocześnie jest drobnym dealerem.

— Naprawdę?

Reacher skinął głową.

— Za jego domem jest stodoła, zamknięta na zmyślną kłódkę. Może wytwórnia prochów, może magazyn. Spędza mnóstwo czasu na rozmowach przez komórkę. Ma samochód, który kosztuje dwa razy więcej, niż ekspedient zarabia rocznie. I mieszka z matką.

— Czego to dowodzi?

— Dealerzy znacznie częściej niż inni mężczyźni mieszkają z matkami. Czytałem to w jakiejś gazecie.

— Dlaczego?

— Zwykle mają już na koncie jakieś drobne wyroki. Właściciele domów nie chcą wynajmować im mieszkań.

Helen nic nie powiedziała.

— Wczoraj wieczorem wszyscy byli naćpani — dodał Reacher. — Cała szóstka. Zapewne speedem, sądząc po tym, jak cizia wygląda dzisiaj. Zupełnie inaczej. To mi wygląda na kaca po amfetaminie.

— Byli naćpani? No to miałeś szczęście.



Reacher pokręcił głową.

— Chcesz ze mną walczyć, najlepiej poprzestań na aspirynie.

— I co to nam daje?

— Spójrzmy na to z punktu widzenia Jeba Olivera. Robił to dla kogoś. Trochę miała to być praca, trochę przysługa. Warta tysiąc dolarów. Musiał to być ktoś stojący wyżej w hierarchii. I na pewno nie był to kierownik sklepu z częściami.

— Zatem myślisz, że James Barr miał coś wspólnego z handlarzem narkotyków?

— Niekoniecznie. Może jednak z nieznanym nam powodem został do tego zmuszony przez jakiegoś handlarza.

— To zwiększa ryzyko — zauważyła.

— Trochę — przyznał Reacher.

— Co powinniśmy zrobić?

— Pojechać do szpitala. Niech doktor Mason stwierdzi, czy Barr nie wciska nam kitu z tą amnezją. Jeśli tak, to najszybciej zakończymy tę sprawę, przyciskając go, żeby powiedział nam prawdę.

— A jeśli nie wciska kitu?

— Wtedy wybierzemy inną metodę.

— Jaką?

— Później — odparł Reacher. — Posłuchajmy, co mają do powiedzenia lekarze.

\*\*\*

Helen Rodin pojechała do szpitala swoim saturnem. Prawnik Alan Danuta siedział obok niej na przednim siedzeniu, a Reacher wygodnie wyciągnął się na tylnym. Mason i Niebuhr podążyli za nimi taurusem, którego wypożyczyli tego ranka w Bloomington. Oba samochody zaparkowano obok siebie na rozległym parkingu dla odwiedzających. Wszyscy pięcioro wysiedli, postali chwilkę, a potem poszli razem w kierunku głównego wejścia.

\*\*\*

Grigor Linsky patrzył, jak szli. Znajdował się pięćdziesiąt stóp od nich w cadillacu, który matka Jeba Olivera widziała

poprzedniej nocy. Trzymał silnik włączony. Zadzwonił ze swojego telefonu komórkowego. Zek zgłosił się po pierwszym sygnale.

— Tak? — powiedział.

— Żołnierz jest bardzo dobry — rzekł Linsky. — Już był w domu chłopaka.

— I?

— I nic. Chłopaka już tam nie ma.

— A gdzie jest?

— Tu i tam.

— A gdzie dokładnie?

— Głowa i dłonie w rzece. Reszta pod ośmioma jardami kruszonego kamienia w nowym podłożu First Street.

— Co się teraz dzieje?

— Żołnierz i prawnicy są w szpitalu. Z trójką innych. Sądzę, że to jeszcze jeden prawnik i dwoje lekarzy. Zapewne narada specjalistów.

— Możemy się odprężyć?

— Raczej tak. Muszą próbować. Tak tutaj się to robi, jak wiesz. Jednak nie uda im się.

— Dopilnuj, żeby tak było — polecił Zek.

\*\*\*

Szpital znajdował się na przedmieściach, więc na stosunkowo rozległym terenie. Najwyraźniej nie przejmowano się tu kosztem działki. Zapewne tylko szczupły budżet miejski ograniczył wysokość budynku do pięciu pięter ze zwykłego betonu. Wewnątrz ściany pomalowano na biało, a pomieszczenia były za niskie, ale poza tym szpital nie odbiegał wyglądem od innych szpitali. I pachniał jak każdy inny szpital. Zapach rozkładu, środków dezynfekcyjnych, choroby. Reacher nie przepadał za szpitalami. Szedł za pozostałą czwórką długim i jasno oświetlonym korytarzem, który prowadził do windy. Lekarze szli na przedzie. Najwyraźniej czuli się tu jak w domu. Helen Rodin i Alan Danuta podążali tuż za nimi. Ramię w ramię, żywo rozmawiając. Lekarze doszli do windy i Niebuhr nacisnął guzik. Pozostali ustawili się za jego plecami. Nagle Helen Rodin

odwróciła się i zatrzymała Reachera, zanim dołączył do reszty. Przynęła się do niego i zapytała cicho:

— Czy słyszałeś o niejkiej Eileen Hutton?

— Dlaczego pytasz?

— Ojciec przysłał mi faksem listę świadków. Dopisał ją na końcu.

Reacher nic nie powiedział.

— Chyba przysłało ją wojsko — doszła do wniosku. — Znasz ją?

— A powinienem?

Helen przysunęła się jeszcze bliżej, odwrócona plecami do pozostałych.

— Muszę się dowiedzieć, co ona wie — szepnęła.

To może wszystko skomplikować, pomyślał Reacher.

— Była prokuratorem — powiedział.

— Kiedy? Przed czternastoma laty?

— Tak.

— Jak dużo wie?

— Sądzę, że teraz jest w Pentagonie.

— Ile ona wie, Reacher? Odwrócił głowę.

— Wszystko.

— Jak to? Ta sprawa nigdy nie trafiła do sądu.

— Mimo to.

— Jak to?

— Ponieważ z nią sypiałem. Wytrzeszczyła oczy.

— Powiedz mi, że żartujesz.

— Nie żartuję.

— Powiedziałeś jej o wszystkim?

— Byliśmy parą. Oczywiście, że powiedziałem jej wszystko. Byliśmy po tej samej stronie.

— Dwoje samotnych ludzi na pustyni.

— Było nam dobrze. Przez trzy piękne miesiące. Była miła. Pewnie nadal jest. Bardzo ją lubiłem.

— To więcej informacji, niż potrzebowałam, Reacher. Nie skomentował tego.

— No, teraz sytuacja naprawdę wymknęła się spod kontroli — oceniła Helen.

— Ona nie może wykorzystać tych informacji. Tak samo jak ja. Są nadal ściśle tajne, a ona wciąż służy w wojsku.

Helen Rodin milczała. — Wierz mi — rzekł Reacher.

— No to dlaczego znalazła się na tej cholernej liście?

— To moja wina — przyznał. — W rozmowie z twoim ojcem wspomniałem o Pentagonie. Kiedy nie mógł zrozumieć, skąd w tej sprawie pojawiło się moje nazwisko. Pewnie zaczął szperać. Spodziewałem się, że to zrobi.

— Jeśli ona zacznie mówić, sprawa zakończy się od razu.

— Nie zacznie.

— A jednak. Może właśnie po to przyjechała. Kto wie, co zrobi wojsko?

Zadzwonił dzwonek windy i cała grupka przesunęła się do drzwi.

— Musisz z nią porozmawiać — rzekła Helen. — Na pewno będzie przy okazaniu dowodów. Musisz się dowiedzieć, co zamierza powiedzieć.

— Pewnie ma już generalskie gwiazdki. Nie mogę jej zmusić do mówienia.

— Znajdź jakiś sposób — poradziła mu. — Wykorzystaj miłe wspomnienia.

— Może nie chcę tego robić. Pamiętaj, że ona i ja nadal jesteśmy po tej samej stronie. Przynajmniej jeśli chodzi o Jamesa Barra.

Helen Rodin odwróciła się i weszła do kabiny windy.

\*\*\*

Winda zawiozła ich do holu na piątym piętrze, gdzie były tylko pomalowane na biało betonowe ściany oraz drzwi ze stali i zbrojonego szkła, które prowadziły do służby bezpieczeństwa. Za nią Reacher dostrzegł tablice wskazujące drogę na oddział intensywnej opieki medycznej, dwa oddziały zamknięte (dla mężczyzn i dla kobiet), dwa oddziały interny i jeden położniczy. Reacher domyślił się, że całe piąte piętro zostało ufundowane

przez władze stanu. Nie było to przyjemne miejsce. Idealne skrzyżowanie więzienia ze szpitalem, czyli dwóch niezbyt miłych miejsc.

Przy biurku recepcji natknęli się na faceta w mundurze pracownika departamentu więziennictwa. Wszyscy zostali zrewidowani i podpisali formularze o odpowiedzialności karnej. Potem pojawił się lekarz, który zaprowadził ich do małej poczekalni. Był zmęczonym człowiekiem około trzydziestki. W poczekalni stały krzeselka ze stalowych rurek i zielnego plastiku. Wyglądały jak wymontowane z chevroletów z lat pięćdziesiątych.

— Barr jest przytomny i dość komunikatywny — oznajmił lekarz. — Uznaliśmy jego stan za stabilny, ale to nie oznacza, że on jest zdrowy. Dlatego ograniczamy dzisiaj jednorazową liczbę gości do dwojga i chcemy, żeby rozmawiano z nim jak najkrócej.

Reacher zobaczył, że Helen Rodin uśmiechnęła się, i wiedział dlaczego. Policjanci będą chcieli wejść parami, tak więc Helen jako adwokat byłaby trzecia. To oznaczało, że dzisiejsze medyczne restrykcje umożliwią jej rozmowę z klientem w cztery oczy.

— Jest z nim teraz jego siostra — powiedział lekarz. — Prosiła, żeby państwo zaczekali, dopóki nie zakończy odwiedzin.

Lekarz odszedł, a Helen powiedziała:

— Wejść tam pierwsza, sama. Muszę mu się przedstawić i uzyskać jego zgodę na reprezentowanie go w sądzie. Potem chyba powinna się z nim zobaczyć doktor Mason. Na podstawie jej opinii zdecydujemy co dalej.

Mówiła szybko. Reacher wyczuł, że jest trochę zdenerwowana. Trochę spięta. Wszyscy byli, oprócz niego. Nikt z nich poza nim nigdy nie spotkał Jamesa Barra. Był on dla nich wielką niewiadomą, dla każdego w nieco inny sposób. Był klientem Helen Barr, chociaż niechcianym. Dla Mason i Niebuhra stanowił obiekt badań. Może temat przyszłych artykułów naukowych, potencjalne źródło sławy i zaszczytów. Może mieli do czynienia z nowym zespołem chorobowym, czekającym na

opisanie. Syndrom Barra. To samo dotyczyło Alana Danuty. Dla niego mógł to być precedens czekający na przedstawienie w Sądzie Najwyższym. Rozdział w podręczniku prawa. Przykład dla studentów. Stan Indiana przeciw Barrowi. Barr przeciw Stanom Zjednoczonym. Oni wszyscy zainwestowali swój czas w spotkanie z człowiekiem, którego nigdy przedtem nie widzieli na oczy.

Usiedli na krzesłkach z zielonego plastiku. W małej poczekalni było cicho i śmierdziało chlorowym środkiem dezynfekcyjnym. Słychać było tylko cichy szmer wody w rurach wodociągowych i elektroniczne popiskiwanie maszynierii w jednej z sal. Nikt się nie odzywał, ale wszyscy wiedzieli, że wizyta będzie długa i nużąca. Nie ma sensu się niecierpliwić. Reacher usiadł naprzeciw Mary Mason i obserwował ją. Była stosunkowo młoda jak na eksperta. Wydawała się ciepła i otwarta. Miała okulary w dużych oprawkach, żeby rozmówca dobrze widział jej oczy. Te miały miły, zachęcający i krzepiący wyraz. Reacher nie wiedział, w jakim stopniu oddawały jej prawdziwy charakter, a w jakim były zawodową pozą.

— Jak pani to robi? — zapytał.

— Jak oceniam chorego? — upewniła się. — Wychodzę z założenia, że naprawdę doznał amnezji, a nie symuluje. Urazy głowy powodujące dwudniową utratę przytomności niemal zawsze wywołują amnezję. To ustalono już dawno temu. Potem obserwuję pacjenta. Osoby naprawdę cierpiące na amnezję są bardzo zaniepokojone swoim stanem, zdezorientowane i przestraszone. Widać, że naprawdę próbują sobie przypomnieć. Chcą pamiętać. Symulanci zachowują się inaczej. Unikają rozmowy o tych dniach. W myślach odwracają się od nich. Czasem nawet dosłownie. Często nawet można to poznać po mowie ciała.

— Trochę to subiektywne — zauważył Reacher.

Mason skinęła głową.

— To jest subiektywne. Bardzo trudno udowodnić, że pacjent symuluje. Można wykorzystać skanowanie aktywności kory mózgowej, ale interpretacja znaczenia tych skanów też będzie subiektywna. Czasem użyteczna jest hipnoza, ale sądy z zało-

zenia unikają hipnozy. Tak więc owszem, ja tylko zaopiniuję przypadek.

— Kogo zatrudni oskarżyciel?

— Kogoś takiego jak ja. Pracowałam już dla obu stron.

— Zatem jego słowa przeciwko pani słowom? Mason znów skinęła głową.

— Zwykle decyduje to, kto ma więcej literek po nazwisku. To działa na sędziów.

— Pani ma ich sporo.

— Więcej niż większość ludzi — przyznała.

— Ile on zapomniał?

— Co najmniej kilka dni. Jeśli doznał urazu w sobotę, byłabym bardzo zdziwiona, gdyby pamiętał coś, co zdarzyło się później niż w środę. Kilka wcześniejszych dni to szara strefa, z której jedne wydarzenia będzie pamiętał, a inne nie. W najlepszym razie. Widywałam przypadki, w których zapominano całe miesiące, czasem po lekkim wstrząśnieniu mózgu, a nie po śpiączce.

— Czy wspomnienia wróca?

— Może z tej szarej strefy. Być może uda mu się odtworzyć je z tego, co pamięta. Może zdoła przypomnieć sobie niektóre wydarzenia. Natomiast z późniejszymi będzie o wiele trudniej. Jeśli pamięta swój ostatni lunch, to niewykluczone, że w końcu zdoła sobie przypomnieć kolację. Jeżeli pamięta, że był w kinie, to ewentualnie przypomni sobie, jak dojechał do domu. Jednak gdzieś będzie granica. Zazwyczaj jest nią wspomnienie tego, jak położył się spać tego dnia, który jeszcze pamięta.

— Będzie pamiętał wydarzenia sprzed czternastu lat? Mason skinęła głową.

— Jego pamięć długotrwała powinna być nieuszkodzona. Pamięć długotrwała jest indywidualnie zróżnicowana, ponieważ prawdopodobnie opiera się na wędrówce substancji chemicznych z jednej części mózgu do drugiej, a nie ma dwóch identycznych mózgów. Fizjologia mózgu nie jest w pełni zbadaną dziedziną wiedzy. Obecnie ludzie lubią porównywać mózg do komputera, ale to błąd. Tu nie chodzi o twarde dyski i pamięć szybkiego dostępu. Mózg jest tworem organicznym. To jakby

zrzucić worek jabłek ze schodów. Jedne się obijają, inne nie. Jednak powiedziałabym, że wspomnienia sprzed czterech lat u każdego są przechowywane w pamięci długotrwałej.

W poczekalni zapadła cisza. Reacher nasłuchiwał elektronicznego popiskiwanego aparatury. Sinusoidalny rytm z aparatu monitorującego lub stymulującego pracę serca. Około siedemdziesięciu pisków na minutę. Uspokajające dźwięki. Kojące. Potem jedne drzwi na korytarzu otworzyły się i wyszła z nich Rosemary Barr. Wzięła prysznic i umyła głowę, ale wyglądała na przybitą, wyczerpaną i niewyspaną, a także o dziesięć lat starszą niż poprzedniego dnia. Przez chwilę stała bez ruchu, a potem rozejrzała się na boki i zaczęła powoli iść w kierunku poczekalni. Helen Rodin wstała i wyszła jej na spotkanie. Stały razem i rozmawiały po cichu. Reacher nie słyszał, o czym mówią. Odgadł, że składają sobie raporty, najpierw medyczny, potem prawny. Potem Helen wzięła Rosemary pod rękę i zaprowadziła do pozostałych. Rosemary spojrzała na dwoje psychiatrów, na Alana Danutę i na Reachera. Nie odezwała się. Następnie sama poszła w kierunku służby bezpieczeństwa. Nie obejrzała się.

— Negacja — rzekł Niebuhr. — My wszyscy przyszliśmy tutaj, żeby męczyć i sondować jej brata: fizycznie, psychicznie, prawnie, w przenośni. To agresywne i nieprzyjemne. Akceptacja tego oznaczałaby przyznanie, że jej brat jest zbrodniarzem.

— Może po prostu jest zmęczona — powiedział Reacher.

— Zamierzam tam iść i zobaczyć się z nim — oznajmiła Helen. Poszła korytarzem i weszła do pokoju, z którego wyszła Rosemary. Reacher zaczął, aż zamknie drzwi. Potem zwrócił się do Niebuhra.

— Spotkał pan się już z czymś takim? — zapytał go.

— Z działaniem pod przymusem? A pan?

Reacher uśmiechnął się. Każdy znany mu psychiatra odpowiadał pytaniem na pytanie. Może tak ich uczono od pierwszego dnia studiów.

— Bardzo często — odparł.

— Ale?

— Zazwyczaj groźba była poważniejsza.



— Groźba skierowana przeciw siostrze nie jest poważna? To chyba wyłącznie pańska teoria.

— Ona nie została porwana. Nie uwięziono jej. Mógł postarać się jej o ochronę. Albo powiedzieć, żeby wyjechała z miasta.

— Właśnie — przytaknął Niebuhr. — Możemy tylko przypuszczać, że zabroniono mu to robić. Najwyraźniej kazano mu zostawić ją w nieświadomości, odstoniętą. To dowodzi, że groźba była poważna. On również musiał uznać ją za poważną. Na tyle, że poczuł się zupełnie bezsilny. Musiał żyć w nieustannym strachu, bezsilny i dręczony wyrzutami sumienia.

— Widział pan kiedyś trzeźwo myślącego człowieka, który zrobiłby to co on?

— Tak — odparł Niebuhr.

— Ja też — rzekł Reacher. — Parę razy.

— Groźący musi być prawdziwym potworem. Aczkolwiek spodziewam się, że odegrały rolę również inne czynniki. Zapewne niedawno zawarta znajomość, jakiś rodzaj zależności, silny wpływ, chęć zaspokojenia czyichś wymagań, wywarcia wrażenia, potrzeba bycia cenionym, kochanym.

— Kobieta?

— Nie, nie zabija się ludzi, żeby zrobić wrażenie na kobietach. To zwykle ma wprost przeciwny skutek. To będzie męczczyzna. Uwodzicielski, ale nie seksualnie. W jakiś sposób pociągający.

— Samiec alfa i beta.

— Właśnie — powiedział znów Niebuhr. — A groźba skierowana przeciwko siostrze przełamała resztki oporów. Zapewne pan Barr nawet nie był pewien, czy ta groźba była żartem, czy nie. Jednak wołał tego nie sprawdzać. Ludzkie motywy to skomplikowana sprawa. Większość ludzi nie ma pojęcia, dlaczego robi to czy tamto.

— Z pewnością.

— A pan wie?

— Czasami — powiedział Reacher. — Ale niekiedy nie mam zielonego pojęcia. Może pan mi to powie.

— Zwykle moje porady są bardzo drogie. Dlatego mogę sobie pozwolić na prowadzenie takich przypadków za darmo.

— Może mógłbym płacić panu pięć dolców tygodniowo, jak czynsz.

Niebuhr uśmiechnął się niepewnie.

— Hm, nie — rzekł. — Nie sądzę.

Potem w poczekalni znów zapadła cisza, która trwała dziesięć długich minut. Danuta wyprostował nogi i przeglądał papiery w otwartej dyplomatce, którą trzymał na kolanach. Mason miała zamknięte oczy i wyglądała tak, jakby spała. Niebuhr gapił się w przestrzeń. Wszyscy troje byli najwyraźniej przyzwyczajeni do czekania. Tak samo jak Reacher. Był wojskowym żandarmem przez trzynaście lat, a motto żandarmerii brzmi: „Spiesz się powoli”. Nie: „służyć, chronić i bronić”. Skupił uwagę na elektronicznym popiskiwaniu, zabijając czas.

\*\*\*

Grigor Linsky zaparkował wóz i w lusterku wstecznym obserwował drzwi szpitala. Założył się sam ze sobą, że co najmniej przez godzinę nic się nie wydarzy. Co najmniej godzinę, ale nie więcej niż półtorej. Potem powtórzył w myślach sposób postępowania w razie wypadku, gdyby nie wyszli wszyscy razem. Kogo zignorować, a kogo śledzić? W końcu postanowił jechać za tym, kto opuści szpital sam. Doszedł do wniosku, że zapewne będzie to żołnierz. Podejrzewał, że prawnicy i lekarze wrócą do biura prawnego. Byli przewidywalni. Żołnierz nie.

\*\*\*

Helen Rodin przebywała w pokoju Jamesa Barra piętnaście minut. Następnie pomaszerowała prosto do poczekalni. Wszyscy spojrzeli na nią. Ona popatrzyła na Mary Mason.

— Pani kolej — powiedziała.

Mason wstała i poszła korytarzem. Niczego ze sobą nie zabrała. Żadnej teczki, papieru, długopisu. Reacher obserwował ją, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi pokoju Barra. Wtedy bez słowa znów wyciągnął się na krześle.

— Spodobał mi się — powiedziała Helen, do nikogo konkretnego nie kierując tych słów.

— W jakim jest stanie? — spytał Niebuhr.

— Słaby — odparła Helen. — Rozbity. Jakby potrafiła go ciężarówka.

— Przytomny?

— Tak. Jednak nic nie pamięta. I nie sądzę, żeby udawał.

— Ile zapomniał?

— Nie umiem powiedzieć. Pamięta, że słuchał sprawozdania z meczu baseballu. Może w zeszłym tygodniu, a może miesiąc temu.

— Albo rok — mruknął Reacher.

— Zgodził się, żeby go pani reprezentowała? — zapytał Danuta.

— Ustnie — odparła Helen. — Niczego nie może podpisać. Jest przykuty do łóżka.

— Przedstawiła mu pani zarzuty i dowody?

— Musiałam — powiedziała Helen. — Chciał wiedzieć, dlaczego moim zdaniem potrzebny mu adwokat.

— I?

— Uważa, że jest winny.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Alan Danuta zamknął teczkę, zdjął ją z kolan i postawił na podłodze. Wyprostował się.

— Witajcie w szarej strefie — powiedział. — Właśnie tam prawnicy czują się najlepiej.

— Nie ma w tym nic dobrego — odparła Helen. — Przynajmniej na razie.

— Zdecydowanie nie możemy dopuścić do tego, żeby stanął przed sądem. Władze skrzywdziły go w wyniku swoich zaniedbań, a teraz chcą go sądzić? Nie ma mowy. Nie w sytuacji, kiedy nawet nie pamięta dnia, o który chodzi. Jak mógłby się bronić?

— Mój ojciec wpadnie w szal.

— Z pewnością. Będziemy musieli z nim walczyć. Pójdziemy prosto do sądu federalnego. Tak głosi karta praw obywatelskich. Najpierw federalny, potem apelacyjny, a potem Sąd Najwyższy. Taka jest procedura.

— To długa droga.

Danuta skinął głową.

— Trzy lata — rzekł. — Jeśli dopisze nam szczęście. Nieco podobna była precedensowa sprawa Wilsona, która toczyła się trzy i pół roku. Prawie cztery lata.

— I nie mamy żadnej pewności zwycięstwa. Możemy przegrać.

— A wtedy sprawa trafi do sądu i będziemy robili, co w naszej mocy.

— Nie mam odpowiednich kwalifikacji — powiedziała Helen.

— Intelktualnych? Słyszałem co innego.

— Taktycznych i strategicznych. Także finansowych.

— Są stowarzyszenia weteranów, które mogą nas wesprzeć finansowo. W końcu pan Barr służył swojemu krajowi. I to dobrze.

Helen nie odpowiedziała. Tylko zerknęła na Reachera. Ten słówka nie pisnął. Odwrócił się i wbił wzrok w ścianę. Temu facetowi znów ma ująć na sucho wielokrotne morderstwo? Po raz drugi?

Alan Danuta poruszył się na krześle.

— Jest inne rozwiązanie — powiedział. — Niezbyt atrakcyjne pod względem prawnym, ale jest.

— Jakie? — spytała Helen.

— Dać pani ojcu tego, który pociągał za sznurki. W tych okolicznościach pół kromki jest lepsze niż nic. A ten, kto pociągał za sznurki, to i tak gratka.

— Czy on na to pójdzie?

— Zakładam, że zna go pani lepiej niż ja. Jednak byłby głupcem, gdyby nie poszedł. Ma przed sobą co najmniej trzy lata procesów apelacyjnych, zanim zdoła postawić Barra przed sądem. A każdy prokurator, który jest coś wart, chce złowić większą rybę.

Helen znowu zerknęła na Reachera.

— Istnienie tego zakulisowego manipulatora to tylko teoria — powiedziała. — Nie mamy niczego, co można by nazwać dowodem.

— Wybór należy do pani — rzekł Danuta. — Jednak tak czy inaczej, nie może pani pozwolić, żeby Barr stanął przed sądem.

— Nie wszystko naraz — odparła Helen. — Zobaczymy, co powie doktor Mason.

\*\*\*

Doktor Mason wróciła dwadzieścia minut później. Reacher obserwował, jak szła. Długi krok i błysk w oczach powiedziały mu, że doszła do konkretnych wniosków. Nie dostrzegł cienia wątpliwości. Żadnej niepewności. Zupełnie. Usiadła i wygładziła spódnicę.

— Trwała amnezja wsteczna — powiedziała. — Najzupełniej prawdziwa. Jeden z najbardziej oczywistych przypadków, z jakimi miałam do czynienia.

— Jaki okres obejmuje? — zapytał Niebuhr.

— Dowiemy się z tabeli rozgrywek pierwszej ligi — powiedziała. — Ostatnią rzeczą, jaką pamięta, to mecz Cardinals. Jednak założę się, że co najmniej ostatni tydzień, licząc od wczoraj.

— Zatem także piątek — powiedziała Helen.

— Obawiam się, że tak.

— W porządku — rzekł Danuta. — To jest to.

— Świetnie — podsumowała Helen.

Wstała, a pozostali poszli za jej przykładem i wszyscy stanęli twarzami w kierunku wyjścia. Reacher nie wiedział, czy zrobili to świadomie, czy nie. Jednak nie ulegało wątpliwości, że Barra zostawili za sobą dosłownie i w przenośni. Z człowieka stał się przypadkiem medycznym i problemem prawnym.

— Idźcie — powiedział Reacher.

— Zostajesz tu? — spytała Helen.

Reacher kiwnął głową.

— Zamierzam zajrzeć do mojego starego kumpla — powiedział.

— Dlaczego?

— Nie widziałem go czternaście lat.

Helen odeszła od pozostałych i stanęła tuż przy nim.

— Powiedz dlaczego?

— Nie martw się. Nie zamierzam odłączyć go od aparatury.

— Mam nadzieję.

— Nie bój się. Nie miałbym alibi, no nie?

Przez chwilę nie ruszała się. Milczała. Potem wróciła do pozostałych. Wszyscy wyszli razem. Reacher patrzył, jak mijają służę bezpieczeństwa i gdy tylko przeszli przez stalowe drzwi i znaleźli się w holu, odwrócił się i poszedł korytarzem do drzwi pokoju Jamesa Barra. Nie zapukał. Tylko zwolnił kroku, przekręcił klamkę i wszedł do środka.

# 7

W pokoju było tak gorąco, że można by w nim piec kurczaki. Szerokie okno zasłaniały białe żaluzje. Słońce przeświecało przez nie i wypełniało pokój miękkim białym światłem. Wszędzie stała aparatura medyczna: milczący, odłączony respirator; statyw kroplówki i monitory pracy serca. Rurki, woreczki i kable.

Barr leżał na wznak na łóżku stojącym pośrodku pomieszczenia. Bez poduszki. Z głową umieszczoną w uchwycie i gładko ogoloną. Opatrunki zasłaniały otwory, które wycięto mu w czaszce. Lewą rękę miał owiniętą bandażem aż do łokcia. Prawe ramię nagie i odsłonięte. Pod bladą i cienką skórą widać było siatkę naczyń krwionośnych. Pierś i boki również miał zabandażowane. Podwinięta kołdra sięgała mu zaledwie do pasa. Ręce miał wyprostowane i przykute kajdankami do ramy łóżka. Igłę kroplówki wbił w grzbiet lewej dłoni. Na środkowym palcu prawej klamerkę, połączoną szarym przewodem z jakąś skrzynką. Spod bandażu na piersi wychodziły czerwone kable, biegnące do aparatu z ekranem. Na ekranie był widoczny wykres, który przypominał Reacherowi dostarczony przez operatora telefonii komórkowej zapis strzałów. Ostre sygnały i długie fale. Maszyna popiskiwała za każdym razem, gdy na ekranie pojawiał się sygnał.

— Kto tam? — zapytał Barr.

Głos miał słaby i chrapliwy, rozwlekły. Wystraszony.

— Kto tam? — zapytał ponownie.

Unieruchomiona głowa zawężyła mu pole widzenia. Poruszał oczami na prawo i na lewo, w górę i w dół.

Reacher podszedł bliżej. Pochylił się w milczeniu nad łóżkiem.

— To ty — rzekł Barr.

— Ja — potwierdził Reacher.

— Dlaczego?

— Wiesz dlaczego.

Prawa ręka Barra zaczęła drżeć. Ten ruch sprawił, że zakotłosał się przewód połączony z klamerką. Kajdanki z cichym szcękaniem stuknęły o metalową ramę łóżka.

— Chyba cię zawiodłem — powiedział.

— Chyba tak.

Reacher patrzył mu w oczy, ponieważ były jedyną częścią ciała, którą Barr mógł poruszać. Można było zapomnieć o moście ciała. Głowę miał unieruchomioną, a resztę ciała zaban-  
dazowaną jak mumia.

— Nic nie pamiętam — oznajmił Barr.

— Na pewno?

— Zupełna pustka.

— Wiesz, co ci zrobię, jeżeli wciskasz mi kit?

— Mogę się domyślić.

— Pomnóż to przez trzy.

— Nie wciskam kitu — powiedział Barr. — Po prostu nic nie pamiętam.

Jego głos był cichy, bezradny, zmieszany. Nie bronił się, nie skarżył. Nie szukał wymówek. Po prostu stwierdzał fakt.

— Opowiedz mi o meczu — polecił Reacher.

— Był w radiu.

— Nie w telewizji?

— Wolę radio — rzekł Barr. — Przez wzgląd na dawne czasy. Zawsze go słuchaliśmy, kiedy byłem dzieckiem. Radia, audycji z St Louis. Z tak daleka. W letnie i ciepłe wieczory słuchaliśmy sprawozdań z meczów.

Zamilkł.

— Jak się czujesz? — zapytał Reacher.



— Okropnie boli mnie głowa. Chyba miałem operację. Reacher nic nie powiedział.

— Nie lubię oglądać baseballu w telewizji — oświadczył Barr.

— Nie przyszedłem tu rozmawiać o twoich gustach.

— A ty oglądasz mecze w telewizji?

— Nie mam telewizora — odparł Reacher.

— Naprawdę? Powinieneś mieć. Można kupić jakiś już za sto dolarów. Mniejszy nawet taniej. Przejrzyj ogłoszenia w książce telefonicznej.

— Nie mam telefonu. Ani domu.

— Dlaczego? Już nie służysz w wojsku.

— Skąd wiesz?

— Nikt już nie służy. Tak długo.

— Niektórzy jeszcze zostali — powiedział Reacher, myśląc o Eileen Hutton.

— Oficerowie — rzekł Barr. — Nie żołnierze.

— Ja byłem oficerem przypomniał Reacher. — Powinieneś pamiętać.

— Ty nie byłeś taki jak inni. To miałem na myśli.

— Pod jakim względem byłem inny?

— Zarabiałeś na życie.

— Opowiedz mi o tym meczu.

— Dlaczego nie masz domu? Dobrze ci się powodzi?

— Teraz martwisz się o mnie?

— Nie lubię, jak ludziom źle się wiedzie.

— Mnie jest dobrze — powiedział Reacher. — Wierz mi. To ty masz problem.

— Jesteś policjantem? Tutaj? Nigdy cię nie widziałem. Reacher potrząsnął głową.

— Jestem zwykłym obywatelem.

— Skąd?

— Znikąd. Ze świata.

— Po co tu przyjechałeś? Reacher nie odpowiedział.

— Och — rzekł Barr. — Żeby mnie przygwoździć.

— Opowiedz mi o tym meczu.

— Grali Cubsi z Cardinalsami — powiedział Barr. — Wyrównany mecz. Cardsi wygrali, pod koniec dziewiątej, mieli szczęście.

— Dobrze uderzenie i obiegnięcie wszystkich baz?

— Nie, błąd przeciwnika. Dojście do pierwszej bazy, wypuszczenie, szcurem do drugiej dało biegaczowi trzecią, została jedna piłka. Miękkie podanie po ziemi, zatrzymanie biegacza, rzut do pierwszego, ale piłka poszła na aut i było trzecie wykluczenie. Zwycięstwo po trzech wykluczeniach.

— Dobrze to zapamiętałeś.

— Kibicuję Cardinalsom. Zawsze im kibicowałem.

— Kiedy grali ten mecz?

— Nawet nie wiem, jaki dziś jest dzień.

Reacher tego nie skomentował.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem — rzekł Barr. — Po prostu nie mogę uwierzyć.

— Mają mnóstwo dowodów.

— Prawdziwych?

— Niezbitych. Barr zamknął oczy.

— Ile osób? — spytał.

— Pięć.

Pierś Barra zaczęła poruszać się szybciej. Łzy spływały mu spod przymkniętych powiek. Otworzył usta. Płakał, z głową w imadle.

— Dlaczego to zrobiłem? — wykrztusił.

— A dlaczego zrobiłeś to za pierwszym razem? — odpowiedział pytaniem Reacher.

— Wówczas byłem szalony.

— To nie wymówka — mówił Barr. — Wtedy byłem innym człowiekiem. Myślałem, że się zmieniłem. Byłem pewien, że się zmieniłem. Byłem dobry. Naprawdę bardzo się starałem. Przez czternaście lat.

Reacher milczał.

— Zabiłbym się — powiedział Barr. — No wiesz, wtedy. Potem. Kilka razy już niewiele brakowało. Tak się wstydziłem. Tylko że okazało się, że ci faceci z Kuwejtu byli źli. To była moja jedyna pociecha. Chwyciłem się jej jak tonący brzytwy.

— Po co ci tyle karabinów?  
— Nie umiałem się ich pozbyć. Pamiątki. I pomagały mi wytrwać w postanowieniu. Bez nich byłoby to zbyt łatwe.  
— Używałeś ich kiedyś?  
— Sporadycznie. Rzadko. Od czasu do czasu.  
— Gdzie?  
— Na strzelnicy.  
— Gdzie? Policja sprawdzała.  
— Nie tutaj. Za granicą stanu, w Kentucky. Tam jest tania strzelnica.  
— Znasz plac w śródmieściu?  
— Jasne, przecież tu mieszkam.  
— Opowiedz mi, jak to zrobiłeś.  
— Nie pamiętam, że to zrobiłem.  
— No to powiedz mi, jak byś to zrobił. Teoretycznie. Jakbyś powtarzał zadanie.  
— Kim były cele?  
— Urzędnicy wychodzący z budynku wydziału komunikacji.  
Barr znów zamknął oczy.  
— Zastrzeliłem przechodniów?  
— Pięcioro — rzekł Reacher.  
Barr znowu zaczął płakać. Reacher cofnął się i wziął krzesło spod ściany. Obrócił je oparciem do przodu i usiadł.  
— Kiedy? — zapytał Barr.  
— W piątek po południu.  
Barr milczał przez długą chwilę.  
— Jak mnie złapali? — zapytał.  
— Ty masz opowiadać.  
— Czy to przez korek drogowy?  
— Dlaczego przez korek?  
— Zaczekałbym do wieczora. Może do piątej. Wtedy jest mnóstwo ludzi. Stałbym na autostradzie za biblioteką. Na estakadzie. Słońce na zachodzie, za moimi plecami, żadnych odblasków szkła lunety. Opuściłbym szybę w oknie od strony pasażera, wycelowalbym i opróżnił magazynek, a potem pojechałbym dalej. Mogliby mnie złapać tylko wtedy, gdyby drogówka zatrzymała mnie za nadmierną prędkość i zobaczyła

karabin. Jednak pewnie zdołałbym to przewidzieć. Prawda? Pewnie schowałbym karabin i jechał wolno. Nie za szybko. Dlaczego miałbym ryzykować i rzucać się w oczy?

Reacher milczał.

— No co? — pytał Barr. — Może jakiś gliniarz przystanął, chcąc mi pomóc. Tak było? Kiedy parkowałem? Może myślał, że złapałem gumę. Albo że zabrakło mi benzyny.

— Masz styropianowy słupek drogowy? — zapytał Reacher.

— Co takiego?

— Słupek.

Barr już chciał zaprzeczyć, ale zmienił zdanie.

— Chyba miałem taki — powiedział. — Nie jestem pewien, czy nadal go mam. Kładli mi asfalt na podjeździe. Postawili taki słupek na chodniku, żeby ktoś nie wjechał w świeżą smołę. Musiał stać tam przez cztery dni. Już po niego nie wrócili.

— I co z nim zrobiłeś?

— Wstawiłem do garażu.

— Jest tam jeszcze?

— Tak sądzę. A nawet jestem pewien.

— Kiedy robili ten podjazd?

— Na wiosnę. Kilka miesięcy temu.

— Masz rachunki?

Barr spróbował pokręcić głową. Skrzywił się, gdy uchwyt nie pozwolił mu ruszyć głową.

— To była robota na czarno — wyjaśnił. — Pewnie ukradli asfalt miastu. Prawdopodobnie z robót drogowych przy First Street. Zapłaciłem gotówką z ręki do ręki.

— Masz jakichś przyjaciół?

— Niewielu.

— Kim oni są?

— Zwyczajni faceci.

— Zawarłeś ostatnio jakieś nowe znajomości?

— Nie sądzę.

— Kobiety?

— Nie lubią mnie.

— Opowiedz mi o tym meczu.

— Już mówiłem.

— Gdzie wtedy byłeś? W samochodzie? W domu?

— W domu — odparł Barr. — Jadłem.

— Pamiętasz?

Barr zamrugał.

— Ta psycholog powiedziała, że powinienem spróbować sobie przypomnieć okoliczności. Dzięki temu może przypomnę sobie więcej. Byłem w kuchni i jadłem kurczaka na zimno. Z chipsami. To pamiętam. Jednak nic poza tym.

— Piłeś coś? Piwo, sok, kawę?

— Nie pamiętam. Wiem tylko, że słuchałem meczu. Mam radio Bose. Stoi w kuchni. Mam też telewizor, ale zawsze słucham transmisji w radiu, nigdy ich nie oglądam. Tak jak wtedy, kiedy byłem mały.

— Jak się czułeś?

— Jak się czułem?

— Byłeś szczęśliwy? Smutny? Normalny?

Barr znów milczał długą chwilę.

— Ta psycholog zadała mi to samo pytanie — rzekł. — Powiedziałem jej, że normalnie, ale myślę, że chyba byłem szczęśliwy. Jakby czekało mnie coś przyjemnego.

Reacher czekał na ciąg dalszy.

— Tym razem naprawdę dałem ciała, no nie? — rzekł Barr.

— Opowiedz mi o swojej siostrze — powiedział Reacher.

— Dopiero co tu była. Przed tym prawnikiem.

— Co do niej czujesz?

— Jest wszystkim, co mam.

— Jak daleko byś się posunął, żeby ją chronić?

— Zrobiłbym wszystko — odparł Barr.

— Na przykład?

— Przyznam się do winy, jeśli mi pozwolą. I tak będzie musiała stąd wyjechać, może zmienić nazwisko. Jednak chciałbym ją oszczędzić. Kupiła mi to radio. Na urodziny. Żebym mógł słuchać meczów.

Reacher milczał.

— Po co przyjechałeś? — spytał Barr.

— Żeby cię pogrążyć.

— Zasłużyłem na to.

— Nie strzelałeś z wiaduktu. Byłeś w nowej części piętrowego parkingu.

— Przy First Street?

— Na północnym końcu.

— To idiotyczne. Dlaczego strzelałem stamtąd?

— Poprosiłeś pierwszego prawnika, żeby mnie sprowadził.

W sobotę.

— Dlaczego miałbym o to prosić? Powinieneś być ostatnią osobą, którą chciałbym zobaczyć. Ty wiesz o Kuwejcie. Dlaczego miałbym chcieć, żeby to wyszło na jaw?

— Z kim Cardinals mieli grać następny mecz?

— Nie wiem.

— Spróbuj sobie przypomnieć. Muszę poznać wszystkie okoliczności tego zdarzenia.

— Nie pamiętam — powiedział Barr. — Kompletna pustka. Pamiętam tylko, że wygrali, nic więcej. Komentatorzy oszaleli. Wiesz, jacy oni są. Byli zdumieni. Tym, że tak głupio można przegrać mecz. Jednak to Cubsi, no nie? Powiadają, że oni zawsze znajdują jakiś sposób, żeby przegrać.

— A przed meczem? Wcześniej tamtego dnia?

— Nie pamiętam.

— Co zwykle robisz?

— Niewiele. Niewiele robię.

— Jaki był poprzedni mecz Cardinalsów?

— Nie przypominam sobie.

— A ostatnia rzecz, jaką jeszcze pamiętasz?

— Nie jestem pewien. Podjazd?

— To było kilka miesięcy temu.

— Pamiętam, że gdzieś byłem — powiedział Barr.

— Kiedy?

— Nie jestem pewien. Niedawno.

— Sam?

— Może z kimś. Nie jestem pewien. Ani tego, gdzie byłem.

Reacher nic nie powiedział, tylko odchylił się na krześle i słuchał cichego popiskiwania urządzenia monitorującego pracę serca. Wyraźnie przyspieszyło. Kajdanki po obu stronach łóżka pobrzękiwały.

— Co jest w kroplówce? — zapytał Barr.  
Reacher zmrugał oczyma w słonecznym blasku i przeczytał napis na woreczkach z płynami infuzyjnymi.  
— Antybiotyki — powiedział.  
— Nie środek przeciwbólowy?  
— Nie.  
— Pewnie uważają, że na żaden nie zasługuję. Znamy się długo, prawda? — rzekł Barr. — Ty i ja?  
— Niezupełnie.  
— To nie oznacza, że jesteśmy przyjaciółmi.  
— Dobrze to ująłeś.  
— A jednak coś nas łączy. Reacher milczał.  
— Czyż nie? — naciskał Barr.  
— W pewnym sensie — przyznał Reacher.  
— Zrobiłbyś coś dla mnie? — zapytał Barr. — Wyświadczyć mi przysługę.  
— Jaką?  
— Wyciągnij igłę z mojej ręki.  
— Po co?  
— Żebym dostał zakażenia i umarł.  
— Nie — odparł Reacher.  
— Dlaczego nie?  
— Jeszcze nie czas — powiedział Reacher.

Wstał, odstawił krzesło pod ścianę i wyszedł z pokoju. Przeszedł przez kontrolę i służbę powietrzną, po czym zjechał windą i wyszedł na ulicę. Samochodu Helen Rodin nie było na parkingu. Już odjechała. Nie czekała na niego. Przygotował się na długi marsz do śródmieścia.

\*\*\*

Minął place budowy i najpierw skierował się do biblioteki. Pomimo późnego popołudnia jeszcze była czynna. Smutna kobieta za biurkiem powiedziała mu, gdzie znaleźć archiwalne numery gazet. Zaczął od zeszytygodniowych numerów tej samej gazety z Indianapolis, którą czytał w autobusie. Zignorował niedzielne, sobotnie i piątkowe wydania. Zaczął od

czwartku, środy i wtorku. W drugiej z przeglądanych gazet znalazł to, czego szukał. Chicago Cubs grali ligowy mecz w St Louis we wtorek. Mecz miał dokładnie taki przebieg, jaki podał Barr. Koniec dziewiątej, dojdzie do pierwszej bazy, wypuszczenie, szczur do drugiej, piłka na aucie i wykluczenie. Szczegóły były w środowym rannym wydaniu. Wygrana przez wykluczenie. Około dziesiątej wieczorem we wtorek. Barr słyszał krzyki podnieconych komentatorów sześćdziesiąt siedem godzin przedtem, nim otworzył ogień.

\*\*\*

Potem Reacher wrócił tą samą drogą aż na posterunek policji. Cztery przecznice na zachód, jedną na południe. Nie przejmował się tym, czy kogoś zastanie. Posterunek sprawiał wrażenie czynnego dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Podeszedł prosto do biurka oficera dyżurnego i powołał się na prawo do ponownego obejrzenia dowodów. Dyżurny zadzwonił do Emersona, a potem wskazał Reacherowi drogę do wystawy Bellantonia.

Ten spotkał się z Reacherem na parkingu i otworzył drzwi. Niewiele się tam zmieniło, ale Reacher zauważył kilka zmian. Nowe kartki w plastikowych koszulkach, przypięte pod i nad starymi na korkowych tablicach, niczym stopki z dodatkowymi wyjaśnieniami.

— Uaktualnienia? — zapytał.

— Zawsze — odparł Bellantonio. — Nieustannie czuwamy.

— Co nowego?

— Zwierzęcy DNA — powiedział Bellantonio. — Identyfikacyjny z sierścią psa Barra, znalezioną na miejscu zbrodni.

— Gdzie ten pies?

— Uśpiony.

— To okrutne.

— To jest okrutne?

— Ten cholerny pies nic złego nie zrobił.

Na to Bellantonio nic nie powiedział.

— Co jeszcze? — zapytał Reacher.

— Kolejne wyniki badań włókien i balistycznych. Mamy



już więcej, niż nam potrzeba. Amunicja Lake City jest stosunkowo rzadka i udało nam się ustalić, że Barr kupił ją niecały rok temu. W Kentucky.

— Ćwiczył tam na strzelnicy. Bellantonio skinął głową.

— To również ustaliliśmy.

— Jeszcze coś?

— Ten styropianowy słupek jest własnością wydziału architektury miasta. Nie wiemy, jak ani kiedy go zabrano.

— Jeszcze coś?

— Myślę, że to chyba wszystko.

— A co z negatywami?

— Jakimi negatywami?

— Przekazuje mi pan same dobre wieści. Co z pytaniami bez odpowiedzi?

— Nie sądzę, żeby takie były.

— Jest pan tego pewien?

— W stu procentach.

Reacher jeszcze raz uważnie przyjrzał się korkowym tablicom.

— Grywa pan w pokera? — zapytał.

— Nie.

— Słusznie. Nie umie pan kłamać.

Bellantonio nie odpowiedział.

— Powinniście zacząć się martwić — rzekł Reacher. — Jeśli się wywinie, poda was do sądu o odszkodowanie za psa.

— Nie wywinie się — powiedział Bellantonio.

— Nie — zgodził się Reacher. — Raczej się nie wywinie.

\*\*\*

Emerson czekał przed drzwiami Bellantonio. W marynarce, bez krawata. Z frustracją w oczach, typową dla policjantów uwikłanych w prawnicze kruczki.

— Rozmawiał pan z nim? — zapytał. — W szpitalu?

— Nic nie pamięta, poczynając od wtorkowego wieczoru — odparł Reacher. — Czeka was sądowa przepychanka.

— Straszne.

— Powinniście bardziej dbać o bezpieczeństwo w aresztach.  
— Rodin ściągnie ekspertów.  
— Jego córka już to zrobiła.  
— Istnieją precedensy.  
— To broń obosieczna.  
— Chce pan, żeby ten gnój wyszedł na wolność?  
— To wy spieprzyliście sprawę — rzekł Reacher. — Nie ja.  
— Jeśli to pana uszczęśliwia.  
— To nikogo nie uszczęśliwia — odparł Reacher. — Jeszcze nie.

\*\*\*

Opuścił komisariat i wrócił do wieżowca z czarnego szkła. Helen Rodin siedziała za biurkiem, czytając jakiś dokument. Alan Danuta, Mason i Niebuhr już sobie poszli. Była sama.

— Rosemary pytała brata o Kuwejt — zaczęła. — Powiedziała mi to, kiedy wyszła z jego szpitalnego pokoju.

— I co? — spytał Reacher.

— I powiedział jej, że to wszystko prawda.

— Pewnie nie była to przyjemna rozmowa.

Helen Rodin pokręciła głową.

— Rosemary jest kompletnie rozbita. Mówi, że James też. On nie może uwierzyć, że znowu to zrobił. Nie wierzy, że przekreślił te czternaście lat.

W biurze zapadła cisza. W końcu Helen pokazała Reacherowi dokument, który czytała.

— Eileen Hutton ma stopień generała brygady — oznajmiła.

— Nieźle — skomentował Reacher. — Kiedy widziałem ją ostatnio, była majorem.

— A ty?

— Kapitanem.

— Czy to nie było niezgodne z regulaminem?

— Teoretycznie. Z jej strony.

— Pracowała w JAG.

— Prawnicy mogą łamać prawo tak jak inni ludzie.

— Nadal tam pracuje.

— Najwyraźniej. Nie ma rotacji personelu.

— Zatrudniona w Pentagonie.

— Tam trzymają najbystrzejszych.

— Będzie tu jutro.

Reacher milczał.

— Złożyć oświadczenie — powiedziała Helen.

Reacher nadal milczał.

— Spotkanie ma się odbyć o czwartej po południu. Zapewne przyleci rano i zatrzyma się w jakimś hotelu. Ponieważ będzie musiała zostać przez noc. Nie zdąży na wieczorny samolot.

— Chcesz mnie prosić, żebym poszedł z nią na kolację?

— Nie — odparła Helen. — Nie zamierzam. Chcę cię prosić, żebyś poszedł z nią na lunch. Zanim spotka się z moim ojcem. Muszę wcześniej wiedzieć, po co tu przyleciała.

— Uśpili psa Barra — powiedział Reacher.

— Był stary.

— To cię nie martwi?

— A powinno?

— Ten pies nikomu nic złego nie zrobił.

Helen nic nie odrzekła.

— W którym hotelu zatrzyma się Hutton? — spytał Reacher.

— Nie mam pojęcia. Będziesz musiał złapać ją na lotnisku.

— Numer lotu?

— Tego też nie wiem. Jednak nie ma bezpośredniego połączenia z D.C. Sądzę, że przesiądzie się w Indianapolis. Nie przybędzie tu wcześniej niż o jedenastej rano. — Przepraszam — dodała. — Za to, że powiedziałam Danucie, że nie mamy żadnego dowodu na istnienie zakulisowego manipulatora. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak nieprzyjemnie.

— Miałś rację — rzekł Reacher. — Nie mieliśmy żadnego dowodu. Wtedy.

Spojrzała na niego.

— Wtedy?

— Teraz mamy.

— Co?

— Na posterunku policji zrobili istną kapliczkę. Mają wólk-

na, wyniki badań balistycznych, DNA psa, kwit za amunicję z jakiegoś sklepu w Kentucky. Ustalili, że styropianowy słupek ukradziono miastu. Mają wszystko.

— Oprócz? — naciskała Helen.

— Nie mają taśmy wideo, na której James Barr przyjeżdża wcześniej na parking, żeby postawić tam ten słupek.

— Jesteś pewny?

Reacher skinął głową.

— Do tej pory musieli obejrzeć te taśmy z tuzin razy. Gdyby go zobaczyli, zdjęcia byłyby wywieszane na tablicy, żeby cały świat mógł je oglądać. Nie ma ich tam, co oznacza, że ich nie mają. A to oznacza, że James Barr nie przyjechał wcześniej na parking i nie umieścił tam słupka.

— A to oznacza, że zrobił to ktoś inny.

— Zakulisowy manipulator — rzekł Reacher. — Albo inna jego marionetka. Nie wcześniej niż w nocy z wtorku na środę, ponieważ Barr uważa, że we wtorek ten słupek jeszcze stał w jego garażu.

Helen znów spojrzała na niego.

— Ktokolwiek to zrobił, musi być na kasecie.

— Owszem — potwierdził Reacher.

— Jednak tam parkują setki samochodów.

— Można trochę zawęzić krąg poszukiwań. To sedan. Ze zbyt niskim zawieszeniem, by jechać pełną drogą.

— Ten zakulisowy manipulator naprawdę istnieje, prawda?

— Inaczej tego wszystkiego nie można wytłumaczyć.

— Wiesz co? Alan Danuta ma chyba rację. Mój ojciec zamieni Barra na tego manipulatora. Byłby głupcem, gdyby tego nie zrobił.

Reacher tego nie skomentował.

— Co oznacza, że Barr wyjdzie na wolność — ciągnęła Helen. — Rozumiesz to, prawda? Nie ma innej możliwości. Prokuratura miałaby problemy z postawieniem go w stan oskarżenia.

Reacher nadal milczał.

— Mnie też to nie cieszy — powiedziała Helen. — Jednak dla mnie to tylko kwestia opinii. Poradzę sobie z tym. Przynaj-

mniej taką mam nadzieję. Mogę zrzucić winę na warunki w areszcie. Twierdzić, że nie wyszedł dzięki mnie.

— Jednak? — spytał Reacher.

— Co ty zrobisz? Przyjechałeś tutaj, żeby go pogrążyć, a on wyjdzie na wolność.

— Jeszcze nie wiem, co zrobię — odparł Reacher. — A jakie mam możliwości?

— Tylko dwie, których się obawiam. Możesz przestać mi pomagać w poszukiwaniach zakulisowego manipulatora. Nie znajdę go sama, a Emerson nawet nie będzie próbował.

— A druga?

— Możesz sam wyrównać rachunki z Barrem.

— Jasne.

— Nie możesz tego zrobić. W najlepszym razie dostałbyś dożywocie.

— Gdyby mnie złapali.

— Złapałoby cię. Wiedziałabym, że to twoja robota.

Reacher uśmiechnął się.

— Zakapowałabyś mnie?

— Musiałabym — odparła Helen.

— Nie, gdybyś była moim adwokatem. Nie mogłabyś nic powiedzieć.

— Nie jestem twoim adwokatem.

— Mógłbym cię zatrudnić.

— Rosemary Barr też by wiedziała i wydałaby cię w mgnieniu oka. Franklin również. On też wysłuchał twojej opowieści.

Reacher skinął głową.

— Jeszcze nie wiem, co zrobię — powtórzył Reacher.

— Jak znajdziemy tego faceta?

— Sama powiedziałaś: dlaczego miałbym próbować?

— Ponieważ nie sądzę, żebyś należał do ludzi, którzy zadowolają się połowicznym sukcesem.

Reacher milczał.

— Sądzę, że chcesz poznać prawdę — dodała Helen. — Myślę, że nie lubisz, kiedy wciskają ci kit. Nie lubisz być uważany za frajera.

Reacher nadal nic nie mówił.

— A ponadto to wszystko śmierdzi — powiedziała Helen. — Mamy sześć ofiar. Tych pięciu zabitych i samego Barra.

— Jak dla mnie to trochę zbyt szeroka definicja ofiary.

— Doktor Niebuhr podejrzewa, że Barr zawarł ostatnio jakąś znajomość. Jakąś nową przyjaźń. Moglibyśmy pójść tym tropem.

— Barr powiedział mi, że nie ma żadnych nowych przyjaciół — rzekł Reacher. — I że ma ich niewielu.

— Mówił prawdę?

— Myślę, że tak.

— Zatem Niebuhr się myli?

— Niebuhr zgaduje. Jest psychiatrą. Oni potrafią tylko zgadywać.

— Mogłabym zapytać Rosemary.

— Czy ona zna jego przyjaciół?

— Prawdopodobnie. Jest zżyta z bratem.

— Postaraj się zrobić listę — rzekł Reacher.

— Czy doktor Mason też zgaduje?

— Niewątpliwie. Jednak ona chyba zgaduje trafnie.

— Jeśli Niebuhr myli się w kwestii przyjaciela, co zrobimy?

— Coś konstruktywnego.

— Co?

— Ktoś musiał śledzić mnie wczoraj wieczorem i jestem pewien, że jakiś facet szedł za mną dziś rano. Widziałem go na placu. Kiedy znów go zobaczę, zamienię z nim słowo. Powie mi, dla kogo pracuje.

— Tak po prostu?

— Ludzie zwykle mówią mi to, co chcę wiedzieć.

— Dlaczego?

— Ponieważ grzecznie pytam.

— Nie zapomnij grzecznie zapytać Eileen Hutton.

— Będziemy w kontakcie — odparł Reacher.

\*\*\*

Ruszył na południe, minął swój hotel i znalazł tanią restaurację. Po obiedzie powoli poszedł na północ, przez plac, obok wieżowca z czarnego szkła, pod estakadą autostrady, aż do

sportowego baru. Chociaż prawie przez godzinę był na ulicach, nie zauważył, by ktoś za nim szedł. Żadnych inwalidów w dziwnych garniturach. Nikogo.

Bar był prawie pusty i na wszystkich ekranach leciała transmisja z meczu baseballowego. Znalazł sobie stolik w kącie i oglądał, jak Cardinals grają w Houston z Astrosami. Mało istotny mecz pod koniec sezonu między dwiema drużynami bez szans na puchar. W przerwach na reklamy obserwował drzwi. Nikogo nie zauważył. Tutaj, na prowincji, wtorek był jeszcze spokojniejszy niż poniedziałek.

\*\*\*

Grigor Linsky zadzwonił z komórki.

— Znów jest w barze sportowym — powiedział.

— Widział cię? — zapytał Zek.

— Nie.

— Po co znów poszedł do tego baru?

— Bez powodu. Potrzebował jakiegoś celu, to wszystko. Prawie godzinę paradował po mieście, próbując mnie zwabić.

Chwila ciszy.

— Zostaw go — powiedział Zek. — Przyjdź tu, to porozmawiamy.

\*\*\*

Alex Rodin zadzwonił do Emersona. Ten był w domu i jadł obiad z żoną oraz dwiema córkami, więc wcale nie miał ochoty odbierać telefonu. Jednak zrobił to. Poszedł do holu i usiadł na drugim stopniu schodów, pochylony, z łokciami opartymi na kolanach, przytrzymując telefon ramieniem.

— Musimy coś zrobić z tym Jackiem Reacherem — powiedział mu Rodin.

— Nie sądzę, żeby on stanowił poważny problem — rzekł Emerson. — Może chciałby, ale nie może negować faktów. Mamy na Barra więcej dowodów, niż nam potrzeba.

— Teraz nie chodzi już o fakty, tylko o amnezję i to, w jakim stopniu obrona zechce ją wykorzystać.

— To zależy od pańskiej córki.

— On ma na nią zły wpływ. Poczytałem sobie o podobnych sprawach. To naprawdę grząski grunt. Nie w tym rzecz, czy Barr pamięta dzień, w którym popełnił tę zbrodnię. Chodzi o to, czy rozumie swoją sytuację, teraz, dzisiaj, i czy mamy wystarczający materiał dowodowy, żeby skazać go bez jego przyznania się do winy.

— Powiedziałbym, że mamy.

— Ja też.

— Jednak Helen musi to przełknąć. Musi się zgodzić. Tymczasem ten facet przez cały czas stoi nad nią i miesza jej w głowie. Znam ją. Nie odpuści, dopóki facet nie zniknie z horyzontu.

— Nie wiem, co mógłbym zrobić.

— Chcę, żebyś go zamknął.

— Nie mogę — odparł Emerson. — Nie bez żadnych zarzutów.

Rodin zamilkł.

— No cóż, miej go na oku — powiedział. — Jeśli choć splunie na chodnik, zamknij go i zrób z nim coś.

— To nie Dzik Zachód. Nie mogę wypędzić go z miasta.

— Wystarczy aresztowanie. Musimy jakoś uwolnić Helen spod jego wpływu. On popycha ją do robienia tego, czego ona wcale nie chce robić. Znam ją. Jeśli zostanie sama, na pewno odpuści sprawę Barra.

\*\*\*

Wracając samochodem, Linsky był obolały. Godzina na nogach — tylko tyle mógł znieść. Dawno temu wszystkie kości kręgosłupa metodycznie porozbijano mu młotkiem o okrągłej główce, jeden po drugim, poczynając od kości ogonowej i powoli przesuwając się wyżej. Pozwalano, by poprzednia się zrosła, zanim rozbito następną. A kiedy zagoiła się ostatnia, zaczynano od nowa. Nazywali to grana ksylofonie. Ćwiczeniem gam. W końcu stracił rachubę gam, które na nim odegrali.

Jednak nigdy o tym nie mówił. Zekowi przydarzyły się gorsze rzeczy.

Fotele cadillaca były miękkie, więc Linsky wsiadł do niego



z ulgą. Samochód miał cichy silnik, miękkie amortyzatory i dobre radio. Cadillaki były jedną z tych rzeczy, które czyniły Amerykę takim przyjemnym miejscem, razem z ufnymi mieszkańcami i nieporadną policją. Linsky mieszkał w kilku różnych krajach i nie miał żadnych wątpliwości, który z nich jest najlepszy. W innych chodził, biegał lub pełzał w błocie albo ciągnął wózki lub sanie. Tutaj jeździł cadillakiem.

Pojechał nim do domu Zeka, który znajdował się osiem mil na północny zachód od miasta, obok jego wytwórni kruszywa. Powstała tu przed czterdziestoma laty, na bogatym złożu wapienia, który odkryto na terenie farmy. Sam dom był okazałą rezydencją, zbudowaną ponad sto lat temu dla bogatego handlarza suszonych owoców, kiedy krajobraz był jeszcze nietknięty. Burżuazyjna i afektowana, była wygodna niczym cadillac. A przede wszystkim stała na środku wieloakrowej równiny. Kiedyś rozciągały się tu piękne ogrody, ale Zek kazał ściąć wszystkie drzewa i wykarczować zarośla, żeby stworzyć zupełnie równy i odsłonięty teren. Nie było ogrodzenia, bo czy Zek umiałby przeżyć jeszcze jeden dzień za drutami? Z tego samego powodu w domu nie było zamków, rygli ani krat. To był prezent, jaki Zek zrobił samemu sobie. Jednak na swój sposób było to również doskonale zabezpieczenie. Wokół domu rozmieszczono kamery. Nikt nie zdołałby zbliżyć się tu niepostrzeżenie. W dzień goście byli wyraźnie widoczni co najmniej z dwustu jardów, a po zmroku noktowizory pozwalały ich dostrzec z niewiele mniejszej odległości.

Linsky zaparkował i wygramolił się z samochodu. Noc była cicha. Kruszarnią kończyła pracę o siódmej wieczorem, po czym do świtu stała ponura i cicha. Linsky zerknął w jej kierunku i poszedł w stronę domu. Drzwi frontowe otwarły się, zanim do nich doszedł. W prostokacie ciepłego światła pojawił się Vladimir, który wyszedł mu na spotkanie, co oznaczało, że Chenko też jest na górze. A to oznaczało, że Zek zebrał swoich najlepszych ludzi, czyli był zaniepokojony.

Linsky nabrał tchu, ale bez wahania wszedł do środka. W końcu, czy ktoś mógł mu zrobić coś, czego jeszcze mu nie zrobiono? Z Vladimirem i Chenką było inaczej, ale dla ludzi

mających lata i doświadczenia Linsky'ego nie było już rzeczy przechodzących ludzkie wyobrażenie.

Vladimir się nie odezwał. Tylko zamknął drzwi i poszedł za Linskim na górę. Dom był dwupiętrowy. Parter wykorzystywano wyłącznie jako punkt obserwacyjny. Wszystkie pomieszczenia były całkiem puste, poza jednym pokojem, w którym na długim stole stały cztery monitory, ukazujące szerokokątne obrazy z kamer rozmieszczonych wokół domu. Z pewnością siedział przy nich Sokolov. Albo Raskin. Zmieniali się co dwanaście godzin. Na piętrze znajdowała się kuchnia, jadalnia, salon i biuro. Na drugim sypialnie i łazienki. Wszystkie interesy załatwiano na pierwszym piętrze. Linsky usłyszał dobiegający z salonu głos Zeka, który go wzywał. Wszedł bez pukania. Zek siedział na fotelu, trzymając w dłoniach kieliszek wina. Chenko wyciągnął się na sofie. Vladimir wcisnął się do środka za Linskim i usiadł obok Chenki. Linsky stał i czekał.

— Siadaj, Grigorze — powiedział Zek. — Nikt się na ciebie nie gniewa. To była wina chłopca.

Linsky kiwnął głową i usiadł na fotelu, trochę bliżej Zeka niż Chenko. Takie ustawienie odzwierciedlało hierarchię. Zek był osiemdziesięcioletkiem, a Linsky po sześćdziesiątce. Chenko i Vladimir mieli po czterdzieści kilka lat, niewątpliwie ważni, ale stosunkowo młodzi. Nie przeżyli tego co Zek i Linsky. Nawet w przybliżeniu.

— Herbaty? — zapytał Zek po rosyjsku.

— Proszę — powiedział Linsky.

— Chenko — powiedział Zek. — Przynieś Grigorowi szklankę herbaty.

Linsky uśmiechnął się w duchu. Fakt, że Chenko miał mu podać herbatę, miał niezwykle doniosłe znaczenie. Zauważył też, że Chenko chętnie wykonał to polecenie. Podniósł się z kanapy, poszedł do kuchni i wrócił ze szklanką herbaty na srebrnej tacce. Chenko był bardzo małym mężczyzną, niskim, żyłastym, bez grama tłuszczu. Miał szczeciniaste czarne włosy, sterczące na wszystkie strony, mimo że były krótko ścięte. Vladimir stanowił jego przeciwieństwo. Był bardzo wysoki, mocno zbudowany i jasnowłosy. Niewiarygodnie silny. Bardzo

możliwe, że miał w sobie jakieś niemieckie geny. Może jego babka załapała je w 1941 roku, jak zarazki.

— Rozmawialiśmy — powiedział Zek.

— I? — spytał Linsky.

— Musimy pogodzić się z faktem, że popełniliśmy błąd. Tylko jeden, ale może okazać się kłopotliwy.

— Słupek — mruknął Linsky.

— Na filmie nie ma Barra ustawiającego ten słupek — powiedział Zek.

— Nie ma.

— Czy to będzie problem?

— A twoim zdaniem? — zapytał uprzejmie Linsky.

— Znaczenie tego faktu zależy od obserwatora — odparł Zek. — Detektyw Emerson i prokurator Rodin nie będą się tym przejmowali. To drobny szczegół, którym nie zechcą się zajmować. Bo i po co? Nie będą sami sobie rzucać kłód pod nogi. A nie było jeszcze równie stuprocentowej sprawy. Oni o tym wiedzą. Dlatego uznają, że to nieistotny drobiazg. Może nawet wmówią sobie, że Barr posłużył się innym pojazdem.

— Ale?

— Ale fakt pozostaje faktem. Jeśli żołnierz pójdzie tym śladem, może na coś natrafić.

— Dowody obciążające Barra są niepodważalne.

Zek skinął głową.

— To prawda.

— Czy to im nie wystarczy?

— Z pewnością powinno. Jednak jest możliwe, że Barr już nie istnieje. Niejako osoba fizyczna mogąca ponosić odpowiedzialność prawną. Ma trwały zanik pamięci. Być może Rodin nie zdoła postawić go przed sądem. Jeśli tak, to będzie bardzo rozczarowany. Można oczekiwać, że zacznie szukać nagrody pocieszenia. A gdyby ta nagroda pocieszenia okazała się cenniejszym trofeum od Barra, czy Rodin mógłby z niej zrezygnować?

Linsky upił łyk herbaty. Była gorąca i słodka.

— I to wszystko przez tę kasetę wideo? — spytał.

— Wszystko zależy od żołnierza — rzekł Zek. — Od jego uporu i wyobraźni.

— To były żandarm — powiedział po angielsku Chenko. — Wiedzieliście o tym?

Linsky spjrzał na Chenkę. Ten rzadko mówił w tym domu po angielsku. Jego amerykański akcent był doskonały i czasem Linsky podejrzewał, że Chenko się tego wstydzi.

— To niekoniecznie robi na mnie wrażenie — powiedział po rosyjsku Linsky.

— I na mnie — rzekł Zek. — Jednak musimy wziąć to pod uwagę.

— Gdybyśmy go teraz uciszeli, zwróciłoby to uwagę — rzekł Linsky. — Prawda?

— To by zależało od tego, jak zostałoby to zrobione.

— Jakie mamy możliwości?

— Moglibyśmy znów wykorzystać tę rudowłosą dziewczynę — powiedział Zek.

— Ona nic by nie zdziałała. Ten żołnierz to olbrzym i niemal na pewno dobrze wyszkolony w sztuce samoobrony.

— Jednak już kontaktował się z dziewczyną. Wiele osób widziało, jak próbowała napuścić na niego osiłków. Może gdyby znaleziono ją ciężko ranną... W takim wypadku żołnierz byłby głównym podejrzanym. Może policja uciszyłaby go za nas.

— Ona wiedziałaby, kto na nią napadł — rzekł Vladimir. — Wiedziałaaby, że to nie żołnierz.

Zek z aprobatą kiwnął głową. Linsky obserwował go. Był przyzwyczajony do jego metod. Zek lubił prowokować ludzi do wyciągania wniosków, jakich oczekiwał, niczym stary Sokrates.

— Zatem może powinno się ją zostawić w takim stanie, żeby nikomu nic nie mogła powiedzieć — podesunął Zek.

— Martwą?

— Zawsze uważaliśmy, że tak jest najbezpieczniej, czyż nie?

— Jednak ona może mieć wielu wrogów — rzekł Vladimir. — Może lubi prowokować mężczyzn.

— Dlatego powinniśmy stworzyć powiązanie. Może powinni ją znaleźć w jakimś wiele mówiącym miejscu. Jakby zaprosił ją do siebie, żeby pogłębić nową znajomość.

— W jego hotelu?

— Nie, raczej na zewnątrz. Jednak blisko. Tam gdzie prędzej znajdzie ją ktoś inny niż żołnierz. Ktoś, kto zadzwoni na policję, kiedy on jeszcze będzie spał. W ten sposób stanie się łatwym celem.

— Dlaczego jej ciało powinno leżeć niedaleko jego hotelu?

— Uderzył ją, a ona z trudem uciekła i umarła niedaleko hotelu.

— Metropole Palace — powiedział Linsky. — Tam się zatrzymał.

— Kiedy? — zapytał Chenko.

— Kiedy chcecie — odparł Zek.

\*\*\*

Astrosi pokonali Cardinalsów dziesięć do siedmiu po kiepskiej, defensywnej grze obu stron. Mnóstwo słabych uderzeń, wiele błędów. Zwycięstwo w słabym stylu, a porażka w jeszcze gorszym. W połowie meczu Reacher przestał oglądać transmisję. Zamiast tego zaczął rozmyślać o Eileen Hutton. Ona była fragmentem jego mozaiki. Spotkał się z nią raz w Stanach przed wojną w Zatoce, przelotnie w zatłoczonej sali sądowej, i zakładał, że już nigdy jej nie zobaczy, czego żałował. Potem jednak pojawiła się w Arabii Saudyjskiej w trakcie operacji Pustynna Tarcza. Reacher był tam prawie od samego początku, niedawno zdegradowany do kapitana. Pierwsza faza każdej zamorskiej operacji zawsze przypomina wojnę gangów pomiędzy żandarmerią a posłanymi oddziałami, ale mniej więcej po sześciu tygodniach sytuacja się normalizuje i Pustynna Tarcza pod tym względem niczym nie różniła się od innych. Po sześciu tygodniach powstała już sprawna machina prawna, a ta wymagała obecności sprowadzanego z kraju personelu, od strażników więziennych po sędziów. Hutton była jednym z przysłanych tam prokuratorów. Reacher odgadł, że zgłosiła się dobrowolnie, co go cieszyło, ponieważ świadczyło o tym, że prawdopodobnie jest niezamężna.

Była niezamężna. Kiedy pierwszy raz skrzyżowały się ich ścieżki, spjrzał na jej lewą rękę i zobaczył, że nie ma obrączki. Potem spjrzał na jej kołnierz i zobaczył dębowe liście majora.

Wiedział, że byłoby to wyzwanie dla oficera świeżo zdegradowanego do kapitana. Potem spojrział jej w oczy i zdecydował, że to wyzwanie warto podjąć. W jej niebieskich oczach dostrzegł inteligencję i łobuzerski błysk. A także obietnicę przygody. Właśnie skończył trzydzieści lat i był gotowy na wszystko.

Pomogła mu pustynia. Temperatura rzadko opadała poniżej czterdziestu stopni, więc poza próbnymi alarmami obrony przeciwchemicznej standardowe umundurowanie składało się z szortów i podkoszulka bez rękawów. A Reacher z doświadczenia wiedział, że bliskie kontakty rozgrzanych oraz prawie nagich mężczyzn i kobiet niemal zawsze prowadzą do czegoś dobrego. To na pewno lepsze od listopadowej służby w Minnesocie.

Pierwsze podejście było trochę ryzykowne, biorąc pod uwagę różnicę rang. Kiedy do tego doszło, trochę pokpił sprawę i uratowało go tylko to, że ona była równie chętna jak on i nie bała się tego okazać. Później wszystko szło gładko jak po maśle, przez trzy długie miesiące. Dobre czasy. Potem, jak zawsze, przyszły nowe rozkazy. Nawet się z nią nie pożegnał. Nie było okazji. I już jej później nie zobaczył.

Jutro znów ją ujrzę, pomyślał.

\*\*\*

Został w barze, dopóki ESPN nie zaczęła ponownie pokazywać sprawozdań, które już widział. Zapłacił rachunek i wyszedł na ulicę, w żółty blask lamp ulicznych. Postanowił nie wracać do Metropole Palace. Doszedł do wniosku, że czas na zmianę. Bez żadnego konkretnego powodu. Tak po prostu podpowiadał mu jego niespokojny duch. Bądź w ruchu. Nigdy nie zatrzymuj się zbyt długo w jednym miejscu. Ponadto Metropole była ponurą starą norą. Nieprzyjemne miejsce, nawet dla kogoś tak mało wymagającego jak on. Tak więc postanowił przenocować w motelu. Tym, który widział, szukając sklepu z częściami samochodowymi. Tym obok salonu fryzjerskiego. Każda fryzura 7 \$. Może zdąży się ostrzec, zanim Eileen Hutton tu przyłeci.

Chenko opuścił dom Zeka o północy. Zabrał ze sobą Vladimira. Jeśli ruda miała być śmiertelnie pobita, będzie musiał to zrobić Vladimir. Ponieważ musi to wyglądać prawdopodobnie. Chenko był o wiele za mały, żeby pobić ją tak, jak rozwścieczony żołnierz, mający sześć stóp i pięć cali wzrostu oraz ważący dwieście pięćdziesiąt funtów. Vladimir to co innego. Ten mógł załatwić sprawę jednym uderzeniem, co powinno wyglądać przekonująco podczas autopsji. Seksualna prowokacja, a potem odmowa jej spełnienia i olbrzymi mężczyzna w gniewie zadaje cios trochę silniejszy, niż zamierzał.

Obaj znali tę dziewczynę. Spotkali ją już, ponieważ znała Jeba Olivera. Raz nawet pracowali razem. Wiedzieli, gdzie mieszka — w wynajmowanym mieszkaniu w apartamentowcu, który przycupnął na pustym kawałku terenu w cieniu stanowej autostrady, tam gdzie zaczynała piąć się na estakadę, na południowy zachód od śródmieścia. Wiedzieli, że mieszka sama.

\*\*\*

Reacher zatoczył szeroki krąg średnicy trzech przecznic, zanim dotarł do motelu. Szedł cicho i nasłuchiwał odgłosu kroków śledzącego go człowieka. Nie usłyszał. Nikogo nie zauważył.

Motel był niemal zabytkowy. Niegdyś musiał być nowy i na topie. Jednak nieubłagany czas i zmiany mody sprawiły, że pozostał w tyle. Był dobrze utrzymany, ale nieodnowiony. Dokładnie taki, jakie lubił.

Obudził recepcjonistę i zapłacił tylko za jedną noc. Przedstawił się jako Don Heffner, który grał na drugiej bazie i w kiepskim dla Yankees sezonie 1934 roku osiągnął wynik .261. Recepcjonista dał mu wielki mosiężny klucz i pokazał, gdzie jest pokój numer osiem. Pokój był ciemny i trochę wilgotny. Wezgielnie łóżka i zasłony na oknach wyglądały na elementy oryginalnego wyposażenia. Armatura łazienki również. Jednak wszystko działało, a drzwi dawały się zamknąć.

Wziął krótki prysznic, po czym bardzo starannie złożył koszulę oraz spodnie i umieścił je pod materacem. Tylko taki sposób prasowania uznawał. Rano rzeczy będą wyglądały

całkiem nieźle. Starannie się ogoli, weźmie prysznic i po śniadaniu pójdzie do fryzjera. Nie chciał popsuć dobrych wspomnień, jakie mogła zachować Hutton. Zakładając, że jakies zachowała.

\*\*\*

Chenko zaparkował na wschód od autostrady i razem z Vladimirem przeszedł pod wiaduktem. Przez nikogo niewidziani podeszli od tyłu do budynku, w którym mieszkała dziewczyna. Trzymając się blisko muru, obeszli budynek i dotarli do jej drzwi. Chenko kazał Vladimirowi, żeby się nie pokazywał. Potem delikatnie zapukał do drzwi. Brak reakcji wcale go nie zaskoczył. Było późno, więc pewnie już spała. Chenko zapukał ponownie, tym razem trochę głośniej. I jeszcze raz, najgłośniej jak śmiał. Zobaczył zapalające się w oknie światło. Usłyszał ciche szuranie w środku, a potem jej głos przez szparę między drzwiami a futryną.

— Kto tam? — zapytała.

— To ja — powiedział.

— Czego chcesz?

— Musimy porozmawiać.

— Spałam.

— Przepraszam.

— Jest okropnie późno.

— Wiem — rzekł Chenko. — Jednak to pilna sprawa.

Chwila ciszy.

— Zaczekaj moment — powiedziała.

Chenko usłyszał, jak idzie do sypialni. Cisza. Po chwili wróciła. Otworzyła drzwi. Stała w nich, zaciskając szlafrok.

— O co chodzi? — zapytała.

— Musisz pojechać z nami — powiedział Chenko.

Vladimir wyszedł z cienia.

— A on po co tu jest? — zapytała Sandy.

— Pomaga mi dzisiaj — odparł Chenko.

— Czego chcecie?

— Musisz pojechać z nami.

— W tym stroju? Nie mogę.



— Słusznie — rzekł Chenko. — Musisz się ubrać. Jak na randkę.

— Na randkę?

— Musisz wyglądać naprawdę super.

— Będę musiała wziąć prysznic. I coś zrobić z włosami.

— Mamy czas.

— Z kim ta randka?

— Musisz tylko się pokazać. Jakbyś szła na randkę.

— O tej porze? Całe miasto śpi.

— Niecałe. Na przykład my nie śpimy.

— Ile dostanę?

— Dwieście — odparł Chenko. — Za późną porę.

— Jak długo to potrwa?

— Tylko chwilę. Musisz tylko gdzieś się pokazać.

— Sama nie wiem...

— Dwie setki za minutę pracy to sporo.

— To nie będzie minuta. Przygotowania zajmą mi godzinę.

— No to dwieście pięćdziesiąt — kusił Chenko.

— W porządku — powiedziała Sandy.

\*\*\*

Chenko i Vladimir zaczekali w jej salonie, słuchając odgłosów zza cienkiej ściany, słuchając, jak bierze prysznic, używa suszarki, wstrzymuje oddech, robiąc makijaż, pstryknięcie gumki od majtek, szelestu materiału na ciele. Chenko zauważył, że Vladimir był poruszony i spocony. Nie z powodu czekającego go zadania, lecz obecności rozebranej kobiety w sąsiednim pomieszczeniu. W pewnych sytuacjach na Vladimirze nie można było polegać. Chenko był rad, że przyjechał tu dopilnować operacji. W przeciwnym razie plan z pewnością ległby w gruzach.

Po godzinie Sandy weszła do pokoju, wyglądając — jak mówią Amerykanie — jak milion dolarów. Włożyła cienką czarną bluzkę, niemal przezroczystą. Pod nią nosiła czarny biustonosz, który formował jej piersi w dwie idealne półkule. Obcisłe czarne spodnie z nogawkami kończącymi się tuż poniżej kolan. Bermudy? Rybaczki? Chenko nie był pewien, jak takie

się nazywają. Na nogach miała czarne szpilki. Jasnoskóra, rudowłosa i zielonooka, wyglądała jak ze zdjęcia w magazynie ilustrowanym.

Szkoda, pomyślał Chenko.

— Moja forsa? — zapytała Sandy.

— Potem — powiedział Chenko. — Kiedy cię odwieziemy.

— Chcę ją zobaczyć.

— Jest w samochodzie.

— To chodźmy ją zobaczyć — powiedziała Sandy.

Poszli gęsiego. Chenko szedł pierwszy, Sandy za nim, a Vladimir zamykał pochód. Przeszli pod estakadą autostrady. Samochód stał dokładnie naprzeciw nich. Był zimny i miał zaparowane szyby. Nie było w nim pieniędzy. Żadnych. Chenko o tym wiedział. Dlatego kiedy znalazł się w odległości sześciu stóp od wozu, przystanął i odwrócił się. Skinął głową do Vladimira.

— Teraz — powiedział.

Vladimir wyciągnął prawą rękę i położył ją od tyłu na ramieniu Sandy. Odchylił jej górną połowę ciała w bok, a lewą pięścią uderzył w prawą skroń, nieco ponad i przed prawym uchem. To był potworny cios. Morderczy. Jej głowa gwałtownie odskoczyła, nogi się ugięły i osunęła się na ziemię jak ubranie zsuwające się z wieszaka.

Chenko przykucnął przy niej. Zaczekał, aż znieruchomieje, a potem dotknął szyi, sprawdzając puls. Nie było go.

— Złamałeś jej kark — powiedział.

Vladimir kiwnął głową.

— To kwestia odpowiedniego punktu — rzekł. — Główne uderzenie jest skierowane w bok, ale istotny jest również lekki obrót. Tak więc to właściwie nie jest łamanie. Raczej przerwanie kręgow. Jak stryczkiem.

— Jak ręka?

— Jutro będzie boleć.

— Dobra robota.

— Staram się.

Otworzyli samochód, podnieśli podłokietnik na tylnym siedzeniu i położyli tam ciało. Miejsca było dostatecznie dużo. Sandy była niewysoka. Potem usiedli z przodu i odjechali.

Zatoczyli spory łuk i podjechali do Metropole Palace od tyłu. Ominęli zatoczkę ze stertami śmieci i znaleźli boczną uliczkę. Zatrzymali się przy wyjściu ewakuacyjnym. Vladimir wysiadł i otworzył tylne drzwiczki. Wyciągnął ciało i zostawił je tam, gdzie upadło. Potem wsiadł do samochodu. Chenko odjechał kawałek, po czym zatrzymał wóz i obejrzał się. Ciało leżało bezwładnie pod murem. Dokładnie naprzeciwko wyjścia awaryjnego. Dość prawdopodobny scenariusz wydarzeń. Zawstydzona i przerażona uciekła z pokoju żołnierza, postanowiła nie czekać na windę, zbiegła po schodach pożarowych i wybiegła na zewnątrz. Może potknęła się i pogłębiła doznany wcześniej uraz kręgosłupa. Może straciła równowagę i wpadła na mur, przerywając już naruszony rdzeń kręgowy.

Chenko odwrócił się twarzą do kierunku jazdy i pojechał nie za szybko, nie za wolno, nie ściągając na siebie uwagi, osiem mil na północny zachód, z powrotem do domu Zeka.

## 8

Reacher obudził się o siódmej rano, po czym poszedł sprawdzić, czy ciągnie za sobą ogon, i poszukać drogerii. Przeszedł zygzakiem pół mili i nie dostrzegł nikogo, kto by za nim szedł. Dwie przecznice na wschód od motelu znalazł drogerię, w której kupił czarną kawę w papierowym kubku, paczkę jednorazowych ostrzy do golenia, opakowanie pianki do golenia i tubkę pasty do zębów. Zaniósł te zakupy do motelu, wracając okrężną drogą, po czym znów schował ubranie pod materac, usiadł na łóżku i wypił kawę. Potem wziął prysznic i ogolił się, co jak zwykle zajęło mu dwadzieścia dwie minuty. Dwukrotnie umył głowę. Później znów się ubrał i poszedł na śniadanie do jedyne go lokalu, jaki zdołał znaleźć — do baru dla zmotoryzowanych, który widział poprzedniego dnia. W barze był mały stolik. Reacher wypił drugą kawę i zjadł bułkę z szynką oraz czymś, co kiedyś mogło być jajkiem, najpierw wysuszonym i sproszkowanym, a następnie odtworzonym. Jego próg kulinarnej akceptacji był bardzo niski, ale w tym momencie poczuł, że bardzo niebezpiecznie się do niego zbliża.

Następnie kupił kawałek cytrynowej babki, żeby uzupełnić zapas cukru. Była lepsza od bułki, więc zjadł drugi kawałek i popił go drugim kubkiem kawy. Potem poszedł na południe do salonu fryzjerskiego. Otworzył drzwi i dokładnie o ósmej trzydzieści usiadł na fotelu.

W tym momencie śledztwo w sprawie zabójstwa na tyłach Metropole Palace toczyło się już od trzech godzin. Ciało w bocznej uliczce zostało znalezione o piątej trzydzieści rano przez sprzątacza, który przyszedł do pracy. Sprzątaczem był mężczyzna w średnim wieku, pochodzący z Hondurasu. Nie dotykał ciała. Nie szukał oznak życia. Pozycja, w jakiej leżało, powiedziała mu wszystko. Bezład śmierci łatwo można rozpoznać. Facet wbiegł do hotelu i zawiadomił nocnego recepcjonistę. Potem wrócił do domu, ponieważ nie miał zielonej karty i nie chciał mieć do czynienia z policją. Nocny recepcjonista zadzwonił z recepcji pod 911, a potem wyszedł wyjściem awaryjnym, żeby popatrzeć. Wrócił pół minuty później, niezbyt uradowany tym, co zobaczył.

Po ośmiu minutach przyjechały dwa radiowozy i ambulans. Sanitariusze potwierdzili zgon i karetka odjechała. Policjanci zablokowali uliczkę oraz wyjście awaryjne i spisali zeznanie nocnego recepcjonisty. Chroniąc nielegalnie zatrudnionego faceta z Hondurasu, powiedział, że wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza i sam znalazł ciało. Było to bliskie prawdy. Z pewnością policjanci nie mieli powodu wątpić w jego słowa. Po prostu stali tam i czekali na Emersona.

Emerson dotarł tam o szóstej dwadzieścia pięć. Przyjechał ze swoją zastępczynią, niejaką Donna Biancą, anatomopatologiem, i Bellantoniem, mającym osobiście zbadać miejsce zbrodni. Badania zajęły kolejne trzydzieści minut. Pomiary, zdjęcia, zbieranie śladów. Potem Emerson mógł wreszcie podejść do ciała i natknął się na pierwszy poważny problem. Dziewczyna nie miała torebki ani żadnego dokumentu. Nikt nie miał zielonego pojęcia, kim była.

\*\*\*

Ann Yanni pojawiła się na tyłach Metropole o siódmej piętnaście. Zabrała ze sobą ekipę NBC, złożoną z kamerzysty i dźwiękowca z mikrofonem na długim wysięgniku. Mikrofon miał filtr przeciwwiatrowy z szarego futra, a wysięgnik dziesięć stóp długości. Dźwiękowiec oparł się biodrami o policjyną

taśmę i jak najdalej wyciągnął ręce. Usłyszał w słuchawkach głos Emersona. Ten rozmawiał z Bianką o prostytutce.

Patolog obejrzał ramiona i uda dziewczyny. Sprawdził również między palcami stóp, ale nie znalazł żadnych śladów nakłuć. Zatem nie przyszła tam po działkę. Może była dziwką wychodzącą od klienta. Któż inny mógłby wychodzić bocznymi drzwiami hotelu w środku nocy, w takim stroju? Dziewczyna była młoda i urodziwa. Tak więc nie mogła być tania. Zatem mogła mieć torebkę pełną nowiutkich dwudziestek, niedawno pobranych z bankomatu przez jakiegoś biznesmena. Wpadła na kogoś, kto na nią czekał albo na kogoś takiego jak ona. Tak czy inaczej, wyrwał jej torebkę i trochę za mocno uderzył w głowę.

W kartotece niekoniecznie musiały znajdować się odciski palców dziewiętnasto- czy dwudziestoletniej dziewczyny niebędącej narkomanką, chyba że popełniła kiedyś jakieś przestępstwo. Emerson nie zamierzał na to liczyć, tak więc nie spodziewał się, że zdołają ustalić jej tożsamość dzięki bazie danych. Sądził, że pomoże mu nocny recepcjonista, który wpuścił ją i wypuścił, albo frajer, który korzystał z jej usług.

— Niech nikt nie opuszcza hotelu — powiedział do Bianki. — Przesłuchamy po kolei wszystkich gości i członków personelu. I zawiadom wszystkie jednostki, żeby szukali faceta mającego sporo dwudziestek.

— Dużego faceta — podsunęła Bianca.

Emerson skinął głową.

— Naprawdę dużego. To był silny cios.

Patolog zabrał ciało do kostnicy, a Donna Bianca zajęła hotelowy bar i do ósmej trzydzieści przesłuchiwała dwie trzecie świadków.

\*\*\*

Fryzjer był kompetentnym staruszkim, który zapewne strzygł w tym samym stylu prawie od pięćdziesięciu lat. Zrobił coś, co żołnierze nazywali murkiem. Zostawił półtora cala na czubku, a dół i boki przystrzygł, poczynając od dołu. Potem wyrównał baki i usunął włoski na karku. Reacher znał to

uczesanie. Nosił je przez większość życia, z krótkimi przerwami spowodowanymi lenistwem oraz kilkoma sześciomiesięcznymi, kiedy strzygł się na rekruta.

Fryzjer wziął lusterko i pokazał Reacherowi tył głowy.

— Zadowolony? — zapytał.

Reacher skinął głową. Fryzjer dobrze się spisał, efekt psuł tylko półcalowy pasek trupiobladej skóry na czole. W Miami miał dłuższe włosy i opalenizna tam nie sięgnęła. Fryzjer szczotką zgarnął ścięte włosy z kołnierzyka i zdjął ręcznik. Reacher dał mu siedem dolarów i dolara napiwku. Potem opuścił salon. Nikt go nie śledził. Wrócił do pokoju w motelu, umył twarz i ponownie ogolił okolice baczków, gdzie został półcalowy zarost. Nożyczki fryzjera były trochę tępe.

\*\*\*

Przesłuchania w Metropole zakończyły się o dziewiątej dwadzieścia i absolutnie nic Emersonowi nie dały. Nocny recepcjonista przysięgał, że nic nie wie o zamordowanej dziewczynie. W hotelu było tylko jedenaścioro gości i żaden z nich nie wydawał się podejrzany. Emerson był doświadczonym i zdolnym detektywem, wiedział więc, że ludzie czasem mówią prawdę. Wiedział też, że zaakceptowanie tej prawdy jest równie istotne w pracy detektywa, jak odrzucanie kłamstw. Naradził się z Donna Biancą i oboje doszli do wniosku, że stracili trzy godziny na bezowocne przesłuchania.

Potem ze sklepu z częściami samochodowymi zadzwonił facet o imieniu Gary.

\*\*\*

Gary przyszedł do pracy o ósmej i stwierdził, że ma na prawdę mało rąk do pracy. Jeb Oliver nadal nie dał znaku życia, a Sandy też się nie pokazała. W pierwszej chwili strasznie się rozłościł. Zadzwonił do niej, ale nie odebrała. Pewnie jest w drodze, pomyślał. Spóźniona. Jednak nie przyjechała. Dzwonił do niej co pół godziny. O dziewiątej trzydzieści złość przeszła w niepokój i zaczął podejrzewać wypadek drogowy. Zadzwonił na policję, żeby czegoś się dowiedzieć. Dyżurny powiedział mu, że tego ranka nie było

żadnego wypadku. Potem zamilkł na chwilę, jakby rozważał inną możliwość i wreszcie zapytał o nazwisko i rysopis zaginionej. Gary powiedział, że to Alexandra Dupree, znana jako Sandy, lat dziewiętnaście, biała, drobnej budowy ciała, zielonooka i ruda. Dziesięć sekund później Gary rozmawiał już z detektywem Emersonem.

\*\*\*

Gary zgodził się zamknąć sklep na resztę dnia i Emerson posłał po niego radiowóz. Najpierw pojechali do kostnicy. Gary zidentyfikował ciało, po czym błady i wstrząśnięty przybył do biura Emersona. Donna Bianca uspokoiła go, a Emerson przyglądał mu się bacznie. Statystyki dowodzą, że kobiety są zabijane przez mężów, kochanków, braci, pracodawców i współpracowników, w tej właśnie kolejności. Przypadkowi zabójcy zajmują na liście prawdopodobnych podejrzanych dość odległe miejsce. Czasem kochanek jest jednocześnie współpracownikiem. Jednak Emerson wiedział, że Gary jest czysty. Był zbyt wstrząśnięty. Nie zdołałby odegrać szoku i zaskoczenia czymś, o czym wiedziałyby już od ośmiu lub dziesięciu godzin.

Tak więc Emerson zaczął delikatnie zadawać typowe pytania. Kiedy ostatnio ją widział? Co wie o jej życiu osobistym? O rodzinie? Chłopcach? Byłych chłopcach? Czy odbierała dziwne telefony? Czy miała wrogów? Problemy? Kłopoty finansowe?

A potem nieuniknione: Czy w ostatnich dniach wydarzyło się coś niezwykłego?

O dziesiątej piętnaście Emerson wiedział już wszystko o nieznanym, który poprzedniego dnia przyszedł do sklepu. Bardzo wysoki, mocno zbudowany, opalony, agresywny, stanowczy, w oliwkowozielonych spodniach i oliwkowozielonej koszuli flanelowej. Tajemniczy gość dwukrotnie rozmawiał z Sandy w biurze na zapleczu, pożyczał jej samochód i groźbami wymusił adres Jeba Olivera, który również zaginął.

\*\*\*

Emerson zostawił Gary'ego z Donną Biancą, wyszedł na korytarz i zadzwonił z komórki do Alexa Rodina.



— To twój szczęśliwy dzień — powiedział. — Mamy dziewiętnastoletnią ofiarę morderstwa. Ktoś złamał jej kark.

— I to ma mnie uszczęśliwić?

— Wczoraj miała dziwną wizytę. W pracy odwiedził ją facet, który z opisu bardzo przypomina naszego znajomego, Jacka Reachera.

— Naprawdę?

— Jej szef podał nam bardzo dokładny rysopis. Złamano jej kark jednym uderzeniem w skroń, co nie jest łatwe, chyba że jest się zbudowanym jak Reacher.

— Kim była ta dziewczyna?

— Rudowłosa pracownica sklepu z częściami samochodowymi niedaleko autostrady. Z tego samego sklepu zaginał wcześniej chłopak.

— Gdzie ją znaleziono?

— Przy Metropole Palace.

— Czy w nim zatrzymał się Reacher?

— Nie według książki meldunkowej.

— No to jest podejrzany czy nie?

— W tym momencie raczej jest.

— Zatem kiedy go aresztujesz?

— Jak tylko go znajdę.

— Zadzwoń do Helen — powiedział Alex Rodin. — Ona będzie wiedziała, gdzie on jest.

\*\*\*

Rodin okłamał córkę. Powiedział jej, że Bellantonio chce się zobaczyć z Reacherem, żeby wyjaśnić ewentualną nieścisłość związaną z częścią materiału dowodowego.

— Jaką nieścisłość? — zapytała Helen.

— Coś, o czym rozmawiali. Zapewne nic ważnego, ale wolę zachować ostrożność. Nie chcę dać ci podstaw do apelacji.

Ten styropianowy słupek, pomyślała Helen.

— On jest w drodze na lotnisko — powiedziała.

— Po co?

— Przywitać się z Eileen Hutton.

— Znają się?

- Najwidoczniej.
- To nieetyczne.
- Że się znają?
- Wywieranie wpływu na świadka.
- Jestem pewna, że nie zamierza tego robić.
- Kiedy wróci?
- Myślę, że po lunchu.
- W porządku — rzekł Rodin. — Zachowam to dla siebie.

\*\*\*

Oczywiście nie zachował. Emerson natychmiast pojechał na lotnisko. Dwukrotnie spotkał Reachera i mógłby wyłowić go z tłumu. Donna Bianca pojechała z nim. Razem przeszli przez niedostępną dla pasażerów część terminalu i znaleźli pokój, z którego przez lustro weneckie mogli widzieć całą salę przylotów. Uważnie przyglądali się wszystkim czekającym. Ani śladu Reachera. Jeszcze nie przyszedł. Usiedli i czekali.

## 9

Reacher nie pojechał na lotnisko. Wiedział, że to nie ma sensu. Wyżsi rangą oficerowie spędzają wiele czasu w małych maszynach latających, śmigłowych lub odrzutowych, i niezbyt to lubią. Poza polem walki więcej żołnierzy ginie w wypadkach lotniczych niż z jakichkolwiek innych przyczyn. Dlatego mając wybór, mądry generał brygady, jakim była Eileen Hutton, nie wsiądzie na pokład niewielkiego samolotu lecącego z Indianapolis. Zapewne skorzysta z jumbo jeta lecącego z międzynarodowego lotniska w Waszyngtonie, ale ostatniego etapu podróży nie pokona drogą lotniczą. Na pewno nie. Zamiast tego wynajmie samochód.

Tak więc Reacher poszedł na południowy wschód do biblioteki. Zapytał cichą kobietę za biurkiem, gdzie są książki adresowe i telefoniczne. Powiedziała mu, a on poszedł i wziął książkę z półki. Rozłożył ją na stole i otworzył na literze H jak Hotele. Zaczął szukać. Niemal na pewno ktoś z personelu JAG robił to samo poprzedniego dnia, tylko korzystając z komputera. Hutton kazała zarezerwować sobie pokój. Ten ktoś z pewnością chciał dobrze wykonać swoje zadanie, więc najpierw obejrzał plan miasta i znalazł sąd oraz drogę dojazdową z północy. Potem wybrał dobry hotel w pobliżu sądu. Z parkingiem dla wypożyczonego samochodu. Zapewne hotel należący do sieci, gdzie po podaniu kodu funkcjonariusze dostają zniżkę.

Marriott Suites, pomyślał Reacher. Tam się skieruje. Zjedzie

z autostrady, skieruje się na południe do miasta, skręci w lewo na wschód i już jest na miejscu — trzy przecznice od sądu, można dojść na piechotę, śniadanie w cenie. Pracownik biura zapewne wydrukował mapkę ściągniętą z Internetu i podpisał do planu podróży. Starał się. Hutton właśnie tak działała na ludzi.

Zapamiętał numer Marriotta i odłożył książkę na miejsce. Potem poszedł do holu i zadzwonił z automatu telefonicznego.

— Chcę potwierdzić rezerwację — powiedział.

— Nazwisko?

— Hutton.

— Tak, mamy pokój. Apartament na jedną noc.

— Dziękuję — powiedział Reacher i odłożył słuchawkę.

Przyleci wczesnym rejssem z Waszyngtonu. Po dwudziestu latach służby wstanie o piątej, w taksówce będzie o szóstej, a o siódmej na pokładzie samolotu. Najpóźniej o dziewiątej będzie w Indianapolis. O dziewiątej trzydzieści wyjdzie z biura Hertz. Jazda zajmie jej dwie i pół godziny. Przybędzie w południe. Za godzinę.

Wyszedł z holu, przeszedł przez plac i skierował się na północny wschód, mijając biuro werbunkowe i tyły gmachu sądu. Bez trudu znalazł Marriotta, zajął stolik w kawiarni i czekał.

\*\*\*

Helen Rodin zadzwoniła do Rosemary Barr. Nie zastała jej w pracy. Recepcjonistka była tym najwyraźniej zakłopotana. Helen zadzwoniła na numer domowy i Rosemary odebrała telefon po drugim dzwonku.

— Dali ci wolne? — zapytała Helen.

— Urlop bezpłatny — powiedziała Rosemary. — Sama o niego poprosiłam. Wszyscy traktowali mnie z rezerwą.

— To okropne.

— Tacy są ludzie. Muszę opracować plan działania. Może będę musiała się wyprowadzić.

— Potrzebna mi lista przyjaciół twojego brata — oświadczyła Helen.

— Nie miał żadnych. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, prawda? A jego nikt nie odwiedził. Nikt mnie nie pytał, jak on się czuje.

— Myślę o tym, co było przedtem — rzekła Helen. — Muszę wiedzieć, z kim się widywał, z kim przebywał, kto dobrze go znał. Szczególnie interesują mnie nowi znajomi.

— Nie zawarł żadnych nowych znajomości — odparła Rosemary. — Przynajmniej ja o żadnych nie wiem.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie.

— A starzy znajomi?

— Masz dużą kartkę papieru?

— Cały blok.

— Cóż, nie będzie ci potrzebna. Wystarczy etykieta z pudełka zapalek. James jest całkowicie samowystarczalny.

— Musiał mieć jakichś kolegów.

— Chyba paru — powiedziała Rosemary. — Jest niejaki Mike, który mieszka obok. Rozmawiają o trawnikach i baseballu, no wiesz, o męskich sprawach.

Mike, zapisała Helen. **Męskie sprawy.**

— Jeszcze ktoś? Zapadła długa cisza.

— Był jakiś Charlie — powiedziała Rosemary.

— Opowiedz mi o tym Charliem — poprosiła Helen.

— Niewiele o nim wiem. Nigdy go nie poznałam.

— Jak długo zna go James?

— Od lat.

— Włącznie z tymi, kiedy mieszkałaś razem z nim?

— Nigdy nie przychodził, kiedy ja tam byłam. Widziałam go tylko raz. Właśnie wychodził, kiedy wróciłam do domu. Zapytałam, kto to był. James powiedział, że to Charlie, jakby mówił o starym kumplu.

— Jak wyglądał?

— Niski. Ma dziwne włosy. Jak czarna szczotka do czyszczenia toalety.

— Miejscowy?

— Chyba tak.

— Po co się spotykali?

Znów długa cisza.

— Broń — powiedziała w końcu Rosemary. — Obaj się nią interesowali.

Charlie, zapisała Helen. Broń.

\*\*\*

Donna Bianca spędziła trochę czasu przy telefonie komórkowym i sprawdziła połączenia z Waszyngtonu i Indianapolis. Dowiedziała się, kiedy wylatują samoloty i że lot trwa trzydzieści pięć minut. Doszła do wniosku, że osoba mająca stawić się w sądzie o czwartej nie przyleci później niż o drugiej trzydzieści pięć. Co oznaczało, że opuści Indianapolis o drugiej, a zatem powinna być tam najpóźniej o pierwszej trzydzieści, żeby zdążyć się przesiąść. Czyli powinna odlecieć z międzynarodowego lotniska w Waszyngtonie o jedenastej trzydzieści, najpóźniej o dwunastej. Nie było takiego połączenia. Ostami bezpośredni lot z Waszyngtonu do Indianapolis był o dziewiątej trzydzieści. Samoloty odlatywały rano i wieczorem. W dzień nie było żadnego połączenia.

— Przyleci o dwunastej trzydzieści pięć — orzekła. Emerson spojrział na zegarek. Za kwadrans dwunasta.

— Co oznacza, że Reacher wkrótce tu będzie — rzekł.

\*\*\*

Za dziesięć pierwsza w budynku, w którym mieściło się biuro Helen Rodin, pojawił się kurier z sześcioma dużymi tekturowymi pudłami, zawierającymi kopie dowodów zebranych przez prokuraturę. Jawność dowodów, gwarantowana przepisami. Zgodnie z kartą praw. Kurier zadzwonił z dołu i Helen kazała mu wejść na górę. Musiał obrócić dwa razy swoim ręcznym wózkiem. Ustawił pudła w pustym sekretariacie. Helen podpisała pokwitowanie i odszedł. Wtedy otworzyła pudła. Było w nich mnóstwo dokumentów i dziesiątki fotografii. Oraz jedenaście nowych kaset VHS. Każda z nich miała ładnie wydrukowany numer, odnoszący się do notarialnie poświadczanego spisu, zgodnie z którym były wiernymi i kompletnymi

kopiami taśm z kamer bezpieczeństwa na parkingu, sporządzonymi przez niezależną firmę. Helen wyjęła je i położyła osobno. Będzie musiała zabrać je do domu i obejrzeć na własnym magnetowidzie. W biurze nie miała wideo ani telewizora.

\*\*\*

W kawiarni w Marriotcie był telewizor. Zamontowany wysoko w rogu na czarnym wysięgniku przyśrubowanym do ściany. Głos był wyłączony. Reacher patrzył na reklamę, w którym dziewczyna w cieniutkiej sukience biegała po łące. Nie wiedział, co właściwie zachwalała potencjalnym klientom. Może sukienkę albo makijaż, szampon lub lekarstwo przeciwalergiczne. Potem pojawiły się przewijane napisy. *Południowe wiadomości*. Reacher spojrzął na zegarek. Dokładnie dwunasta. Zerknął w kierunku kontuaru recepcji. Ani śladu Hutton. Jeszcze nie. Znow spozjrzał na ekran. Pojawiła się na nim Ann Yanni. Chyba na żywo, na jakiejś śródmiejskiej ulicy. Przed hotelem Metropole Palace. Przez chwilę niemo i poważnie poruszała wargami, a potem na ekranie pokazali film nakręcony o świcie. Uliczka. Policyjna taśma. Jakiś kształt pod białym prześcieradłem. Potem znow zbliżenie. Fotografii z prawa jazdy. Jasna skóra. Zielone oczy. Rude włosy. Pod brodą kartonik z napisem: Alexandra Dupree.

Alexandra. Sandy.

Teraz posunęli się za daleko, pomyślał Reacher.

Zadrzał.

O wiele za daleko.

Patrzył w ekran. Twarz Sandy wciąż na nim była. Potem znow pokazano film nakręcony o świcie, a na nim Emersona. Wywiad. Yanni podsuwała mu mikrofon pod nos. Detektyw mówił. Yanni zabrała mikrofon i zadała jakieś pytanie. Emerson znow powiedział kilka zdań. Oczy miał puste i znużone, i mrużył je w ostrym świetle. Pomimo ściszonej fonii Reacher wiedział, co mówi policjant. Obiecował pełne i drobiazgowo śledztwo. Dostaniemy tego faceta, mówił.

— Zobaczyłam cię od drzwi — powiedział ktoś. A potem dodał: — I pomyślałam sobie, czy ja nie znam tego gościa?

Reacher oderwał wzrok od telewizora.

Eileen Hutton stała tuż przed nim.

Włosy miała krótsze. Nie była opalona. Wokół jej oczu dostrzegł drobne zmarszczki. Jednak poza tym wyglądała tak samo jak przed czternastoma laty. I równie dobrze. Średniego wzrostu, szczupła, zgrabna. Zadbana. Pachnąca. Kobieca jak diabli. Nie przytyła ani funta. Miała na sobie cywilne ubranie. Spodnie khaki, biały podkoszulek, a na nim rozpiętą niebieską koszulę. Półbuciki, na gołych stopach, zero makijażu i biżuterii.

Na palcu nie nosiła obrączki.

— Pamiętasz mnie? — zapytała.

Reacher skinął głową.

— Cześć, Hutton — powiedział. — Pamiętam cię. Oczywiście cie, że pamiętam. I miło cię znowu widzieć.

Miała torebkę, a w ręku klucz magnetyczny. Obok stała torba z kółkami i długą rączką.

— Mnie też miło znowu cię zobaczyć — rzekła. — Tylko powiedz, proszę, że twoja obecność tutaj to zbieg okoliczności. Powiedz to, proszę.

Kobieca jak diabli, ale nadal była kobietą w świecie mężczyzn i można było dostrzec ten błysk stali, jeśli wiedziało się, gdzie patrzeć. W oczy. Były ciepłe i przyjazne, ale sporadycznie pojawiał się w nich błysk ostrzeżenia. Żadźrzyj ze mną, a wyrwę ci serce.

— Usiądź — zaprosił Reacher. — Zjedźmy lunch.

— Lunch?

— To właśnie ludzie robią w porze lunchu.

— Spodziewałeś się mnie. Czekaleś na mnie.

Reacher kiwnął głową. Znow zerknął na ekran telewizora. Ponownie pokazano na nim zdjęcie Sandy. Hutton powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Czy to ta zabita dziewczyna? — zapytała. — Jadąc tutaj, słyszałam komunikat w radiu. Wygląda na to, że za pobyt tutaj powinno się dostawać dodatek wojenny.

— Co mówili w radiu? Tu nie ma głosu.



— Zabójstwo. Tej nocy. Miejscowej dziewczynie przetrącono kark. Jednym uderzeniem w skroń. W zaułku za hotelem. Mam nadzieję, że nie tym.

— Nie — odparł Reacher. — To nie ten hotel.

— Okropne.

— Chyba tak.

Eileen Hutton usiadła przy stoliku. Nie naprzeciw Reachera. Na sąsiednim krześle. Tak jak Sandy w sportowym barze.

— Wspaniale wyglądasz — powiedział. — Naprawdę.

Nie skomentowała komplementu.

— Miło cię widzieć — powtórzył.

— Wzajemnie.

— Nie, naprawdę tak myślę.

— Ja też. Wierz mi, gdybyśmy byli teraz na jakimś przyjęciu, zaraz rozczuliłabym się i wpadła w nostalgię. Może jeszcze to zrobię, jak tylko się dowiem, że nie jesteś tu z powodu, który podejrzewam.

— A jakież to powód?

— Dotrzymać obietnicy.

— Pamiętasz?

— Oczywiście. Mówiłeś o tym całą noc.

— A ty jesteś tutaj, ponieważ wojsko otrzymało wezwanie na przesłuchanie.

Hutton kiwnęła głową.

— Od jakiegoś prokuratora idioty.

— Rodina — podsunął Reacher.

— Od niego — potwierdziła.

— To moja wina — rzekł Reacher.

— Chryste. Co mu powiedziałeś?

— Nic — odparł Reacher. — Nic mu nie powiedziałem. To on mi coś powiedział. Napomknął, że moje nazwisko jest na liście świadków obrony.

— Świadków obrony?

Reacher skinął głową.

— To mnie oczywiście zdziwiło. Byłem zaskoczony. I dla tego zapytałem go, czy znaleźli moje nazwisko w starych aktach Pentagonu.

— Nie za twego życia — powiedziała Hutton.

— Teraz już to wiem — odparł Reacher. — Jednak zdążyłem już wymówić to magiczne zaklęcie. Napomknąłem o Pentagonie. Znając tego faceta, wiedziałem, że będzie próbował coś złować. Jest bardzo ostrożny. Lubi wyłącznie stuprocentowo pewne sprawy. Przepraszam.

— Powinieneś. Muszę spędzić dwa dni na tym zadupiu i jeszcze na dodatek składać fałszywe zeznania.

— Wcale nie musisz. Możesz powołać się na bezpieczeństwo narodowe.

Hutton pokręciła głową.

— Omawialiśmy to długo i wnikliwie. Postanowiliśmy unikać wszystkiego, co mogłoby zwrócić uwagę. Ta historyjka z Palestyńczykami była cieniutka. Gdyby wyszła na jaw, wszystko by się wydało. Tak więc jestem tutaj, żeby przysiąc, że James Barr był wzorowym żołnierzem.

— I jak ci z tym?

— Znasz armię. Nikt z nas nie jest już czystutki. Mam zadanie do wykonania, nie dopuścić do ujawnienia tej sprawy z Kuwejtu.

— Dlaczego wysłali ciebie?

— Dwie pieczenie na jednym ogniu. Niedobrze byłoby wysłać kogoś innego, bo ja wciąż znałabym prawdę. W ten sposób już nigdy nie będę mogła o niej mówić. Musiałabym się przyznać do krzywoprzysięstwa w Indianie. Oni nie są głupi.

— Dziwię się, że wciąż się tym przejmują. Przecież to zamierzchłe dzieje.

— Jak dawno odszedłeś z wojska?

— Siedem lat temu.

— I najwyraźniej nie prenumerujesz „Army Timesa”.

— Co?

— A może nigdy tego nie wiedziałeś.

— Czego nie wiedziałem?

— Jak wysoko dotarła tamta sprawa.

— Na szczybel dywizji. Może nie na sam szczyt.

— Utknęła na biurku pewnego pułkownika. To on ją zatuszował.

— I?

— Nazywał się Petersen.

— I?

— Pułkownik Petersen to teraz generał Petersen. Trzy gwiazdki. Wkrótce dostanie czwartą. I zostanie zastępcą szefa sztabu wojsk lądowych.

To mogłoby wszystko skomplikować, pomyślał Reacher.

— Kłopotliwa sprawa — ocenił.

— Możesz założyć się o swój tyłek, że kłopotliwa — powiedziała Hutton. — Zatem uwierz mi, ta historia nie może wyjść na jaw. Musisz o tym pamiętać. Cokolwiek zamierzasz zrobić, żeby dotrzymać obietnicy, nie możesz mówić o tym, co się stało. Tak samo jak ja. Znaleźliby sposób, żeby cię dorwać.

— Żadne z nas nie musi o tym mówić. Sprawa jest przesądzona.

— Bardzo miło mi to słyszeć.

— Myślę.

— Myślisz?

— Zapytaj mnie, skąd naprawdę wzięli moje nazwisko?

— Skąd wzięli twoje nazwisko?

— Od samego Jamesa Barra.

— Nie wierzę.

— Ja też nie wierzyłem. Teraz wierzę.

— Dlaczego?

— Powinniśmy zjeść lunch. Naprawdę musimy porozmawiać. Ponieważ myślę, że jest jeszcze ktoś, kto o tym wie.

\*\*\*

Emerson i Bianca zrezygnowali o dwunastej pięćdziesiąt. Reacher się nie pojawił. Samolot przyleciał punktualnie. Nie wysiadł z niego nikt, kto mógłby być generałem brygady z Pentagonu. Czekali, aż w hali przylotów zrobiło się pusto i cicho. Potem wsiedli do samochodu i pojechali z powrotem do miasta.

Reacher i Hutton zjedli lunch. Kelnerka podeszła szybko, zadowolona, że wreszcie ma jakiś ruch przy stoliku w kącie. Menu było typowo barowe. Reacher zamówił kanapkę ze smażonym serem i kawę. Hutton sałatkę z kurczaka i herbatę. Jedli i rozmawiali. Reacher podał jej szczegóły sprawy. Potem omówił swoją teorię. Dziwny wybór stanowiska strzeleckiego, prawdopodobnie wymuszony. Powiedział Hutton o teorii Niebuhra o nowym znajomym Barra. Powiedział, że Barr twierdził, że nie ma żadnych nowych przyjaciół i bardzo mało starych.

— To nie może być nowa znajomość — powiedziała Hutton. — Ponieważ to wielowarstwowa intryga. Zbieżność zebranych teraz dowodów z dawnymi. Pierwsze piętro parkingu czternaście lat temu w Kuwejcie i pierwsze piętro parkingu teraz. Niemal taki sam karabin. Nacinana amunicja snajperska. I te buty. Nigdy nie widziałam ich przed operacją Pustynna Tarcza. To bardzo sugestywne. Ktokolwiek opracował ten plan, wiedział wszystko o jego przeszłości. A to oznacza, że nie jest nowym znajomy. Nie może być. Musiały upłynąć lata, zanim Barr nabrał ochoty, żeby opowiedzieć komuś o swoim wyczynie w Kuwejcie.

Reacher skinął głową.

— Jednak najwyraźniej to zrobił. Dlatego powiedziałem, że jest jeszcze ktoś, kto o tym wie.

— Musimy znaleźć tę osobę — zdecydowała Hutton. — Naszym celem jest dopilnowanie, żeby ta historia nie wyszła na jaw.

— Nie moim celem. Nie obchodzi mnie, czy ten cały Petersen dostanie czwartą gwiazdkę.

— Jednak obchodzi cię reputacja ćwierć miliona weteranów. Skandal by ją splamił. A to dobrzy ludzie.

Reacher nie znalazł kontrargumentu.

— To proste — powiedziała Hutton. — James Barr nie ma wielu przyjaciół, to zawęża krąg poszukiwań. Jeden z nich musi być tym facetem.

Reacher nadal milczał.

— Dwie pieczenie na jednym ogniu — powiedziała Hutton. — Ty dorwiesz manipulatora, a armia odetchnie z ulgą.

— Dlaczego armia nie zrobi tego za mnie?  
— Nie możemy zwracać na siebie uwagi.  
— Mam problemy operacyjne — powiedział Reacher.  
— Brak odpowiednich upoważnień?  
— Gorzej. Chcą mnie aresztować.  
— Za co?  
— Za zamordowanie tej dziewczyny na tyłach hotelu.  
— Co?  
— Manipulatorowi nie podoba się moja obecność. Już raz próbował usunąć mnie z drogi w poniedziałek wieczorem, posługując się tą dziewczyną jako przynętą. Dlatego wczoraj dwukrotnie się z nią widziałem. A teraz zabili ją i jestem pewien, że podejrzenia padną na mnie.  
— Masz alibi?  
— To zależy od czasu jej zgonu, ale zapewne nie. Jestem pewien, że policja już mnie szuka.  
— To problem — zauważyła Hutton.  
— Tylko chwilowy rzekł Reacher. — Nauka jest po mojej stronie. Jeśli złamano jej kark jednym uderzeniem w prawą skroń, to jej głowa obróciła się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, co oznacza, że cios zadał ktoś leworęczny. A ja jestem praworęczny. Gdybym uderzył ją w prawą skroń, na pewno bym ją ogłuszył, ale nie zabił. Musiałbym zrobić to później.  
— Jesteś pewien?  
Reacher skinął głową.  
— Pamiętaj, że kiedyś zarabiałem na życie, rozwiązując takie zagadki.  
— Tylko czy ci uwierzą? A może dojdą do wniosku, że jesteś wystarczająco silny, żeby zrobić to lewą ręką?  
— Nie zamierzam ryzykować i sprawdzać.  
— Chcesz uciec?  
— Nie, chcę tu zostać. Jednak postaram się schodzić im z drogi. Co trochę utrudni mi zadanie. Nawet bardzo utrudni. Dlatego powiedziałem, że mam problemy operacyjne.  
— Mogę jakoś pomóc?  
Reacher uśmiechnął się.

— Dobrze znów cię widzieć, Hutton. Naprawdę.

— Jak mogę ci pomóc?

— Spodziewam się, że policjant, który nazywa się Emerson, będzie na ciebie czekał, kiedy złożysz zeznanie. Zapyta cię o mnie. Udawaj głupią. Powiedz, że się nie pokazałem, nigdy mnie nie widziałaś i tym podobne rzeczy.

Milczała przez chwilę.

— Jesteś zły — zauważyła. — Widzę to.

Kiwnął głową. Potarł twarz, jakby mył się na sucho.

— Nie przejmuję się Jamesem Barrem — rzekł. — Jeśli ktoś chciał go zrobić, żeby spotkała go kara, której uniknął czternaście lat temu, to nie mam nic przeciwko temu. Ale śmierć tej dziewczyny to co innego. To nie w porządku. Była zwykłym głupim dzieciakiem. Nieszkodliwym.

Hutton milczała długą chwilę.

— Jesteś pewien, że zagrozili mu, że zabiją jego siostrę? — spytała w końcu.

— Nie widzę innej możliwości.

— Przecież nic nie wskazuje na to, że mu grozono. Jako prokurator nie mogłabym wysunąć takiego oskarżenia.

— Inaczej czemu Barr zrobiłby to, co zrobił? Hutton nie odpowiedziała.

— Zobaczę cię później? — zapytała.

— Mam pokój niedaleko — odparł. — Będę w pobliżu.

— W porządku.

— Chyba że mnie zamkną.

Kelnerka wróciła, więc zamówili deser. Reacher poprosił o następną kawę, a Hutton o herbatę. Rozmawiali na różne tematy, zadając rozmaite pytania. Mieli do nadrobienia czternaście lat.

\*\*\*

Helen Rodin przejrzała sześć pudeł dowodów i znalazła fotokopię kartki papieru, którą znaleziono przy telefonie Jamesa Barra. Ten świstek zastępował mu książkę telefoniczną. Równym i starannym charakterem pisma zapisano na nim trzy numery telefonów. Dwa należały do siostry Barra, Rosemary —

domowy i służbowy. Trzeci do niejakiego Mike'a — faceta z sąsiedztwa. Nie było numeru Charliego.

Helen wybrała numer Mike'a. Telefon zadzwonił sześć razy, po czym włączyła się automatyczna sekretarka. Helen zostawiła swój numer i poprosiła o kontakt w sprawie ogromnej wagi.

\*\*\*

Emerson spędził godzinę z rysownikiem i otrzymał dosyć wierną podobiznę Jacka Reachera. Rysunek wprowadzono do komputera i pokolorowano. Ciemnoblonde włosy, lodowato niebieskie oczy, głęboka opalenizna. Następnie Emerson wpisał nazwisko, przybliżony wzrost sześć stóp i pięć cali, ciężar ciała dwieście pięćdziesiąt funtów, wiek pomiędzy trzydzieści pięć a czterdzieści pięć lat. Podał także numer telefonu posterunku. Potem rozesłał całość pocztą elektroniczną i ustawił drukarkę na dwieście kolorowych odbitek. Kazał kierowcom wszystkich radiowozów wziąć po kilka i rozdać wszystkim recepcjonistom i barmanom w mieście. Potem dodał: a także we wszystkich restauracjach, kawiarniach, barach i bistrach.

\*\*\*

Przyjaciela Jamesa Barra, Mike, oddzwonił do Helen Rodin o trzeciej po południu. Zapytała go o adres i namówiła, żeby się z nią spotkał. Powiedział, że przez resztę dnia będzie w domu. Wezwała taksówkę i wyszła. Mike mieszkał na tej samej ulicy co James Barr, dwadzieścia minut jazdy z centrum miasta. Z podwórka przed domem Mike'a było widać dom Barra. Oba były do siebie podobne. Wszystkie domy na tej ulicy były do siebie podobne. Zbudowane w latach pięćdziesiątych, długie i niskie. Helen domyśliła się, że z początku wszystkie wyglądały identycznie. Jednak pół wieku dobudowywania, krycia dachów, napraw sidingu i nieustannych zmian w bezpośrednim otoczeniu sprawiło, że teraz różniły się od siebie. Jedne były odnowione, inne zaniedbane. Dom Barra należał do tych drugich. Dom Mike'a był wypielęgnowany.

Sam Mike był zmęczonym mężczyzną po pięćdziesiątce,

który pracował na rannej zmianie jako sprzedawca farb. Jego żona wróciła do domu w chwili, kiedy Helen się przedstawiała. Żona również była znużona i po pięćdziesiątce. Miała na imię Tammy, co niezbyt do niej pasowało. Była zatrudniona na niepełny etat jako pomoc dentystyczna. Pracowała dwa ranki w tygodniu dla stomatologa ze śródmieścia. Wprowadziła Helen i Mike'a do salonu, po czym poszła zaparzyć kawę. Helen i Mike usiedli. Zapadła niezręczna cisza, która trwała kilka minut.

— Co mogę pani powiedzieć? — spytał w końcu Mike.

— Był pan przyjacielem pana Barra — powiedziała Helen. Mike zerknął na otwarte drzwi salonu.

— Tylko sąsiadem — powiedział.

— Jego siostra nazwała pana jego przyjacielem.

— Byliśmy dobrymi sąsiadami. Niektórzy mogliby to nazwać przyjaźnią.

— Spędzaliście razem czas?

— Trochę rozmawialiśmy, kiedy wychodził na spacer z psem.

— O czym?

— O naszych ogródkach — odparł Mike. — Jeśli malował, pytał mnie o farby. Ja spytałem, kto mu zrobił podjazd. O takich sprawach.

— O baseballu? Mike skinął głową.

— O tym też.

Tammy wróciła z kuchni, niosąc tacę z trzema filiżankami. Obok kawy stała śmietanka, cukier, talerzyk z ciasteczkami i trzy papierowe serwetki. Postawiła tacę na ławie i usiadła obok męża.

— Proszę się częstować — zachęciła.

— Dziękuję — powiedziała Helen. — Bardzo dziękuję. Zajęli się kawą i w pokoju znów zapadła cisza.

— Był pan kiedyś w domu pana Barra? — spytała Helen. Mike zerknął na żonę.

— Raz czy dwa — powiedział.

Nie byli przyjaciółmi.



— Czy to było dla państwa zaskoczenie? — zapytała Helen. — To, co zrobił?

— Tak — przyznała Tammy. — Było.

— Zatem nie musicie państwo wstydzić się tej znajomości. Nikt nie mógł tego przewidzieć. Takie sprawy zawsze są zaskoczeniem. Sąsiedzi nic nie wiedzą.

— Próbuje go pani wybronić.

— Prawdę mówiąc, wcale nie — odparła Helen. — Jednak mamy nową teorię, że nie działał sam. Staram się tylko dopilnować, żeby jego współnik też został ukarany.

— To nie był Mike — powiedziała Tammy.

— Wcale tak nie uważam — zapewniła Helen. — Naprawdę. Ani przez chwilę. Nie teraz, kiedy go poznałam. Jednak kimkolwiek jest ten człowiek, pani lub Mike mogliście go znać, słyszeć o nim albo widzieć, jak tu przychodził.

— Barr nie miał żadnych przyjaciół — rzekł Mike.

— Nikogo?

— Przynajmniej o żadnych mi nie mówił. Mieszkał z siostrą, dopóki się nie wyprowadziła. Sądzę, że to mu wystarczyło.

— Czy mówi panu coś imię Charlie? Mike tylko pokręcił głową.

— Co robił pan Barr, kiedy miał pracę?

— Nie wiem — powiedział Mike. — Od lat nie pracował.

— Ja widywałam tam jakiegoś człowieka — wtrąciła Tammy.

— Kiedy?

— Od czasu do czasu. Sporadycznie. Przychodził i odchodził. O różnych porach dnia i nocy, jak dobry przyjaciel.

— Jak długo to trwało?

— Od kiedy się tu przeprowadziliśmy. Spędzam w domu więcej czasu niż Mike. Dlatego więcej widzę.

— A kiedy ostatni raz widziała pani tego człowieka?

— Chyba w zeszłym tygodniu. Parę razy.

— W piątek?

— Nie, wcześniej. Może we wtorek lub w środę.

— Jak wygląda?

— Jest niski. Ma śmieszne włosy. Czarne jak świńska szczecina.

Charlie, pomyślała Helen.

\*\*\*

Eileen Hutton przeszła trzy przecznice na południe od Marriotta i zjawiła się w sądzie dokładnie za minutę czwarta. Sekretarka Alexa Rodina zesłała, żeby odprowadzić ją na drugie piętro. Zeznania składano w dużej sali konferencyjnej, ponieważ większość świadków przyprowadziła własnych adwokatów i stenografów sądowych. Jednak Hutton była sama. Usiadła sama po jednej stronie długiego stołu i uśmiechnęła się, gdy ustawiono przed nią mikrofon i wycelowano w twarz kamerę wideo. Potem wszedł Rodin i przedstawił się jej. Przyprowadził mały zespół. Asystenta, sekretarkę i stenotypistkę z maszyną do stenografowania.

— Zechce pani podać swoje nazwisko i stopień? — poprosił.

— Eileen Ann Hutton. Generał brygady, sekcja JAG, armia Stanów Zjednoczonych.

— Mam nadzieję, że to nie potrwa długo — powiedział Rodin.

— Nie potrwa — zapewniła go Hutton.

I nie trwało. Rodin żeglował po nieznanym sobie wodach. Poruszał się po omacku. Mógł tylko macać na oślep i mieć nadzieję, że na coś trafi. Po pierwszych sześciu pytaniach zrozumiał, że nigdy mu się to nie uda.

— Jak by pani scharakteryzowała wojskową służbę Jamesa Barra? — zapytał.

— Przykładna, lecz nienadzwyczajna.

— Czy miał kiedyś jakieś kłopoty? — zapytał.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Czy popełnił kiedyś jakieś przestępstwo?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— A słyszała pani o ostatnich wydarzeniach w tym mieście?

— Tak.

— Czy w przeszłości Jamesa Barra jest coś, co mogłoby rzucić światło na jego ewentualny udział w tych wydarzeniach?

— Nic nie wiem na ten temat.

— Czy istnieje jakiś powód, aby Pentagon był bardziej zainteresowany Jamesem Barrem niż przeciętnym weteranem? — zapytał w końcu.

— Nic mi o tym nie wiadomo — powiedziała Hutton. W tym momencie Alex Rodin się poddał.

— W porządku — powiedział. — Dziękuję, generał Hutton.

\*\*\*

Helen Rodin przeszła trzydzieści jardów i przez chwilę stała przed domem Jamesa Barra. Wejście zagradzała policyjna taśma, a rozbite drzwi zabito dyktą. Dom wyglądał ponuro i pusto. Nie było tu nic do oglądania. Przez komórkę wezwała taksówkę i kazała się zawieźć do szpitala. Dojechała tam po czwartej po południu i słońce już zachodziło. Zapaliło budynek z białego betonu pastelowymi odcieniami oranżu i różu.

Wjechała na piąte piętro, wpisała się do książki departamentu więziennictwa, znalazła zmęczonego trzydziestoletniego lekarza i zapytała o stan zdrowia Jamesa Barra. Lekarz nie potrafił udzielić konkretnej odpowiedzi. Niezbyt interesował go stan Jamesa Barra. To było oczywiste. Helen wyminęła lekarza i otworzyła drzwi pokoju Barra.

Barr był przytomny i wciąż przykuty do łóżka. Jego głowa nadal tkwiła w uchwycie. Miał otwarte oczy i wpatrywał się w sufit. Oddychał cicho i powoli, a urządzenie monitorujące pracę serca popiskiwało co niecałą sekundę. Ręce trochę mu drżały i kajdanki pobrzękiwały o ramę łóżka. Ciche, monotonne, metaliczne dźwięki.

— Kto tu jest? — zapytał.

Helen podeszła bliżej i pochyliła się, żeby mógł ją zobaczyć.

— Masz tu dobrą opiekę?

— Na nic się nie skarzę — powiedział.

— Opowiedz mi o twoim przyjacielu, Charliem.

— On tu jest?

— Nie, nie ma go tu.

— A Mike był?

— Nie sędzę, żeby wpuszczali tu odwiedzających. Tylko prawników i rodziny.

Barr nic nie powiedział.

— To twoi jedyni przyjaciele? — zapytała Helen. — Mike i Charlie?

— Chyba tak — odparł Barr. — Mike to właściwie tylko sąsiad.

— A Jeb Oliver?

— Kto?

— Pracuje w sklepie z częściami samochodowymi.

— Nie znam go.

— Jesteś pewien?

Barr poruszył oczami i wydał usta, jak człowiek szukający czegoś w pamięci, próbujący pomóc, rozpaczliwie potrzebujący aprobaty.

— Przykro mi. Nigdy o nim nie słyszałem.

— Bierzesz narkotyki?

— Nie — odparł Barr. — Nigdy. Tego bym nie zrobił. — Milczał chwilę. — Właściwie to w ogóle niewiele robię. Po prostu żyję. Właśnie dlatego to wszystko nie ma dla mnie sensu. Żyłem spokojnie przez czternaście lat. Dlaczego miałbym to wszystko przekreślić?

— Opowiedz mi o Charliem — powiedziała Helen.

— Trzymamy się razem — rzekł Barr. — Robimy różne rzeczy.

— Z bronią?

— Trochę.

— Gdzie mieszka Charlie?

— Nie wiem.

— Jak długo się przyjaźnicie?

— Pięć lat. Może sześć.

— I nie wiesz, gdzie mieszka?

— Nigdy mi nie powiedział.

— Bywał u ciebie.

— Co z tego?

— Ty nigdy u niego nie byłeś?

— To on przychodził do mnie.

— Masz numer jego telefonu?

— Po prostu pojawiał się tu i tam od czasu do czasu.

— Jesteście dobrymi przyjaciółmi?  
— Dość dobrymi.  
— Jak dobrymi?  
— Lubimy się.  
— Na tyle, żebyś powiedział mu o tym, co zdarzyło się czternaście lat temu?  
Barr wciąż milczał. Tylko zamknął oczy.  
— Powiedziałeś mu?  
Barr nie odpowiadał.  
— Myślę, że mu powiedziałeś — naciskała Helen. Barr nie potwierdził ani nie zaprzeczył.  
— Dziwię się, że ktoś nie wie, gdzie mieszka jego przyjaciel. Szczególnie tak bliski przyjaciel, jakim był dla ciebie Charlie.  
— Nie naciskałem — rzekł Barr. — Miałem szczęście, że w ogóle miałem jakiegoś przyjaciela. Nie chciałem tego zepsuć wypytywaniem.

\*\*\*

Odpowiedziawszy na pytania Rodina, Eileen Hutton wstała od stołu i uściśniła dłonie wszystkim obecnym. Potem wyszła na korytarz i znalazła się oko w oko z jakimś mężczyzną. Domyśliła się, że to detektyw Emerson. Ten, przed którym ostrzegął ją Reacher. Potwierdził to, wręczając jej wizytówkę.  
— Możemy porozmawiać? — zapytał.  
— O czym? — odpowiedziała pytaniem na pytanie.  
— O Jacku Reacherze — rzekł Emerson. — Pani go zna, mam rację?  
— Znałam go czternaście lat temu.  
— Kiedy ostatnio go pani widziała?  
— Czternaście lat temu — powtórzyła. — Byliśmy razem w Kuwejcie. Potem gdzieś go przenieśli. Albo mnie. Nie pamiętam.  
— Nie widziała go pani dzisiaj?  
— Jest w Indianie?  
— W tym mieście. Tu i teraz.  
— Świat jest mały.  
— Jak się pani tutaj dostała?

—Przyleciałam do Indianapolis i tam wypożyczyłam samochód.

—Zostaje pani na noc?

—A mam inne wyjście?

—Gdzie?

—W Marriotcie.

—Reacher zeszłej nocy zabił dziewczynę.

—Jest pan tego pewny?

—Jest naszym jedynym podejrzanym.

—To do niego zupełnie niepodobne.

—Proszę do mnie zadzwonić, gdyby go pani zobaczyła. Numer telefonu posterunku jest na mojej wizytówce. Mojego telefonu komórkowego również.

—Dlaczego miałabym go zobaczyć?

—Jak sama pani powiedziała, świat jest mały.

\*\*\*

Czarno-biały radiowóz powoli przedzierał się na północ przez korki w godzinie szczytu. Minął sklep z bronią, salon fryzjerski. Każda fryzura 7 \$. Potem skręcił w prawo i zajął pod motel. Policjant opuścił przednie siedzenie i poszedł do recepcji. Dał recepcjonście plakat. Położył go na kontuarze, obrócił i podsunął urzędnikowi.

\*\*\*

— Zadzwon do nas, gdyby się pokazał, dobrze? — powiedział.

— On już tu jest — rzekł recepcjonista. — Tylko nazywa się Heffner, nie Reacher. Ulokowałem go w pokoju numer osiem, tej nocy.

Policjant znieruchomiał.

—Jest tam teraz?

—Nie wiem. Kilka razy wychodził i wracał.

—Na jak długo się zatrzymał?

—Zapłacił za jedną noc. Jednak jeszcze nie oddał klucza.

—Zatem zamierza tu wrócić.

—Pewnie tak.

—A może już tu jest.

—Może — zgodził się recepcjonista.

Policjant cofnął się do drzwi. Dał znak partnerowi. Drugi policjant wyłączył silnik, zamknął samochód i przyszedł do recepcji.

— Pokój numer osiem, pod fałszywym nazwiskiem — powiedział pierwszy.

— Jest w środku? — spytał drugi.

— Nie wiadomo.

— No to sprawdźmy.

Wzięli ze sobą recepcjonistę. Kazali mu trzymać się z tyłu. Wyjęli broń i zapukali do drzwi pokoju numer osiem. Żadnej odpowiedzi. Zapukali ponownie. Nic.

— Masz klucz uniwersalny? — zapytali recepcjonistę.

Ten dał im klucz.

Policjant włożył go do zamka ostrożnie, jedną ręką. Powoli przekreślił. Uchylił drzwi na pół cala, a potem otworzył je kopniakiem i wpadł do środka. Jego partner wszedł tuż za nim. Omietli lufami pokój, od lewej do prawej, w górę i w dół, szybkimi i nerwowymi ruchami.

W pokoju nie było nikogo.

I niczego, oprócz przygnębiającego zestawu przyborów toaletowych, równo ustawionych na półce nad umywalką. Nowa paczka jednorazowych ostrzy, otwarta, jedno użyte. Nowy pojemnik z pianką do golenia, z zaschniętymi pęcherzykami wokół dzióbka. Nowa tubka pasty do zębów, dwukrotnie naciśnięta.

— Facet podróżuje z niewielkim bagażem — zauważył pierwszy policjant.

— Jednak jeszcze się nie wymeldował — powiedział jego partner. — To pewne. Co oznacza, że tu wróci.

# 10

Reacher zasypiał na łóżku w pokoju 310 hotelu Marriott Suites. Leżał na plecach jak nieboszczyk. Tak długo rozmawiali z Hutton w kawiarni, że o mało nie spóźniła się na spotkanie. Za pięć czwarta spojrzała na zegarek, wręczyła mu klucz magnetyczny i poprosiła, żeby zaniósł jej bagaż do pokoju. Potem wypadła na ulicę. Domyślił się, że miał później zostawić klucz w recepcji. Nie zrobił tego. Nigdzie mu się nie spieszyło. Na razie. Tak więc zaniósł bagaż do pokoju i został.

Pokój 310 nie budził jego entuzjazmu. Znajdował się na drugim piętrze, co utrudniało ewentualną ucieczkę przez okno. Pokój numer osiem w motelu był lepszy. O wiele lepszy. Parter i gęsto stojące stare zabudowania wokół dawały duże szanse ucieczki. Otworzyć okno, wyskoczyć, poszukać bocznej uliczki, otwartych drzwi lub innego okna. Tam było dobrze. Tutaj kiepsko. Drugie piętro. Długa droga na dół. I nawet nie był pewien tego, czy okna w Marriotcie da się otworzyć. Może nie. Radcy prawni hotelu przypuszczalnie obawiali się odpowiedzialności. Niewykluczone, że oczyma duszy widzieli grad dzieci spadających z okien na asfalt parkingu. A może wzięli pod uwagę czynnik ekonomiczny. Może koszt zawiasów i klamek był wyższy od rachunków za klimatyzację. Tak czy inaczej, nie była to dobra kryjówka. W żadnym razie. Nie na dłużej.



Jednak na krótko była w porządku. Tak więc zamknął oczy i zasnął. Śpij, kiedy możesz, ponieważ nie wiadomo, kiedy znów będziesz mógł się przespać. Stara wojskowa zasada.

\*\*\*

Plan Emersona był bardzo prosty. Umieścił Donnę Biancę w pokoju numer siedem. Kazał dwóm mundurowym zaparkować radiowóz trzy przecznice dalej, wrócić i czekać w pokoju numer dziewięć. Ustawił jeden radiowóz dwie przecznice za motelem, następny — cztery przecznice na północ, przy salonie samochodowym, i jeszcze jeden dwie przecznice na południe. Kazał recepcjoniście czuwać, patrzeć przez okno i zawiadomić policjantkę w pokoju numer siedem, gdy tylko zobaczy nadchodzącego faceta, który zameldował się pod nazwiskiem Heffner.

\*\*\*

Eileen Hutton wróciła do Marriotta o czwartej trzydzięci. W recepcji nie było klucza magnetycznego ani żadnej wiadomości. Wjechała windą na górę, poszła za strzałkami do pokoju 310 i zapukała do drzwi. Po chwili otworzyły się i Reacher wpuścił ją do środka.

— Jak tam mój pokój? — spytała.

— Łóżko jest wygodne — rzekł.

— Mam zadzwonić do Emersona, jeśli cię zobaczę — powiedziała.

— Zamierzasz?

— Nie.

— Krzywoprzysięstwo i pomoc zbiegowi — rzekł. — Wszystko jednego dnia.

Poszperała w torebce i wyjęła wizytówkę Emersona.

— Jesteś ich jedynym podejrzanym. Dał mi trzy różne numery telefonów. Traktuje to bardzo poważnie.

Wziął od niej wizytówkę. Włożył do tylnej kieszeni, razem z serwetką, na której miał numer telefonu Helen Rodin. Stawał się chodzącą książką telefoniczną.

— Jak ci poszło z Rodinem? — spytał.

— Zwyczajnie — odparła.

Nic nie powiedział. Kręciła się wokół, oglądając apartament. Łazienka, sypialnia, salon, kuchnia. Wzięła torbę i ustawiła ją równo pod ścianą.

— Chcesz zostać? — zapytała.

Pokręcił głową.

— Nie mogę.

— W porządku.

— Mogę jednak wrócić później, jeśli chcesz.

Na odpowiedź nie czekał dłużej niż sekundę.

— W porządku — powiedziała. — Wróc później.

\*\*\*

Alex Rodin przyszedł do swojego biura, zamknął drzwi i zadzwonił do Emersona.

— Macie go już? — zapytał.

— To tylko kwestia czasu — zapewnił go Emerson. — Szukamy go wszędzie. I obserwujemy jego pokój. Zameldował się w starym motelu pod fałszywym nazwiskiem.

— To ciekawe — rzekł Rodin. — To oznacza, że w Metropole też mógł posłużyć się fałszywym nazwiskiem.

— Sprawdź — powiedział Emerson. — Pokażę jego zdjęcie recepcjoniście.

— Może naprawdę zdołamy go przyskrzynić — powiedział Rodin i rozłączył się, myśląc o dwóch nowych wycinkach z gazet, oprawionych w ramki i wiszących na ścianie jego gabinetu.

Najpierw Barr, a potem Reacher.

\*\*\*

Reacher opuścił apartament Hutton i zszedł po schodach, zamiast zjechać windą. Na parterze skręcił w przeciwnym kierunku, niż znajdował się hol, i znalazł korytarz wiodący do wyjścia awaryjnego. Pchnął drzwi i przytrzymał je nogą. Wyjął z kieszeni wizytówkę Emersona, przedarł ją wzdłuż na dwie połowy i tę z nazwiskiem złożył cztery razy. Kciukiem wcisnął zatrzask zamka i zaklinował go zwiniętym kartonikiem. Delikat-

nie zamknął drzwi i pchnął, ustawiając równo z futryną. Potem odszedł, mijając śmietnik oraz wejście dla personelu, i skierował się na północ. Na chodnikach było tłoczno, a na ulicach zaczynały się tworzyć korki. Szedł swobodnym krokiem, wykorzystując swój wzrost, aby wypatrywać radiowozów i policjantów. Dzień był wciąż ciepły. Widocznie gdzieś w pobliżu przechodził front atmosferyczny. Wysokie ciśnienie sprawiało, że w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi i nawozu sztucznego.

Reacher dotarł do estakady i w jej cieniu skręcił na zachód. Autostrada biegła górą, na filarach czterdziestostopowej wysokości. Poniżej były parcele, niektóre niewykorzystane i zaśmiecone, inne ze starymi budynkami z cegieł o ciemnych świetlikach w dachach, jeszcze inne z nowymi barakami z blachy falistej mieszczącymi warsztaty blacharskie i lakiernicze. Minął tyły wieżowca z czarnego szkła i pozostając w cieniu estakady, skręcił na południe. Zamierzał przejść z tyłu biblioteki. Nagle przystanął, przykucnął i pogmerał przy bucie. Jakby wpaść mu kamyk. Zerknął pod ramieniem i zobaczył, że nikt za nim nie idzie. Nie miał ogona.

Ruszył dalej. Po minięciu biblioteki przez czterdzieści jardów nie miał osłony. Plac znajdował się na wschód od niego. Reacher przystanął na moment w miejscu znajdującym się dokładnie poniżej tego, na którym Helen Rodin zaparkowała poprzedniego dnia i z którego James Barr powinien strzelać w piątek. Z miejsca położonego czterdzieści stóp niżej widok był inny, ale geometria ta sama. Reacher zobaczył zwiędnięte kwiaty oparte o południowy murek fontanny. Były niewyraźnymi kolorowymi plamami w oddali. Dalej ujrzał drzwi wydziału komunikacji. Ludzie wychodzili z nich pojedynczo i dwójkami. Spojrzał na zegarek. Za dziesięć piąta.

Dotarł do najdalej wysuniętej na północ przecznicy First Street. Zatoczył szeroki łuk i poszedł jedną przecznicą na południe oraz trzy na wschód, co doprowadziło go do piętrowego parkingu od jego zachodniej strony. Wszedł na rampę i znalazł obiektyw kamery. Ten był krążkiem brudnego szkła przymocowanym do zwykłej czarnej skrzynki, przyśrubowanej

wysoko między dwoma betonowymi dźwigarami. Pomachał do niej. Była umieszczona zbyt wysoko. Powinna znajdować się niżej, na wysokości tablic rejestracyjnych. Jednak wszystkie kolumny były porysowane i poobtłukiwane od ziemi na wysokość metra. I zabarwione tęczą kolorów. Kierowcy są nieostrożni. Zamontowana niżej kamera nie przetrwałaby dwóch *im*. Może jeszcze mniej.

Wszedł na pierwsze piętro. Zmierzał do północno-wschodniego narożnika. Parking był cichy i spokojny, ale pełny. Stanowisko, z którego korzystał James Barr, było zajęte. Walka o miejsce do parkowania w centrum nie pozwala na sentymenty.

Granicę między starą a nową częścią parkingu znaczyła potrójna barierka z rozpiętej między filarami taśmy. Standardowa żółto-czarna z ostrzeżeniem UWAGA! NIE WCHODZIĆ, a poniżej i powyżej niej niebiesko-biała z nadrukiem NIE PRZEKRACZAĆ BEZ ZGODY POLICJI. Przedramieniem podciągnął wszystkie trzy w górę i przeszedł pod nimi. Nie musiał przykłękać na jedno kolano. Nie musiał niszczyć nogawki nowej pary dżinsów ani zostawiać masy bawełnianych włókien, chociaż był mężczyzną sześć cali wyższym od Barra, a policyjna taśma została rozpięta sześć cali niżej niż ta środkowa, którą napotkał Barr. Dosłownie wychodził z siebie, żeby zostawić wszystkie możliwe ślady.

Reacher wszedł w mrok. Nowa konstrukcja miała w przybliżeniu prostokątny kształt. Jakies czterdzieści jardów z południa na północ, około dwudziestu ze wschodu na zachód. Co oznaczało, że Reacher dotarł do północno-wschodniego narożnika nowej części po trzydziestu pięciu krokach. Stał sześć stóp od balustrady i spojrzał na boki. Miał stąd doskonały widok. Nie musiał przyciskać się do kolumny. Nie musiał ocierać się o nią plecami niczym koń tarzający się po łące.

Stał tam i patrzył. Coraz więcej ludzi wychodziło z biur wydziału komunikacji. Drzwi budynku prawie się nie zamykały. Niektórzy przystawali i zapalali papierosy zaraz po wyjściu na zewnątrz. Inni szli na zachód, jedni szybko, drudzy powoli. Wszyscy skręcali, obchodząc północny koniec zbiornika fon-

tanny. Wszyscy omijali miejsce, gdzie zginęły ofiary Barra. Kwiaty i świece działały zniechęcająco. Przypominały. Trudno było odtworzyć scenerię wydarzeń minionego piątku. Było to trudne, ale nie niemożliwe. Reacher obserwował idących i wyobraził sobie, że zmienili trasę i poszli prosto. Powoli weszliby w lejkowate zwężenie. Jednak nie nazbyt wolno. Ponadto przechodziliby blisko. Połączenie średniego tempa marszu z niewielką odległością zwiększało kąt ostrzału. Utrudniało zadanie. Oto podstawowa zasada użytkownika broni długiej. Ptak przelatujący po niebie w odległości stu jardów to łatwy cel. Ten sam ptak, lecący z tą samą prędkością sześć jardów przed tobą to cel wyjątkowo trudny.

Wyobraził sobie ludzi idących z prawej strony na lewą. Zamknął jedno oko, wyciągnął rękę i wycelował palec. Klik-klik-klik, klik-klik-klik. Sześć oddanych strzałów. Cztery sekundy. Szybko. Trudne warunki. Napięcie, odsłonięta pozycja, ryzyko.

Sześć strzałów, w tym jeden celowo chybiony.

Doskonały wynik.

Oni nie zapominają.

Opuścił rękę wzdłuż ciała. W półmroku było chłodno. Zadrzał. Powietrze było lepkie, wilgotne i przesycone zapachem wapna. W Kuwejcie było gorąco. Powietrze falowało, przepojone wonią rozgrzanego kurzu i pustynnego piasku. Reacher stał w budynku parkingu i pocił się. Ulica poniżej była rozpalona do białości. Morderczy skwar. Jak podmuch z hutniczego pieca.

Upał w Kuwejcie.

Cztery strzały tam.

Sześć strzałów tu.

Stał i patrzył na ludzi wychodzących z budynku wydziału komunikacji. Było ich mnóstwo. Dziesięć osób, dwanaście, piętnaście, dwadzieścia. Skręcali, obchodząc fontannę od północy, a potem skręcali ponownie i szli na zachód między zbiornikiem a pawiem NBC. Szli, utrzymując niewielkie odstępy od siebie. Gdyby jednak poszli tamtym zwężeniem, tworzyliby zbity tłum.

Mnóstwo ludzi.

Sześć strzałów w cztery sekundy.

Poszukał wzrokiem kogoś, kto by się nie ruszał. Nie znalazł. Żadnych policjantów czy starców w niedopasowanych garniturach. Odwrócił się i poszedł po swoich śladach. Ponownie uniósł taśmę, przeszedł pod nią i zszedł po rampie. Wyszedł na ulicę i skręcił na zachód, kierując się w cień pod estakadą. Zmierzał do biblioteki.

Przeciął czterdzieści jardów otwartej przestrzeni i ruszył wzdłuż ściany budynku do wejścia. Musiał przejść obok kontuaru recepcji, ale nie przejmował się tym. Jeśli Emerson zaczął rozdawać ulotki, to zacznie od urzędów pocztowych, barów i hoteli. Minie sporo czasu, zanim zacznie wypytywać bibliotekarki.

Nie zatrzymywany dotarł do holu i podszedł do automatów telefonicznych. Wyjął z kieszeni serwetkę i zadzwonił do Helen Rodin. Odebrała po piątym dzwonku. Wyobraził sobie, jak szuka w torebce aparatu, spogląda na wyświetlacz i wciska guziki.

— Jesteś sama? — zapytał.

— Reacher?

— Tak — powiedział. — Jesteś sama?

— Tak — odparła. — A ty masz kłopoty.

— Kto ci powiedział?

— Mój ojciec.

— Wierzysz mu?

— Nie.

— Idę do ciebie.

— W holu jest policjant.

— Przewidziałem to. Wejdę przez parking.

Rozłączył się, wrócił obok recepcji i wyszedł bocznym wyjściem. Wrócił pod estakadę. Trzymał się w jej cieniu, aż znalazł się na tyłach wieżowca z czarnego szkła, naprzeciw wjazdu na parking. Rozejrzał się na boki, po czym poszedł przed siebie. Minał furgonetki NBC, mustanga należącego zapewne do Ann Yanni i dotarł do windy. Nacisnął guzik i czekał. Spojrzał na zegarek. Piąta trzydzieści. Większość ludzi

już opuszczała budynek. Jadąca w dół winda niemal na pewno zatrzyma się na parterze. Jadąca w górę może nie. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Kabina zjechała na parking i wysiadły z niej trzy osoby. Odeszły. Reacher wszedł. Wcisnął czwórkę. Cofnął się. Winda wjechała na parter i stanęła w holu. Drzwi rozsunęły się jak kurtyna w teatrze. Policjant był tam, cztery stopy od drzwi, zwrócony do nich plecami. Stał tak blisko, że Reacher niemal mógłby go dotknąć. Jakiś mężczyzna wszedł do windy. Nie odezwał się. Tylko skinął głową, pozdrawiając współpasażera. Reacher odpowiedział ukłonem. Facet wcisnął guzik szóstego piętra. Drzwi się nie zamknęły. Policjant obserwował ulicę. Nowy pasażer ponownie nacisnął guzik. Policjant poruszył się. Zdjął czapkę i przyglądał palcami włosy. Drzwi zamknęły się. Winda ruszyła w górę.

Reacher wysiadł na trzecim i przecisnął się przez gromadkę ludzi czekających na windę. Drzwi biura Helen Rodin były otwarte na oścież. Wszedł do środka, a ona zamknęła je za nim. Miała na sobie krótką czarną spódniczkę i białą bluzkę. Wyglądała młodo, jak uczennica. I była zaniepokojona jak osoba bijąca się z myślami.

— Powinam cię wydać — powiedziała.

— Jednak tego nie zrobisz — zauważył Reacher.

— Nie — przyznała. — Powinam, ale tego nie zrobię.

— Prawdę mówiąc, lubiłem tę dziewczynę — rzekł Reacher. — Słodki dzieciak.

— Wystawiła cię.

— Nie miałem jej tego za złe.

— Ktoś jej nie lubił.

— Trudno powiedzieć. Uczucia nie miały z tym nic wspólnego. Była zbyt uczciwa, to wszystko. Posłużyli się nią.

— Ten manipulator naprawdę nie chce, żebyś się tu kręcił.

Reacher skinął głową.

— To pewne jak diabli. Jednak ma cholernego pecha, ponieważ teraz już nie wyjadę. Sam się o to postaraj.

— Czy zostawanie tu w obecnej sytuacji jest bezpieczne?

— Wystarczająco. Jednak ta historia z dziewczyną trochę ograniczy mi swobodę działania. Dlatego ty będziesz musiała wykonać większość pracy.

Zaprowadziła go do gabinetu. Usiadła przy biurku. On trzymał się z daleka od okna. Usiadł na podłodze i oparł się plecami o ścianę.

— Już wzięłam się do roboty — oznajmiła Helen. — Rozmawiałam z Rosemary i sąsiadami Barra. Potem wróciłam do szpitala. Myślę, że szukamy faceta o imieniu Charlie. Niski, Sterczące czarne włosy. Interesuje się bronią. Mam wrażenie, że jest skryty. I sądzę, że niełatwo będzie go odnaleźć.

— Kiedy pojawił się na scenie?

— Chyba pięć lub sześć lat temu. To jedyny stary przyjaciel, o jakim ludziom wiadomo. I jedyny, którego pamięta Barr.

Reacher skinął głową.

— To do mnie przemawia.

— Ponadto Barr nie zna Jeba Olivera i nie zażywa narkotyków.

— Wierzysz mu?

— Tak, wierzę — odparła Helen. — Naprawdę. Teraz wierzę we wszystko, co mówi. Twierdzi, że przeżył czternaście lat nowego życia, i nie może uwierzyć, że je przekreślił. Sądzę, że jest z tego powodu równie rozgniewany jak wszyscy.

— Oprócz jego ofiar.

— Opuść mu trochę, Reacher. Tutaj dzieje się coś dziwnego.

— Czy ten cały Charlie wie o Kuwejcie?

— Barr nie potrafił powiedzieć. Jednak myślę, że wie.

— Gdzie mieszka?

— Tego Barr nie wie.

— Nie wie?

— Spotykał się z nim u siebie. Facet pojawiał się od czasu do czasu. Jak powiedziałam, trudno będzie go znaleźć.

Reacher nic nie powiedział.

— Rozmawiałeś z Eileen Hutton? — spytała Helen.

— Z jej strony nic nam nie grozi. Armia nie chce, żeby to wyszło na jaw.



- Znalazłeś tego faceta, który cię śledził?
- Nie — rzekł Reacher. — Więcej go nie widziałem. Widocznie go odwołali.
- Zatem znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.
- Jesteśmy bliżej rozwiązania zagadki. Zaczyna klarować się obraz sytuacji. Mamy co najmniej czterech facetów. Jeden to ten stary w garniturze. Drugi to niejaki Charlie. Trzeci to ktoś duży, bardzo silny i leworęczny.
- Kto taki?
- To on zabił zeszłej nocy dziewczynę. Ten w garniturze jest na to za stary, a wygląda na to, że Charlie jest za mały. Ślady wskazują na to, że zabójca był mańkutem.
- A czwarty to zakulisowy manipulator.
- Reacher znów skinął głową.
- Ukryty w cieniu, planuje i pociąga sznurki. Możemy założyć, że nie robi takich rzeczy osobiście.
- Tylko jak mamy do niego dotrzeć? Jeśli odwołał tego, który cię śledził, może również odwołać Charliego. Obaj się przyczają.
- Jest inna droga. Cała autostrada.
- Jaka?
- Nie zauważyliśmy czegoś oczywistego — rzekł Reacher. — Przez cały czas patrzyliśmy na to z niewłaściwej strony. Całą uwagę skupiliśmy na tym, kto strzelał.
- A co powinniśmy robić?
- Zastanowić się.
- Nad czym?
- James Barr strzelił cztery razy w Kuwejcie. I sześć razy tutaj.
- W porządku — powiedziała Helen. — Tutaj oddał dwa strzały więcej. Co z tego?
- Wcale nie — rzekł Reacher. — Niezupełnie. Przynajmniej jeśli spojrzeć na to z innej strony. Tak naprawdę oddał tu cztery strzały mniej.
- To śmieszne. Sześć to o dwa więcej od czterech, a nie cztery mniej.
- W Kuwejcie było straszny upał. W środku dnia po prostu

nie do wytrzymania. Trzeba było być świrem, żeby wychodzić z domu. Ulice były prawie puste.

— I co z tego?

— To, że w Kuwejcie James Barr zabił wszystkich, których miał w polu widzenia. Jeden, drugi, trzeci, czwarty strzał i po zawodach. Oprócz tych czterech facetów na ulicy nie było nikogo. Tylko oni byli tacy głupi, żeby łązić w tym upale. A Barr załatwił ich wszystkich. Rozwalił wszystkie kręgle. Wtedy wydawało się to logiczne. Chciał zobaczyć różową mgiełkę. Pomyślałem, że mógłby zadowolić go widok jednej, ale najwyraźniej tak się nie stało. Tak więc jego zachowanie miało pewien upiorny sens. Skoro nie poprzestał na pierwszym strzale, musiał dalej robić swoje, aż zabraknie mu celów. Tak też było. W Kuwejcie zabrakło mu celów.

Helen Rodin nic nie powiedziała.

— Tutaj jednak celów nie brakowało — ciągnął Reacher. — W tym wąskim przejściu było ze dwanaście osób. Albo piętnaście. Na pewno więcej niż dziesięć. On miał magazynek na dziesięć naboí. Mimo to oddał tylko sześć strzałów. Przystał. W magazynku zostały cztery naboje. Tak wynika z notatek na tej wystawie dla gawiedzi, przygotowanej przez Bellantonia. I właśnie o to mi chodzi. W Kuwejcie Barr zastrzelił wszystkich, których mógł zabić, a tutaj czterech mniej, niż mógł. Zatem czynnik psychologiczny był tutaj zupełnie inny. Tu Barr postanowił nie zbijać wszystkich kręgli. Dlaczego?

— Może się spieszył?

— Miał samopowtarzalną broń. Poczta głosowa zarejestrowała sześć strzałów w ciągu czterech sekund. Co oznacza, że mógł oddać dziesięć strzałów w niecałe siedem sekund. Te trzy sekundy nie miałyby żadnego znaczenia.

Helen nic nie powiedziała.

— Zapytałem go — powiedział Reacher. — Kiedy widziałem się z nim w szpitalu. Spytałem go, jak by to zrobił, teoretycznie. Jakbyśmy omawiali plan akcji. Zastanowił się. Zna ten teren. Powiedział, że zaparkowałby na estakadzie. Za biblioteką. Powiedział, że opuściłby szybę i opróżnił magazynek.

Helen nadal milczała.

— Tymczasem on nie opróżnił magazynka — rzekł Reacher. — Przestał strzelać po oddaniu sześciu strzałów. Przerwał ogień. Chłodno i spokojnie. A to całkowicie zmienia sytuację. Nie był szaleńcem, który zamierza sterroryzować całe miasto. I nie popchnięto go do tego dla rozkoszy rzezi. To nie był przypadek, Helen. Tego nie zrobił psychol. Ten ktoś miał w tym własny, jasno wytyczony cel. Dlatego na tę sprawę należy spojrzeć z innego punktu widzenia. Powinniśmy byli dostrzec to wcześniej. Powinniśmy zrozumieć, że istotne są ofiary, a nie strzelec. To nie byli tylko pechowcy, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu i czasie.

— Byli celami? — spytała Helen.

— Starannie dobranymi — odparł Reacher. — I gdy tylko zostali zlikwidowani, Barr spakował zabawki i odjechał. Z czterema kulami w magazynku. Snajper psychopata nie poprzestałby na tym. Naciskałby spust, aż opróżniłby magazynek. To nie była bezmyślna rzeź. To był zamach.

W biurze zapadła cisza.

— Musimy dobrze przyjrzeć się ofiarom — rzekł Reacher. — I dowiedzieć się, kto chciał ich śmierci. To doprowadzi nas do tego, kogo szukamy.

Helen Rodin nie poruszyła się.

— I musimy to zrobić naprawdę szybko — dodał Reacher. — Ponieważ nie mam wiele czasu, a już straciliśmy prawie trzy dni, patrząc na to wszystko od dupy strony.

\*\*\*

Zmęczony trzydziestoletni lekarz kończył swój popołudniowy obchód na piątym piętrze szpitala stanowego. Jamesa Barra zostawił sobie na koniec. Częściowo dlatego, że nie oczekiwał żadnych dramatycznych zmian jego stanu zdrowia, a częściowo dlatego, że nic go to nie obchodziło. Opiekowanie się chorymi złodziejami i oszustami to wystarczająco niemiłe zajęcie, ale leczenie wielokrotnego zabójcy to absurd. Podwójny absurd, bo gdy tylko Barr stanie na nogi, znów zostanie przywiązany do łóżka i jakiś inny lekarz wstrzyknie mu truciznę.

Trudno jednak zignorować nakazy etyki lekarskiej oraz nawyk, a także poczucie obowiązku, rutynę i przepisy. Toteż lekarz wszedł do pokoju Barra i wziął jego kartę choroby. Wyjął długopis, spojrział na aparaturę, popatrzył na pacjenta. Ten odzyskał przytomność. Poruszał gałkami ocznymi.

Przytomny, zanotował lekarz.

— Zadowolony? — zapytał lekarz.

— Niezbyt — odparł Barr. Komunikatywny, zapisał lekarz.

— Paskudna sprawa — rzekł i odłożył długopis.

Kajdanki na prawej ręce Barra cicho pobrzękiwały o metalową ramę łóżka. Prawa dłoń drżała, palce były lekko przykurczone, a kciuk i palec wskazujący nieustannie się ruszały, jakby pacjent próbował uformować z nieistniejącej bryłki wosku idealną kulę.

— Proszę przestać — powiedział lekarz.

— Co przestać?

— Ruszać ręką.

— Nie mogę.

— To nowa przypadłość?

— Mam ją od paru lat.

— Nie zaczęła się dopiero po przebudzeniu?

— Nie.

Lekarz spojrział na kartę. Wiek: czterdzieści jeden lat.

— Pije pan?

— Raczej nie — odparł Barr. — Czasem wypiję łyk, żeby łatwiej zasnąć.

Lekarz nie uwierzył mu i przewrócił kartkę, żeby sprawdzić wyniki analiz toksykologicznych oraz badań wątroby. Jednak W organizmie Barra nie wykryto żadnych substancji toksycznych, a wątrobę miał zdrową. Nie pije. Nie jest pijakiem. Wykluczone.

— Czy był pan ostatnio u swojego lekarza? — zapytał.

— Nie jestem ubezpieczony.

— Zesztywnienie rąk i nóg?

— Lekkie.

— Czy druga dłoń też tak panu drży?

— Czasem.

Lekarz znów wyjął długopis i nagryzmołił u dołu karty: Zauważono drżenie prawej dłoni, niepourazowe, alkoholizm wykluczony, zeszywnienie kończyn, możliwe wczesne stadium PA?

— Co mi jest? — zapytał Barr.

— Zamknij się — rzekł lekarz.

Potem, spełniwszy swój obowiązek, przyczepił kartę z powrotem do uchwytu w nogach łóżka i opuścił pokój.

\*\*\*

Helen Rodin przetrząsnęła kartony z materiałem dowodowym i znalazła listę zarzutów postawionych Jamesowi Barrowi. Oprócz rozlicznych naruszeń prawa stan Indiana wymieniał pięciokrotne zabójstwo pierwszego stopnia o znamionach wymagających zaostrzenia kary i zgodnie z przepisami podawał imiona, nazwiska, płeć, wiek, adresy i zawody wszystkich pięciu ofiar. Helen przejrzała listę, wodząc palcem w dół kolumn z adresami i zawodami.

— Nie widzę żadnego oczywistego powiązania — powiedziała.

— Wcale nie twierdziłem, że oni wszyscy byli celami — odparł Reacher. — Zapewne była nim tylko jedna osoba. Najwyżej dwie. Pozostałe zabito, żeby zatrzeć ślady. Zamach upozorowany na masakrę. Tak mi się zdaje.

— Wezmę się do pracy — powiedziała.

— Zobaczymy się jutro.

Zszedł po schodach, zamiast skorzystać z windy, i niezauważony dotarł na parking. Wszedł na ulicę, przeszedł na drugą stronę i znikł w cieniu estakady. Niewidzialny człowiek. Życie w mroku. Uśmiechnął się. Przystanął.

Postanowił poszukać płatnego telefonu.

Znalazł go na bocznej ścianie sklepiu spożywczego „Martha's”, dwie przecznice na północ od taniego sklepu z odzieżą, w którym robił zakupy. Telefon znajdował się naprzeciw szerokiego zaułka, który wykorzystywano jako niewielki parking. Na wszystkich sześciu kopertach stały samochody. Za nimi

wznosił się mur, pokryty na górze tłuczonym szkłem. Za spożywczym zaułek skręcał pod kątem prostym. Reacher domyślił się, że niedaleko znów skręca i łączy się na południu z równoległą ulicą.

Bezpieczne miejsce, pomyślał.

Wyjął z kieszeni przedartą wizytówkę Emersona. Wybrał numer telefonu komórkowego. Zadzwoił. Oparł się ramieniem o mur, mając na oku oba końce zaułka i słuchając pomrukiwania dzwonka.

— Tak? — zgłosił się Emerson.

— Zgadnij kto — powiedział Reacher.

— Reacher?

— Zgadłeś za pierwszym razem.

— Gdzie jesteś?

— Wciąż w mieście.

— Gdzie?

— Niedaleko.

— Wiesz, że cię szukamy, prawda?

— Tak słyszałem.

— Musisz się zgłosić.

— Nie sądzę.

— No to cię znajdziemy — rzekł Emerson.

— Myślisz, że zdołacie?

— Z łatwością.

— Znasz niejakiego Franklina?

— Pewnie, że znam.

— Zapytaj go, czy to łatwe.

— Wtedy było inaczej. Mogłeś być wszędzie.

— Obstawiliście motel?

Zapadła cisza. Emerson nie odpowiedział.

— Trzymaj tam swoich ludzi — poradził Reacher. — Może tam wrócę. Ale niekoniecznie.

— Znajdziemy cię.

— Nie macie szans. Nie jesteście dość dobrzy.

— Może namierzymy tę rozmowę.

— Oszczędzę wam fatygi. Jestem przed sklepem spożywczym „Martha's”.

— Powinieneś się ujawnić.  
— Pohandlujmy — zaproponował Reacher. — Dowiedz się, kto ustawił na parkingu ten styropianowy słupek, a wtedy pomyślę o oddaniu się w wasze ręce.  
— Barr go postawił.  
— Wiesz, że nie. Jego furgonetki nie ma na filmie.  
— Użył innego pojazdu.  
— On nie ma innego pojazdu.  
— No to go pożyczyl.  
— Od przyjaciela? — zapytał Reacher. — Może. A może to przyjaciel ustawił za niego ten słupek. Tak czy inaczej, znajdź tego przyjaciela, a ja zastanowię się, czy przyjść do ciebie na pogawędkę.  
— Na tych kasetach są tysiące samochodów.  
— Masz ludzi — przypomniał Reacher.  
— Nie handluję — rzekł Emerson.  
— Sądzę, że ma na imię Charlie — rzekł Reacher. — Niski facet, sztywne, czarne włosy.  
— Nie handluję — powtórzył Emerson.  
— Ja nie zabiłem tej dziewczyny — powiedział Reacher.  
— To ty tak twierdzisz.  
— Lubilem ją.  
— Łamiesz mi serce.  
— I wiecie, że zeszłej nocy nie spałem w hotelu Metropole.  
— Dlatego tam zostawiłeś jej ciało.  
— Ponadto nie jestem leworęczny.  
— Nie nadążam.  
— Niech Bellantonio porozmawia z waszym patologiem.  
— Znajdziemy cię — zapewnił Emerson.  
— Nie znajdziecie — odparł Reacher. — Jeszcze nikomu się to nie udało.

Potem rozłączył się i wrócił na ulicę. Przeszedł na drugą stronę i pół kwartału na północ, po czym schował się za stertą nieużywanych betonowych barier oporowych na nieużywanej parceli. Czekał. Po sześciu minutach pod sklep spożywczy podjechały dwa radiowozy. Na światłach, lecz bez syren. Z wozów wysiedli czterej policjanci. Dwaj weszli do sklepiku, a dwaj

podeszli do telefonu. Reacher obserwował, jak przegrupowują się na chodniku. Patrzył, jak przeszukują zaułek i zagląдаютą za róg. Widział, jak wrócili i pogodzili się z niepowodzeniem. Zobaczył, jak jeden z nich przeprowadza przez radio krótką rozmowę, popartą defensywną mową ciała. Podniesione dłonie, wzruszenie ramion. Potem rozmowa zakończyła się, a Reacher ostrożnie ruszył na wschód, kierując się do Marriotta.

\*\*\*

Zek u obu rąk miał tylko kciuki i po jednym palcu. U prawej dłoni był to kikut wskazującego palca, poczerniały i powyręcany w wyniku odmrożenia. Pewnej zimy spędził cały tydzień pod gołym niebem, mając na sobie stary szynel czerwonoarmisty, a ponieważ jej poprzedni właściciel nosił manierkę przy pasie dokładnie na prawej kieszeni, materiał w tym miejscu był trochę bardziej przetarty niż na lewej. Od takich drobiazgów zależało życie. Lewa dłoń ocalała, a prawa ucierpiała. Czuł, jak jej palce zamarzają, poczynając od małego. Wyjął rękę z kieszeni i pozwolił jej całkiem zamarznąć, żeby stracić w niej czucie. Potem odgryzł sobie wszystkie odmrożone palce, zanim zdążyła wdać się gangrena. Pamiętał, jak upuszczał je na ziemię, jeden po drugim, niczym suche patyki.

Miał mały palec lewej dłoni. Brakowało mu trzech środkowych. Dwa z nich odciął mu sadysta sekatorem. Trzeci Zek obciął sobie sam, naostrzoną łyżką, żeby nie zakwalifikowano go do pracy w jakimś warsztacie. Nie pamiętał szczegółów, tylko krążącą pogłoskę, że lepiej stracić jeszcze jeden palec, niż pójść do pracy w tym zakładzie. Zdaje się, że chodziło o tamtejszego nadzorcę.

Okaleczone dłonie. Dwie z wielu pamiątek z innych czasów, innych miejsc. Zdążył się już do nich przyzwyczaić, ale bardzo utrudniały życie. Telefony komórkowe stają się coraz mniejsze. Linsky miał dziesięciocyfrowy numer i cholernie trudno było go wystukać. Zek nigdy nie posługiwał się jednym telefonem dostatecznie długo, żeby wprowadzić numer do pamięci aparatu. To byłby idiotyzm.



W końcu zdołał wystukać numer, skupił się i wcisnął małym palcem klawisz wywołania. Przełożył aparat do drugiej ręki i przybliżył do ucha. Nie musiał go przyciskać. Wciąż miał dobry słuch, co samo w sobie było cudem.

— Tak? — odezwał się Linsky

— Nie mogą go znaleźć — powiedział Zek. — Nie powinienem być ci mówić, żebyś dłużej go nie śledził. To był błąd.

— Gdzie go szukali?

— Tu i tam. Zeszłą noc spędził w motelu. Obstawili go, ale jestem pewien, że tam nie wróci. Mają człowieka przed biurem tej adwokat. Poza tym strzelają na oślep.

— Co mam zrobić?

— Chcę, żebyś go znalazł. Weź Chenkę i Vladimira. I przysłażę ci Raskina. Pracujcie razem. Znajdź go jeszcze dziś i zadzwoń do mnie.

\*\*\*

Reacher przystanął dwie przecznice przed Marriottem. Wiedział, co robi Emerson. Przecież przez trzynaście lat sam był takim Emersonem. Policjant w myślach sporządzi listę ewentualnych kryjówek i znajomych. Ewentualne kryjówki o tej porze obejmą restauracje. Toteż Emerson wysła radiowozy do barów, restauracji i kawiarni, włącznie z tym bufetem sałatkowym, który lubiła Helen Rodin, oraz barem sportowym. Potem zajmie się znajomymi, których lista ogranicza się do Helen Rodin. Każę policjantowi z holu wjechać na trzecie piętro i zapukać do drzwi jej biura.

A później sprawdzi u Eileen Hutton.

Dlatego Reacher przystanął dwie przecznice przed Marriottem i rozejrzał się za jakimś miejscem, gdzie mógłby zaczekać. Znalazł takie za sklepem obuwniczym. Była to ogrodzona z trzech stron ceglany murkiem wiata, zasłaniająca przed oczami przechodniów plastikowy pojemnik na śmieci, który sięgał Reacherowi do ramienia. Wszedł tam i odkrył, że jeśli oprze się ramieniem o śmietnik, będzie widział szeroki na jard kawałek głównych drzwi Marriotta. Była to całkiem wygodna pozycja. I najprzyjemniej pachnący śmietnik, w jakim zdarzyło

mu się tkwić. Pojemnik roztaczał zapach kartonu i nowych bjutów. Znacznie lepszy od tego, co wdychasz za sklepem rybnym.

Wyliczył sobie, że jeśli Emerson działa sprawnie, to nie będzie musiał czekać tu dłużej niż pół godziny. Jeżeli bardzo sprawnie, to najwyżej dwadzieścia minut. Jeśli przeciętnie, to około godziny. Oparł się o śmietnik i czekał. Nie było późno, ale na ulicach już było cicho. Widział niewielu przechodniów. Obserwował i czekał. Zapach nowej skóry z pustych pudełek po butach sprawił, że Reacher zaczął myśleć o czymś innym. sobie nową parę. Wyciągnął nogę przed siebie i spojrzął. Tenisówki, które nosił, były miękkie, lekkie i miały cienkie podeszwy. Dobrze w Miami. Tutaj niezbyt. Z łatwością mógł przewidzieć sytuację, w której przydałyby się solidniejsze buty.

Nagle jeszcze raz spojrzął w dół. Cofnął się, złączył stopy i zrobił krok naprzód. Stał. Zrobił następny krok drugą nogą i znów znieruchomiał, jak bohater slapstickowej komedii. Patrzył na swoje stopy. Coś go zaniepokoiło. Coś w związku z dowodami zebranymi przez Bellantonia. Coś, co znajdowało się na tych kilkuset zadrukowanych kartkach.

Po chwili znów podniósł wzrok, ponieważ kątem oka dostrzegł jakiś ruch przy znajdujących się dwie przecznice dalej drzwiach Marriotta. Zobaczył policyjny radiowóz. Samochód pojawił się w jego polu widzenia i stanął. Wysiedli dwaj policjanci w mundurach. Reacher spojrzął na zegarek. Dwadzieścia trzy minuty. Emerson był dobry, ale nie nadzwyczajny. Policjanci weszli do hotelu. Pięć minut zajmie im rozmowa z recepcjonistą. Ten bez oporu poda im numer pokoju Hutton. Przecież goście jutro wyjadą, a miejscowa policja zostanie.

Policjanci pójdą do pokoju Hutton. Zapukają do drzwi. Hutton ich wpuści. Nie ma nic do ukrycia. Policjanci rozejrzą się i pójdą sobie. Góra dziesięć minut od początku do końca.

Reacher ponownie spojrzął na zegarek i czekał.

Policjanci wyszli po ośmiu minutach. Zatrzymali się przy drzwiach hotelu — dwie małe sylwetki w oddali. Jeden z nich

przechylił głowę i zameldował przez radio negatywny wynik poszukiwań, po czym wysłuchał następných rozkazów, adresu kolejnej potencjalnej kryjówki do sprawdzenia albo następnego nazwiska. Rutyna. Bawcie się dobrze, chłopcy, pomyślał Reacher. Ponieważ dla mnie będzie to miły wieczór. Na pewno. Patrzył, jak odjeżdżali, i zaczął jeszcze minutę, na wypadek gdyby zawrócili w jego stronę. Potem wyszedł zza ceglanej osłony śmietnika i poszedł do Eileen Hutton.

\*\*\*

Grigor Linsky czekał w swoim samochodzie na parkingu przed supermarketem, naprzeciw witryny całkowicie zamalowanej gigantycznym pomarańczowym napisem, reklamującym mieloną wołowinę po bardzo niskiej cenie. Stara i śmierdząca, pomyślał Linsky. Albo zarobaczona. Jak mięso zwierząt, które kiedyś zabijaliśmy z Zekiem na posiłek. Słowo „zabijaliśmy” było kluczowe. Linsky nie miał żadnych złudzeń. Zek i on byli złymi ludźmi, a życie uczyniło ich jeszcze gorszymi. Cierpienia ich nie uszlachetniły ani nie nauczyły współczucia, wręcz przeciwnie. Ci, którzy w ich sytuacji okazywali szlachetne odruchy lub współczucie, umierali po kilku godzinach. Jednak on i Zek przetrwali jak szczury w kanałach, wyzbywając się wszelkich zahamowań, walcząc zębami i pazurami, zdradzając silniejszych i podporządkowując sobie słabszych.

I nauczyli się. A co sprawdza się raz, sprawdza się zawsze.

Linsky spojrział w lusterko i zobaczył nadjeżdżający samochód Raskina. Był to lincoln town car, stary i toporny, czarny i zakurzony, wyglądający jak postrzelany okręt. Raskin zatrzymał go tuż za jego wozem i wysiadł. Wyglądał na tego, kim był — drugorzędnego moskiewskiego łobuza. Przysadzisty, szeroka twarz, tania kurtka skórzana, beznamienne spojrzenie. Czterdziestokilkuletni. I głupi, zdaniem Linsky'ego, a jednak przetrwał ostatni zryw Armii Czerwonej w Afganistanie, co o czymś świadczyło. Mnóstwo ludzi mądrzejszych od Raskina nie wróciło w jednym kawałku albo wcale nie wróciło. Co dowodziło umiejętności przetrwania, którą to cechę Zek najbardziej cenił.

Raskin otworzył tylne drzwiczki i usiadł za Linskim. Nie odezwał się. Tylko podał mu cztery egzemplarze plakatu sporządzonego przez Emersona. Dostarczył je Zek. Linsky nie wiedział, jak Zek je zdobył. Jednak mógł się domyślić. Plakaty były bardzo dobre. Podobieństwo uderzające. Odegrają swoją rolę.

— Dziękuję — rzekł uprzejmie Linsky.

Raskin nie odpowiedział.

Chenko i Vladimir pojawili się dwie minuty później, w cadillacu Chenki. Prowadził jak zawsze Chenko. Zaparkował za lincolnem Raskina. Trzy duże czarne samochody, ustawione rzędem — kondukt pogrzebowy Jacka Reachera. Linsky uśmiechnął się pod nosem. Chenko i Vladimir wysiedli z samochodu i ruszyli, jeden mały i ciemnowłosy, drugi wielki i o blond Włosach. Wsiedli do cadillaca Linsky'ego. Chenko usiadł z przodu, Vladimir z tyłu obok Raskina, tak więc licząc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, w samochodzie był siedzący za kierownicą Linsky, potem Chenko, Vladimir i na końcu Raskin. Właściwy porządek dziobania, instynktownie przestrzegany. Linsky znów się uśmiechnął i rozdał trzy kopie plakatu. Jedną zatrzymał sobie, chociaż jej nie potrzebował. Już wielokrotnie Widział Jacka Reachera.

— Zaczynamy natychmiast — powiedział. — Od samego początku. Zakładamy, że policja coś przeoczyła.

\*\*\*

Reacher otworzył drzwi awaryjne, wyjął z zamka zwitek kartonu i schował go do kieszeni. Wszedł do środka i pozwolił, by drzwi zamknęły się na zatrask. Poszedł korytarzem do windy i pojechał na drugie piętro. Zapukał do drzwi Hutton. przypomniał sobie cytat z jakiegoś filmu o prawnikach marynarki wojennej, w którym Jack Nicholson grał twardego pułkownika piechoty morskiej: Nie ma to jak kobieta, której rano musisz salutować.

Hutton nie spieszyła się z otwieraniem drzwi. Domyślił się, że pozbywszy się policjantów, poszła spać. Nie spodziewała się, że znów ktoś jej przeszkodzi. W końcu jednak drzwi się otworzyły i zobaczył ją. Miała na sobie szlafrok i było widać,

że dopiero co wyszła spod prysznica. Padające z tyłu światło podświetlało jej włosy. Na korytarzu panował półmrok, a pokój wyglądał miło i zachęcająco.

— Wróciłeś — powiedziała.

— Myślałaś, że nie wrócę?

Wszedł do apartamentu, a ona zamknęła za nim drzwi.

— Dopiero co byli tu policjanci — powiedziała.

— Wiem — odparł. — Obserwowałem ich.

— Gdzie byłeś?

— W śmietniku dwie przecznice stąd.

— Chcesz się umyć?

— To był czysty śmietnik. Za sklepem obuwniczym.

— Chcesz pójść na kolację?

— Wolalbym zjeść w pokoju — odparł. — Nie chcę się pokazywać, jeśli nie muszę.

— W porządku. Całkiem rozsądnie. Zjemy tutaj.

— Jeszcze nie teraz.

— Mam się ubrać?

— Jeszcze nie teraz.

— Dlaczego nie? — spytała po sekundzie wahania.

— Musimy coś dokończyć.

Popatrzyła na niego w milczeniu.

— Miło znów cię widzieć — powiedział.

— Minęły dopiero trzy godziny — zauważyła.

— Mówiłem ogólnie. Po tak długim czasie.

Potem podszedł bliżej i wziął jej twarz w dłonie. Jak niegdyś, wsunął czubki palców w jej włosy, a kciukami dotknął kości policzkowych.

— Czy powinniśmy? — zapytała.

— Nie chcesz?

— Minęło czternaście lat.

— To jak jazda na rowerze.

— Myślisz, że będzie tak samo?

— Lepiej.

— O ile lepiej?

— Zawsze było dobrze — powiedział. — Czyż nie? O ile lepiej może być?

Przez długą chwilę stała nieruchomo. Potem zarzuciła mu rękę na szyję, a on pochylił głowę i pocałowali się. Potem znowu, mocniej. I znów, dłużej. Czternaście lat znikło. Ten sam smak, te same wrażenia. To samo podniecenie. Wyciągnęła mu koszulę ze spodni i rozpięła ją od dołu do góry, pospiesznie. Kiedy uporowała się z ostatnim guzikiem, przesunęła dłoń po jego piersiach, ramionach, plecach, aż dotarła do talii i brzucha. Zrzucił z nóg tenisówki. I skarpetki. Kopniakiem pozbył się spodni i rozwiązał jej pasek. Szlafrok się rozchylił.

— Do licha, Hutton — powiedział. — Nic się nie zmieniłaś.

— Ty też — powiedziała.

Potem ruszyli w kierunku łóżka, potykając się, gorączkowo, przytuleni, jak jakieś dziwne czworonogie zwierzę.

\*\*\*

Grigor Linsky pojechał na południowy koniec miasta. Sprawdził bar sałatkowy, a potem doki. Zawrócił i zaczął krążyć po wąskich uliczkach, objeżdżając kolejne kwartały domów, przystając na skrzyżowaniach, żeby popatrzeć na chodniki. Silnik cadillaca cicho mruczał. Skrzynia biegów zgrzytała na każdym rogu. Była to żmudna praca, wymagająca cierpliwości. Jednak miasto nie było duże. Żadnego ruchu. Żadnego tłumu. A nikt nie potrafił ukryć się na zawsze. Grigor Linsky wiedział o tym z doświadczenia.

\*\*\*

Potem Hutton leżała w ramionach Reachera i czubkami palców badała to ciało, które kiedyś tak dobrze знаła. Zmieniło się przez te czternaście lat. Wprawdzie powiedział „nic się nie zmieniłaś”, a ona odpowiedziała mu „ty też”, ale wiedziała, że oboje byli dla siebie uprzejmi. Wszyscy się zmieniają. Reacher, którego znała na pustyni, był młodszy i spalony słońcem, szybki i zwinny jak chart. Teraz był cięższy, a mięśnie miał twarde jak stary mahoń. Te blizny, które pamiętała, wygoiły się i zbladły, a zastąpiły je nowe. Miał zmarszczki na czole. Także wokół oczu. Jednak nos wciąż miał prosty, niezłamany. I wszystkie przednie zęby, jak trofea. Powiodła dłonią w dół

i dotknęła jego knykci. Były duże i twarde, pokryte stwardniałą tkanką jak orzechy. Wciąż wojownik, pomyślała. Wciąż obtłukuje sobie ręce, chroniąc nos i zęby. Przesunęła dłonie na jego pierś. Miał tam bliznę, na lewo od mostka. Rozerwane mięśnie zagoiły się, pozostawiając wgłębienie, w którym mieścił się czubek jej palca. Rana postrzałowa. Stara, ale dla niej nowa. Zapewne kula z trzydziestkiósemki.

— Nowy Jork — wyjaśnił Reacher. — Przed laty. Wszyscy pytają.

— Wszyscy?

— Wszyscy, którzy ją widzą.

Hutton przytuliła się do niego.

— Ilu ludzi ją widuje?

Uśmiechnął się.

— No wiesz, na plażach, w takich miejscach.

— A w łóżku?

— W szatniach — dodał.

— A w łóżku? — powtórzyła.

— Nie jestem mnichem — odparł.

— Bolało?

— Nie pamiętam. Trzy tygodnie byłem nieprzytomny.

— Tuż nad sercem.

— To był mały rewolwer. Pewnie słaby ładunek. Powinien był mierzyć w głowę. Tak byłoby lepiej.

— Dla niego. Nie dla ciebie.

— Jestem szczęściarzem. Byłem nim i będę.

— Może. Jednak powinieneś uważać.

— Staram się.

\*\*\*

Chenko i Vladimir wzięli północny koniec miasta. Trzymali się z daleka od motelu. Tym zajęła się już policja. Najpierw pojechali do baru sportowego. Weszli i sprawdzili lokal. W środku było mroczno i prawie pusto. Najwyżej trzydziestu gości. Żaden nie był podobny do faceta ze zdjęcia. Żaden nie był Reacherem. Vladimir został przy drzwiach, a Chenko sprawdził męską toaletę. Drzwi jednej kabiny były zamknięte. Chenko

zaczekał, aż facet spuści wodę i wyjdzie. To nie był Reacher. Po prostu jakiś facet. Chenko wrócił do Vladimira i razem wsiedli do samochodu. Zaczęli patrolować ulice, powoli, cierpliwie, objeżdżając każdy kwartał budynków i przystając na skrzyżowaniach, żeby popatrzeć na chodniki.

\*\*\*

Hutton podparła się na łokciu i spojrzała na twarz Reachera. Oczy miał takie same. Może trochę zapadnięte i o cięższych powiekach. Jednak wciąż były niebieskie i błyszczące jak kryształki lodu w arktycznym słońcu. Jak jednobarwne, bliźniacze jeziora polodowcowe, wysoko w górach. Tylko ich wyraz się zmienił. Czternaście lat temu były przekrwione i zamglone odrobiną gorzkiego cynizmu. Były oczami żołnierza. Żandarma. Pamiętała, jak leniwie omiatały pokój, jak śmiercionośne smugacze namierzające cel. Teraz były jaśniejsze. Młodsze. Bardziej niewinne. Był starszy o czternaście lat, lecz znów patrzył na świat oczami dziecka.

— Niedawno się ostrzygłeś — zauważyła.

— Dziś rano — powiedział. — Dla ciebie.

— Dla mnie?

— Wczoraj wyglądałem jak dzikus. Powiedzieli mi, że przyjedziesz. Nie chciałem, żebyś pomyślała, że jestem bezdomnym włóczęgą.

— A nie jesteś?

— Owszem. Pewnego rodzaju.

— Jakiego rodzaju?

— Dobrowolnym.

— Powinniśmy coś zjeść — powiedziała.

— Dobry plan.

— Na co masz ochotę?

— Na to samo co ty. Podzielimy się. Zamów duże porcje.

— Jeśli chcesz, możesz zamówić coś innego.

Odmownie pokręcił głową.

— Za miesiąc jakiś urzędnik z kwaterymistrzostwa sprawdzi twoje wydatki. Lepiej, jeśli zobaczy rachunek za jedno danie niż za dwa.



— Martwisz się o moją reputację?  
— Martwię się o twój następny awans.  
— Nie dostanę go. Skończę służbę jako generał brygady.  
— Nie teraz, kiedy ten Petersen jest ci winien przysługę.  
— Nie przeczę, że fajnie byłoby mieć dwie gwiazdki.  
— Też tak uważam — powiedział Reacher. — Mnóstwo takich dwugwiazdkowych nieźle mi dopieprzyło. Miło byłoby pomyśleć, że choć raz było odwrotnie.

Pokazała mu język.

— Co jemy? — spytał Reacher.

— Lubię sałatki.

— Ktoś musi.

— Ty nie lubisz?

— Weź sałatkę z kurczakiem, a do niej stek. Ty zjesz żarcie dla królików, a ja mięso. I jeszcze jakiś duży deser. Oraz dzbanek kawy.

— Wolę herbatę.

— Nie zgadzam się rzekł Reacher. — Na pewne kompromisy nigdy nie pójde. Nawet mimo wścibskiego kwatermistrza.

— Chce mi się pić.

— Przyniosą wodę z lodem. Zawsze przynoszą.

— Jestem wyższa stopniem.

— Zawsze byłaś. Widziałas, żebym kiedyś z tego powodu pił herbatę?

Pokręciła głową i wstała z łóżka. Naga podeszła do biurka. Sprawdziła menu i wybrała numer. Zamówiła sałatkę z kurczakiem, szesnastuncjowy stek, duże ciastko i lody. Oraz dzbanek z kawą. Reacher uśmiechnął się do niej.

— Mamy dwadzieścia minut — powiedziała. — Weźmy prysznic.

\*\*\*

Raskin wziął centrum miasta. Sprawdzał je na piechotę, z plakatem w ręku i listą w głowie: restauracje, bary, bistra, jadłodajnie, bufety, sklepy spożywcze, hotele. Zaczął od Metropole Palace. Hol, bar. Nic. Poszedł do chińskiej restauracji dwie przecznice dalej. Wszedł i wyszedł, szybko i dyskretnie.

Uważał, że jest bardzo dobry w tej robocie. Nie rzucał się w oczy. Był niepozorny. Przeciętnego wzrostu, średniej budowy ciała, o pospolitych rysach twarzy. Ludzie patrzyli przez niego jak przez powietrze, co czasami bywało irytujące, ale w pewnych sytuacjach stało się nieocenione. Nikt go nie dostrzegał. Nikt nie pamiętał.

Reachera nie było w chińskiej restauracji. Ani w sklepie spożywczym i irlandzkim pubie. Raskin wyszedł na ulicę i postanowił ruszyć na północ. Sprawdzi w biurze tej adwokat, a potem pójdzie do Marriotta. Ponieważ zdaniem Linsky'ego w hotelach można znaleźć najpiękniejsze kobiety. A Raskin wiedział z doświadczenia, że mężczyźni, którzy rzucają się w oczy, przestają z najładniejszymi kobietami.

\*\*\*

Reacher wyszedł spod prysznica, po czym skorzystał ze szczoteczki i pasty do zębów oraz grzebienia Hutton. Potem wytarł się ręcznikiem, przeszedł po pokoju i pozbierał swoje rzeczy. Ubrał się i pozapinał. Siedział ubrany na łóżku, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

— Obsługa hotelowa — zawołał nieznajomy głos.

Hutton wystawiła głowę z łazienki. Była ubrana, ale w trakcie suszenia włosów.

— Ty idź — powiedział Reacher.

— Ja?

— Musisz podpisać rachunek.

— Możesz zrobić to za mnie.

— Policja nie znajdzie mnie, więc wróci tu za dwie godziny. Lepiej, żeby facet na dole nie wiedział, że nie jesteś sama.

— Zawsze czujny, prawda?

— I dlatego szczęście mnie nie opuszcza.

Hutton przyglądała czuprynę i ruszyła do drzwi. Reacher usłyszał stukot kółek wózka, brzęk talerzy i skrobanie długopisu. Usłyszawszy stuknięcie zamykanych drzwi, wszedł do salonu, gdzie znalazł stolik na kółkach, ustawiony na środku. Kelner ustawił przy nim jedno krzesło.

— Jeden nóż — powiedziała Hutton. — Jeden widelec. Jedna łyżka. O tym nie pomyśleliśmy.

— Będziemy jedli na zmianę — rzekł Reacher. — Roman-tycznie.

— Pokroję ci stek i będziesz mógł jeść palcami.

— Mogłabyś mnie karmić. Powinniśmy zamówić wino-grona.

Uśmiechnęła się.

— Pamiętasz Jamesa Barra? — zapytał.

— Upłynęło zbyt wiele czasu — odpowiedziała. — Jednak wczoraj ponownie przeczytałam jego akta.

— Jak dobrym był snajperem?

— Nie najlepszym, jakiego mieliśmy, ale nie najgorszym.

— Jak też tak go zapamiętałem. Wczoraj poszedłem na parking obejrzeć teren. To była dobra snajperska robota. Naprawdę robiąca wrażenie. Nie pamiętam, żeby był aż taki dobry.

— Mają mnóstwo dowodów.

Skinął głową. Nic nie powiedział.

— Pewnie dużo ćwiczył — powiedziała. — W wojsku był pięć lat, ale minęło prawie trzy razy tyle, odkąd został zwol-niony. Może powoli się uczy.

— Może.

Spojrzała na niego.

— Nie zostajesz, prawda? Zamierzałeś wyjechać zaraz po kolacji. Z powodu tej historii z policją. Myślisz, że oni tu wrócą.

— Wrócą — rzekł Reacher. — To pewne.

— Nie muszę ich wpuszczać.

— W takim mieście policja robi, co chce. A gdyby mnie znaleźli, miałabyś kłopoty.

— Nie, jeśli jesteś niewinny.

— Tego w żaden sposób nie możesz wiedzieć. Tak by po-wiedzieli.

— To ja jestem prawnikiem — przypomniała mu.

— A ja byłem żandarmem — odparł Reacher. — Znam ich sposób myślenia. Nienawidzą zbiegów. Zbiegowie doprowa-

dzają ich do szafu. Aresztowaliby cię razem ze mną i wyjaśnili wszystko nie wcześniej niż za miesiąc. A do tego czasu twoją drugą gwiazdką diabli by wzięli.

— No to dokąd pójdziesz?

— Nie mam pojęcia. Coś wymyślę.

\*\*\*

Główne wejście do wieżowca z czarnego szkła było zamknięte. Raskin zapukał dwa razy. Strażnik w recepcji podniósł głowę. Raskin pomachał mu zwiniętym plakatem.

— Przesyłka — powiedział.

Strażnik wstał, podszedł do drzwi i otworzył je jednym z pęku kluczy. Raskin wszedł do środka.

— Rodin — powiedział. — Trzecie piętro.

Strażnik kiwnął głową. Tego dnia do biura Helen Rodin przyszło mnóstwo przesyłek. Pudła, kartony, całe wózki. Jeszcze jedna nie budziła podejrzeń. Ani zdziwienia. Bez słowa wrócił za swoje biurko, a Raskin poszedł do windy. Wsiadł i nacisnął guzik trzeciego piętra.

Od razu zobaczył policjanta stojącego przed drzwiami biura. Natychmiast zrozumiał, co to oznacza. Obecność policjanta świadczyła o tym, że biuro adwokackie pozostawało jedną z potencjalnych kryjówek. A więc i o tym, że Reachera nie było tutaj i nie pojawił się w ciągu kilku ostatnich godzin. Raskin rozejrzał się, jakby szukał drogi, po czym skręcił za najbliższy róg. Odczekał chwilę, a następnie wrócił do windy. Złożył plakat i schował go do kieszeni. W holu, z miną człowieka mającego poczucie spełnionego obowiązku, niedbale pomachał strażnikowi i wyszedł w noc. Skręcił w lewo i skierował się na północny wschód, do Marriotta.

\*\*\*

Reacher nie zdołał wypić całego dzbanka kawy. Poddał się po piątej filiżance. Hutton najwyraźniej nie miała mu tego za złe. Najwyraźniej jej zdaniem pięć na sześć możliwych usprawiedliwiała jego upór w kwestii wyboru kawy.

- Odwiedź mnie w Waszyngtonie — powiedziała.
- Odwiedzę — obiecał. — Na pewno. Jak tylko tam będę.
- Nie daj się złapać.
- Nie dam — powiedział. — Nie tym facetom.

Potem tylko przyglądał się jej przez chwilę. Zachowując wspomnienie. Dodając kolejny fragment do swojej mozaiki. Pocałował ją w usta i podszedł do drzwi. Wyszedł na korytarz i ruszył na schody. Na parterze poszedł w przeciwnym kierunku, niż znajdował się hol, i ponownie skorzystał z drzwi awaryjnych. Zamknęły się za nim, a on nabrał tchu, wyłonił się z cienia i ruszył chodnikiem.

\*\*\*

Raskin natychmiast go zauważył. Był trzydzieści jardów za nim i szedł szybko, dochodząc do Marriotta od tyłu. W świetle latarni dostrzegł błysk szkła. Otworzyły się drzwi awaryjne. Zobaczył wychodzącego z nich wysokiego mężczyznę. Facet zatrzymał się. Drzwi zaniknęły się automatycznie, a wysoki facet odwrócił się i rzucił na nie okiem, a wtedy błysk światła odbitego od szklanej tafli drzwi na moment oświetlił jego twarz. Tylko przez ułamek sekundy, jakby ktoś na moment oświetlił ją latarką. Jak w stroboskopowym błysku światła. Przez moment. To jednak wystarczyło, żeby Raskin nabrał pewności. Człowiek, który właśnie wyszedł, był mężczyzną z plakatu. Jack Reacher, na pewno, bez cienia wątpliwości. Zgadzał się wzrost, waga i rysy twarzy. Raskin długo i uważnie studiował rysopis.

Teraz przystanął i natychmiast cofnął się w cień. Patrzył i czekał. Zobaczył, jak Reacher rozgląda się na boki, a potem idzie przed siebie szybkim i swobodnym krokiem. Raskin pozostał w cieniu i w myślach policzył do trzech. Potem wyszedł z cienia, przeszedł przez parking, ponownie przystanął i ostrożnie wyjrzał zza narożnika budynku. Reacher był dwadzieścia jardów przed nim. Wciąż szedł swobodnym krokiem — nie zdając sobie sprawy, że jest śledzony — środkiem chodnika, długimi krokami, z luźno opuszczonymi rękami. Duży facet. Bez dwóch zdań. Na pewno równie duży jak Vladimir.

Raskin ponownie policzył do trzech, pozwalając Reacherowi oddalić się na czterdzieści jardów. Potem ruszył za nim. Nie spuszczać go z oczu, poszukał w kieszeni komórki. Wybrał numer telefonu Grigora Linsky'ego. Reacher szedł dalej, czterdzieści jardów przed nim. Raskin przyłożył aparat do ucha.

— Tak? — zgłosił się Linsky.

— Znalazłem go — szepnął Raskin.

— Gdzie?

— Idzie ulicą. Na zachód od Marriotta. Teraz jest trzy przecznice na północ od gmachu sądu.

— Dokąd idzie?

— Chwileczkę — szepnął Raskin. — Zaczekaj.

Reacher zatrzymał się na rogu. Zerknął w lewo i skręcił w prawo, w mrok zalegający pod estakadą autostrady. Wciąż był rozluźniony. Raskin obserwował go zza sięgającej mu do pasa sterty śmieci na pustej parceli.

— Skręcił na północ — szepnął.

— Dokąd?

— Nie wiem. Może do tego baru sportowego.

— W porządku — rzekł Linsky. — Pojedziemy na północ. Zaczekamy na ulicy, pięćdziesiąt jardów od tego baru. Zadzwoń do mnie dokładnie za trzy minuty. A tymczasem nie trać go z oczu.

— W porządku — powiedział Raskin. Wyłączył telefon, ale trzymał go przy uchu, przechodząc przez pustą parcelę. Przystanął pod ceglany murem i wyjrzał zza niego. Reacher nadal był czterdzieści jardów przed nim, wciąż szedł środkiem chodnika, lekko kotłując rękami, idąc żwawym krokiem. Pewny siebie, pomyślał Raskin. Może zbyt pewny siebie.

\*\*\*

Linsky skończył rozmowę z Raskinem i natychmiast zadzwonił do Chenki i Vladimira. Kazał im jak najszybciej stawić się na spotkanie pięćdziesiąt jardów na północ od baru sportowego. Potem zadzwonił do Zeka.

— Znaleźliśmy go — powiedział.  
— Gdzie?  
— Na północ od centrum.  
— Kto go śledzi?  
— Raskin. Idą ulicą. Zek milczał chwilę.  
— Zaczekajcie, aż się zatrzyma — rzekł. — A wtedy niech Chenko zawiadomi gliny. On ma najlepszy akcent. Niech powie, że jest barmanem, recepcjonistą albo kimś w tym rodzaju.

\*\*\*

Raskin zachowywał odległość czterdziestu jardów. Ponownie wybrał numer Linsky'ego i nie rozłączył się. Reacher szedł dalej, nie przyspieszając kroku. Miał ciemne ubranie, więc trudno było dostrzec go w mroku. Kark i dłonie miał opalone, ale trochę lepiej widoczne. I wąski pasek jaśniejszej skóry u nasady niedawno ostrzyżonych włosów. Raskin skupił wzrok na tym pasku. Biała litera U, sześć stóp na ziemią, lekko unosząca się i opadająca przy każdym kolejnym kroku. Idiota, pomyślał Raskin. Powinien był posmarować to pastą do butów. Tak byśmy zrobili w Afganistanie. A potem pomyślał: Gdybyśmy mieli tam pastę do butów. Albo fryzjera.

Potem przystanął, ponieważ Reacher się zatrzymał. Raskin skrył się w cieniu, a Reacher spojrział w prawo i skrzył w lewo, w boczną uliczkę, znikając za narożnikiem budynku.

— Znowu poszedł na zachód — szepnął do telefonu Raskin.

— Wciąż zmierza w kierunku baru sportowego? — zapytał Linsky.

— Albo motelu.

— Tak czy owak, nam to pasuje. Zbliź się trochę. Nie zgub go.

Raskin przebiegł dziesięć kroków i zwolnił. Przycisnął się do ściany budynku i ostrożnie wyjrzał zza węgła. Wytrzeszczył

oczy. Problem. Nie z dostrzeżeniem czegoś. Boczna uliczka była szeroka i prosta, oświetlona z drugiego końca jasnymi lampami czteropasmowej szosy, prowadzącej na północ, do autostrady. Tak więc widział wszystko jak na dłoni. Problem polegał na tym, że Reachera nie było w zasięgu wzroku. Znikł. Bez śladu.



Reacher czytał kiedyś, że karbowane podeszwy wynalazł jakiś żeglarz, szukający obuwia pozwalającego utrzymać równowagę na śliskim pokładzie. Facet wziął zwykłe tenisówki o gładkich podeszwach i zaczął robić brzytwą niewielkie nacięcia. W wyniku wielu eksperymentów doszedł do wniosku, że najlepsze są nacięcia poprzeczne, faliste i położone blisko siebie. Takie karbowanie działa jak miniaturowa opona. Powstała cała nowa gałąź przemysłu. Zaczęto używać takiego obuwia nie tylko na jachtach, przystaniach i w portach, ale podczas kąpieli i letnich spacerów. Teraz takie obuwie jest powszechnie używane. Reacher nie lubił go. Dla niego było za cienkie, zbyt lekkie i nietrwałe.

Jednak było ciche.

Zauważył tego faceta w skórzanym płaszczu, gdy tylko wyszedł z Marriotta. Trudno byłoby nie zauważyć. Odległość trzydziestu jardów, niewielki kąt, dobre światło padające z rozmieszczonych wszędzie jarzeniówek. Zerknął w lewo i zobaczył go całkiem wyraźnie. Zauważył reakcję. Tamten przystanął na widok Reachera, co zdradzało, że był jednym z jego wrogów. Reacher poszedł prosto przed siebie, odtwarzając w myślach obraz, który jeszcze miał przed oczami. Z jakim przeciwnikiem miał do czynienia? Reacher przymknął oczy i skupił się, stawiając trzy kroki na oślep.

Biały, średniego wzrostu, średniej budowy ciała, rumiana twarz i pomarańczowożółte włosy w blasku ulicznych lamp.

Policjant?

Nie. Świadczyła o tym kurtka. Niemodny krój, wypchane ramiona, dwurzędowa, ze skóry kasztanowego koloru. W dzień z pewnością była czerwonobrzowa. Lakierowana. Zdecydowanie błyszcząca. Nieamerykańska. Takich nie było nawet na wyprzedazach, na których można kupić skórzaną odzież po czterdzieści dziewięć dolarów. Z pewnością zagraniczna. Wschodnioeuropejska, tak jak garnitur tamtego kaleki z placu. Nie tania, po prostu inna. Rosyjska, bułgarska, estońska — gdzieś stamtąd.

Zatem to nie policjant.

Reacher maszerował dalej. Szedł cicho, wsłuchując się w odgłos kroków czterdzieści jardów za plecami. Krótsze kroki, grubsze podeszwy, skórzane, cichy chrzęst żwiru, stuk gumowych obcasów. To nie Charlie. Tego faceta nikt nie nazwałby małym. Niezbyt duży, ale na pewno nie niski. I nie miał ciemnych włosów. Ten mężczyzna nie zabił dziewczyny. Nie był wystarczająco duży. Tak więc trzeba dodać jeszcze jednego przeciwnika. Razem nie czterech, lecz pięciu. Co najmniej. Może więcej.

Plan?

Czy ten facet ma broń? Zapewne, ale tylko krótką. Nie trzymał nic w ręku. A Reacher był optymistą w kwestii swoich szans jako ruchomego celu dla faceta strzelającego z broni krótkiej z odległości stu dwudziestu stóp. Broń krótka nadaje się do strzelania w pomieszczeniach, a nie na ulicy. Przeciętny zasięg celnego strzału to około dwunastu stóp. Tu odległość była dziesięciokrotnie większa. Ponadto było tak cicho, że Reacher usłyszałby trzask bezpiecznika. Zdażyłby zareagować.

Co więc robić? Korciło go, żeby zawrócić i załatwić tego faceta. Tak dla zabawy. Demonstracja siły. Reacher lubił demonstracje siły. Zademonstruj swoją siłę, tak brzmiało jego credo. Pokaż, z kim mają do czynienia.

Może powinien.

A może nie. Przyjdzie na to czas.

Maszerował dalej. Szedł cicho, miarowo. Chciał, żeby śledzący go facet wpadł w ten rytm. Hipnotyzujący. Lewa, prawa, lewa, prawa. Oczyszczył umysł z wszystkich ubocznych myśli, skupiając je tylko na krokach za plecami, wydzielając je z tła, koncentrując się na nich. Były tam, ciche, lecz wyraźnie słyszalne. Chrup, chrup, chrup, chrup. Lewa, prawa, lewa, prawa. Hipnotyzujące. Dosłyszał cichy pisk telefonu komórkowego. Sekwencja szybko następujących po sobie elektronicznych pisków tak cichutkich, że niemal niesłyszalnych, przyniesionych przez wietrzyk.

Skręcił w prawo i szedł dalej. Lewa, prawa, lewa, prawa. Na ulicach było pusto. Po godzinach pracy śródmieście zamierało. Władze miasta miały jeszcze wiele do zrobienia, zanim zacznie tętnić życiem. To pewne. Szedł dalej. Słyszał cichy złowieszczy szmer kroków czterdzieści stóp za plecami. Pisk telefonu komórkowego. Z kim tam rozmawiasz, kolego? Szedł dalej. Na najbliższym rogu przystanął. Zerknął w prawo i skręcił w lewo, w szeroką i prostą boczną uliczkę, za osłoną czteropiętrowego budynku.

I pobiegł. Pięć kroków, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, szybko i cicho, przez ulicę na chodnik po drugiej stronie, minął pierwszą boczną uliczkę i skręcił w drugą. Przyczaił się w cieniu, w ciemnej bramie. Wyjście awaryjne, zapewne z jakiegoś teatru lub kina. Położył się na ziemi. Tamten na pewno już przyzwyczaił się do śledzenia idącego. Instynktownie będzie patrzył sześć stóp nad ziemią. Może nie zauważy leżącego.

Reacher czekał. Usłyszał kroki na chodniku po drugiej stronie ulicy. Facet widział, jak śledzony obiekt skręca za róg ulicy z chodnika po jej lewej stronie. Podświadomie będzie się koncentrował na tej, a nie tamtej stronie ulicy. Zacznie szukać nieruchomej postaci w zaułkach i bramach po lewej.

Reacher czekał. Kroki zbliżały się. Facet był już blisko. Nagle Reacher go zobaczył. Śledzący szedł chodnikiem po lewej stronie ulicy. Powoli. Wyglądał na niezdecydowanego. Zerknął przed siebie, na lewo i znów przed siebie. Trzymał przy uchu telefon komórkowy. Przystanął. Znieruchomiał. Spoj-

rzał przez prawe ramię na bramy i zaułki po drugiej stronie ulicy. Warto sprawdzić?

Tak.

Zaczął przesuwać się bokiem do tyłu, jak krab, twarzą do ulicy, kątem oka sprawdzając chodnik po prawej stronie. Jak na puszczonej wstecz filmie. Znikł z pola widzenia Reachera. Ten cicho wstał i przeszedł w głąb zaułka, w głęboki mrok na jego końcu. Znalazł grubą rurę kanału wentylacyjnego i schował się za nią. Przysiadł w kucki i czekał.

To było długie oczekiwanie. Potem znów usłyszał kroki. Na chodniku. W zaułku. Powolne, ciche, ostrożne. Facet szedł na palcach. Nie było słychać stukania obcasów. Tylko chrzęst żwiru pod skórzanymi podeszwami. Cichutki i odbijany jeszcze cichszym echem przez ściany zaułka. Facet był coraz bliżej. Całkiem blisko.

Dostatecznie blisko, by poczuć jego zapach.

Wody kolońskiej, potu, skóry. Zatrzymał się cztery stopy od kryjówki Reachera i bezradnie wpatrywał się w ciemność. Jeszcze krok i przejdziesz do historii, koleś. Jeszcze jeden krok i dla ciebie gra się zakończy.

Mężczyzna odwrócił się i poszedł w stronę ulicy.

Reacher wstał i podążył za nim, szybko i bezgłośnie. Role się zmieniły. Teraz ja idę za tobą. Czas zapolować na myśliwego.

\*\*\*

Reacher był większy niż przeciętny mężczyzna i pod pewnymi względami trochę niezdarny, ale w razie potrzeby potrafił poruszać się bezszelestnie i umiał śledzić podejrzanych. Była to umiejętność nabyta w trakcie długiej praktyki. Wymagająca przede wszystkim ostrożności i umiejętności przewidywania. Trzeba wyczuć, kiedy obiekt zwolni, przystanie, odwróci się, obejrzy. Jeśli tego nie potrafisz, musisz zachować maksymalną ostrożność. Lepiej ukryć się dziesięć jardów dalej, niż ryzykować wpadkę.

Facet w skórzanej kurtce przeszukał zaułki i bramy po obu stronach ulicy. Niezbyt dokładnie, ale wystarczająco. Zajrzaw-

szy wszędzie, ruszył dalej, popełniając ten sam błąd co wszyscy niezbyt dokładnie: uważając, że jeszcze nie skrewił i obiekt nadal jest przed nim. Dwukrotnie konsultował się przez telefon. Mówił cicho, a jego głos nie zdradzał wzburzenia. Reacher przemykał od jednej smugi cienia do drugiej, trzymając się daleko w tyle, ponieważ zbliżali się do jasnych lamp na końcu ulicy. Prowadzone przez faceta w skórzanej kurtce poszukiwania stały się coraz bardziej pobieżne. Widocznie stracił nadzieję i wpadł w panikę. Od następnego zakrętu dzieliło go jeszcze dwadzieścia stóp, gdy zatrzymał się i znieruchomiał.

Zrezygnował. Tak po prostu. Stojąc na środku chodnika, wysłuchał wiadomości przekazanej przez telefon, odpowiedział coś, a potem opuścił ręce i rozluźnił się. Nieco zgarbiony, poszedł przed siebie, żwawo i głośno, nie kryjąc się, jak człowiek nie myślący o niczym innym prócz tego, jak dostać się z punktu A do punktu B. Reacher zaczekał chwilę, aż nabrał pewności, że to nie podstęp. Potem ruszył za nim, bezszelestnie przemykając z cienia w cień.

\*\*\*

Raskin minął drzwi baru sportowego i poszedł ulicą. W oddali widział już samochód Linsky'ego. I Chenki. Oba cadillaki stały zaparkowane jeden za drugim przy krawężniku, czekając na niego i na raport o klęsce. No cóż, oto jestem, pomyślał.

Jednak Linsky nie miał mu za złe porażki. Głównie dlatego, że krytykowanie kogoś wyznaczonego przez Zeka byłoby krytykowaniem Zeka, a na to nikt by się nie odważył.

— Pewnie zabłądził — orzekł Linsky. — Może wcale nie chciał znaleźć się na tej ulicy. Pewnie nadłożył drogi bocznymi uliczkami. Albo zboczył gdzieś, żeby się odlać. Potrwało to chwilę, więc znalazł się za tobą.

— Sprawdziłeś, czy nie idzie za tobą? — spytał Vladimir.

— Oczywiście — skłamał Raskin.

— I co teraz? — zapytał Chenko.

— Zadzwońię do Zeka — odparł Linsky.

— Będzie strasznie wkurzony — zauważył Vladimir. — Prawie mieliśmy tego faceta.

Linsky zadzwonił ze swojej komórki. Przekazał złe wieści i wysłuchał odpowiedzi. Raskin obserwował jego minę. Jednak z twarzy Linsky'ego nigdy nie dało się niczego wyczytać. Umiejętność nabyta w drodze wieloletniej praktyki, z konieczności. Ponadto rozmowa była krótka. Odpowiedź Linsky'ego była zwięzła. Niezrozumiała. Nieartykułowane trzaski w słuchawce.

Linsky rozłączył się.

— Szukamy dalej — oznajmił. — W promieniu pół mili od miejsca, gdzie widział go Raskin. Zek przyśle nam Sokolova. Mówi, że w pięciu na pewno nam się uda.

— Niczego nie możemy być pewni — zauważył Chenko. — Oprócz bólu tyłka i bezsennej nocy.

Linsky podał mu telefon.

— No to zadzwoń do Zeka i powiedz mu to.

Chenko zamilkł.

— Weź północ, Chenko — powiedział mu Linsky. — Władimir, południe. Raskin, sprawdź jeszcze raz wschód. Ja wezmę zachód. Sokolov pójdzie tam, gdzie będzie potrzebny, kiedy tu dotrze.

\*\*\*

Raskin jak najszybciej poszedł z powrotem na wschód, tą samą drogą, którą przyszedł. Plan Zeka miał sens. Ostatnio widział Reachera zaledwie przed kwadransem, a idący ostrożnie uciekinier nie mógł przejść w tym czasie więcej niż pół mili. Tak więc elementarna logika wskazywała, że Reacher jest niedaleko. W tym kręgu o promieniu jednej mili. Już raz go znaleźli. Znajdą i drugi.

Wrócił aż do szerokiej i prostej ulicy prowadzącej do autostrady i skręcił na południe, w kierunku estakady. Wracał po swoich śladach. Przeszedł przez półmrok zalegający pod wiaduktem i skierował się ku pustej parceli na następnym rogu. Trzymał się blisko ściany. Skręcił.

I wtedy ściana runęła na niego.

A przynajmniej takie odniósł wrażenie. Otrzymał silny cios w tył głowy, aż zachwiał się i pociemniało mu w oczach. Potem

spadł na niego kolejny cios, po którym ugięły się pod nim kolana i upadł na twarz. Zanim stracił przytomność, poczuł jeszcze czyjąś rękę grzebiącą mu w kieszeni i wyjmującą telefon komórkowy.

\*\*\*

Trzymając w dłoni ciepły telefon, Reacher wrócił pod wia-  
dukt. Oparł się o betonowy filar szerokości pokoju motelowego.  
Stanął tak, że był skryty w cieniu, lecz jego ręce oświetlał  
blask pobliskiej lampy. Wyjął przedartą wizytówkę z numerami  
telefonów i zadzwonił do Emersona.

— Tak? — odezwał się Emerson.

— Zgadnij kto — powiedział Reacher.

— To nie jest gra, Reacher.

— Tylko dlatego, że ty przegrywasz.

Emerson nic nie powiedział.

— No i co, łatwo mnie znaleźć? — zapytał Reacher. Nie  
dostał odpowiedzi.

— Masz długopis i papier?

— Oczywiście.

— Zatem słuchaj — powiedział Reacher. — I rób notatki.  
Podał mu numery rejestracyjne obu cadillaków.

— Podejrzewam, że jeden z tych samochodów był przed piąt-  
kiem na parkingu, żeby zostawić styropianowy słupek. Powi-  
nieneś sprawdzić numery rejestracyjne, przejrzeć kasety, zadać  
kilka pytań. Znajdziesz zorganizowaną grupę liczącą co naj-  
mniej sześć osób. Słyszałem kilka nazwisk. Raskin i Sokolov  
są najwyraźniej niskiej rangi. Chenko i Vladimir. Ten ostatni  
wygląda na faceta, który mógł zabić dziewczynę. Jest wielki  
jak kamienica. Ponadto ich przywódca, którego nazwiska nie  
wymienili. Około sześćdziesiątki i chyba po operacji kręgo-  
śłupa. Rozmawiał ze swoim szefem, którego nazywał Zekiem.

— To rosyjskie nazwiska.

— Tak sądzisz?

— Oprócz Zeka. Co to za nazwisko?

— To nie nazwisko. Zek to określenie. Po prostu pseudonim.

— Co oznacza?

— Poczytaj sobie w podręcznikach historii, to się dowiesz. Cisza. Odgłos pisania.

— Powinieneś tu przyjść — powiedział Emerson. — Porozmawiać ze mną w cztery oczy.

— Jeszcze nie — odparł Reacher. — Rób, co do ciebie należy, a wtedy się nad tym zastanowię.

— Robię, co do mnie należy. Tropię zbiega. To ty zabiłeś tę dziewczynę. Nie jakiś facet, o którym gdzieś słyszałeś, wielki jak kamienica.

— Jeszcze jedno — powiedział Reacher. — Myślę, że facet o nazwisku Chenko to niejaki Charlie i przyjaciel Jamesa Barra.

— Dlaczego?

— Odpowiada rysopisowi. Niski szatyn z włosami sterzczącymi jak szczotka.

— James Barr miał przyjaciela Rosjanina? Nasze śledztwo tego nie wykazało.

— Jak powiedziałem, rób, co do ciebie należy.

— Wszyscy robimy. Nikt nie wspominał o rosyjskim przyjacielu.

— Mówi jak rodowity Amerykanin. Sądzę, że miał coś wspólnego z tym, co zdarzyło się w piątek, co oznacza, że cała szóstka może być w to zamieszana.

— W jaki sposób?

— Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć. Zadzwonię jutro.

— Jutro będziesz w więzieniu.

— Tak jak teraz? Śnij dalej, Emerson.

— Gdzie jesteś?

— Niedaleko — odparł Reacher. — Śpij dobrze, detektywie. Rozłączył się, schował wizytówkę Emersona z powrotem do kieszeni i wyjął serwetkę z numerem Helen Rodin. Zadzwoił do niej i schował się w mroku za filarem.

— Tak? — powiedziała Helen Rodin.

— Tu Reacher.

— Wszystko u ciebie w porządku? Pod moimi drzwiami stoi policjant.

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł Reacher. — On



też. Zapewne wyrabia nadgodziny i płacą mu czterdzieści dolarów za każdą.

— W wiadomościach o szóstej pokazali twoją twarz. To głośna historia.

— Nie martw się o mnie.

— Gdzie jesteś?

— Tu i tam. Robię postępy. Widziałem Charliego. Podałem Emersonowi numer rejestracyjny jego samochodu. A ty poczyniłaś jakieś postępy?

— Niezupełnie. Mam tylko pięć przypadkowych osób. Nie znajduję żadnego powodu, dla którego ktoś miałby kazać Jamesowi Barrowi zabić jedną z nich.

— Potrzebny ci Franklin. Potrzebna ci pomoc.

— Nie stać mnie na Franklina.

— Chcę, żebyś znalazła dla mnie pewien adres w Kentucky.

— W Kentucky?

— Strzelnicę, na której ćwiczył James Barr.

Reacher usłyszał, jak odłożyła telefon i zaczęła przekładać kartki. Potem znów podniosła słuchawkę i podała mu adres. Ten nic Reacherowi nie mówił. Numer drogi, nazwa miast, stanu, kod.

— Co Kentucky ma z tym wspólnego? — spytała Helen.

Reacher usłyszał nadjeżdżający samochód. Wóz jechał powoli, po lewej, miał grube opony. Reacher wyjrzał zza filaru. Policjny radiowóz z wyłączonymi światłami, patrolujący okolicę. W środku dwaj policjanci, wyciągający szyje, rozglądający się na boki.

— Muszę już iść — powiedział.

Wyłączył telefon i położył go na ziemi przy podstawie filaru. Emerson na pewno zidentyfikował już numer aparatu, którego położenie można zlokalizować za pomocą sygnału, jaki co piętnaście sekund wysyła do sieci, regularnie jak w zegarku. Dlatego Reacher zostawił aparat na ziemi i ruszył na zachód, czterdzieści stóp poniżej biegnącej górą szosy.

\*\*\*

Po dziesięciu minutach był naprzeciw wieżowca z czarnego szkła, w cieniu autostrady, twarzą do wjazdu. Przy krawężniku

stał zaparkowany pusty radiowóz. Wydawało się, że stoi tu już jakiś czas. Długo. Policjant pilnuje drzwi Helen, pomyślał Reacher. Przeszedł przez ulicę i zszedł po pochylni. Do podziemnego parkingu, gdzie beton był pomalowany na biało i co piętnaście stóp paliły się lampy fluorescencyjne. Wszędzie zalegały plamy światła i mroku. Reacher miał wrażenie, że wyszedł zza kulis i idzie przez szereg jasno oświetlonych scen. Strop był niski. Widział grube prostokątne słupy szkieletu konstrukcyjnego budynku. Szyb windy znajdował się na środku. Parking był zimny, cichy, o wymiarach czterdzieści jardów na mniej więcej sto dwadzieścia.

#### Czterdzieści jardów.

Tak jak dobudowana część parkingu przy First Street. Reacher cofnął się, aż dotknął plecami muru. Potem podszedł do przeciwległej ściany. Trzydzieści pięć kroków. Odwrócił się jak pływak wykonujący nawrót i wycofał się. Trzydzieści pięć kroków. Poszedł na ukos do odległego kąta. Tam zalegał mrok. Reacher przecisnął się między dwiema furgonetkami NBC i znalazł niebieskiego forda mustanga, który zapewne należał do Ann Yanni. Wóz był czysty i lśniący. Niedawno woskowany. Ze względu na składany dach miał małe szyby. Przednia była porysowana i przyciemniona.

Spróbował otworzyć drzwi po stronie pasażera. Zamknięte. Obszedł samochód od przodu i spróbował od strony kierowcy. Klamka się poruszyła. Otwarte. Rozejrzał się i otworzył drzwi.

Nie włączył się alarm.

Sięgnął ręką i nacisnął przycisk blokady. Z cichym szczękiem otworzyły się zamki obu drzwi i bagażnika. Zamknął drzwi po stronie kierowcy i podszedł do bagażnika. Na podłodze leżała zapasowa opona. W jej środek był wciśnięty podnośnik oraz rurka, która jednocześnie pełniła funkcję dźwigni i klucza nasadowego do kół. Reacher wyjął rurę i zamknął bagażnik. Otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł.

W samochodzie unosił się zapach perfum i kawy. Reacher otworzył schowek na rękawiczki i znalazł plik map drogowych oraz skórzane etui wielkości notesu. W etui był kwit ubezpieczenia oraz karta rejestracyjna, oba wystawione na panią

Janinę Lornę Ann Yanni, zamieszkałą w Indianie. Schował etui i zamknął schowek. Odnalazł dźwignię i jak najniżej opuścił swój fotel. Potem odchylił oparcie, najdalej jak mógł, czyli niewiele. Później przesunął cały fotel do tyłu, robiąc sobie miejsce dla nóg. Wyciągnął koszulę ze spodni, położył rurkę na nogach i wygodnie usiadł. Wyciągnął się. Spodziewał się, że będzie musiał czekać około trzech godzin. Próbował zasnąć. Śpij, kiedy możesz, głosiła stara żołnierska zasada.

\*\*\*

Emerson najpierw skontaktował się z przedsiębiorstwem telekomunikacyjnym. Upewnił się, że numer, który pojawił się na wyświetlaczu jego aparatu, to numer telefonu komórkowego. Należał do firmy figurującej w książce adresowej pod nazwą Specialized Services of Indiana. Emerson kazał początkującemu detektywowi skontaktować się z tą firmą, a także powiedzieć przedsiębiorstwu telekomunikacyjnemu, żeby zlokalizowali telefon. Te poczynania zostały uwieńczone połowicznym sukcesem. Pierwszy trop wiódł w ślepy zaułek, gdyż Specialized Services of Indiana należała do zagranicznego koncernu zarejestrowanego na Bermudach i nie miała w mieście swej siedziby. Jednak przedsiębiorstwo telekomunikacyjne zawiadomiło go, że telefon komórkowy zgłasza się z jednego miejsca i jednocześnie na trzech podstacjach, co oznaczało, że znajduje się w centrum i łatwo będzie go namierzyć.

\*\*\*

Rosemary Barr oczarowała strażnika departamentu więziennictwa na piątym piętrze szpitala i otrzymała zgodę na odwiedzenie brata po godzinach. Kiedy jednak dotarła do jego pokoju, zastała go pogrążonego we śnie. Tak więc jej wysiłki poszły na marne. Siedziała przy nim przez pół godziny, ale się nie ocknął. Obserwowała monitory. Serce biło mu mocno i regularnie. Oddychał głęboko. Wciąż był przykuty do łóżka i głowę miał w imadle, ale leżał zupełnie nieruchomo. Spojrzała na kartę choroby, chcąc się upewnić, że ma dobrą opiekę.

Zauważyła notatkę lekarza: możliwe wczesne stadium PA? Nie miała pojęcia, co to może oznaczać, a tak późno po południu nie mogła znaleźć nikogo, kto zechciałby jej to wytłumaczyć.

\*\*\*

Przedsiębiorstwo telekomunikacyjne ustaliło położenie telefonu na mapie śródmieścia i przesłało faksem wynik do Emersona. Ten wyrwał kartkę z maszyny i przez pięć minut usiłował znaleźć jakiś sens tej informacji. Spodziewał się zobaczyć trzy strzałki zbiegające się w hotelu, barze lub restauracji. Zamiast tego spotykały się na pustej parceli pod estakadą autostrady. Przez moment ujrzał oczyma duszy Reachera śpiącego w kartonowym pudle. Potem doszedł do wniosku, że poszukiwany porzucił telefon, co dziesięć minut później potwierdził wysłany tam na poszukiwanie patrol.

Tylko dla formalności włączył komputer i wprowadził numery rejestracyjne, które podał mu Reacher. Oba należały do cadillaców deville, czarnych i zarejestrowanych jako własność Specialized Services of Indiana. Napisał pod tą informacją ślepy zaulek i dołączył kartkę do akt.

\*\*\*

Reacher budził się za każdym razem, gdy słyszał odgłos silnika windy. Stalowe liny przenosiły ten warkot, a dudnienie kabin niosło się szybem. Pierwsze trzy razy były fałszywymi alarmami. To tylko jacyś anonimowi urzędnicy wracali do domu po ciężkim dniu pracy. Mniej więcej w czterdziestominutowych odstępach zjeżdżali na dół, wlekli się do swoich samochodów i odjeżdżali. Trzykrotnie w garażu robiło się cicho, smród zimnych spalin rozwiewał się, a Reacher znów zasypiał.

Za czwartym razem nie zasnął. Usłyszał pomruk ruszającej windy i spojrzął na zegarek. Jedenasta czterdzieści pięć. Czas na show. Zaczekał i usłyszał dźwięk otwierających się drzwi windy. Tym razem nie przyjechał nią tylko samotny facet w garniturze, lecz cały tłum. Osiem lub dziesięć osób. Hałasowali. Najwidoczniej cała ekipa wieczornych wiadomości NBC.

Reacher wcisnął się w fotel pasażera i schował metalową rurkę pod połą koszuli. Poczuł chłód metalu na brzuchu. Wbił wzrok w podsufitkę i czekał.

Jakiś grubas w obszernych dżinsach wyłonił się z mroku i znikł, pięć stóp od przedniego zderzaka mustanga. Miał postrzępioną siwą brodę i podkoszulek ze zdjęciem zespołu Grateful Dead pod wyciągniętym swetrem. Na pewno z obsługi technicznej. Może kamerzysta. Podeszedł do srebrzystego pick-upa i wsiadł. Po nim nadszedł facet w perłowszarym garniturze i z pomarańczowym makijażem. Miał mnóstwo włosów i białe zęby. Z całą pewnością nie technik, może od pogody, albo od sportu. Minał mustanga z drugiej strony i wsiadł do białego forda taurusa. Potem przeszły razem trzy kobiety, młode i niedbale ubrane, być może kierowniczką studia, planu i operatorką miksera wizji. Przecisnęły się między bagażnikiem mustanga a maską wozu transmisyjnego. Samochód zatrzęsł się, trzykrotnie potrącony. Później rozdzieliły się i poszły każda do swojego wozu.

Potem przeszły jeszcze trzy osoby.

I wreszcie Ann Yanni.

Reacher nie zauważył jej, dopóki nie chwyciła za klamkę drzwiczek. Przystanęła i zawołała coś do jednej z koleżanek. Otrzymała odpowiedź, powiedziała jeszcze coś, a potem otworzyła drzwi. Pochyliła się, usiadła w fotelu i zaczęła się obracać. Miała na sobie stare dżinsy i nową jedwabną bluzkę. Ta ostatnia wyglądała na drogą. Reacher odgadł, że Ann Yanni była na wizji, ale za biurkiem, widoczna od pasa w górę. Włosy miała sztywne od lakieru. Zatrzasnęła drzwiczki. Później spojrzała na prawo.

— Siedź cicho — powiedział Reacher. — Albo cię zastrzelę.

Wymownie poruszył schowaną pod koszulą rurką. Szeroka na pół cala, długa i prosta, wyglądała jak lufa. Ann Yanni patrzyła na nią wstrząśnięta. Z bliska wyglądała na szczuplejszą i starszą niż na ekranie telewizora. Wokół oczu miała zmarszczki, maskowane pudrem. Mimo to była bardzo ładna. Miała niewiarygodnie regularne rysy, wyraziste i zdecydowane, jak większość telewizyjnych osobowości. Jej bluzka miała idealnie

wyprasowany kołnierzyk, lecz trzy górne guziki były rozpięte. Elegancka, a jednocześnie seksowna.

— Trzymaj ręce tak, żebym mógł je widzieć — powiedział Reacher. — Na kolanach. — Nie chciał, żeby nacisnęła klakson. — Kluczyki na konsolę.

Nie chciał, żeby włączyła alarm. Te nowe fordys, którymi jeździł, miały czerwony przycisk na tablicy zdalnego sterowania. Domyślał się, że to guzik alarmu.

— Po prostu siedź spokojnie — rzekł. — Grzecznie i cicho. Wszystko będzie dobrze.

Wduśił przycisk po swojej stronie, zamykając drzwi.

— Wiem, kim jesteś — powiedziała.

— Też wiem, kim ty jesteś — odparł.

Nadal trzymał dłoń pod koszulą i czekał. Yanni siedziała nieruchomo, z rękami na kolanach, ciężko oddychała i bała się coraz bardziej, słysząc warkot zapuszczanych silników. Po parkingu snuł się siwy dym spalin. Jej koleżanki odjechały, jedna po drugiej. Nie oglądając się za siebie. Koniec długiego dnia.

— Siedź cicho — powtórzył Reacher — a nic ci się nie stanie.

Yanni zerknęła na boki. Zobaczył, że napięła mięśnie.

— Nie rób tego — ostrzegł Reacher. — Nic nie rób. Inaczej strzelę. W brzuch. Albo w udo. Wykrwawisz się w dwadzieścia minut. Będzie bardzo bolało.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Chcę, żebyś była cicho i nie ruszała się. Jeszcze parę minut.

Zacisnęła zęby, zamilkła i siedziała cicho. Odjechał ostatni samochód. Ten biały taurus. Facet z mnóstwem włosów. Od pogody albo sportu. Wykręcił z piskiem opon i z rykiem silnika pomknął po pochylni. Po chwili te dźwięki ucichły i na parkingu zapadła głucha cisza.

— Czego chcesz? — zapytała ponownie Yanni.

Miała drżący głos. Szeroko otwarte oczy. Trzęsała się. Myślała o gwałcie, morderstwie, torturach, ćwiartowaniu. Reacher włączył oświetlenie kabiny.

— Chcę, żebyś dostała nagrodę Pulitzera — powiedział.

— Co?

— Albo Emmy, czy co tam dostajecie.

— Co?

— Chcę, żebyś wysłuchała pewnej opowieści — rzekł.

— Jakiej opowieści?

— Patrz — powiedział Reacher.

Podniósł koszulę. Pokazał jej rurkę spoczywającą na jego brzuchu. Wytrzeszczyła oczy, gapiąc się na nią. Albo na bliznę po odłamku. Lub na jedno i drugie. Nie wiedział. Zważył rurkę w dłoni. Podniósł ją do światła.

— Z twojego bagażnika — wyjaśnił. — To nie broń. Wcisnął przycisk z boku, otwierając wszystkie drzwi.

— Możesz iść — powiedział. — Jeśli chcesz.

Złapała za klamkę.

— Jednak jeśli pójdziesz — ostrzegł Reacher — więcej mnie nie zobaczysz. Nie poznasz tej opowieści. Dostanie ją ktoś inny.

— Przez cały wieczór pokazywałem twoje zdjęcie — powiedziała. — A policja w całym mieście rozprowadza plakaty. Zabiłeś tę dziewczynę.

Reacher pokręcił głową.

— Prawdę mówiąc, nie zabiłem i to jest część opowieści.

— Jakiej opowieści? — powtórzyła.

— O piątkowych wydarzeniach — powiedział Reacher. — Było trochę inaczej, niż się wszystkim wydaje.

— Zaraz wysiądę z samochodu — powiedziała Yanni.

— Nie — odparł Reacher. — To ja wysiądę. Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Jednak potrzebuję twojej pomocy, a ty mojej. Dlatego wysiądę. Ty zamkniesz drzwi, uruchomisz silnik i z nogą na hamulcu uchylisz okno. Porozmawiamy przez szparę. Będziesz mogła odjechać w każdej chwili.

Nic nie powiedziała. Patrzyła wprost przed siebie, jakby w ten sposób mogła sprawić, żeby znikł. Otworzył drzwi po swojej stronie. Wsiadł, odwrócił się i ostrożnie położył rurkę na fotelu. Potem zamknął drzwi i spokojnie stał. Wetknął sobie

koszulę do spodni. Usłyszał stuk blokowanych drzwi. Włączyła silnik. Zapalone światła hamowania rzuciły czerwoną poświatę na beton. Zobaczył, jak wyciągnęła rękę i zgasiła światło w kabinie. Jej twarz skryła się w mroku. Usłyszał zgrzyt dźwigni zmiany biegów. Tylna światła błysnęły, gdy wrzuciła jedynkę. Potem światła hamowania zgasły, ryknął silnik i samochód pomknął naprzód, by zatoczyć szerokie koło na pustym parkingu. Zapiszczały opony. Karbowana guma na gładkim betonie. Pisk odbił się głośnym echem. Samochód skierował się w stronę wyjazdu i gwałtownie przyspieszył.

W następnej chwili jednak zahamował.

Mustang stanął przednimi kołami już na stromym wyjeździe. Reacher poszedł ku niemu, pochylając głowę, żeby zajrzeć do środka przez tylną szybę. Nie rozmawiała przez komórkę. Siedziała tam, patrząc przed siebie, trzymając dłonie na kierownicy. Światła hamowania płonęły czerwienią tak jaskrawą, że bolały oczy. Podwójna rura wydechowa dygotała. Wydobywał się z niej biały dym. Krople wody skapywały z niej, tworząc bliźniacze maleńkie kałuże.

Reacher podszedł do bocznych drzwi. Opuściła trochę szybę. Nachylił się, żeby widzieć jej twarz.

— Dlaczego potrzebuję twojej pomocy? — zapytała.

— Ponieważ piątkowy temat za szybko się skończył — odparł. — Możesz go jednak odświeżyć. Ma drugie dno. To istna bomba. Obsypią cię nagrodami. Dostaniesz lepszą pracę. CNN wydepcze ścieżkę do twoich drzwi.

— Uważasz, że jestem aż tak ambitna?

— Uważam, że jesteś dziennikarką.

— A co to ma oznaczać?

— To, że dziennikarze lubią opowieści. Lubią znać prawdę.

Milczała prawie przez minutę, patrząc przed siebie. Silnik cicho warczał, rozgrzewając się. Reacher czuł, jak maszyna rwie się naprzód, walcząc z hamulcami. Potem Ann Yanni zerknęła w dół, wyciągnęła rękę i przesunęła dźwignię biegów na jałowy. Mustang potoczył się odrobinę do tyłu i znieruchomiał. Reacher przesunął się bokiem, żeby być naprzeciwko okna. Yanni obróciła głowę i spojrzała na niego.



— Zatem opowiedz mi tę historię — rzekła. — Powiedz mi prawdę.

Opowiedział jej, siedząc na betonie i starając się wyglądać nieszkodliwie. Niczego nie pominął. Omówił wszystkie wydarzenia, fakty, teorie i domysły. Potem zamilkł i czekał na jej reakcję.

— Gdzie byłeś, kiedy została zabita ta dziewczyna? — zapytała.

— Spałem w motelu.

— Sam?

— Całą noc. Pokój numer osiem. Mam mocny sen.

— Nie masz alibi.

— Nigdy się go nie ma, kiedy jest potrzebne. To fundamentalne prawo przyrody.

Spoglądała na niego przez długą chwilę.

— Czego ode mnie chcesz? — spytała w końcu.

— Chcę, żebyś sprawdziła ofiary. Zastanowiła się.

— Moglibyśmy to zrobić — powiedziała. — Mamy do tego ludzi.

— Nie dość dobrych — rzekł Reacher. — Chcę, żebyś wynajęła niejakiego Franklina. Helen Rodin może powiedzieć ci o nim więcej. Jest w tym budynku, dwa piętra nad tobą.

— Dlaczego sama nie wynajęła tego Franklina?

— Ponieważ ją na to nie stać. Ciebie stać. Zakładam, że masz swój budżet. Tydzień pracy Franklina zapewne kosztuje mniej niż jedna fryzura waszego faceta od prognozy pogody.

— I co potem?

— Potem razem poskładamy to w całość.

— Jak duża jest ta historia?

— Rozmiaru Pulitzera. Albo Emmy. I nowej posady.

— Skąd wiesz? Nie jesteś z branży.

— Byłem w wojsku. Powiedziałbym, że to warte Brązowej Gwiazdy. To chyba odpowiednik Pulitzera. W każdym razie lepsze to niż nic.

— Sama nie wiem — odparła. — Powinnam cię wydać.

— Nie możesz — powiedział. — Wystarczy, że wyjmiesz

telefon, a wybiegnę z parkingu. Nie znajdą mnie. Próbowali przez cały dzień.

— Nie dbam o nagrody — powiedziała.

— No to zrób to dla zabawy — rzekł. — Dla zawodowej satysfakcji.

Odchylił się w bok i wyjął z kieszeni serwetkę z numerem telefonu Helen Rodin. Przytrzymał ją przy szparze okna. Yanni delikatnie wzięła od niego serwetkę, starając się nie dotknąć przy tym jego palców.

— Zadzwoń do Helen — powiedział Reacher. — Teraz. Wstawi się za mną.

Yanni wyjęła z torebki komórkę i włączyła ją. Patrzyła na wyświetlacz, czekając na załogowanie do sieci, a potem wybrała numer. Oddała Reacherowi serwetkę. Nasłuchiwała sygnału.

— Helen Rodin? — spytała.

Potem podniosła szybę i Reacher nie słyszał reszty rozmowy. Miał nadzieję, że naprawdę rozmawiała z Helen. Mogła patrzeć na serwetkę, a zadzwonić pod inny numer. Nie 911, ponieważ wystukała dziesięć cyfr. Mogła jednak zadzwonić do dyżurnego oficera. Jako reporterka mogła znać ten numer na pamięć.

Jednak na linii była Helen. Yanni znów opuściła szybę i przez szparę podała mu telefon.

— To prawda? — zapytała go Helen.

— Nie wiem, czy już podjęła decyzję — odparł Reacher. — Jednak to może się udać.

— Czy to dobry pomysł?

— Ona ma możliwości. Ponadto zainteresowanie mediów może nam się przydać.

— Oddaj jej słuchawkę.

Reacher przekazał telefon. Tym razem Yanni nie podniosła szyby, więc Reacher słyszał ostatnią część rozmowy. Z początku reporterka wydawała się sceptycznie nastawiona, później neutralna, a wreszcie przekonana. Umówiła się na spotkanie na trzecim piętrze, z samego rana. Potem się rozłączyła.

— Pod jej drzwiami stoi policjant — ostrzegł Reacher.

— Mówiła mi — powiedziała Yanni. — Jednak oni szukają ciebie, nie mnie.

— I co zamierzasz zrobić?

— Jeszcze nie zdecydowałam. Chyba najpierw powinnam zrozumieć, skąd ty się wzięłeś w tej sprawie. Najwyraźniej nie obchodzi cię los Jamesa Barra. Zatem robisz to dla jego siostry? Rosemary?

Reacher patrzył, jak mu się przygląda. Kobieta i dziennikarka.

— Częściowo ze względu na Rosemary — odparł.

— Częściowo?

— Głównym powodem jest ten zakulisowy manipulator. Siedzi tam sobie, myśląc, że jest taki sprytny. To mi się nie podoba. Nigdy nie lubiłem takich ludzi. Mam ochotę pokazać mu, że wcale nie jest taki sprytny.

— Traktujesz to jako wyzwanie?

— On kazał zabić tę dziewczynę, Yanni. Była tylko głupim, słodkim dzieciakiem, chcącym się trochę zabawić. Nie powinien był otwierać tych drzwi. Zasługuje, żeby coś z nich wyskoczyło i dopadło go. Oto co sądzę.

— Prawie jej nie znałeś.

— To nie czyni jej mniej niewinną.

— W porządku.

— Co w porządku?

— NBC zatrudni Franklina. Zobaczymy, co nam to da.

— Dzięki — rzekł Reacher. — Jestem zobowiązany.

— Powinieneś.

— Jeszcze raz przepraszam. Za to, że cię przestraszyłem.

— O mało nie umarłam ze strachu.

— Bardzo mi przykro.

— Jeszcze coś?

— Tak — odrzekł Reacher. — Muszę pożyczyć twój samochód.

— Mój samochód?

— Twój samochód.

— Po co?

— Żeby się w nim przespać, a potem pojechać do Kentucky.

— A co jest w Kentucky?

— Fragment układanki.  
Yanni pokręciła głową.  
— To szaleństwo.  
— Jestem ostrożnym kierowcą.  
— Pomagałabym zbiegłemu przestępcy.  
— Nie jestem przestępcą — sprostował Reacher. — Przestępca to ktoś skazany za przestępstwo po procesie sądowym. Tak więc nie jestem zbiegłym przestępcą. Nie zostałem aresztowany ani o nic oskarżony. Jestem podejrzany, to wszystko.  
— Nie mogę pożyczyć ci samochodu po tym, jak przez cały wieczór pokazywałeś swoją podobiznę.  
— Możesz powiedzieć, że mnie nie rozpoznałaś. To rysunek, nie zdjęcie. Może nie jest zbyt dokładny.  
— Masz inną fryzurę.  
— No widzisz. Dziś rano byłem u fryzjera.  
— Ale rozpoznałabym twoje nazwisko. Przecież nie pożyczę ci samochodu nieznanemu człowiekowi, gdybym przynajmniej nie znała jego nazwiska, prawda?  
— Może podałem ci fałszywe. Spotkałaś kogoś, kto miał inne nazwisko i był niepodobny do tego z rysunku, to wszystko.  
— Jakie nazwisko?  
— Joe Gordon — odparł Reacher.  
— Kto to taki?  
— W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku grał na drugiej bazie Yankees. Zajęli trzecie miejsce. Nie z winy Joego. Dobrze się spisywał. Rozegrał dokładnie tysiąc meczów, w których zdobył tysiąc punktów.  
— Dużo wiesz.  
— Jutro będę wiedział więcej, jeśli pożyczysz mi samochód.  
— A jak dziś wrócę do domu?  
— Zawiozę cię.  
— I dowiesz się, gdzie mieszkam.  
— Już to wiem. Sprawdziłem dowód rejestracyjny. Musiałem się upewnić, że to twój samochód.  
Yanni nic nie powiedziała.  
— Nie bój się — powiedział Reacher. — Gdybym chciał

cię skrzywdzić, już bym to zrobił, prawda? Jestem ostrożnym kierowcą — powtórzył. — Bezpiecznie dowiozę cię do domu.

— Wezwę taksówkę — powiedziała. — Tak będzie lepiej dla ciebie. Na ulicach jest pusto, a ten samochód rzuca się w oczy. Policja wie, że należy do mnie. Wciąż mnie zatrzymują. Twierdzą, że przekroczyłam dopuszczalną prędkość, ale tak naprawdę to chcę zdobyć autograf albo zajrzeć mi w dekolot.

Ponownie użyła telefonu komórkowego i kazała taksówkarzowi wjechać na parking. Potem wysiadła z samochodu, zostawiając włączony silnik.

— Zaparkuj w ciemnym kącie — poradziła. — Tam będziesz bezpieczniejszy, zanim zacznie się poranny ruch.

— Dzięki — odparł Reacher.

— Zrób to zaraz — nalegała. — Twoja twarz była w wiadomościach, które taksówkarz na pewno oglądał. Przynajmniej taką mam nadzieję. Potrzebna mi większa oglądalność.

— Dzięki — powtórzył Reacher.

Yanni odeszła i stanęła przy wyjeździe z parkingu, jakby czekała na autobus. Reacher zajął jej miejsce za kierownicą, wrzucił wsteczny i wycofał samochód w głąb parkingu. Potem wykręcił i zaparkował przodem do muru w odległym kącie. Zgasił silnik i patrzył w lusterko. Pięć minut później zielono-białe crow vic zjechał po pochylni i Ann Yanni usiadła z tyłu. Taksówka zawróciła, wyjechała na ulicę i na parkingu zapadła cisza.

\*\*\*

Reacher pozostał w mustangu Ann Yanni, ale nie na parkingu pod wieżowcem z czarnego szkła. Byłoby to zbyt ryzykowne. Gdyby Yanni zmieniła zdanie, stanowiłby nieruchomy cel. Mógł sobie wyobrazić, jak ze strachu lub pod wpływem wyrzutów sumienia sięga po telefon i dzwoni do Emersona. On właśnie smacznie sobie śpi w moim samochodzie, stojącym w kącie służbowego parkingu. Jest tam teraz. Dlatego trzy minuty po odjeździe taksówki ponownie zapuścił silnik, opuścił parking i pojechał na ten przy First Street. Tamten też był pusty. Wjechał na pierwsze piętro i zaparkował w tym samym miejscu co James Barr. Nie wrzucił pieniędzy do parkometru. Tylko

wyjął plik map Ann Yanni, zaplanował jutrzejszą trasę, a potem odsunął fotel, odchylił oparcie i zasnął.

\*\*\*

Obudził się po pięciu godzinach, przed świtem, i pojechał na południe, do Kentucky. Zanim wyjechał poza granicę miasta, widział trzy radiowozy. Jednak policjanci nie zwracali na niego uwagi. Byli zbyt zajęci polowaniem na Jacka Reachera, żeby tracić czas na nękanie urodziwej reporterki.

# 12

Świt nadszedł, gdy Reacher miał za sobą prawie godzinę jazdy. Niebo zmieniło kolor z czarnego przez szary do purpurowego, a potem zza horyzontu wyłoniło się pomarańczowe słońce. Zgasił światła. Nie chciał jeździć w dzień z zapalonymi światłami. Czysto instynktowne zachowanie, gdy na poboczach koczuje drogówka. Jazda na światłach w biały dzień sugeruje rozmaite rzeczy, na przykład pospieszną nocną ucieczkę przed kłopotami. Mustang był wystarczająco prowokacyjnym wozem. Głośny i agresywny, w dodatku jeden z najczęściej kradzionych modeli.

Jednak ci policjanci, których widział po drodze, nie ruszali się z pobocza. Jadąc z niebudzącą żadnych podejrzeń prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, nacisnął klawisz odtwarzacza płyt kompaktowych. Natychmiast z głośników popłynął utwór ze średniego okresu kariery Sheryl Crow, co wcale mu nie przeszkadzało. Nie wyłączył odtwarzacza. „Każdy dzień jest krętą drogą”, powiedziała mu Sheryl. Wiem, pomyślał. Nie musisz mi mówić.

\*\*\*

Przejechał przez rzekę Ohio po długim żelaznym moście, mając słońce nisko po lewej. Przez moment zmieniło leniwy nurt w strumień płynnego złota. Odbijające się od wody słońce rozjaśniło wnętrze samochodu. Kratownice mostu migają za

oknem niczym w świetle stroboskopowym. Rozpraszały uwagę. Zamknął jedno oko i mrużąc drugie, wjechał do Kentucky.

Lokalną drogą pojechał na południe, wypatrując rzeki Blackford. Według map Ann Yanni był to dopływ Ohio, płynący z południowego wschodu na północny zachód. W pobliżu źródeł tworzył niemal idealnie równoboczny trójkąt z dwiema trzymilowymi wiejskimi drogami. I według zdobytych przez Helen Rodin informacji ulubiona strzelnica Jamesa Barra znajdowała się gdzieś w tym trójkącie.

Okazało się, że strzelnica to cały ten trójkąt. Po przejechaniu trzech mil Reacher zobaczył po lewej stronie szosy płot z siatki, który pojawił się zaraz za mostem nad Blackford. Ogrodzenie ciągnęło się aż do następnego skrzyżowania i na co czwartym słupku miało tablice z napisem WSTĘP WZBRONIONY STRZELNICA. Potem skręcało pod kątem sześćdziesięciu stopni i biegło jeszcze trzy mile na północ i na wschód. Reacher pojechał wzdłuż płotu i w miejscu, gdzie znów spotykał się z Blackford, znalazł bramę, żwirowy parking oraz kilka niskich chat. Brama była zamknięta na kłódkę. Wisiała na niej ręcznie namalowana tabliczka: **Otwarte od 8.00 do zmroku.**

Spojrzał na zegarek. Był pół godziny za wcześnie. Po drugiej stronie szosy stał przydrożny bar z blachy aluminiowej. Podjechał tam i zaparkował mustanga przed wejściem. Był głodny. Stek zjedzony w Marriotcie wydawał się odległą przeszłością.

\*\*\*

Powoli zjadł obfite śniadanie przy stoliku pod oknem, obserwując, co się dzieje po drugiej stronie drogi. O ósmej stały tam już trzy pick-upy, czekające na otwarcie strzelnicy. Pięć po ósmej pojawił się facet w czarnym humwee, na migi przeprosił za spóźnienie i otworzył bramę. Odsunął się na bok i wpuścił klientów. Potem wsiadł z powrotem do swojego humwee i pojechał za nimi. Powtórzył tę samą pantomimę przy drzwiach największej chaty, a potem wszyscy czterej zniknęli w środku. Reacher zamówił następną filiżankę kawy. Postanowił dać facetowi czas na uporanie się z rannym nawałem klientów



i pójść tam później, kiedy będzie mógł rozmawiać. Ponadto kawa była dobra. Zbyt dobra, żeby poprzestać na jednej. Świeżo parzona, gorąca i bardzo mocna.

O ósmej dwadzieścia usłyszał pierwsze strzały. Głuche wibrujące dźwięki, pozbawione siły i wyrazistości przez odległość, wiatr oraz obwałowania. Oceniał, że strzelający znajdują się około dwustu jardów od baru i strzelają na zachód. Strzały padały w długich i równych odstępach — tak strzelają dobrzy strzelcy, celujący w środkowe kręgi tarczy. Potem usłyszał szereg cichszych puknięć z broni krótkiej. Przez chwilę nasłuchiwał tych znajomych dźwięków, a potem zostawił dwa dolary na stole i zapłacił dwunastodolarowy rachunek przy kasie. Wyszedł, wsiadł do mustanga, wyjechał z parkingu i skierował wóz prosto w otwartą bramę strzelnicy.

Zastał faceta z humvee w największej chacie, za sięgającym do pasa kontuarem. Z bliska wyglądał na starszego niż z daleka. Po pięćdziesiątce, przed sześćdziesiątką, rzadkie siwe włosy, zmarszczki, ale trzymał się prosto jakby kij połknął. Miał opalony byczy kark i oczy zdradzające, że był podoficerem piechoty morskiej, gdyby ktoś nie zauważył tatuaży na przedramionach i pamiątek na ścianie za jego plecami. Tatuaże były stare i wyblakłe, a na pamiątki składały się głównie proporczyki i naszywki. Jednak centralnym punktem tej wystawy była pożółkła papierowa tarcza, oprawiona w ramki i chroniona szybą. Pięć skupionych otworów po kulach kalibru .300 w środkowym kręgu i szósty nieco z boku.

— Pomóc w czymś? — zapytał facet.

Spoglądał przez ramię Reachera na stojącego przed chatą mustanga.

— Przybyłem, żeby rozwiązać wszystkie pańskie problemy — powiedział Reacher.

— Naprawdę?

— Nie, wcale nie. Chcę tylko zadać panu kilka pytań.

Facet zawahał się.

— O Jamesa Barra?

— Zgadł pan.

— Nie.

— Nie?

— Nie rozmawiam z reporterami.

— Nie jestem reporterem.

— Tam stoi wypasiony mustang z pięciolitrowym silnikiem. To nie jest policyjny wóz ani z wypożyczalni. Ponadto ma rejestrację z Indiany. Na przedniej szybie ma nalepkę NBC. Dlatego zgaduję, że jest pan reporterem chcącym wypichcić telewizyjny program o tym, jak James Barr korzystał z mojej strzelnicy, przygotowując się do zamachu.

— A tak było?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Jednak Barr był tutaj, prawda?

— Nie mam nic do powiedzenia — powtórzył facet.

Powiedział to bez gniewu. Zdecydowanie. Nie wrogo. Po prostu stanowczo. Nie miał nic do powiedzenia. I koniec. W chacie zrobiło się cicho. Było słycać tylko odgłos strzałów w oddali i cichy pomruk dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia. Może lodówka.

— Nie jestem reporterem — powtórzył Reacher. — Pożyczyłem ten samochód od reporterki, to wszystko. Żeby się tu dostać.

— To kim pan jest?

— Po prostu kimś, kto kiedyś znał Jamesa Barra. Chcę dowiedzieć się czegoś o jego przyjacielu, Charliem. Myślę, że to jego przyjaciel Charlie sprowadził go na złą drogę.

Facet nie zapytał: Jaki przyjaciel? Nie spytał: Kim jest Charlie? Tylko pokręcił głową i rzekł:

— Nie mogę panu pomóc.

Reacher przeniósł wzrok na oprawioną w ramki tarczę.

— To pana? — zapytał.

— Jak wszystko, co pan tu widzi.

— Z jakiej odległości?

— Dlaczego pan pyta?

— Ponieważ myślę, że jeśli z sześciuset jardów, to był pan dobry. Jeśli z ośmiuset, to bardzo dobry. A jeżeli z tysiąca, to niewiarygodnie dobry.

— Pan strzela? — spytał facet.

— Kiedyś strzelałem.

— W wojsku?

— Dawne czasy.

Mężczyzna odwrócił się i zdjął tarczę z gwoźdźcia. Delikatnie położył ją na ladzie i podsunął Reacherowi. Na samym dole widniał odręczny napis wyblakłym atramentem: *Zawody strzeleckie Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych w 1978. Dystans 1000 jardów. Sierżant Samuel Cash, trzecie miejsce.* Poniżej podpisy trzech sędziów.

— Sierżant Cash? — spytał Reacher.

— W stanie spoczynku — odparł facet.

— Ja też.

— Ale nie marines.

— Poznaje pan to po oczach?

— Bez trudu.

— Wojska lądowe — rzekł Reacher. — Mój ojciec był w piechocie morskiej.

— To czyni z pana półczłowieka.

Reacher powiódł palcem po szkle, nad otworami po kulach. Niezłe skupienie pięciu strzałów i szósty odrobinę z boku.

— Niezły wynik — pochwalił.

— Dzisiaj miałbym szczęście, gdyby udało mi się to z dwukrotnie bliższej odległości.

— Ja też — przyznał Reacher. — Czas leci.

— Chce pan powiedzieć, że kiedyś by pan potrafił?

Reacher nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, zwyciężył w zawodach strzeleckich Korpusu Piechoty Morskiej na tysiąc jardów dokładnie dziesięć lat po tym, jak Cash zajął trzecie miejsce. Umieścił wszystkie sześć kul w samym środku tarczy, wybijając postrzępiony otwór, który można by zakryć kciukiem. Po kolejnych pracowitych dwunastu miesiącach postawił Iśniący puchar na półce swojego biura. To był wyjątkowy rok. Był wówczas w szczytowej formie, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Wtedy nie mógł chybić. Jednak rok później nie bronił swojego tytułu, chociaż dowództwo żandarmerii bardzo tego chciało. Później, patrząc wstecz, zrozumiał, że ta decyzja zapoczątkowała dwa procesy: długie i powolne rozstanie z woj-

skiem oraz narastający niepokój. Początek nieustannego przenoszenia się z miejsca na miejsce i nieoglądania się za siebie. Niechęci do powtarzania czegokolwiek.

— Tysiąc jardów to spora odległość — powiedział sierżant Cash. — Prawdę mówiąc, od kiedy wyszedłem z wojska, nie spotkałem nikogo, kto z tej odległości potrafiłby choćby trafić w tarczę.

— Może udałoby mi się ją przedziurawić — rzekł Reacher.

Cash podniósł ramkę z lady, odwrócił się i odwiesił ją na miejsce. Wyprostował kciukiem prawej ręki.

— Nie mam tu strzelnicy na tysiąc jardów — powiedział. — Byłoby to marnowanie amunicji i klienci wpadaliby w kompleksy. Mam jednak niezłą na trzysta, która dziś rano nie jest używana. Może pan spróbować. Ktoś, kto mógłby trafić w tarczę z tysiąca, powinien dobrze sobie radzić na trzystu.

Reacher nic nie powiedział.

— Nie uważa pan? — dodał Cash.

— Tak sędzę — przyznał Reacher.

Cash otworzył szufladę i wyjął nową tarczę.

— Pana nazwisko?

— Bobby Richardson — odparł Reacher.

Robert Clinton Richardson, zdobył 301 punktów w 1959, 141 trafień w 134 meczach, ale Yankees i tak zajęli dopiero trzecie miejsce.

Cash wyjął z kieszonki koszuli flamaster i napisał na tarczy R. Richardson, 300 jardów oraz datę i godzinę.

— Trzyma pan dokumentację — zauważył Reacher.

— Z przyzwyczajenia — odparł Cash.

Potem w środkowym kręgu nakreślił X. Litera miała pół cała wysokości i — nakreślona nieco krzywo — mniej niż pół cała szerokości. Zostawił tarczę na ladzie i poszedł do sąsiedniego pomieszczenia, z którego dochodził pomruk lodówki. Wrócił minutę później, niosąc karabin. Był to remington M24 z lunetką Leupolda i dwunogiem. Standardowa broń strzelca wyborowego piechoty morskiej. Karabin wyglądał na używany, ale był w doskonałym stanie. Cash położył go na ladzie. Wyjął magazynek i pokazał Reacherowi, że jest pusty. Odciągnął

rygiel i pokazał pustą komorę. Odruch, rutyna, ostrożność, zawodowa kurtuazja.

—Mój — oznajmił. — Przestrzelany na trzysta jardów. Sam to zrobiłem.

—To mi wystarczy — powiedział Reacher.

I wystarczyło. Byłemu żołnierzowi piechoty morskiej, który w 1978 był trzecim strzelcem świata, w takich sprawach można było zaufać.

—Jeden strzał — powiedział Cash.

Wyjął z kieszeni jeden nabój. Pokazał go. Był to pocisk Winchester kalibru .300. Amunicja snajperska. Postawił go dokładnie na literze X. Pocisk zupełnie ją zakrył. Cash uśmiechnął się. Reacher odpowiedział uśmiechem. Rozumiał wyzwanie. Doskonale rozumiał. Trafisz w X, to porozmawiamy o Jamesie Barrze.

Dobrze przynajmniej, że nie muszę walczyć wręcz, pomyślał Reacher.

—Chodźmy — powiedział.

\*\*\*

Na zewnątrz wciąż nie wiał wiatr i nie było ani gorąco, ani zimno. Idealna pogoda na strzelanie. Żadnych zimnych lub ciepłych prądów wywołujących falowanie lub migotanie powietrza. Żadnych podmuchów. Cash niósł karabin i tarczę, a Reacher jeden nabój. Wsiedli razem do humvee i Cash uruchomił silnik, który zapalił z łoskotem typowym dla diesla.

—Nie lubi go pan? — przekrzyczał hałas Reacher.

—Niespecjalnie — odrzekł Cash. — Wolałbym jakiegos sedana. Jednak to kwestia image'u. Klienci to lubią.

Wokół ciągnęły się niskie pagórki, porośnięte trawą i karłowatymi drzewami. Ktoś użył spychacza, żeby wyryc w nich szerokie i proste rowy. Były rozmieszczone w kilkusetjardowych odstępach, długie na kilkaset jardów i równoległe do siebie. Każdy z tych rowów był strzelnicą na inny dystans. Każdy był oddzielony od innych naturalnymi wzniesieniami terenu i zamknięty wałami, usypanymi z ziemi przemieszczonej przez spychacz. Całość wyglądała jak nieukończony pole gol-

fove. Częściowo zielone, częściowo nagie, z widocznymi pasmami czerwonej ziemi. Pomalowane na biało kamienie i głązy wytyczały trasy dla pieszych i pojazdów.

— Ta ziemia od zawsze należała do mojej rodziny — powiedział Cash. — Strzelnica to był mój pomysł. Pomyślałem, że mogę zrobić to samo co zawodowi gracze w golfa lub tenisa. No wie pan, po przejściu na emeryturę przeważnie zostają instruktorami.

— I udało się panu? — zapytał Reacher.

— Niezupełnie — przyznał Cash. — Wprawdzie ludzie przyjeżdżają tu postrzelać, ale zmusić kogoś, żeby przyznał, że nie wie, co robi, to jak wyrywanie zębów.

Reacher zobaczył trzy pick-upy zaparkowane przy różnych stanowiskach. Faceci, którzy czekali na otwarcie strzelnicy, byli w trakcie porannych ćwiczeń. Wszyscy trzej leżeli na matach z włókien kokosowych, strzelając, ładując, celując i znowu strzelając.

— Da się wyżyć — odpowiedział Cash na pytanie, którego Reacher nie zadał.

Potem zjechał z głównej drogi i przejechał do końca trzy-stujardowej strzelnicy. Wsiadł, przyczepił papierową tarczę do ramy, wsiadł do samochodu, zawrócił i pojechał z powrotem. Zaparkował i zgasił silnik.

— Powodzenia — powiedział.

Reacher przez moment się nie ruszał. Był bardziej zdenerwowany, niż powinien. Zrobił głęboki wdech, przytrzymał powietrze w płucach i poczuł działanie kofeiny. Niemal niewyczuwalne drżenie. Cztery szybko wypite filiżanki mocnej kawy to kiepskie przygotowanie do celnego strzelania na daleki dystans.

Jednak to tylko trzysta jardów. Trzysta jardów, dobry karabin, sprzyjająca pogoda, brak wiatru. Wystarczy wycelować w sam środek celu i nacisnąć spust. Sam strzał nie był trudny. Problem stanowiło to, co było stawką. Chciał dorwać tego zakulisowego manipulatora bardziej, niż przed laty pragnął zdobyć puchar. O wiele bardziej. Nie wiedział dlaczego. Jednak w tym był cały problem.

Wypuścił powietrze. To tylko trzysta jardów. Nie sześćset. Nie osiemset. Nie tysiąc. Nic trudnego.

Wysiadł z humvee i wziął karabin z tylnego siedzenia. Niosąc go, przeszedł po gołej ziemi do maty z włókien kokosowych. Starannie umieścił karabin na rozstawionych nóżkach, umieszczonych jard za krańcem maty. Pochylił się i załadował broń. Potem stanął za karabinem, przykucnął, klęknął i położył się na macie. Przycisnął kolbę do ramienia. Obrócił głowę w lewo i w prawo, rozglądając się. Miał wrażenie, że jest sam na pustyni. Pochylił głowę. Zamknął lewe oko, a prawe przycisnął do lunetki. Lewą dłoń położył na lufie, przyciskając ją w dół i ciągnąc trochę do tyłu. Teraz miał trzy punkty podparcia. Dwunóg i swoje ramię. Dobra pozycja. Rozłożył nogi i obrócił stopy, tak żeby leżały płasko na macie. Odrobinkę podciągnął lewą nogę i wparł kant podeszwy buta w kokosowe włókna, tak by ciężar kończyny dawał jeszcze stabilniejszą pozycję. Rozluźnił mięśnie, przywierając do maty. Wiedział, że wygląda jak zastrzelony, a nie facet przygotowujący się do strzału.

Spojrzał przez lunetkę. Zobaczył bardzo jasny i wyraźny obraz. Odnalazł cel. Wydawało się, że wyciągnąwszy rękę, mógłby dotknąć tarczy. Umieścił krzyż celownika w miejscu, gdzie przecinały się dwie kreski litery X. Nacisnął spust, likwidując luz. Rozluźnił mięśnie. Zrobił wydech. Czuł bicie swego serca. Miał wrażenie, że tłucze mu się w piersi. Kofeina buzowała mu w żyłach. Krzyż celownika tańczył. Podskakiwał i drgał, w lewo i w prawo, w górę i w dół, zataczając maleńkie kręgi.

Reacher zamknął prawe oko. Kazał sercu zwolnić. Wypuścił powietrze z płuc i przez moment nie robił wdechu — sekundę, dwie. Potem znów wdech, wydech, wstrzymanie. Całą energię skierował w dół, w swój brzuch. Pozwolił ramionom opaść. I mięśniom zwiotczeć. Znieruchomiał. Ponownie otworzył oko i zobaczył nieruchomy krzyż celownika. Popatrzył na cel. Czuł go. Pragnął. Nacisnął spust. Poczł kopnięcie, usłyszał huk i podmuch wzbil z kokosowej maty chmurę kurzu, która zasłoniła mu widok. Podniósł głowę, odkaslnął i znów przycisnął oko do lunetki.

Dziesiątka.

Litera X znikła. Na jej miejscu ziała równiutka dziura wybita w samym środku, tak że widać było tylko cztery punkciki narysowane długopisem, po jednej na górze i na dole obu kresek. Reacher ponownie odkasznął, podniósł się i wstał. Cash zajął jego miejsce i sprawdził wynik przez lunetę.

— Dobry strzał — powiedział.

— Dobry karabin — rzekł Reacher.

Cash odciągnął rygiel i łuska wypadła na matę. Ukłękł, podniósł ją i schował do kieszeni. Potem wstał i niosąc karabin, poszedł w kierunku humvee.

— No i jak, zakwalifikowałem się? — zawołał za nim Reacher.

— Do czego?

— Do rozmowy. Cash odwrócił się.

— Myśli pan, że to był test?

— Mam nadzieję, że tak.

— Może wolałby pan nie usłyszeć tego, co mam do powiedzenia.

— Niech pan spróbuje — zachęcił Reacher. Cash kiwnął głową.

— Porozmawiamy w biurze.

Znów podjechali do ramy i Cash odpiął papierową tarczę. Potem zawrócili i pojechali w kierunku chat. Minęli facetów z pick-upów. Ci wciąż strzelali. Cash zaparkował wóz, weszli do środka i Cash schował tarczę Reachera do szuflady, pod R jak Richardson. Potem poruszył palcami, odnalazł B jak Barr i wyjął gruby plik papierów.

— Chce pan udowodnić, że pański stary kumpel tego nie zrobił? — zapytał.

— Nie był moim kumplem — odparł Reacher. — Kiedyś go znałem, to wszystko.

— I?

— I nie pamiętam, żeby był takim dobrym strzelcem.

— W telewizji mówili, że strzelał z bardzo bliskiej odległości.



- Do ruchomych celów i pod kątem.
- W wiadomościach mówili, że mają niezbite dowody.
- Mają — powiedział Reacher. — Widziałem je.
- Niech pan to obejrzy — powiedział Cash.

Rozłożył tarcze jak talie kart, na całej długości kontuaru. Potem wyrównał je do krawędzi, robiąc miejsce dla następnego rzędu. Ułożył go bezpośrednio pod pierwszym. W końcu leżały tam trzydzieści dwie tarcze, dwa długie rzędy koncentrycznych kręgów, wszystkie z podpisem J. Barr, 300 jardów oraz datami sięgającymi trzech lat wstecz.

- Patrz i płacz — powiedział Cash.

Na każdej tarczy było maksimum trafień.

Reacher obejrzał je, jedną po drugiej. Na każdej w środkowym kręgu widniały równiutkie otwory. Ciasno skupione, doskonałe wyniki. Trzydzieści dwie tarcze, dziesięć strzałów do każdej, trzysta dwadzieścia wystrzelonych pocisków, wszystkie idealnie w środek tarczy.

- To wszystkie jego tarcze? — zapytał Reacher.

Cash skinął głową.

- Jak pan powiedział, trzymam dokumentację.

— Jaka broń?

- Jego własny super match. Wspaniały karabin.

— Policja rozmawiała z panem?

— Niejaki Emerson. Zachował się bardzo przyzwoicie. Musiałem chronić swój tyłek, ponieważ Barr tutaj ćwiczył. Nie chciałem, żeby to zniszczyło moją reputację. Włożyłem wiele pracy w tę strzelnicę, a ta historia mogłaby okryć ją złą sławą.

Reacher jeszcze raz obejrzał tarcze. Przypomniał sobie, jak mówił Helen Rodin: „Oni nie zapominają”.

- A jego kolega Charlie? — zapytał.

— W porównaniu z nim był beznadziejny.

Cash zgarnął tarcze Jamesa Barra w stosik i schował je z powrotem w przegródce pod literą B. Potem otworzył inną szufladę, przesunął palcami do S i wyjął inny plik papierów.

— Charlie Smith — powiedział. — Z wyglądu również były żołnierz. Jednak w jego przypadku Wuj Sam gorzej za inwestował pieniądze.

Znów zaczął rozkładać tarcze na ladzie, układając je w dwa długie rzędy. Reacher naliczył trzydzieści dwie.

— Zawsze pojawiali się razem? — zapytał.

— Jak chleb z masłem — odparł Cash.

— Różne stanowiska?

— Różne planety — powiedział Cash.

Reacher pokiwał głową. Pod względem liczby uzyskanych punktów wyniki Charliego były gorsze od tych, które uzyskał James Barr. O wiele gorsze. Tarcze świadczyły o tym, że Charlie był bardzo słabym strzelcem. Na jednej były tylko cztery trafienia, wszystkie poza zewnętrznym kręgiem, po jednym w każdym rogu. Na wszystkich trzydziestu dwóch tarczach było łącznie tylko osiem otworów w środkowym kręgu. Jeden w samym środku tarczy. Może strzelającemu dopisało szczęście, wiatr albo rozgrzane powietrze. Siedem tuż przy czerni dziesiątek. Pozostałe kule Charlie rozsiewał po całej tarczy. Większość prawdopodobnie posyłał w powietrze. Procentowo największa liczba trafień przypadała na białe pole między dwoma zewnętrznymi kręgami. Kiepskie, bardzo kiepskie wyniki. Jednak położenie przestrzelin nie było zupełnie przypadkowe. Widać było pewną dziwną prawidłowość. Celował i chybiał. Może miał jakąś wadę wzroku.

— Co to za facet? — zapytał Reacher.

— Charlie? — upewnił się Cash. — Charlie to zagadka. Nie potrafiłem go rozgryźć. Gdyby był lepszym strzelcem, prawie bym się go bał.

— To niski facet, prawda?

— Mały. Ma dziwne włosy.

— Często z panem rozmawiał?

— Skądże. Byli po prostu dwoma facetami z Indiany, którzy przyjeżdżali tutaj, żeby sobie postrzelać. Mam tu wielu takich.

— Patrzył pan, jak strzelali?

Cash przecząco pokręcił głową.

— Nauczyłem się nikomu nie przyglądać. Ludzie odbierają to jako krytykę. Mogą przychodzić do mnie po radę, ale nikt nigdy tego nie robi.

— Barr tutaj kupował amunicję, prawda?

— Lake City. Droga.  
— Jego broń też nie była tania.  
— Był tego wart.  
— Jakiej broni używał Charlie?  
— Takiej samej. Bliźniaczo podobnej. W jego przypadku było to śmieszne. Jakby grubas kupił sobie rower wyścigowy z włókna węglowego.

— Ma pan tu osobne stanowiska dla broni krótkiej?  
— Jedno, w chacie. Ludzie korzystają z niego, kiedy pada. W pogodne dni pozwalam im strzelać na zewnątrz, na dowolnych stanowiskach. Nie lubię broni krótkiej. Nie ma w niej finezji.

Reacher skinął głową i Cash zgarnął tarcze Charliego na kupkę, pilnując, by były poukładane w chronologicznym porządku. Potem podniósł je i schował z powrotem w przegródce pod literą S.

— Smith to popularne nazwisko — rzekł Reacher. — Prawdę mówiąc, sądzę, że to najczęściej spotykane nazwisko w Ameryce.

— Było prawdziwe — powiedział Cash. — Zawsze sprawdzam prawo jazdy, zanim wydam komuś kartę członkowską.

— Skąd pochodził?

— Sądząc po akcencie? Gdzieś z północy.

— Mogę wziąć jedną z tarcz Jamesa Barra?

— A po cholere?

— Na pamiątkę — odparł Reacher.

Cash nic nie powiedział.

— Zachowam ją dla siebie — zapewnił Reacher. — Nie zamierzam sprzedać jej przez Internet.

Cash nadal milczał.

— Barr już tu nie wróci — dodał Reacher. — To pewne jak cholera. A jeśli naprawdę chce pan pilnować swojego tyłka, to powinien pan wyrzucić te tarcze.

Cash wzruszył ramionami i wrócił do szafki.

— Ostatnia będzie najlepsza — powiedział Reacher.

Cash przejrzał tarcze i wyjął jedną. Podał mu ją nad koniuarem. Reacher wziął ją, starannie złożył i schował do kieszonki koszuli.

— Powodzenia w tym, co pan robi dla kumpla — rzekł Cash.  
— On nie jest moim kumplem. Jednak dziękuję za pomoc.  
— Nie ma za co — odparł Cash. — Ponieważ wiem, kim pan jest. Rozpoznałem pana, kiedy zajął pan pozycję strzelecką. Tego nigdy nie zapominam. Zwyciężył pan na zawodach dziesięć lat po mnie. Oglądałem to z trybun. Pańskie prawdziwe nazwisko to Reacher. Reacher skinął głową.  
— To uprzejmie z pańskiej strony — dodał Cash — że nie wspomniał pan o tym, kiedy pochwaliłem się, że byłem trzeci.  
— Miał pan groźniejszych rywali — rzekł Reacher. — Dziesięć lat później łatwiej było zwyciężyć.

\*\*\*

Zatrzymał się na stacji benzynowej w Kentucky i zatankował samochód Yanni. Potem zadzwonił z budki do Helen Rodin.

— Ten policjant wciąż tam jest? — zapytał.  
— Dwóch — powiedziała. — Jeden w holu, drugi pod moimi drzwiami.  
— Czy Franklin już zaczął?  
— Od samego rana.  
— Jakies postępy?  
— Nic. To pięć przypadkowych osób.

— Gdzie znajduje się biuro Franklina?

Podawała mu adres.

Reacher spojrział na zegarek.

— Spotkamy się tam o czwartej.

— Jak było w Kentucky?

— Dziwnie.

\*\*\*

Wrócił do Ohio po tym samym żelaznym moście, słuchając, jak Sheryl Crow znowu powtarza mu, że każdy dzień jest krętą drogą. Podkreślił głośność i skręcił w lewo, na zachód. Według map Ann Yanni czterdzieści mil dalej znajdował się wjazd na autostradę. Tam mógł skręcić na północ i po paru godzinach przejechać przez całe miasto na wysokości czterdziestu stóp. Wydawało się to lepszym pomysłem niż jazda ulicami. Domyś-

łał się, że Emerson jest już okropnie sfrustrowany. I w miarę upływu czasu zacznie się wściekać. Reacher na jego miejscu zacząłby. Reacher był Emersonem przez trzynaście lat i w takiej sytuacji jak ta miałby ochotę skopać komuś tyłek, posłałby na ulicę wszystkich swoich ludzi, próbowałby wszystkiego.

Znalazł rozjazd i wjechał na autostradę, kierując się na północ. Wyłączył kompakt, kiedy ten zaczął odtwarzać płytę od początku, i skupił się na jeździe. Przy prędkości siedemdziesięciu mil na godzinę mustang sprawował się bardzo dobrze. Silnik mruczał, kipiąc mocą, jazda nie wymagała finezji. Reacher doszedł do wniosku, że gdyby mógł wpakować taki układ napędowy do jakiegoś obtłuczonego starego sedana, miałby samochód swoich marzeń.

\*\*\*

Bellantonio siedział w laboratorium już od siódmej rano. Zdjął odciski palców z telefonu znalezione pod estakadą i nie znalazł nic ciekawego. Potem sprawdził wykaz połączeń. Ostatnie było do Helen Rodin. Przed nim połączono się z telefonem komórkowym Emersona. Najwyraźniej obie rozmowy przeprowadził Reacher. Wcześniej było wiele połączeń z różnymi telefonami komórkowymi należącymi do Specialized Services of Indiana. Może wykonał je Reacher, a może nie. Trudno powiedzieć. Bellantonio skopiował ten wykaz, ale wiedział, że Emerson nic z nimi nie zrobi. Istotny był tylko telefon do Helen Rodin, ale Emerson nie mógł wypytywać obrońcy o treść rozmowy ze świadkiem, choćby nawet podejrzanym o przestępstwo. Byłaby to strata czasu.

Dlatego zajął się kasetami z parkingu. Miał je z czterech dni, dziewięćdziesiąt sześć godzin filmu, prawie trzy tysiące samochodów. Jego ludzie zidentyfikowali wszystkie. Tylko trzy z nich były cadillacami. W Indianie było tak samo jak w większości środkowych stanów. Ludzie przede wszystkim kupowali tu pick-upy, potem terenówki, coupe lub kabriolety. Typowe sedany stanowiły bardzo niewielki procent sprzedanych samochodów i przeważnie były to toyoty, hondy lub średniolitrażowe wozy rodzimej produkcji. Duże samochody osobowe spotykało

się niezmiernie rzadko, a ekskluzywnych marek jeszcze rzadziej.

Pierwszym zarejestrowanym na taśmie cadillakiem był czarny deville. Kamera uchwyciła go, jak wjeżdżał na parking tuż po szóstej rano w piątek. Czarny Piątek, jak nazywał go Bellantonio. O szóstej rano parking był niemal zupełnie pusty. Na filmie było widać, jak deville wjeżdża pochylnią na górę, szybko i pewnie. I wyjeżdża zaledwie po czterech minutach.

Dość czasu, żeby postawić styropianowy słupek.

Na obu migawkach nie było widać kierowcy. Tylko rozmazaną plamę za przednią szybą. Może był to Barr, a może nie. Bellantonio opisał to w raporcie dla Emersona. W myślach zanotował sobie, że powinien sprawdzić, czy czterominutowy postój to najkrótszy z zarejestrowanych na taśmie. Prawdopodobnie tak.

Następnie przejrzał wyniki przeszukania apartamentu Alexandry Dupree. Przydzielił to zadanie jednemu z młodszych asystentów, ponieważ nie było to miejsce zbrodni. Nie mogło tam być nic ciekawego. Zupełnie nic. Oprócz odcisków palców. W apartamencie znaleziono ich mnóstwo, jak w każdym mieszkaniu. Większość należała do dziewczyny, ale były też ślady czterech innych osób. Trzech nie udało się zidentyfikować.

Czwarty zestaw odcisków palców należał do Jamesa Barra.

James Barr był w mieszkaniu Alexandry Dupree. W salonie, w kuchni i w łazience. Nie było co do tego cienia wątpliwości. Wyraźne ślady, idealna zgodność. Pomyłka wykluczona.

Bellantonio sporządził o tym notatkę dla Emersona.

Potem przeczytał raport, który właśnie przesłał mu patolog. Alexandra Dupree zginęła w wyniku jednego silnego uderzenia w prawą skroń, zadanego przez leworęcznego napastnika. Upadła na żwir zawierający materiał organiczny, w tym trawę i ziemię. Jednak znaleziono ją w wybrukowanym zaułku. Tak więc jej ciało zostało przemieszczone po śmierci. Potwierdzały to również inne wyniki sekcji.

Bellantonio wziął nową kartkę papieru i napisał na niej dwa pytania do Emersona: Czy Reacher jest leworęczny? Czy dysponuje jakimś pojazdem?

\*\*\*

Zek przez cały ranek zastanawiał się, co zrobić z Raskinem, który zawiódł już trzy razy. Najpierw zgubił śledzonego, potem dał się zaskoczyć, a w końcu stracił telefon komórkowy. Zek nie lubił porażek. Bardzo ich nie lubił. Z początku myślał o tym, żeby zdjąć Raskina z ulicy i posadzić przed monitorami w pokoju na parterze. Tylko czy swoje bezpieczeństwo miał powierzyć takiemu nieudacznikowi?

Potem zadzwonił Linsky. Prowadzili poszukiwania od czterestu godzin i nie wpadli na ślad żołnierza.

— Teraz powinniśmy zająć się tą adwokat — powiedział Linsky. — W końcu bez niej nic nie może się zdarzyć. Ona jest najważniejsza. To ona wprawia wszystko w ruch.

— W ten sposób zwiększamy ryzyko — zauważył Zek.

— I tak jest duże.

— Może żołnierz wyniósł się z miasta.

— Może — zgodził się Linsky. — Jednak istotne jest to, co pozostawił. W głowie tej adwokat.

— Zastanowię się — odparł Zek. — Oddzwonię.

— Mamy dalej szukać?

— Zmęczony?

Linsky był wykończony i potwornie bolał go krzyż.

— Nie — skłamał. — Nie jestem zmęczony.

— No to szukaj dalej — powiedział Zek. — Tylko przyslij mi tu Raskina.

\*\*\*

Kiedy autostrada zaczęła piąć się na estakadę, Reacher zwolnił do pięćdziesięciu. Pozostał na środkowym pasie, mijając odchodzący w prawo zjazd za budynkiem biblioteki. Jeszcze przez dwie mile jechał na północ, po czym zjechał z autostrady na bezkolizyjnym rozjeździe nieopodal salonów samochodowych i sklepów z częściami. Pojechał lokalną drogą na wschód,

a później znów skręcił na północ, na wiejską drogę Jeba Olivera. Po minucie znajdował się już w spokojnej okolicy. Spryskiwacze obracały się powoli, a słońce zapalało tęcze w kropelkach wody.

Serce kraju. Kraina tajemnic.

Zatrzymał samochód przy skrzynce pocztowej Oliverów. Mustangiem w żaden sposób nie wjechałby na podjazd. Na nierównym terenie rozwaliliby podwozie. Zawieszenie, rurę wydechową, ośki, rozrząd i tak dalej. Ann Yanni nie byłaby zachwycona. Wysiadł więc i zostawił samochód na poboczu, niski, przyczajony, oślepiająco niebieski w słońcu. Poszedł podjazdem, czując każdy kamień przez cienkie podeszwy butów. Czerwony dodge Jeba Olivera nadal tam stał. Pokrywała go cienka warstwa brązowego pyłu, w której krople porannej rosy pozostawiły kręte kanaliki. W starym budynku panowała cisza. Stodoła była zamknięta na kłódkę.

Reacher minął frontowe drzwi. Przeszedł za budynek, na ganek z tyłu. Matka Jeba siedziała w fotelu. Była ubrana tak samo jak poprzednio, ale tym razem nie miała butelki. Tylko nieruchome spojrzenie oczu wielkich jak spodki. Jedną nogę podwinęła, a drugą kołysała fotelem — chyba dwukrotnie szybciej niż poprzednio.

— Cześć — powiedziała.

— Jeb jeszcze nie wrócił? — zapytał Reacher.

Tylko pokręciła głową. Reacher słyszał te same dźwięki co poprzednio. Syk spryskiwaczy, pisk fotela, skrzypienie desek ganku.

— Ma pani broń? — zapytał.

— Nie lubię broni.

— A telefon?

— Odłączony — powiedziała. — Nie płaciłam. I nie potrzebuję go. W razie potrzeby Jeb pożyczka mi komórkę.

— To dobrze — powiedział Reacher.

— A co w tym dobrego? Przecież Jeba tu nie ma.

— Właśnie dlatego to dobrze. Zamierzam włamać się do pani stodoły i nie chcę, żeby wezwała pani policję, kiedy będę to robił. Albo żeby zaczęła pani do mnie strzelać.



— To stodoła Jeba. Nie może pan tam wejść.

— Nie wiem, jak mogłaby mnie pani powstrzymać.

Odwrócił się plecami do niej i poszedł dalej podjazdem. Ten lekko skręcał, prowadząc prosto do podwójnych drzwi stodoły. Te drzwi, tak jak i reszta stodoły, były ze starych desek, na przemian przypiekanych i rozmiękczone przez letnie upały i zimowe słoty. Reacher opukał je i usłyszał głuchy dźwięk. Natomiast kłódka była fabrycznie nowa, z długim uchem. Ucho kłódki przechodziło przez dwie obejmy z czarnej stali, przyśrubowane do desek drzwi. Reacher dotknął kłódki. Potrząsnął nią. Gruba stal, rozgrzana od słońca. Solidne zamknięcie. Takiej kłódki nie da się łatwo przeciąć ani rozbić.

Jednak zamek jest tylko tak mocny jak to, do czego go przytwierdzono.

Reacher chwycił kłódkę. Pociągnął za nią, najpierw delikatnie, potem coraz silniej. Drzwi pochylały się ku niemu. Oparł się o nie dłonią i odepchnął od siebie. Przytrzymując je wyprostowaną lewą ręką, prawą szarpnął kłódkę. Śruby ustąpiły, ale tylko trochę. Reacher odgadł, że Jeb dał po drugiej stronie podkładki. Może szerokie. Niedające się łatwo wyrwać.

W porządku, więc nie będzie łatwo.

Złapał kłódkę oburącz i odchylił się do tyłu, jakby jechał na nartach wodnych. Pociągnął z całej siły, wbijając piętę w drewno pod kłódką. Nogi są dłuższe niż ręce, więc był zgięty w pół i kopniak nie miał odpowiedniej siły. Mimo to wystarczył. Stare deski trzasnęły i kłódka się poluzowała. Reacher zebrał siły i spróbował jeszcze raz. Jeszcze bardziej obluzował kłódkę. Nagle deska w lewej połowie drzwi pękła i dwie śruby wyszły. Reacher oparł się lewą ręką o drzwi, a palce prawej wepchnął w powstałą szczelinę. Nabrał tchu i szarpnął. Ostatnia śruba puściła, całe zamknięcie upadło na ziemię, a drzwi stodoły się otwały. Reacher cofnął się, otworzył je na oścież i wpuścił do środka słoneczny blask.

Spodziewał się, że zobaczy wytwórnice narkotyków: stoły laboratoryjne, łaźnie grzewcze, wagi, palniki gazowe oraz sterty woreczków do pakowania produktu. Lub całą ich stertę, przygotowaną do rozprowadzenia.

Niczego takiego nie zobaczył.

Jasne światło sączyło się przez długie pionowe szpary między deskami. Stodoła miała około czterdziestu stóp długości i dwudziestu szerokości. Była porządnie zamieciona. I zupełnie pusta, nie licząc używanego pick-upa, stojącego dokładnie na jej środku.

Był to chevrolet silverado, kilkuletni i jasnobrązowy jak wypalona glina. Samochód do pracy. Bez dodatkowego wyposażenia. Podstawowy model. Winyłowe siedzenia, stalowe felgi, zwykłe opony. Paka czysta, ale podrapana i powyginana. Brak tablic rejestracyjnych. Drzwi były zamknięte i nigdzie w pobliżu nie dostrzegł kluczyków.

— Co to?

Reacher odwrócił się i zobaczył stojącą za nim matkę Jeba Olivera. Przytrzymała się ręką drzwi, jakby nie chciała przekroczyć progu.

— To pick-up — odparł Reacher.

— Widzę.

— Należy do Jeba?

— Nigdy przedtem go nie widziałam.

— A czym jeździł, zanim kupił ten czerwony samochód?

— Nie tym.

Reacher podszedł do wozu i zajrzał przez szybę od strony kierowcy. Ręczna skrzynia biegów. Ziemia na dywanikach. Sporo mil na liczniku. Jednak żadnych śmieci. Ten samochód dobrze służył komuś, kto dobrze się nim opiekował.

— Nigdy go nie widziałam — powtórzyła kobieta.

Wyglądało na to, że samochód stał tu już od długiego czasu.

Powietrze zeszło z opon. Nie było zapachu oleju ani benzyny. Był zimny, nieruchomy, pokryty warstwą kurzu. Reacher uklęknął i zajrzał pod spód. Nic ciekawego. Podwozie pokryte zaschniętym błotem, porysowane przez kamienie i żwir.

— Od jak dawna tu stoi? — zapytał z ziemi.

— Nie wiem.

— Kiedy umocował kłódkę?

— Jakies dwa miesiące temu.

Reacher wstał.

— Co spodziewał się pan tu znaleźć? — spytała kobieta. Reacher odwrócił się twarzą do niej i spojrzał jej w oczy.

Miała powiększone źrenice.

— Więcej tego, co miała pani na śniadanie — odparł. Uśmiechnęła się.

— Myślał pan, że Jeb tutaj gotował?

— A nie?

— Przywozi to jego ojczym.

— Jest pani mężatką?

— Już nie. Mimo to przywozi.

— Jeb był na haju w poniedziałek wieczorem — rzekł Reacher.

Kobieta znów się uśmiechnęła.

— Matka dzieli się z dzieckiem. No nie? Od czego są matki? Reacher odwrócił się i ponownie spojrzał na pick-upa.

— Dlaczego trzymał stary wóz pod dachem, a nowy pod gołym niebem?

— Nie mam pojęcia — odparła kobieta. — Jeb zawsze wszystko robi po swojemu.

Reacher wyszedł ze stodoły i zamknął drzwi. Potem kciukami wepchnął śruby na miejsce. Pod ciężarem kłódki znów wysunęły się do połowy. Poprawił je najlepiej, jak mógł, a potem zostawił w spokoju i odszedł.

— Czy Jeb wróci? — zawałała za nim kobieta.

Reacher nie odpowiedział.

\*\*\*

Mustang stał przodem na północ, więc Reacher pojechał na północ. Głośno nastawił odtwarzacz kompaktowy i przez dziesięć minut jechał przed siebie w kierunku nieuchwytnego horyzontu.

\*\*\*

Raskin wykopał sobie grób koparką Caterpillar. Była to ta sama maszyna, która została użyta do niwelacji terenu wokół domu Zeka. Miała dwudziestocalową łyżkę z czterema stalowymi zębami. Łyżka powoli chwytała wielkie kęsy ziemi

i kładła ją na boku. Silnik warczał, raz głośniejsze, a raz ciszej, a sine obłoczki spalin unosiły się pod niebo Indiany.

Raskin urodził się pod rządami komunistów i wiele widział. Afganistan, Czeczenia, niespodziewany przewrót w Moskwie. Ktoś inny na jego miejscu już dawno by zginął i ten fakt w połączeniu z wrodzonym rosyjskim fatalizmem sprawiał, że zupełnie nie przejmował się swoim losem.

— Ukaz — powiedział Zek. Rozkaz niepodlegający dyskusji.

— Niczewo — odparł Raskin. Nie ma sprawy.

Sam obsługiwał koparkę. Wybrał miejsce, które dom zasłaniał przed oczami pracowników kruszalni. Wykopał równy dół, szeroki na dwadzieścia cali, mający sześć stóp długości i głębokości. Wydobytą ziemię sypał na prawo, od wschodu, jak barierę pomiędzy sobą a domem. Kiedy skończył, wycofał maszynę i zgasił silnik. Wyszedł z kabiny i czekał. Nie miał dokąd uciec. Zresztą ucieczka nie miała sensu. I tak by go znaleźli, a wtedy nawet nie miałby grobu. Zapakowaliby go do plastikowych worków, pięciu lub sześciu. Czarne plastikowe worki z różnymi częściami jego ciała zawiązałiby drutem. Obciążone cegłami, wrzuciliby do rzeki.

Widował już, jak to robili.

W oddali zobaczył wychodzącego z domu Zeka. Niski i krępy mężczyzna, stary i zgarbiony, idący różnym krokiem, świadczącym o energii i zdecydowaniu. Ostrożnie stawiał kroki po nierównym terenie, patrząc to pod nogi, to przed siebie. Pięćdziesiąt jardów, sto. Podeszedł do Raskina i przystanął. Wsunął okaleczoną dłoń do kieszeni i wyjął mały rewolwer, trzymając go za osłonę spustu kikutem wskazującego palca. Wyciągnął rękę i Raskin wziął od niego broń.

— Ukaz — powiedział Zek.

— Niczewo — powtórzył Raskin. Krótki, przyjazny, autoironiczny dźwięk, jak *de rien* po francusku, jak *de nada* po hiszpańsku, albo *prego* po włosku. Do usług.

— Dziękuję — powiedział Zek.

Raskin odszedł i stanął przy wąskim brzegu dołu. Odchylił bębenek i zobaczył jeden nabój. Zamknął bębenek i obrócił go, aż nabój znalazł się we właściwym miejscu. Wtedy od-

ciągnął kurek i włożył lufę do ust. Obrócił się, stając twarzą do Zeka, a plecami do dołu. Ostrożnie cofnął się, aż jego pięty znalazły się na samej krawędzi. Stał nieruchomo, sztywno wyprostowany, jak skoczek olimpijski, szykujący się do trudnego salta w tył z trampoliny.

Zamknął oczy.

Nacisnął spust.

W promieniu mili wrony, kracząc, wzbiły się w niebo. Krew zmieszana z kawałkami mózgu i kości zatoczyła w powietrzu idealną parabolę. Ciało Raskina wpadło do dołu. Wrony znów usiadły na ziemi i w ciszy słychać było pomruk pracujących w oddali kruszarek kamienia. Zek wgramolił się do kabiny koparki i zapuścił silnik. Wszystkie dźwignie były zakończone gałkami wielkości kul bilardowych, co bardzo ułatwiało manipulowanie nimi okaleczonymi rękami.

\*\*\*

Reacher zatrzymał się piętnaście mil na północ od miasta i zaparkował mustanga na wielkim zwirowym rozjeździe w kształcie litery V, w miejscu gdzie stykały się dwa sąsiednie kręgi pól. Te pola były wszędzie, na północy, południu, wschodzie i zachodzie, ciągnęły się w nieskończoność równymi szeregami. Na każdym stało urządzenie nawadniające. W powietrzu unosiła się mgiełka pary wodnej. Z bliska urządzenia nawadniające wyglądały jak wielkie buldożery. Albo jak statki kosmiczne, które właśnie wylądowały. Na środku każdego pola sterczała pionowo rura wodna niczym wysoki metalowy komin. Ramię spryskiwacza odchodziło od niej poziomo i tryskało wodą z niezliczonych otworów rozmieszczonych w równych odstępach na całej jego długości. Na samym końcu było wsparte na pionowej nodze, zakończonej kołem z gumową oponą. To koło było równie duże jak te, na których lądują samoloty. Toczyło się wyżłobioną koleiną, bez końca.

Reacher przyglądał się temu i czekał, aż koło najbliższego takiego urządzenia znajdzie się dostatecznie blisko. Wtedy podszedł i stanął przy nim. Zaczął iść obok koła. Siegało mu prawie do pasa. Ramię spryskiwacza znajdowało się wysoko

nad jego głową. Mając koło po prawej, Reacher towarzyszył mu w jego długiej wędrówce po okręgu. Szedł w wodnej mgiełce. Była zimna. Woda głośno syczała. Koło pokonywało drobne nierówności terenu. Była to powolna wędrówka. Ramię miało około stu pięćdziesięciu stóp długości, więc obwód koła miał ponad trzysta jardów. Średnica razy  $\pi$ . Powierzchnia to  $\pi$  razy promień do kwadratu, tak więc ponad siedem tysięcy osiemset jardów kwadratowych. Ponad półtora akra. Co oznaczało, że jałowe naroża stanowiły trochę mniej niż dwa tysiące dwieście jardów kwadratowych. Ponad pięćset jardów kwadratowych w każdym narożu. Jak naroża tarczy. Mustang stał zaparkowany na jednym z takich naroży i proporcjonalnie miał taką samą wielkość jak dziura po kuli.

Na jednej z tarcz Charliego, w samym rogu.

Reacher wrócił do punktu wyjścia trochę mokry i w ubłoconych butach. Wyszedł z kręgu i stanął nieruchomo na żwirze, twarzą na zachód. W oddali nagle stado wron wzbilo się w powietrze i znów opadło. Reacher wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Znalazł uchwyty oraz przełącznik na desce rozdzielczej, po czym opuścił dach. Spojrzał na zegarek. Miał dwie godziny do umówionego spotkania w biurze Franklina. Wyciągnął się na siedzeniu i pozwolił, by słońce wysuszyło mu ubranie. Wyjął z kieszeni złożoną tarczę i przyglądał się jej przez długą chwilę. Powąchał ją. Podniósł i popatrzył, jak słońce prześwieca przez równiutkie otwory. Potem znów schował tarcze do kieszeni. Spojrzał w górę i zobaczył tylko niebo. Zamknął oczy i zaczął rozmyślać o ego i motywie, złudzeniach i rzeczywistości, winie i niewinności oraz prawdziwej naturze przypadku.

# 13

Emerson przeczytał raport Bellantonia. Dowiedział się, że Reacher dzwonił do Helen Rodin. To go nie zdziwiło. Zapewne była to jedna z wielu takich rozmów. Prawnicy i nadgorliwcy, usilnie próbujący napisać historię na nowo. Też mi niespodzianka. Potem przeczytał dwa końcowe pytania Bellantonia: Czy Reacher jest leworęczny? Czy dysponuje jakimś pojazdem?

Odpowiedzi: Prawdopodobnie oraz prawdopodobnie. Mańkuci to nie rzadkość. Zbierz dwadzieścia osób, a cztery lub pięć z nich będą leworęczne. Teraz Reacher dysponował jakimś pojazdem, to pewne. Nie było go w mieście i nie odjechał autobusem. Tak więc miał jakiś pojazd, zapewne przez cały czas.

Potem Emerson przeczytał ostatnią stronę raportu: James Barr był w mieszkaniu Alexandry Dupree. A to co, do cholery?

\*\*\*

Według map Ann Yanni biuro Franklina znajdowało się w samym środku miasta, w labiryncie uliczek. Niezbyt dogodna lokalizacja. Na pewno nie. Roboty drogowe, początek godziny szczytu, ślimacze tempo jazdy ulicami. Reacher będzie musiał zaufać przyciemnionym szybom produkowanym przez Forda. To pewne.

Uruchomił silnik i postawił dach z powrotem. Potem odjechał, kierując się na południe. Po dwunastu minutach znowu przejechał obok domu Olivera, skręcił na zachód na lokalnej drodze, a potem znów na południe i czteropasmówką wrócił do miasta.

\*\*\*

Emerson ponownie przejrzał dostarczony przez Bellantonia wykaz rozmów z telefonu komórkowego. Reacher dzwonił do Helen Rodin. Na pewno w związku ze sprawą. Mieli o czym dyskutować. Przyjdzie do niej wcześniej czy później. Albo ona do niego. Podniósł słuchawkę. Powiedział do dyspozytora:

— Postawcie nieoznakowany wóz przed biurem Helen Rodin. Jeśli opuści budynek, niech ją śledzą.

\*\*\*

Reacher przejechał obok motelu. Skulił się na fotelu i zerknął w bok. Niczego niezwykłego. Ani śladu policjantów. Minął salon fryzjerski i sklep z bronią. Gdy zbliżał się do estakady, zaczęły się korki. Po chwili jechał z prędkością pieszego. Przechodniów idących chodnikiem po prawej miał w odległości stopy. Po lewej w takiej samej odległości miał kierowców samochodów wlokących się po sąsiednim pasie.

Postanowił oddalić się od chodnika. Włączył kierunkowskaz i wepchnął się na lewy pas. Kierowca z tyłu nie był szczęśliwy. Nie przejmuj się, pomyślał Reacher. Uczyłem się jeździć pojazdem o wadze dwóch i pół tony. Takim po prostu bym cię rozjechał.

Lewym pasem jechało się teraz trochę szybciej. Reacher powoli wyprzedzał samochody po prawej. Spojrzał przed siebie. Trzy wozy przed nim znajdował się radiowóz. Na prawym pasie. W oddali paliło się zielone światło. Samochody na lewym pasie powoli zbliżały się do skrzyżowania. Wozy po lewej zbliżały się jeszcze wolniej. Dotarłszy do białej linii, każdy samochód przystawał na moment, po czym przejeżdżał skrzy-



zowanie. Nikt nie chciał go zakorkować. Reacher był już dwa samochody za radiowozem. Zwolnił. Zirytowany facet za nim zatrąbił. Reacher wolno ruszył naprzód. Teraz znalazł się jeden samochód za radiowozem.

Zapaliło się pomarańczowe światło.

Samochód przez Reacherem przemknął przez skrzyżowanie.

Zapaliło się czerwone światło.

Policjant zatrzymał wóz na światłach, a Reacher ustawił mustanga obok radiowozu.

Oparł łokieć o konsolę i podparł dłonią brodę. Rozstawił palce, zasłaniając twarz. Patrzył prosto przed siebie, na wysięgnik i światła, pragnąc, by jak najszybciej się zmieniły.

\*\*\*

Helen Rodin zjechała windą dwa piętra i w recepcji NBC spotkała Ann Yanni. NBC płaciła honorarium Franklina, więc Yanni powinna wziąć udział w naradzie. Razem zjechały na parking i wsiadły do saturna Helen. Wyjechały na ulicę, w słoneczny blask. Helen spojrzała w prawo i skręciła w lewo. Nie zauważyła zaparkowanej dwadzieścia jardów za nią szarej impali, która ruszyła i pojechała za nimi.

\*\*\*

Czerwone światło paliło się okropnie długo. Potem zmieniło się na zielone, facet za Reacherem zatrąbił i policjant obrócił się, żeby popatrzeć. Reacher przejechał przez jego pole widzenia, nie rozglądając się. Zjechał na pas do skrzyżowania w lewo i radiowóz przemknął obok po prawej. Reacher patrzył, jak znów utknął kawałek dalej. Wołał uniknąć ponownego spotkania, więc skręcił w lewo. Znalazł się na tej ulicy, przy której był sklep spożywczy „Martha's”. Uliczka była zakorkowana wolno jadącymi pojazdami. Podniósł się na fotelu i wepchnął rękę do tylnej kieszeni spodni. Na wyczucie przesiewał monety. Znalazł ćwierćdolarówkę. Rozważał to w myślach przez dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści jardów.

Tak.

Zjechał na maleńki parking przed sklepem. Zostawił silnik na chodzie, wysiadł i podszedł do aparatu telefonicznego wiszącego na ścianie. Wepchnął ćwiartkę w otwór wrzutowy i wyjął przedartą wizytówkę Emersona. Wybrał numer posterunku policji i zadzwonił.

— W czym mogę pomóc? — spytał dyżurny.

— Policja? — zapytał Reacher.

— Proszę mówić.

Reacher powiedział szybko i niewyraźnie, rozgorączkowanym i ściszym głosem:

— Ten facet z plakatu? Tego, który wszystkim pokazujecie?

— Słucham pana.

— On tu jest, właśnie teraz.

— Gdzie?

— W moim zajezdzie, tym przy czteropasmowce na północy miasta, zaraz za składem opon. Jest teraz w środku, siedzi przy barze i je.

— Jest pan pewien, że to ten facet?

— Wygląda jak ten z plakatu.

— Ma jakiś samochód?

— Duży czerwony pick-up dodge.

— Jak się pan nazywa?

— Tony Lazzeri — powiedział Reacher.

Anthony Michael Lazzeri, zdobył 273 punkty w 118 występach na drugiej bazie w 1935 roku. Zajął drugie miejsce. Reacher doszedł do wniosku, że niebawem będzie musiał zmienić metodę. Yankees nie mieli aż tak wielu graczy z drugiej bazy i niemistrzowskich sezonów.

— Już jedziemy — powiedział dyżurny.

Reacher odwiesił słuchawkę i wsiadł do mustanga. Siedział nieruchomo, dopóki nie usłyszał syren na północy.

\*\*\*

Helen Rodin była w połowie Second Street, kiedy w lusterku wstecznym zauważyła jakieś zamieszanie. Jadący trzy wozy za nią szary sedan impala gwałtownie zmienił pas, zawrócił i pomknął z powrotem.

— Dupek — powiedziała.

Ann Gianni obróciła się na fotelu.

— Policyjny wóz — powiedziała. — Można rozpoznać po antenach.

\*\*\*

Reacher przyjechał na spotkanie z dziesięciominutowym opóźnieniem. Biuro Franklina mieściło się w piętrowym budynku z cegły. Parter wyglądał jak opuszczona hala fabryczna. Drzwi i okna były zasłonięte stalowymi żaluzjami. Jednak na piętrze w oknach były rolety i paliły się światła. Zewnętrzne schody prowadziły prosto do drzwi na piętrze. Na drzwiach była biała plastikowa tabliczka z napisem: **Biuro detektywistyczne Franklin**. Na dole były miejsca parkingowe, wąski pas asfaltu szerokości jednego i długości sześciu samochodów. Stał tam zielony saturn Helen Rodin, niebieska honda civic oraz czarny chevrolet suburban, tak długi, że jego przód wystawał dobrą stopę nad chodnik. Reacher odgadł, że chevrolet należy do Franklina. Honda zapewne była własnością Rosemary Barr.

Nie zwalniając, minął budynek i objechał cały kwartał. Nie zauważył niczego podejrzanego. Zaparkował mustanga obok saturna, wysiadł i zamknął wóz. Wbiegł po schodach i bez pukania otworzył drzwi. Znalazł się w krótkim korytarzu z kuchenką po prawej i łazienką po lewej stronie. Usłyszał głosy dobiegające z dużego pokoju na końcu. Poszedł tam i zastał Franklina za biurkiem, Helen Rodin i Rosemary Barr siedzące w fotelach i pogrążone w rozmowie oraz Ann Gianni patrzącą przez okno na swój samochód. Cała czwórka obróciła się do niego, kiedy wszedł.

— Znasz się na terminologii medycznej? — zapytała go Helen.

— Na przykład?

— PA — powiedziała. — Lekarz tak napisał. To jakiś skrót. Reacher spojrział na nią. Potem na Rosemary Barr.

— Niech zgadnę — rzekł. — W szpitalu wreszcie zdiagnozowali Jamesa Barra. Zapewne stwierdzili łagodny przypadek.

— Wczesne stadium — powiedziała Rosemary. — Cokolwiek to jest.

— Skąd wiedziałeś? — zapytała Helen.

— Intuicja — odparł Reacher.

— Na co jest chory?

— Później — powiedział Reacher. — Po kolei. — Zwrócił się do Franklina. — Powiedz mi, co wiadomo o ofiarach.

— Pięć przypadkowych osób — rzekł Franklin. — Zupełnie ze sobą niezwiązanych. Z pewnością niepowiązanych z Jamesem Barrem. Myślę, że miałeś rację. Nie zastrzelił ich z osobistych powodów.

— Przeciwnie, myliłem się — odparł Reacher. — Sęk w tym, że James Barr wcale ich nie zastrzelił.

\*\*\*

Grigor Linsky znów schował się w ciemnej bramie i wyjął telefon komórkowy.

— Miałem dobre przeczucie — powiedział.

— Mianowicie? — odparł Zek.

— Ponieważ policja pilnowała biura, doszedłem do wniosku, że żołnierz nie zdoła się z nią spotkać. Jednak najwyraźniej mieli jeszcze sprawy do omówienia. Dlatego pomyślałem, że to ona pojedzie do niego. Tak zrobiła. Śledziłem ją. Są teraz razem w biurze tego prywatnego detektywa. Siostra też. I ta kobieta z telewizji.

— Pozostali są z tobą?

— Obstawiliśmy cały kwartał. Od wschodu, zachodu, północy i południa.

— Czekajcie — powiedział Zek. — Oddzwonię.

\*\*\*

Helen Rodin powiedziała:

— Wyjaśnisz nam to?

— Mają niezbite dowody — przypomniał Franklin. Ann Yanni uśmiechnęła się. Bomba!

Rosemary Barr tylko wpatrywała się w Reachera.

— Kupiła pani bratu radio — powiedział do niej Reacher. —

Bose. Żeby mógł słuchać transmisji sportowych. Powiedział mi o tym. Kupowała mu pani coś jeszcze?

— Na przykład?

— Na przykład jakieś ubrania.

— Czasem.

— Spodnie?

— Czasem.

— Jaki rozmiar?

— Rozmiar?

— Jaki rozmiar spodni nosi pani brat?

— Trzydzieści cztery w pasie, długość nogawki trzydzieści cztery.

— Właśnie — rzekł Reacher. — Jest dość wysoki.

— W czym nam to pomoże? — spytała Helen.

— Czy wiesz coś o grach liczbowych? — zapytał ją Reacher. — O nielegalnych zakładach, loteriach państwowych, totolotku i tym podobnych rzeczach?

— Co z nimi?

— Co jest w nich najtrudniejsze?

— Wygrać — powiedziała Ann Yanni.

Reacher uśmiechnął się.

— Z punktu widzenia gracza na pewno. Jednak dla organizatora najtrudniejszy jest wybór naprawdę przypadkowych numerów. Ludziom trudno dokonać losowego wyboru. Dawniej wykorzystywano sprawozdania giełdowe w gazetach. Z góry wybierano na przykład drugą stronę kursów akcji, jej drugą kolumnę i ostatnie dwie cyfry z pierwszych sześciu podanych cen. Albo sześciu ostatnich lub środkowych, obojętnie. Ten sposób zapewniał prawie losowy wybór liczb. Teraz używa się skomplikowanych maszyn. Mimo to niektórzy matematycy dowodzą, że wyniki nie są czysto przypadkowe. Ponieważ te maszyny zostały skonstruowane przez ludzi.

— I w czym to może nam pomóc? — zapytała Helen.

— Tylko objaśniam tok mojego rozumowania — odparł Reacher. — Przez całe popołudnie siedziałem w samochodzie Ann Yanni, grzejąc się w słońcu i myśląc o tym, jak trudno uzyskać czysto losowy wybór.

—Twoje rozumowanie poszło w złym kierunku — powiedział Franklin. — James Barr zastrzelił pięć osób. Dowody są miażdżące.

—Byłeś policjantem — przypomniał Reacher. — Narażałeś się na niebezpieczeństwo. Zasadzki, obławę, różne stresujące sytuacje, chwile ogromnego napięcia. Co robiłeś zaraz potem?

Franklin zerknął na kobiety.

—Szedłem do łazienki — odparł.

—Zgadza się — rzekł Reacher. — Ja też. Jednak James Barr tego nie zrobił. Raport Bellantonia mówi o cementowym pyłe w całym jego domu: w garażu, kuchni, salonie, sypialni i piwnicy. Tylko nie w łazience. Tak więc wrócił do domu i wysikał się dopiero wtedy, kiedy wziął prysznic i zmienił ubranie? I jak mógł się wykapać, nie wchodząc do łazienki?

—Może zatrzymał się gdzieś w drodze do domu?

—Nie, jego po prostu tam nie było.

—Był tam, Reacher. Świadczą o tym dowody.

—Nie ma żadnego dowodu na to, że tam był.

—Oszalałeś?!

—Są dowody na to, że był tam jego samochód, jego buty, spodnie, płaszcz, karabin i amunicja, a także jego ćwierćdolarówka, ale nie ma żadnego dowodu na to, że on tam był.

—Ktoś się pod niego podszył? — zapytała Ann Yanni.

—I to bardzo starannie — powiedział Reacher. — Pojechał jego samochodem, w jego butach i płaszczu, z jego karabinem.

—Fantazjujesz — rzekł Franklin.

—To wyjaśnia kwestię płaszcza przeciwdeszczowego — ciągnął Reacher. — Długi i obszerny ciuch, który zasłania wszystko oprócz dżinsów. Z jakiego innego powodu ktoś włożył prochowiec w ciepły i pogodny dzień?

Kto...? — zaczęła Rosemary.

Patrzcie — powiedział Reacher. Stał spokojnie, ale teraz zrobił krok naprzód.

— Moje spodnie mają nogawki długości trzydziestu siedmiu cali — powiedział. — Przeszedłem dobudowaną część parkingu trzydziestoma pięcioma krokami. James Barr ma nogawki długości trzydziestu czterech cali, co oznacza, że powinien przejść tę odległość trzydziestoma ośmioma krokami. Tymczasem raport Bellantonia mówi o czterdziestu ośmiu krokach.

— Czyli o bardzo niskiej osobie — powiedziała Helen.

— Charlie — powiedziała Rosemary.

— Ja też tak pomyślałem — rzekł Reacher. — Jednak potem pojechałem do Kentucky. Początkowo chciałem potwierdzić coś innego. Zacząłem podejrzewać, że może James Barr nie był wystarczająco dobrym strzelcem. Widziałem miejsce zbrodni. To był strzelecki majstersztyk. A on czternaście lat temu był dobry, ale nie wspaniały. I kiedy zobaczyłem go w szpitalu, nie zauważyłem żadnych śladów na prawym ramieniu. Żeby strzelać tak dobrze, trzeba nieustannie ćwiczyć. A człowiek, który ćwiczy, siniaczy sobie ramię. Skóra w tym miejscu twardnieje. Nie u niego. Ktoś, kto kiedyś był przeciętny, z czasem może być tylko gorszy, szczególnie jeśli ćwiczy mało lub wcale. To logiczne, prawda? Może po tylu latach nie był w stanie tak strzelać. Może po prostu nie potrafił. Tak sobie pomyślałem. I dlatego pojechałem do Kentucky, żeby sprawdzić, jakim jest strzelcem.

— I jakim jest? — spytała Helen.

— Okazało się, że lepszym niż dawniej — odparł Reacher. — Znacznie lepszym. Spójrzcie na to. — Z kieszonki na piersi wyjął papierową tarczę i rozłożył ją. — To wynik ostatniego z trzydziestu dwóch strzelań w ciągu minionych dwóch lat. O wiele lepszy od tego, który uzyskał przed czternastoma laty, kiedy był w wojsku. To dziwne, prawda? Przez ostatnie dwa lata wystrzelał zaledwie trzysta dwadzieścia pocisków i jest taki dobry? A kiedy wystrzeliwał ponad dwa tysiące pocisków tygodniowo, był zaledwie przeciętny?

— Co to oznacza?

— Zawsze jechał tam z Charliem. Facet, który prowadzi tę strzelnicę to dawny mistrz strzelecki piechoty morskiej. I praw-

dziwy zawodowiec. Przechowuje wszystkie zużyte tarcze. Co oznacza, że Barr za każdym razem miał co najmniej dwóch świadków swoich dokonań.

— Ja chciałbym mieć świadków — zauważył Franklin.  
— Gdybym tak strzelał.

— Nie można stać się lepszym, nie ćwicząc — powiedział Reacher. — Myślę, że w rzeczywistości stał się znacznie gorszym strzelcem. I jego ego nie mogło tego znieść. Każdy snajper lubi rywalizację. Wiedział, że jest kiepski, i nie mógł tego znieść, więc chciał coś z tym zrobić. Postanowił to ukryć.

Franklin wskazał na tarczę.

— To mi nie wygląda na kiepski wynik.

— To oszustwo — odrzekł Reacher. — Dacie tę tarczę Bellantoniowi, a on tego dowiedzie.

— Oszustwo?

— Założę się, że dokonane za pomocą pistoletu. Kalibru dziewięć milimetrów, z niewielkiej odległości. Sądzę, że jeśli Bellantonio zmierzy otwory, stwierdzi, że są o czterdzieści sześć tysięcznych cala większe od tych, jakie zostawiają pociski kalibru.308. A jeśli zbada papier, znajdzie na nim resztki prochu. Ponieważ domyślam się, że James Barr podchodził do tarczy i strzelał z odległości cala, a nie trzystu jardów. Za każdym razem.

— Naciągane.

— Czysta metafizyka. Barr nigdy nie był aż tak dobry. Tak więc można założyć, że z czasem stał się gorszym strzelcem. Gdyby był tylko trochę gorszy, pogodziłby się z tym. Jednak najwyraźniej się nie pogodził, zatem możemy zakładać, że stał się o wiele gorszy. Tak słaby, że się tego wstydził. Może wcale nie mógł trafić w tarczę.

Nikt się nie odezwał.

— To wysoce prawdopodobna teoria — dodał Reacher. — Fałszowanie wyników ze wstydu dowodzi, że już nie umie celnie strzelać. A jeśli nie umie celnie strzelać, nie mógł zrobić tego, co stało się w piątek.

— To tylko domysły — zauważył Franklin.



Reacher skinął głową.

— Z początku tak. Jednak nie teraz. Teraz jestem już pewien. Wystrzeliłem jeden pocisk na tej strzelnicy. Właściciel zmusił mnie do tego, poddając swego rodzaju próbie. Byłem napompowany kofeiną i trzęsły mi się ręce. Wtedy zrozumiałem, że James Barr jest teraz znacznie gorszym strzelcem.

— Dlaczego? — zapytała Rosemary.

— Ponieważ ma chorobę Parkinsona — powiedział Reacher. — PA to *paralysis agitans*, *aparalysis agitans* to medyczna nazwa choroby Parkinsona. Obawiam się, że pani brat jest chory. Trzęsie się i drży. A jeśli ma się chorobę Parkinsona, w żaden sposób nie można celnie strzelić. Moim zdaniem on nie tylko tego nie zrobił, ale po prostu nie dałby rady tego zrobić.

Rosemary milczała. Dobra i zła wiadomość. Spojrzała w okno. Wbiła wzrok w podłogę. Była ubrana jak wdowa. Czarna jedwabna bluzka, czarna spódnica, czarne pończochy, czarne pantofelki na niskim obcasie.

— Może dlatego przez cały czas był zły — powiedziała. — Może czuł, że zachorował. Był bezradny i nie mógł nad tym zapanować. Jego ciało go zdradziło. Nienawidził tego uczucia. Jak każdy na jego miejscu.

Potem spojrzała na Reachera.

— Mówiłam, że jest niewinny — przypomniała.

— Najmocniej panią przepraszam — powiedział Reacher. — Miała pani rację. Zmienił się. Dotrzymał słowa. Zasługuje na pomoc. I przykro mi, że jest chory.

— Teraz musi mu pan pomóc. Obiecał pan.

— Pomagam mu. Od poniedziałku nie robię nic innego.

— To szaleństwo — rzekł Franklin.

— Nie, nic się nie zmieniło — odparł Reacher. — Ktoś wybrał Jamesa Barra na kozła ofiarnego. Tyle że zamiast zmusić go do zamachu, upozorowali jego udział. To jedyna różnica.

— Czy to możliwe? — spytała Ann Yanni.

— Dlaczego nie? Zastanów się nad tym. Przeanalizuj.

Ann Yanni zaczęła analizować. Powtarzała z namysłem, jak aktorka ucząca się tekstu.

— Wkłada ubranie Barra, jego buty i może wyjmuję monetę z dzbanka. Albo z kieszeni jakiegoś ubrania. Nosi rękawiczki, żeby nie zatrzeć śladów palców Barra. Już zabrał styropianowy słupek z jego garażu, zapewne dzień wcześniej. Z piwnicy bierze karabin. Ten jest już załadowany przez samego Barra, który zawsze tak robi. Jedzie do śródmieścia samochodem Barra. Zostawia wszystkie ślady. Brudzi się cementowym pyłem. Wraca do domu, odkłada wszystko na miejsce i znika. Pospiesznie, nawet nie korzystając z łazienki. James Barr wraca do domu trochę później i wpada w pułapkę, której istnienia nie podejrzewał.

— Właśnie tak to widzę — rzekł Reacher.

— A gdzie w tym czasie był Barr? — zapytała Helen.

— Poza domem.

— Dogodny zbieg okoliczności — zauważył Franklin.

— Nie sądzę — zaprzeczył Reacher. — Myślę, że zaaranżowali coś, żeby usunąć go z drogi. On pamięta, że gdzieś wychodził. I że był uradowany, jakby miało się zdarzyć coś miłego. Myślę, że podstawili mu kogoś. Zapewne przygotowali niby przypadkowe spotkanie, które rozwinęło się w bliższą znajomość. Myślę, że w piątek miał randkę.

— Z kim?

— Pewnie z tą rudą. Przecież napuścili ją na mnie. Może napuścili ją również na niego. W piątek był dobrze ubrany. W raporcie stwierdzono, że jego portfel znaleziono w eleganckich spodniach.

— Zatem kto naprawdę to zrobił? — spytała Helen.

— Ktoś zimny jak lód — odparł Reacher. — Ktoś, kto potem nawet nie musiał skorzystać z łazienki.

— Charlie — powiedziała Rosemary. — To on. Na pewno. Jest niski. Jest dziwny. Zna ten dom. Wiedział, gdzie wszystko leży. Pies go znał.

— I jest znakomitym strzelcem — dodał Reacher. — To drugi powód mojego wyjazdu do Kentucky. Chciałem sprawdzić tę teorię.

— Kto strzelał?

— Charlie — odparł Reacher. — Jego wyniki też były spreparowane. Tylko w inny sposób. W jego tarczach przestrelmy były wszędzie. Jednak wcale nie były rozmieszczone przypadkowo. Usiłował ukryć to, jak dobrym jest strzelcem. Celował w różne punkty tarczy i trafiał w nie za każdym razem, możecie mi wierzyć. Czasem dokuczała mu nuda i pakował jedną kulę w środek tarczy. Albo wybierał sobie któryś róg. Pewnego razu przestrelił wszystkie cztery rogi. Rzecz w tym, że nie jest ważne to, w co celujesz, bylebyś tylko w to trafił. Jedynie powszechnie przyjęty zwyczaj nakazuje nam celować w środek tarczy. Równie dobrze można ćwiczyć, celując w inne miejsce. Nawet niekoniecznie na tarczy, na przykład w drzewo. Właśnie to robił Charlie. Był wspaniałym strzelcem i wiele ćwiczył, ale udawał, że najczęściej chybia. Jednak jak już mówiłem, ludziom trudno uzyskać losowe wyniki. Zawsze można znaleźć jakąś prawidłowość.

— Dlaczego to robił? — spytała Helen.

— Żeby mieć alibi.

— Udawał, że nie umie strzelać?

Reacher skinął głową.

— Zauważył, że właściciel strzelnicy zachowuje zużyte tarcze. To zinnokrwisty zawodowiec, który planuje ze sporym wyprzedzeniem.

— Kto to taki? — zapytał Franklin.

— Nazywa się Chenko i jest jednym z kilku Rosjan. Zapewne były czerwonoarmista. I strzelec wyborowy. Ci są bardzo dobrzy. Zawsze byli.

— Jak się do niego dobierzemy?

— Poprzez ofiarę.

— Nic z tego. Wszystkie ofiary to ślepe uliczki. Będziesz musiał wymyślić coś lepszego.

— Jego szef nazywa się Zek.

— A cóż to za nazwisko?

— To słowo, a nie nazwisko. Ze starego rosyjskiego slangu. Zek to więzień obozu pracy. Syberyjskiego gułagu.

— Te obozy to już historia.

— Co czyni Zeka bardzo starym człowiekiem. I bardzo twardym człowiekiem. Zapewne nawet twardszym, niż możemy sobie wyobrazić.

\*\*\*

Zek był zmęczony obsługiwaniem koparki. Jednak przywykł do tego. Był zmęczony od sześćdziesięciu trzech lat. Zmęczony od tego dnia, kiedy do jego wioski przybył werbownik jesienią 1942 roku. Jego wioska znajdowała się daleko za Uralem, a werbownik był Rosjaninem z Moskwy, jakiego nikt tam wcześniej nie widział. Był energiczny, pewny siebie i władczy. Nie pozwalał na żadne spory. Na żadne dyskusje. Wszyscy mężczyźni w wieku od szesnastu do pięćdziesięciu lat mieli z nim pojechać.

Zek miał wtedy siedemnaście lat. W pierwszej chwili przeciono go, ponieważ siedział w więzieniu. Sypiał z żoną starszego mężczyzny i ciężko go pobił, gdy ten próbował się sprzeciwić. Pobity zażądał zwolnienia od poboru ze względu na swój stan zdrowia, a potem powiedział werbownikowi o napastniku siedzącym w więzieniu. Werbownik chciał zebrać jak najwięcej rekrutów, toteż Zeka wywleczono z celi i kazano mu stanąć w szeregu z innymi mieszkańcami wioski. Zrobił to chętnie. Zakładał, że będzie miał mnóstwo okazji, żeby zdezerterować.

Mylił się.

Podczas trwającej pięć tygodni podróży rekrutów trzymano zamkniętych najpierw w ciężarówce, a potem w pociągu. W jej trakcie zostali formalnie przyjęci w szeregi Armii Czerwonej. Dostali mundury z grubej wełny, szynele, walonki oraz książeczkę żołdu. Żołdu nie otrzymali. Ani broni. A także żadnego przeszkolenia, poza krótkim praniem mózgu na zaśnieżonej stacyjce, gdzie komisarz pokrzykiwał przez wielki metalowy megafon. W kółko powtarzał jedno krótkie zdanie, które Zek zapamiętał do końca życia: „Losy świata decydują się pod Stalingradem, gdzie będziecie do ostatniego walczyć za ojczyznę”.

Pięcioletniowa podróż zakończyła się na wschodnim brzegu Wołgi, gdzie rekrutów popędzono jak bydło do niewielkiej flotyli starych promów rzecznych i stateczków wycieczkowych. Pół mili dalej, na drugim brzegu, było piekło. Miasto, większe od wszystkiego, co Zek dotychczas widział w swoim życiu, leżało w ruinach, w pożodze i dymach. Rzeka gotowała się od wybuchów pocisków moździerzowych. Niebo było czarne od samolotów, które nurkowały, rzucając bomby i strzelając z broni maszynowej. Wszędzie leżały ciała i fragmenty ciał i wrzeszczeli ranni.

Zeka wpełchnięto na łódź z płóciennym daszkiem w kolorowe paski. Była zapchana żołnierzami. Nikt nie mógł się poruszyć. Nikt nie miał broni. Łódź odbiła od brzegu i samoloty opadły ją jak muchy gówno. Przeprawa trwała piętnaście minut i pod jej koniec Zek był śliski od krwi sąsiadów.

Wypchnięto go na wąski drewniany pomost, kazano stanąć w szeregu i biec w kierunku miasta. Po drodze był posterunek, gdzie odbył się drugi etap wojskowego szkolenia. Dwaj kwatermistrzowie rozdawali na przemian naładowane karabiny i zapasowe magazynki, raz po raz, bez chwili przerwy, w nieskończoność powtarzając słowa, które później Zek uznał za wiersz, pieśń lub hymn kompletnego i bezgranicznego szaleństwa:

Ten z karabinem strzela.

Ten bez idzie za nim.

Kiedy ten z karabinem ginie.

Ten za nim bierze broń i strzela.

Zek dostał zapasowy magazynek. Nie karabin. Popchnięty, ruszył za plecami poprzednika. Skręcił za róg. Minął gniazdo karabinu maszynowego Armii Czerwonej. W pierwszej chwili pomyślał, że linia frontu musi być blisko. Wtedy jednak komisarz z flagą i wielkim megafonem ryknął: „Nie ma odwrotu! Kto cofnie się o krok, zostanie zastrzelony!”. Zek bezradnie pobiegł dalej, minął następny róg i wpadł prosto pod grad niemieckich kul. Przystanął, zdążył zrobić półobrót i został trzykrotnie raniony w rękę oraz nogi. Zatoczył się, padł na gruzy ceglaneanego muru i po kilku minutach przykrył go stos ciał.

Ocknął się czterdzieści osiem godzin później w prowizorycznym szpitalu i po raz pierwszy zetknął się z sowieckim prawem wojennym: okrutnym, pompatycznym, przesiąkniętym ideologią, ale rządzącym się własnymi regułami. Wątpliwości budził półobrót, jaki wykonał na moment przedtem, zanim trafiły go kule: czy były to rany zadane przez wroga ojczyzny, czy podczas próby ucieczki? Ze względu na niemożność jednoznacznego rozstrzygnięcia tej kwestii nie stanął przed plutonem egzekucyjnym, tylko został wysłany do karnego batalionu. W ten sposób rozpoczął walkę o przetrwanie, trwającą już sześćdziesiąt trzy lata.

I zamierzał prowadzić ją dalej.

Wybrał numer Grigora Linsky'ego.

— Możemy założyć, że żołnierz mówi — powiedział. — Cokolwiek wie, teraz wiedzą to już oni wszyscy. Tak więc nadszedł czas, żeby się zabezpieczyć.

\*\*\*

— Właściwie nie posunęliśmy się naprzód — zauważył Franklin. — Prawda? Emerson nie kiwnie palcem, dopóki nie damy mu więcej, niż w tej chwili sami wiemy.

— Dlatego powinniśmy zająć się listą ofiar — powiedział Reacher.

— To może trwać wieki. Pięć osób, pięć życiorysów.

— Trzeba zawęzić krąg poszukiwań.

— Świetnie. Wspaniale. Tylko powiedz, na kim mam się skupić.

Reacher kiwnął głową. Przypomniał sobie relację Helen. Usłyszała jeden strzał, potem była króciutka przerwa i następne dwa. Potem kolejna przerwa, trochę dłuższa, lecz trwająca ułamek sekundy, i ostatnie trzy strzały. Zamknął oczy. W myślach zobaczył sporządzony przez Bellantonia Wykres nateżenia dźwięków zarejestrowanych przez pocztę głosową. Potem swoją pantomimę w półmroku nowej części parkingu; prawa ręka wyciągnięta jak do strzału i klik, klik-klik, klik-klik-klik.

— Nie pierwszy — mruknął. — Nie pierwszy z oddanych

strzałów. Ten nie daje całkowitej gwarancji trafienia. Tak więc pierwsza ofiara była zupełnie przypadkowa. Część zasłony dymnej. Tak samo jak ostatnie trzy. To *bach-bach-bach*. Celowo chybiony strzał i dwie kolejne przypadkowe osoby. Zadanie zostało wykonane wcześniej. Zatem druga lub trzecia z zastrzelonych osób. Albo obie.

Klik, klik-klik.

Reacher otworzył oczy.

— Trzecia — powiedział. — Wskazuje na to rytm. Pierwszy strzał, potem naprowadzający i najważniejszy. Cel. Potem przerwa. Spogląda przez lunetę. Upewnia się, że cel został trafiony. Został. Potem ostatnie trzy strzały.

— Kim była trzecia ofiara? — zapytała Helen.

— To kobieta — rzekł Franklin.

\*\*\*

Linsky zadzwonił do Chenki, potem do Vladimira i Sokolova. Wyjaśnił im zadanie i kazał zacieśnić krąg. Biuro Franklina nie miało tylnego wyjścia. Tylko te odsłonięte schody. Samochód stał przed budynkiem. Łatwizna.

\*\*\*

— Opowiedz mi o tej kobiecie — powiedział Reacher. Franklin przewracał kartki. Ułożył je w nowej kolejności.

— Nazywała się Oline Archer — powiedział. — Biała, kobieta, zamężna, bezdzietna, trzydziestosiedmioletnia, mieszkała na zachód stąd, na przedmieściu.

— Zatrudniona w budynku wydziału komunikacji — dodał Reacher. — Jeżeli to ona była celem zamachu, to Charlie musiał wiedzieć, gdzie ją znaleźć i kiedy wyjdzie z pracy.

Franklin skinął głową.

— Zatrudniona w wydziale komunikacji. Pracowała tam od półtora roku.

— A co dokładnie robiła?

— Była kierowniczką działu. Nie wiem, czym się zajmowała.

— A więc ten zamach miał związek z jej pracą? — spytała Ann Yanni.

— Za długa kolejka do okienka? — zakpił Franklin. — Kiepskie zdjęcie w prawie jazdy? Wątpię. Sprawdziłem ogólnokrajowe bazy danych. Urzędnicy wydziału komunikacji nie giną z rąk klientów. To po prostu się nie zdarza.

— A co z jej życiem osobistym? — spytała Helen Rodin.

— Nic mnie nie uderzyło — odparł Franklin. — Była zwyczajną kobietą. Jednak jeszcze poszukam. Poszperam w jej przeszłości. Tam musi coś być.

— Niech pan to zrobi szybko — powiedziała Rosemary. — Ze względu na mojego brata. Musimy go wyciągnąć.

— A do tego potrzebna nam diagnoza medyczna — zauważyła Ann Yanni. — Zwykłych lekarzy, nie psychiatrów.

— Czy NBC zapłaci? — zapytała Helen Rodin.

— Jeśli będą szanse, że to się uda.

— Powinno — wtrąciła Rosemary. — Chcę powiedzieć, że dlaczego nie? Parkinsonizm to konkretna choroba, prawda? Albo ją ma, albo nie.

— To mogłoby zadziałać w sądzie — zauważył Reacher. — Wiarygodny powód, że James Barr nie mógł tego zrobić, oraz wiarygodna teoria wskazująca na innego sprawcę. Zwykle to wystarcza, żeby wzbudzić uzasadnione wątpliwości.

— Wiarygodność to wielkie słowo — zauważył Franklin. — A uzasadniona wątpliwość to ryzykowna koncepcja obrony. Lepiej, żeby Alex Rodin wycofał zarzuty. Co oznacza, że najpierw należy przekonać Emersona.

— Nie mogę rozmawiać z żadnym z nich — oświadczył Reacher.

— Ja mogę — zgłosiła się Helen.

— Ja też — rzekł Franklin.

— Do licha, ja także — powiedziała Ann Yanni. — Wszyscy możemy oprócz ciebie.

— Może jednak nie będziecie chcieli — powiedział Reacher.

— Dlaczego? — zdziwiła się Helen.

— To wam się nie spodoba.

— Dlaczego? — powtórzyła.



— Pomyślcie — odparł Reacher. — Przypomnijcie sobie. Dlaczego zabili Sandy i próbowali mnie pobić w barze sportowym?

— Chcieli usunąć cię z drogi. Zapobiec rozgrzebywaniu sprawy.

— Właśnie. Dwie próby, ten sam cel, taki sam zamiar, ten sam sprawca.

— Najwyraźniej.

— Poniedziałkowe zajście zaczęło się od tego, że śledzono mnie od chwili, gdy opuściłem hotel. Sandy, Jeb Oliver i jego kolesie krążyli po mieście, czekając, aż ktoś zadzwoni i powie im, dokąd poszedłem. Tak więc w rzeczywistości wszystko zaczęło się od tego, że byłem śledzony już wtedy, kiedy szedłem do hotelu.

— Już to wałkowaliśmy.

— Tylko skąd zakulisowy manipulator znał moje nazwisko? Skąd w ogóle wiedział, że jestem w mieście? Skąd wiedział, że jestem facetem, który może sprawiać kłopoty?

— Ktoś mu powiedział.

— A kto o tym wiedział już w poniedziałek rano?

Helen zastanowiła się.

— Mój ojciec — powiedziała. — Od samego rana. Emerson zapewne też. Zaraz potem. Omawiali sprawę. Na pewno natychmiast skontaktowali się ze sobą, jeśli pojawiła się groźba podważenia dowodów.

— Właśnie — rzekł Reacher. — Zatem jeden z nich zadzwonił do zakulisowego manipulatora w poniedziałek, na długo przed porą lunchu.

Helen milczała.

— Chyba że jeden z nich jest tym zakulisowym manipulatorem — dodał Reacher.

— Jest nim Zek. Sam tak powiedziałeś.

— Powiedziałem, że on jest szefem Charliego. Tylko tyle. Nie wiemy, czy rzeczywiście siedzi na szczycie piramidy.

— Miałeś rację — powiedziała Helen. — Nie podoba mi się ten tok rozumowania.

— Ktoś skontaktował się z wykonawcami — rzekł Reacher. — To pewne. Albo twój ojciec, albo Emerson. Moje

nazwisko było im znane dwie godziny po tym, jak wysiadłem z autobusu. Tym samym jeden z tych dwóch jest sprzedajny, a drugi nam nie pomoże, ponieważ podoba mu się obecny stan rzeczy.

W pokoju zapadła cisza.

— Muszę wracać do pracy — przerwała ją Ann Yanni.

Nikt się nie odezwał.

— Zadzwońcie do mnie, jeśli wydarzy się coś nowego — poprosiła.

W pokoju wciąż panowała cisza. Reacher się nie odzywał. Ann Yanni przeszła przez pokój. Zatrzymała się przed nim.

— Kluczyki — zażądała. Sięgnął do kieszeni i wyjął je.

— Dzięki za pożyczenie — powiedział. — Fajny wóz.

\*\*\*

Linsky obserwował odjeżdżającego mustanga. Samochód pojechał na północ. Głośny silnik, słaby tłumik. Było go słychać kilka przecznic dalej. Potem na ulicy znów zrobiło się cicho i Linsky sięgnął po telefon.

— Ta kobieta z telewizji odjechała — zameldował.

— Prywatny detektyw zostanie w biurze — rzekł Zek.

— A jeśli pozostali wyjdą razem?

— Mam nadzieję, że nie.

— A jeżeli tak?

— Zgarnijcie wszystkich.

\*\*\*

— Czy jest na to jakieś lekarstwo? — zapytała Rosemary Barr. — Na chorobę Parkinsona?

— Nie — odparł Reacher. — Nie ma lekarstwa ani środków zapobiegawczych. Tylko leki łagodzące przebieg choroby. Pomaga fizjoterapia. I sen. Objawy ustępują, kiedy chory śpi.

— Może dlatego łykał tabletki nasenne. Żeby uciec przed chorobą.

— Nie powinien uciekać zbyt często. Kontakt z innymi ludźmi pomaga.

— Powinam pojechać do szpitala — doszła do wniosku Rosemary.

— Wyjaśnij mi sytuację — zaproponował Reacher. — Powiedz, co naprawdę zdarzyło się w piątek.

Rosemary skinęła głową. Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi. Minutę później Reacher usłyszał, jak jej samochód odjeżdża.

\*\*\*

Franklin wyszedł do kuchni zaparzyć kawę. Reacher i Helen Rodin zostali w biurze sami. Reacher usiadł na krześle, na którym siedziała Rosemary Barr. Helen podeszła do okna i spojrzała na ulicę. Stała plecami do pokoju. Była ubrana tak samo jak Rosemary Barr. Czarna bluzka, czarna spódnica, półbuty z czarnej skóry. Nie wyglądała jednak jak wdowa. Raczej jak mieszkanka Nowego Jorku lub Paryża. Miała wyższe obcasy, a nogi długie i opalone.

— Ci faceci, o których mówimy, to Rosjanie — powiedziała. Reacher milczał.

— Mój ojciec jest Amerykaninem.

— Amerykaninem, który nazywa się Aleksiej Aleksiejewicz — przypomniał Reacher.

— Nasza rodzina przybyła tu przed pierwszą wojną światową. On na pewno nie jest z nimi powiązany. Jak mógłby być? Ci ludzie, o których mówimy, to męty.

— Co robił twój ojciec, zanim został prokuratorem okręgowym?

— Był zastępcą prokuratora.

— A przedtem?

— Zawsze pracował w prokuraturze.

— Powiedz mi o jego serwisie do kawy.

— Jakim serwisie?

— Pija z chińskiej porcelany na srebrnej tacy. To nie jest służbowa zastawa.

— Co z tego?

— I jego garnitury.

— Garnitury?

— W poniedziałek miał na sobie garnitur za tysiąc dolarów. Niewielu urzędników państwowych nosi takie.

— Ma kosztowny gust.

— Skąd go na to stać?

— Nie chcę o tym mówić.

— Jeszcze jedno pytanie. Helen milczała.

— Czy nalegał, żebyś nie brała tej sprawy?

Helen nie odpowiedziała. Spojrzała w lewo. I w prawo. Potem odwróciła się.

— Powiedział, że przegrana może być zwycięstwem.

— Martwił się o twoją karierę?

— Tak myślałam. Nadal tak uważam. Jest uczciwym człowiekiem.

Reacher skinął głową.

— Jest pięćdziesiąt procent szans na to, że masz rację.

Franklin wrócił z kawą kiepskiej jakości zaparzoną w trzech różnych kubkach, z których dwa były wyszczerbione. Niósł je na korkowej tacy razem z otwartym kartonikiem mleka, żółtym pudełkiem z cukrem oraz jedną łyżeczką z wytłaczanej stali. Postawił tacę na biurku i Helen Rodin spojrzała na nią jak na dowód prawdziwości twierdzenia Reachera: Tak podaje się kawę w biurze.

— David Chapman znał w poniedziałek twoje nazwisko — powiedziała. — To pierwszy adwokat Jamesa Barra. Wiedział o twoim istnieniu od soboty.

— Jednak nie wiedział, że się tu pojawię — odparł Reacher. — Zakładam, że nikt mu tego nie wyjawiał.

— Ja znałem twoje nazwisko — przypomniał Franklin. — Może i mnie należałoby umieścić w kręgu podejrzanych.

— Tylko że ty znałeś prawdziwy powód mojego przyjazdu — odparł Reacher. — Nie kazałbyś mnie atakować, tylko raczej wezwać na świadka oskarżenia.

Zamilkli.

— Pomyliłem się co do Jeba Olivera — rzekł Reacher. — On nie jest dealerem. W jego stodole nie było nic poza starym pick-upem.

— Miło usłyszeć, że czasem się mylisz — powiedziała Helen.

— Jeb Oliver nie jest Rosjaninem — zauważył Franklin.

— Raczej nie.

— Chcę przez to powiedzieć, że ci faceci mogą pracować z Amerykanami. To może być Emerson. Niekoniecznie prokurator okręgowy.

— Pięćdziesiąt procent szans — przyznał Reacher. — Jeszcze nikogo nie oskarżam.

— Jeśli masz rację.

— Ci faceci bardzo szybko mnie znaleźli.

— To mi nie wygląda na robotę Emersona czy prokuratora. Dobrze znam obu.

— On ma nazwisko — wtrąciła Helen Rodin. — Nazywa się Alex Rodin.

— Nie sędzę, żeby to był któryś z nich — powiedział Franklin.

— Wracam do pracy — oznajmiła Helen.

— Podwieziesz mnie? — zapytał Reacher. — Wyszadysz mnie koło autostrady?

— Nie — odparła Helen. — Naprawdę nie mam na to ochoty.

Podniosła torebkę i walizeczkę, po czym sama wyszła z biura.

\*\*\*

Reacher siedział i słuchał odgłosów ulicy. Usłyszał dźwięk otwieranych i zamykanych drzwiczek samochodu. Uruchamianego silnika. Odjeżdżającego samochodu. Upił łyk kawy i rzekł:

— Chyba ją zdenerwowałem. Franklin kiwnął głową.

— Na to wygląda.

— Ci faceci muszą mieć kogoś na górze. To oczywiste, prawda? To fakt. Powinniśmy to przedyskutować.

— Gliniarz wydaje się odpowiedniejszy niż prokurator.

— Nie zgadzam się z tym. Policjant kontroluje tylko te sprawy, które prowadzi. Natomiast prokurator ma kontrolę nad wszystkimi.

— Wolałbym takie wyjaśnienie. Byłem policjantem.  
— Ja też — powiedział Reacher.  
— I muszę przyznać, że Alex Rodin umarza wiele spraw. Ludzie nazywają to ostrożnością, ale może to być coś innego.  
— Powinieneś sprawdzić, jakie sprawy umarza.  
— Jakbym miał mało roboty.  
Reacher skinął głową. Odstawił kubek. Wstał.  
— Zaczynaj od Oline Archer — poradził. — Od ofiary. Teraz ona jest najważniejsza.  
Podszedł do okna i sprawdził ulicę. Nic nie zauważył. Kiwnął głową Franklinowi, poszedł korytarzem do drzwi i na schody.

\*\*\*

Przystanął na najwyższym stopniu i przeciągnął się. Poruszył ramionami, rozprostował palce, zaczerpnął tchu. Zdrętwiał po całym dniu siedzenia za kierownicą i na krześle. I miał dość ukrywania się. Dobrze było tak stać i nic nie robić, nie ruszać się i nie chować. Na otwartej przestrzeni w blasku dnia. Oprócz czarnego suburbana Franklina wszystkie samochody zniknęły z małego parkingu. Na ulicy panował spokój. Reacher spojrział w prawo. Na drodze prowadzącej z północy na południe już zaczynał się wzmożony ruch. Po lewej jeszcze nie. Postanowił najpierw ruszyć na zachód. Będzie musiał zatoczyć szeroki łuk, by ominąć posterunek policji. Potem pójdzie na północ. Na północ od centrum miasta rozciągał się labirynt uliczek. Tam czuł się najlepiej.

Zaczął schodzić. Kiedy stanął na chodniku, usłyszał jakiś dźwięk za plecami. Chrzęst cienkiej podeszwy na wapiennym żwirze. Cichy. Potem charakterystyczny odgłos przeładowywanej śrutówki.

I głos, który powiedział:

— Nie ruszaj się.

Obcy akcent. Słaby, ale wyraźnie słyszalny. Gdzieś z północy. Reacher zatrzymał się. Stał spokojnie i spoglądał przed siebie, na ceglany mur po drugiej stronie ulicy.

— Zrób krok w prawo — powiedział głos. Reacher zrobił krok w prawo. Długi krok.

— Teraz odwróć się, tylko bardzo wolno.

Reacher odwrócił się, naprawdę powoli. Trzymał ręce z daleka od ciała. Zobaczył niskiego człowieczka, stojącego piętnaście stóp dalej. Tego samego, którego zauważył poprzedniego wieczoru. Najwyżej pięć stóp i cztery cale wzrostu, sto trzydzieści funtów wagi, szczupły, blady, ze sterczącymi krótko ściętymi włosami. Chenko. A raczej Charlie. W prawej ręce trzymał obrzyna z pistoletową kolbą. W lewej jakiś czarny przedmiot.

— Łap — powiedział Charlie.

Rzucił mu ten czarny przedmiot. Reacher patrzył, jak ten koziołkuje w powietrzu. To nie granat — uspokoiła go podświadomość. Załapał to coś. Obiema rękami. To był but. Skórzany damski bucik, czarny, na słupku. Jeszcze ciepły.

— Teraz go odrzuć — powiedział Charlie. — Tak jak ja to zrobiłem.

Reacher zawahał się. Czyj to but? Przyjrzał mu się. Niski obcas. Rosemary Barr?

— Odrzuć go — rozkazał Charlie. — Spokojnie i powoli.

Ocenic sytuację. Reacher nie miał broni. Trzymał w ręku but. Nie kamień, nie głaz. But był lekki i delikatny. Nie nadawał się jako broń. Charlie po prostu odrzuciłby go machnięciem ręki.

— Odrzuć mi go — powtórzył Charlie.

Reacher nie usłuchał. Mógłby oderwać obcas i cisnąć nim jak strzałką. Jak pocisk. Jednak Charlie zastrzeliłby go, kiedy Reacher by się zamachnął. Stał piętnaście stóp dalej, przygotowany, trzymając śrutówkę. Za blisko, by mógł chybić, za daleko, żeby go osiągnąć.

— Ostatnia szansa — powiedział Charlie.

Reacher odrzucił mu but. Łagodnym łukiem. Charlie złapał but jedną ręką i wyglądało to tak, jak na puszczonej w tył filmie.

— Ona jest teraz na letnim obozie — powiedział Charlie. — Traktuj to w ten sposób. Musi poznać kilka życiowych prawd.

Popracować nad swoim zeznaniem. O tym, jak jej brat wszystko zaplanował. Jak kiedyś coś mu się wymknęło. Będzie wspomniał świadkiem. Najważniejszym świadkiem oskarżenia. Rozumiesz to, prawda?

Reacher nie odpowiedział.

— Tak więc gra się skończyła — powiedział Charlie.

Reacher nadal milczał.

— Zrób dwa kroki w tył — polecił Charlie.

Reacher cofnął się o dwa kroki. Stał na skraju chodnika. Charlie znajdował się dwadzieścia stóp od niego. Wciąż trzymał w rękę but. Uśmiechał się.

— Odwróć się — powiedział.

— Chcesz mnie zastrzelić? — zapytał Reacher.

— Może.

— Powinieneś.

— Dlaczego?

— Bo jeśli tego nie zrobisz, znajdę cię i pożałujesz, że tego nie zrobiłeś.

— Gadanie.

— Ja nie rzucam słów na wiatr.

— Może więc cię zastrzelę.

— Powinieneś.

— Odwróć się — polecił Charlie. Reacher odwrócił się.

— Teraz stój spokojnie.

Reacher stał spokojnie. Twarzą do ulicy. Oczy miał otwarte. Spoglądał na asfalt. Położono go na starym bruku. Mnóstwo wybrzuszeń układających się w regularny wzór. Zaczął je liczyć, żeby czymś zapełnić ostatnie sekundy życia. Jednocześnie wyteżał słuch. Usiłował złowić uchem szmer odzieży, gdy Charlie wyciągnie rękę. Nasłuchiwał metalicznego szczęku języka spustowego, pokonującego tę ostatnią jedną dziesiątą cala. Czy Charlie strzeli? Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie. Zabójstwa zawsze są przedmiotem dochodzenia.

Tylko że ci ludzie byli szaleńcami. I prawdopodobnie na ich liście płac figurował miejscowy policjant. Albo oni byli na jego liście płac.



Cisza. Reacher nadstawiał uszu.

Nic nie słyszał. Nic się nie działo. Zupełnie nic. Minęła minuta. Dwie. Potem w odległości stu jardów na wschód zawyła syrena. Dwa krótkie elektroniczne piski radiowozu przedzierającego się przez zatłoczoną ulicę.

— Stój spokojnie — powtórzył Charlie.

Reacher stał spokojnie. Dziesięć sekund. Dwadzieścia. Trzydzieści. Potem na ulicy pojawiły się jednocześnie dwa radiowozy. Jeden od wschodu, a drugi od zachodu. Oba jechały szybko. Z rykiem silników. Z wizgiem opon. Ceglane mury głośnym echem odbijały te dźwięki. Radiowozy zahamowały. Otworzyły się drzwiczki. Policjanci wyskoczyli na ulicę. Reacher się obejrzał. Charliego już nie było.

# 14

Aresztowanie przeprowadzono szybko i sprawnie, w rutynowy sposób. Broń, okrzyki, kajdanki, odczytanie praw. Reacher nie odezwał się ani słowem. Wiedział, że nie powinien. Przez trzynaście lat był policjantem i wiedział, w jakie kłopoty można się wpakować gadaniem. I jak bardzo wszystko spowolnić. Powiedz coś, a policjanci będą musieli przystanąć, żeby to zapisać. A Reacher nie miał czasu do stracenia. Nie teraz.

Na szczęście podróż na posterunek była krótka. Przejechali zaledwie cztery przecznice. Reacher domyślił się, że Franklin, jako były policjant, specjalnie otworzył biuro w znanej sobie dzielnicy. Reacher wykorzystał podróż na opracowanie strategii. Domyślił się, że zabiorą go prosto do Emersona, co dawało mu pięćdziesiąt procent szans na spotkanie z wtyczką Rosjan.

Albo uczciwym policjantem.

W końcu miał stuprocentową pewność, że znalazł się w jednym pokoju z wtyczką, ponieważ Emerson czekał na niego z Alexem Rodinem. Reachera wyprowadzono z radiowozu i poprowadzono prosto do biura Emersona. Ten siedział za biurkiem. Rodin stał przed nim.

Nie mogę nic powiedzieć, pomyślał Reacher. Jednak muszę wydostać się stąd jak najszybciej.

Potem pomyślał: Który z nich? Rodin czy Emerson? Rodin miał na sobie garnitur. Granatowy, letni, drogi, być może ten sam co w poniedziałek. Emerson był w koszuli z krótkimi rękawami. Bawił się długopisem. Opuszczał go na notes, raz jednym, a raz drugim końcem.

Do roboty, popędzał ich w myślach Reacher.

— Nie tak trudno było cię znaleźć — powiedział Emerson. Reacher nie odpowiedział. Nadal był skuty.

— Niech nam pan opowie o tej nocy, kiedy zginęła dziewczyna — odezwał się Rodin.

Reacher milczał.

— Powiedz nam, co czułeś — rzekł Emerson — kiedy skręciłeś jej kark.

Reacher milczał.

— Przysięgłym się to nie spodoba — zauważył Rodin.

— Telefon — powiedział Reacher.

— Chcesz wezwać adwokata? — zapytał Emerson.

— Kto jest pańskim adwokatem? — spytał Rodin.

— Pana córka — odparł Reacher.

— Mamy ją wezwać? — zapytał Emerson.

— Może. A może Rosemary Barr. Patrzył im w oczy.

— Siostrę podejrzanego? — zdziwił się Rodin.

— Chcesz, żebyśmy zadzwonili do siostry podejrzanego? — spytał Emerson.

Jeden z was wie, że ona nie odebrałaby telefonu, pomyślał Reacher. Który? Z ich oczu niczego nie da się wyczytać.

— Zadzwoncie do Ann Yanni — powiedział.

— Tej dziennikarki? — zdziwił się Rodin. — Dlaczego do niej?

— Mam prawo do jednego telefonu — odparł Reacher. — Niczego nie muszę wyjaśniać. Mówię do kogo, a wy wykręcacie numer.

— Ona teraz szykuje się do wejścia na antenę. O szóstej nadają lokalne wiadomości.

— No to zaczekamy — powiedział Reacher. — Mam mnóstwo czasu.

Który z was wie, że to nieprawda?

\*\*\*

Czekali, ale okazało się, że nie musieli długo czekać. Emerson połączył się z NBC i powiedział asystentce Ann Yanni, że policja aresztowała Jacka Reachera, który domaga się widzenia z Yanni, z niewiadomych powodów. Była to dość dziwna wiadomość, ale Ann Yanni znalazła się w biurze Emersona niecałe trzydzieści minut później. Była dziennikarką na tropie sensacji. Wiedziała, że sieć ogólnokrajowa to lepsza przyszłość niż szara codzienność lokalnych wiadomości.

— W czym mogę pomóc? — zapytała.

Robiła wrażenie. Była miejscową gwiazdą. I reprezentowała środki przekazu. Zarówno Emerson, jak i Rodin byli pod wrażeniem. Nie tylko jej samej, ale tego, co sobą reprezentowała.

— Przykro mi — powiedział do niej Reacher. — Wiem, że tego nie chciałaś, i wiem, że obiecałem o tym nie mówić, ale w tych okolicznościach musisz potwierdzić moje alibi. Obawiam się, że nie ma innego wyjścia.

Patrzył na nią. Widział, że rozumie jego słowa. Lekkie zmieszanie na jej twarzy. Poza tym żadnej innej reakcji. Patrzył jej prosto w oczy. Nie reagowała.

Pomóż mi wydostać się stąd, dziewczyno.

Jedna sekunda.

Dwie.

Brak reakcji.

Reacher wstrzymał oddech. Do licha, rób, co do ciebie należy, Yanni. Jeszcze moment i wszystko diabli wezmą.

Nic.

Potem skinęła głową. Załapała. Reacher odetchnął. Dobry wybór. Zawodowy refleks. Była przyzwyczajona chwycić wiadomości jednym uchem i sekundę później powtarzać je na antenie, jakby wiedziała o wszystkim od dawna.

— Jakie alibi? — zapytał Emerson.

Yanni spojrzała na niego. Potem na Rodina.  
— Myślałam, że chodzi o Jacka Reachera — odezwała się.  
— Bo chodzi — rzekł Emerson.  
— Przecież to jest Joe Gordon — odparła. — A przynajmniej tak mi się przedstawił.  
— Powiedział pani, że nazywa się Joe Gordon?  
— Kiedy się poznaliśmy.  
— Czyli kiedy?  
— Dwa dni temu.  
— Pokazywaliście jego zdjęcie w wiadomościach.  
— To było jego zdjęcie? Zupełnie niepodobne. Miał inną fryzurę. Nie widzę żadnego podobieństwa.  
— Jakie alibi? — powtórzył Emerson.  
— Na kiedy? — spytała.  
— Na tę noc, kiedy zabito dziewczynę. O tym tutaj rozmawiamy.

Yanni milczała.

— Jeśli pani coś wie, musi nam pani powiedzieć — rzekł Rodin.

— Wolałabym nie — odparła Yanni.

Reacher uśmiechnął się pod nosem. Powiedziała to w sposób, który gwarantował, że za chwilę Emerson i Rodin będą błagać, żeby im powiedziała. Stała tam, zarumieniona na zawołanie aż po brwi, wyprostowana jak struna, z trzema odpiętymi guzikami bluzki. Była wspaniałą aktorką. Reacher doszedł do wniosku, że przypuszczalnie jak wszystkie komentatorki z telewizji.

— To poważna sprawa — rzekł Emerson.

— Najwidoczniej — powiedziała Yanni. — A nie możecie mi uwierzyć na słowo?

— Że co?

— Że on tego nie zrobił.

— Musimy poznać szczegóły — nalegał Rodin.

— A ja muszę myśleć o mojej reputacji — odparła Yanni.

— Jeśli wycofamy zarzuty, pani oświadczenie nie zostanie podane do wiadomości publicznej.

— A może pan zagwarantować, że wycofacie zarzuty?

— Nie przed wysłuchaniem pani oświadczenia — powiedział Emerson.

— Zatem to typowy paragraf dwadzieścia dwa.

— Obawiam się, że tak.

Nie przeciągaj struny, pomyślał Reacher. Nie mamy czasu.

Yanni westchnęła. Wbiła wzrok w podłogę. Podniosła głowę i spojrzała Emersonowi w oczy, wściekła, zmieszana, wspinała.

— Spędziliśmy tę noc razem — powiedziała.

— Pani i Reacher?

— Ja i Joe Gordon. Emerson wskazał palcem.

— Ten człowiek?

Yanni skinęła głową.

— Ten.

— Całą noc?

— Tak.

— Od której do której?

— Mniej więcej od jedenastej czterdzieści. Wtedy skończyły się wiadomości. Aż do rana, kiedy zbudził mnie pager, bo znaleźliście ciało.

— Gdzie byliście?

Reacher zamknął oczy. W myślach odtworzył rozmowę z Ann Yanni poprzedniego wieczoru w podziemnym parkingu. Szyba w bocznym oknie, opuszczona półtora cala. Powiedziałem jej czy nie?

— W motelu — powiedziała Yanni. — W jego pokoju.

— Recepcjonista pani nie widział.

— Oczywiście, że mnie nie widział. Muszę myśleć o swojej reputacji.

— Numer pokoju? Mówiłem jej?

— Osiem — powiedziała Yanni.

— Nie opuszczał w nocy pokoju?

— Nie.

— Ani na chwilę?

— Nie.

— Jest pani tego pewna?

Yanni odwróciła głowę.

— Ponieważ nie zmrużyliśmy oka.

W biurze zrobiło się cicho.

— Może pani jakoś tego dowieść? — zapytał Emerson.

— Na przykład jak?

— Znaki szczególne? W tej chwili niewidoczne, ale takie, które mogła widzieć osoba na pani miejscu?

— Och, proszę.

— To ostatnie pytanie — oświadczył Emerson.

Yanni milczała. Reacher przypomniał sobie, jak zapalił światło w mustangu i podniósł koszulę, pokazując łyżkę do opon. Przesunął skute dłonie, kładąc je na brzuchu.

— Jakikolwiek — nalegał Emerson.

— To ważne — dodał Rodin.

— Ma bliznę — powiedziała Yanni. — Nisko na brzuchu. Okropnie dużą.

Emerson i Rodin jednocześnie spojrzeli na Reachera. Ten wstał. Chwycił oburącz koszulę i wyciągnął ją ze spodni. Podniósł.

— W porządku — powiedział Emerson.

— Co to było? — zapytał Rodin.

— Kawałek szczęki sierżanta piechoty morskiej — wyjaśnił Reacher. — Lekarze twierdzili, że ten fragment ważył prawie cztery uncje. Leciał z prędkością pięciu tysięcy stóp na sekundę z epicentrum eksplozji trotylu. Niósł go podmuch, aż trafił we mnie.

Opuścił koszulę. Nie próbował schować jej do spodni. Kajdanki bardzo by to utrudniały.

— Zadowoleni? — zapytał. — Czy już dostatecznie wprawiliście tę damę w zakłopotanie?

Emerson i Rodin spojrzeli po sobie. Jeden z was doskonale wie, że jestem niewinny, pomyślał Reacher. A nie obchodzi mnie, co myśli drugi.

— Pani Yanni będzie musiała złożyć oświadczenie na piśmie — oświadczył Emerson.

— Proszę sporządzić protokół, a ja go podpiszę — powiedziała Yanni.

Rodin spojrział na Reachera.

— A pan może to jakoś udowodnić?

— W jaki sposób?

— Czymś w rodzaju tej pana blizny. Tylko u pani Yanni. Reacher kiwnął głową.

— Owszem, mógłbym. Jednak tego nie zrobię. A jeśli po prosi pan o to ponownie, wbiję panu zęby do gardła.

W biurze zrobiło się cicho. Emerson włożył rękę do kieszeni i wyjął klucz od kajdanek. Obrócił się i rzucił go Reachero wi. Ten miał skute ręce, ale przezornie wyciągnął najpierw prawą dłoń. Złapał nią kluczyk i uśmiechnął się.

— Rozmawiałeś z Bellantoniem? — zapytał.

— Dlaczego podał pan pani Yanni fałszywe nazwisko? — zainteresował się Emerson.

— Może nie było fałszywe — odparł Reacher. — Może Gordon to moje prawdziwe nazwisko.

Odrzucił kluczyk, podszedł do Emersona, wyciągnął rękę i czekał, aż detektyw go rozkuje.

\*\*\*

Zek odebrał telefon dwie minuty później. Znajomy głos mówił cicho i pospiesznie.

— Nie udało się — powiedział. — Miał alibi.

— Prawdziwe?

— Pewnie nie. Jednak nie będziemy go podważać.

— I co teraz?

— Siedźcie spokojnie. Jest o krok od was. A w takim razie wkrótce sam do was przyjdzie. Zamknijcie się, naładujcie broń i czekajcie.

\*\*\*

— Nie opierali się zbyt mocno — zauważyła Ann Yanni. — Prawda?

Zapuściła silnik mustanga, zanim Reacher zdążył zamknąć drzwi.

— Wcale tego nie oczekiwałem — odparł. — Niewinny wie, że nic na mnie nie mają. A ten winien wie, że po wy-



puszczeniu zniknę ze sceny szybciej, niż gdybym siedział w celi.

— Dlaczego?

— Ponieważ oni mają Rosemary Barr i wiedzą, że zamierzam ją odszukać. Będą czekali na mnie, gotowi do zabawy. Do rana mam już nie żyć. To ich nowy plan. Tańszy niż odsiadka.

\*\*\*

Pojechali prosto do biura Franklina, wbiegli po schodach i zastali detektywa siedzącego przy biurku. Światła w pokoju były zgaszone i twarz Franklina oświetlał jedynie blask monitora. Wpatrywał się weń pustym wzrokiem, jakby niczego nie mógł zeń wyczytać. Reacher powiedział mu o porwaniu Rosemary Barr. Franklin znieruchomiał i zerknął w kierunku drzwi. Potem na okno.

— Przecież byliśmy tutaj — powiedział. Reacher skinął głową.

— Wszyscy troje. Ty, ja i Helen.

— Nic nie słyszałem.

— Ja też nie — przyznał Reacher. — Są naprawdę dobrzy.

— Co z nią zrobią?

— Zmuszą do złożenia zeznań obciążających jej brata. Coś wymyślą.

— Zrobią jej krzywdę?

— To zależy, jak szybko się ugnie.

— Ona się nie ugnie — powiedziała Yanni. — Nawet za milion lat. Nie rozumiesz? Zależy jej tylko na oczyszczeniu brata.

— To zrobią jej krzywdę.

— Dokąd ją zabrali? — zapytał Franklin. — Domyślasz się?

— Do swojej kwatery głównej — rzekł Reacher. — Jednak nie wiem, gdzie ona jest.

\*\*\*

Siedziała w salonie na piętrze, przywiązana taśmą izolacyjną do krzesła. Zek przyglądał się jej. Kobiety go fascynowały.

Kiedyś przeżył dwadzieścia siedem lat, nie widząc żadnej. W karnym batalionie, do którego wcielono go w 1943 roku. Było ich kilka, ale niewiele i szybko zginęły. A kiedy zakończyła się Wielka Wojna Ojczyźniana, dla niego rozpoczął się koszmarne pobyt w gułagach. W 1949 roku zobaczył więźniaczkę niedaleko Kanału Białomorskiego. Była zgarbiona, przysadzistą starą wiedźmą, pracującą dwieście jardów dalej na buraczanym polu. Później nie widział żadnej aż do 1976 roku, kiedy to ujrzał pielęgniarkę, jadącą na zaprzężonych w trzy konie saniach po zamrożonym syberyjskim pustkowiu. Wtedy pracował w kamieniołomie. Wyszedł z niego razem z dwustoma innymi zekami i wlekli się rozciągniętą kolumną po długiej i prostej drodze. Sanie z pielęgniarką jechały inną drogą, przecinającą ich drogę pod kątem prostym. Teren był płaski i równy, pokryty śniegiem. Zekowie mogli patrzeć do woli. Stali i patrzyli, jak pielęgniarka przejeżdża całą milę. Tego wieczoru strażnicy nie dali im kolacji, karząc za postój bez pozwolenia. Czterej więźniowie umarli, ale nie Zek.

— Wygodnie? — zapytał.

Rosemary Barr nie odpowiedziała. Ten, którego nazywali Chenką, oddał jej but. Przykucnął przed nią i wsunął jej na nogę, jak ekspedient w sklepie z obuwem. Potem odszedł i usiadł na kanapie obok tego, którego nazywali Vladimirem. Ten, na którego mówili Sokolov, został na dole w pomieszczeniu pełnym sprzętu monitorującego. Linsky przechadzał się po pokoju, poblady z bólu. Miał coś z kręgosłupem.

— Kiedy Zek pyta, masz odpowiadać — powiedział Vladimir.

Rosemary odwróciła głowę. Bała się tego mężczyzny. Bardziej niż pozostających. Vladimir był ogromny i otaczała go aura zepsucia, jak odór.

— Czy ona rozumie swoją pozycję? — zapytał Linsky.

Zek uśmiechnął się do niego, a Linsky odpowiedział uśmiechem. To był ich prywatny żart. W obozie wszelkie skargi na łamanie prawa lub nieludzkie traktowanie spotykały się z pytaniem: „Czy rozumiesz swoją pozycję?”. A temu pytaniu zawsze towarzyszyło stwierdzenie: „Nie masz żadnej pozycji.

Dla ojczyzny jesteś niczym”. Kiedy Linsky po raz pierwszy usłyszał to pytanie, chciał na nie odpowiedzieć, ale Zek odciągnął go na bok. Wtedy miał już za sobą osiemnaście lat odsiadki i ta interwencja była u niego zupełnie nietypowa. Najwyraźniej poczuł sympatię do nieopierzonego młodzika. Wziął go pod swoje skrzydła. Od tej pory zawsze byli razem, w niezliczonych miejscach, których żaden z nich nie potrafiłby nazwać. O gułagach napisano wiele książek, ujawniono wiele dokumentów i sporządzono mapy, ale ironia losu sprawiła, że ci, których w nich więziono, nie mieli pojęcia, gdzie byli. Nikt im tego nie mówił. Obóz to obóz, z drutami, barakami, bezkresnymi lasami, niekończącą się tundrą i pracą. Czy nazwa coś zmienia?

Linsky był żołnierzem i złodziejem. W Europie Zachodniej lub Ameryce siedziałby w więzieniu, dwa lata tu, trzy lata tam, lecz w sowieckim państwie kradzież była przestępstwem przeciwko ideologii. Dowodziła wstecznego i aspołecznego upodobania do własności prywatnej. Winnego takiego przestępstwa należało jak najszybciej i trwale usunąć poza nawias cywilizowanego społeczeństwa. W przypadku Linsky'ego to usunięcie trwało do 1991 roku, kiedy cały ten cywilizowany ustrój runął i opróżniono gułagi.

— Ona rozumie swoją pozycję — powiedział Zek. — I nie bawem ją zaakceptuje.

\*\*\*

Franklin zadzwonił do Helen Rodin. Po dziesięciu minutach pojawiła się w jego biurze. Wciąż była zła na Rechera. Nic dziwnego. Jednak za bardzo martwiła się o Rosemary Barr, żeby robić z tego aferę. Franklin został za biurkiem, jednym okiem zerkając na monitor komputera. Helen i Ann Gianni siedziały razem przy stole. Recher spoglądał przez okno. Niebo ciemniało.

— Powinniśmy kogoś zawiadomić — powiedziała Helen.

— Na przykład kogo? — zapytał Recher.

— Mojego ojca. On jest uczciwy.

Recher odwrócił się do niej.

— Załóżmy, że jest. Co mu powiemy? Że ktoś zaginął? Po prostu zawiadomiłby policję, bo cóż innego mógłby zrobić? A jeśli Emerson jest przekupiony, policja nie kiwnie palcem. Nawet jeśli Emerson jest uczciwy, policja i tak nic nie robi. Nikt nie przejmuje się zaginięciem dorosłej osoby. Zbyt wiele jest takich przypadków.

— Jednak ta jest istotnym świadkiem w sprawie.

— W sprawie dotyczącej jej brata. Policjanci uznają to za ucieczkę, zupełnie naturalną w tej sytuacji. Jej brat jest powszechnie znanym przestępcą, a ona nie mogła znieść wstydu.

— Przecież widziałeś, że została porwana. Mógłbyś im to powiedzieć.

— Widziałem but. Tylko tyle mógłbym powiedzieć. Poza tym nie jestem dla nich wiarygodnym świadkiem. Od dwóch dni sobie z nimi pogrywam.

— No to co zrobimy?

Reacher znów odwrócił się do okna.

— Sami się tym zajmiemy — powiedział.

— Jak?

— Potrzebna nam tylko lokalizacja. Sprawdzimy tę zastrzeloną kobietę, znajdziemy nazwiska, ustalimy powiązania, poznamy lokalizację. Wtedy tam pojedziemy.

— Kiedy? — spytała Yanni.

— Za dwanaście godzin — odparł Reacher. — Przed świtem. Oni będą mieli swój harmonogram pracy. Zechcą najpierw usunąć z drogi mnie, a dopiero potem zająć się Rosemary Barr. Musimy ją uwolnić, zanim stracą cierpliwość.

— Jednak to oznacza, że pojawisz się dokładnie tam, gdzie się ciebie spodziewają.

Reacher nic nie odrzekł.

— Wejdiesz prosto w pułapkę — zauważyła Yanni. Reacher dalej milczał. Yanni odwróciła się do Franklina.

— Powiedz nam więcej o tej zastrzelonej kobiecie.

— Nie ma nic więcej do powiedzenia — odparł Franklin. — Bardzo dokładnie ją sprawdziłem. Była przeciętną obywatelką.

— Miała jakąś rodzinę?

— Tylko na wschodzie. Tam, skąd przyjechała.

— Przyjaciółki?  
— Tylko dwie. Z pracy i sąsiadkę. Obie niezbyt interesujące. Na przykład żadna z nich nie jest Rosjanką.  
Yanni znów obróciła się do Reachera.  
— Może się mylisz. Może trzeci strzał nie był najważniejszy.  
— Musiał być — powiedział Reacher. — Inaczej po co zrobiliby przerwę po trzecim strzale? Sprawdzał, czy trafił cel.  
— Po szóstym strzale też zrobił sobie przerwę. Na dobre.  
— Nie czekałby tak długo. Sytuacja mogła wymknąć mu się spod kontroli. Ludzie mogli rzucić się do panicznej ucieczki.  
— Ale tego nie zrobili.  
— Tylko że on nie mógł tego przewidzieć.  
— Zgadzam się — powiedział Franklin. — Czegoś takiego nie załatwia się pierwszym ani ostatnim strzałem.  
Nagle zamyślił się, wbijając wzrok w ścianę, ale nie widząc jej.  
— Zaczekajcie — rzekł. Spojrzał na ekran.  
— O czymś zapomniałem — rzekł.  
— O czym? — spytał Reacher.  
— O tym, co powiedziałaś o Rosemary Barr. O zaginionych osobach.  
Znów zaczął klikać myszą i stukać w klawiaturę. Potem nacisnął enter i pochylił się wyczekująco, jakby w ten sposób chciał przyspieszyć wyszukiwanie.  
— Ostatnia próba — powiedział.  
Reacher wiedział z reklam telewizyjnych, że komputery działają z częstotliwością taktowania mierzoną w gigahercach. Zakładał, że to bardzo szybko. Pomimo to ekran monitora komputerowego Franklina bardzo długo pozostawał pusty. Tylko w rogu widać było niewielką ikonkę. Obracała się powoli. Sugerowała długie i mozolne przeszukiwania nieskończenie wielkich zbiorów danych. Trwało to kilka minut. Potem ikonka znieruchomiała. Z trzaskiem elektrostatycznego ładunku obraz na ekranie znikł i znów się pojawił, ukazując gęsto zadrukowany

dokument. Drobną komputerową czcionką. Z miejsca pod oknem Reacher nic nie mógł odczytać.

W biurze zapadła cisza.

Franklin oderwał wzrok od ekranu.

— W porządku — oznajmił. — Jest. Nareszcie. W końcu mamy coś, co nie jest normalne. Jakiś punkt zaczepienia.

— Co takiego? — zapytała Yanni.

— Oline Archer dwa miesiące temu zgłosiła zaginięcie męża.

# 15

Franklin odsunął krzesło do tyłu, robiąc miejsce dla pozostałych, którzy stłoczyli się przed monitorem. Reacher i Helen Rodin stanęli obok siebie. Już nie wyczuwał jej wrogości. Tylko podniecenie wywołane odkryciem.

Większa część dokumentu składała się z zakodowanych nagłówek i informacji źródłowych. Litery, liczby, daty, miejsce pochodzenia. Istotna informacja była krótka. Przed dwoma miesiącami pani Oline Annę Archer wypełniła odpowiedni formularz, zgłaszając zaginięcie małżonka. Nazywał się Edward Stratton Archer. W poniedziałek wyszedł z domu wcześniej rano do pracy i nie wrócił do środy, kiedy wypełniono ten druk.

— Nadal go szukają? — zapytała Helen.

— Tak — odparł Franklin. Wskazał na literę A w środku zakodowanego napisu na górze ekranu. — Wciąż aktualne.

— Zatem porozmawiajmy z przyjaciółkami Oline — powiedział Reacher. — Musimy poznać szczegóły.

— Teraz? — zapytał Franklin.

— Mamy tylko dwanaście godzin — odparł Reacher. — Ani chwili do stracenia.

\*\*\*

Franklin zapisał nazwiska i adresy koleżanki oraz sąsiadki Oline Archer. Wręczył kartkę Ann Yanni, ponieważ to ona płaciła rachunek.

— Ja tu zostanę — powiedział. — Sprawdzę, czy jej małżonek figuruje w bazie. Może to zbieg okoliczności. Może ma żonę w każdym stanie. Nie byłby pierwszy.

— Nie wierzę w przypadki — rzekł Reacher. — Tak więc nie trać czasu. Zamiast tego znajdź mi numer telefonu niejakiego Casha, byłego *marines*. Jest właścicielem strzelnicy, na którą James Barr jeździł strzelać. W Kentucky. Zadzwoń do niego.

— Co mam powiedzieć?

— Podaj moje nazwisko. Powiedz, żeby wsadził tyłek do swojego humvee. Niech przyjedzie tu jeszcze dzisiaj. Powiedz mu, że zaczyna się nowy konkurs.

— Konkurs?

— On zrozumie. Powiedz mu, żeby zabrał M24. Z noktowizorem. I cokolwiek jeszcze tam ma.

Reacher wyszedł w ślad za Ann Yanni i Helen Rodin. Wsiedli do saturna Helen, kobiety z przodu, a Reacher z tyłu. Zapewne wszyscy woleliby mustanga, ale były w nim tylko dwa fotele.

— Dokąd najpierw? — spytała Helen.

— Do kogo bliżej? — odpowiedział pytaniem Reacher.

— Do koleżanki.

— W porządku, najpierw do niej.

Jechali powoli. Trwały roboty drogowe i ciężarówki wjeżdżały na place budów lub wyjeżdżały z nich. Reacher zerknął na zegarek i przez okno. Zapadł zmierzch. Nadchodził wieczór.

Czas ucieka.

\*\*\*

Koleżanka Oline Archer mieszkała na wschodnim przedmieściu miasta, poprzecinanym siecią prostych willowych uliczek. Po obu ich stronach stały skromne domki. Niewielkie podjazdy, flagi na masztach, obręcze do koszykówki nad drzwiami garaży, anteny satelitarne przy ceglanych kominach. Niektóre drzewa na ulicy miały pnie owiązane wyblakłymi żółtymi wstążkami. Reacher domyślił się, że symbolizowały solidarność z walczącymi za morzem żołnierzami. Nie był tylko pewien, w którym konflikcie zbrojnym. Służył za morzem przez większość trzynastu lat i nigdy nie spotkał nikogo, kogo



obchodziłoby to, czym owiązują drzewa w ojczyźnie. Dopóki ktoś przysyłał czeki, żywność i wodę, dopóki żony pozostawały wierne, a kule z daleka, większości facetów zupełnie to wystarczyło.

Słońce zachodziło za ich plecami, a Helen jechała wolno, wyteżając wzrok, żeby z wyprzedzeniem odczytać numer domu. Znalazła ten, którego szukali, wjechała na podjazd i zaparkowała za małym sedanem. Był nowy. Reacher rozpoznał markę, której reklamę widział, gdy spacerował wzdłuż czteropasmówki: **Najlepsza gwarancja w Ameryce!**

Koleżanka była znużoną i udręczoną kobietą po trzydziestce. Otworzyła drzwi, wyszła na zewnątrz i zamknęła je za sobą, tłumiąc dobiegający z wnętrza domu zgiełk tuzina szalejących dzieciaków. Natychmiast rozpoznała Ann Yanni. Nawet spojrzęła za nią, szukając ekipy z kamerą.

— Tak? — powiedziała.

— Musimy porozmawiać o Oline Archer — powiedziała Helen Rodin.

Kobieta milczała. Wyglądało na to, że ma mieszane uczucia, jakby uważała, że to nieładnie rozmawiać z dziennikarzami o ofiarach tragedii. Najwyraźniej jednak gwiazdorski status Ann Yanni przełamał jej opory.

— Dobrze. Co chcecie wiedzieć? Oline była cudowną osobą i wszystkim w biurze bardzo jej brak.

Oto istota przypadku, pomyślał Reacher. W przypadkowych zamachach zawsze giną ludzie, których później nazywa się cudownymi. Nikt nigdy nie powie: była wstrętną donosicielką i cieszę się, że nie żyje. Ktokolwiek to zrobił, oddał nam przysługę. Nigdy.

— Musimy dowiedzieć się czegoś o jej mężu — powiedziała Helen.

— Wcale go nie znałam — odparła kobieta.

— Czy Oline mówiła coś o nim?

— Chyba trochę. Od czasu do czasu. Zdaje się, że ma na imię Ted.

— Czym się zajmuje?

— Interesami. Nie wiem jakimi.

— Czy Oline mówiła coś o jego zaginięciu?  
— Zaginięciu?  
— Dwa miesiące temu zgłosiła jego zaginięcie.  
— Wiem, że wyglądała na bardzo zmartwioną. Myślałam, że on ma jakieś kłopoty w interesach. Zdaje się, że miał je już od roku czy dwóch. To dlatego Oline wróciła do pracy.  
— Nie zawsze pracowała?  
— Och nie, proszę pani. Zdaje się, że pracowała kiedyś, a potem zrezygnowała. Jednak musiała wrócić. Była zmuszona. Jak mówią, od nędzy do pieniędzy, tylko na odwrót.  
— Od pieniędzy do nędzy — wtrącił Reacher.  
— No właśnie. Potrzebowała tej pracy. Myślę, że to ją trochę kępowało.  
— Jednak nie zna pani żadnych szczegółów? — zapytała Ann Yanni.  
— Ona była bardzo skryta — odparła kobieta.  
— To ważne.  
— Była trochę roztargniona. To do niej niepodobne. Mniej więcej na tydzień przed śmiercią wyszła z pracy prawie na całe popołudnie. To również było do niej niepodobne.  
— Wie pani, co robiła?  
— Nie, nie mam pojęcia.  
— Gdyby przypomniała pani sobie coś o jej mężu, cokolwiek, bardzo by nam to pomogło.  
Kobieta pokręciła głową.  
— Ma na imię Ted. Tylko to mogę powiedzieć na pewno.  
— W porządku, dzięki — powiedziała Helen.  
Odwróciła się i ruszyła do swojego samochodu. Yanni i Reacher poszli za nią. Kobieta na ganku spoglądała za nimi rozczarowana, jakby nie zdała jakiegoś egzaminu.

\*\*\*

— Pudło — powiedziała Ann Yanni. — Jednak nie martwcie się. Zawsze tak jest. Czasem myślę, że powinniśmy pomijać pierwszą osobę z listy. Ta nigdy nic nie wie.

Reacherowi było niewygodnie na tylnym siedzeniu. Kieszeń spodni podwinęła się i jakaś moneta wbijała mu się w udo.

Obrócił się i wyjął ją. Była to ćwierćdolarówka, nowa i błyszcząca. Przyglądał jej się przez chwilę, a potem schował do innej kieszeni.

— Zgadzam się — powiedział. — Powinniśmy ją pominąć. Moja wina. To oczywiste, że koleżanka z pracy nie mogła nic wiedzieć. Ludzie uważają, co mówią w pracy. Szczególnie bogaci ludzie, którzy wpadli w finansowe tarapaty.

— Sąsiadka będzie wiedziała więcej — doszła do wniosku Yanni.

— Miejmy nadzieję — dodała Helen.

Ugrzęźli w śródmiejskich korkach. Jechali bardzo wolno ze wschodniego przedmieścia na zachodnie. Reacher ponownie spojrzął na zegarek i przez okno. Słońce wisiało tuż nad horyzontem, przed nimi. Za nimi zapadł już zmierzch.

Czas ucieka.

\*\*\*

Rosemary Barr poruszyła się na krześle, szarpiąc taśmę krępującą jej przeguby.

— Wiemy, że zrobił to Charlie — powiedziała.

— Charlie? — powtórzył Zek.

— Tak zwany przyjaciel mojego brata.

— Chenko — powiedział Zek. — On nazywa się Chenko. To był jego plan. Udany. Oczywiście, pomógł mu niewielki wzrost. Buty pani brata włożył na swoje. Musiał tylko podwinąć nogawki spodni i rękawy płaszcza.

— Wiemy o wszystkim — powiedziała Rosemary.

— My to znaczy kto? I co właściwie możecie zrobić?

— Helen Rodin wie o wszystkim.

— Zrezygnuje pani z jej usług. Przystanie panią reprezentować. Będzie musiała zachować w tajemnicy wszystko, czego dowiedziała się, kiedy pani była jej klientką. Mam rację, prawda, Linsky?

Linsky skinął głową. Siedział sześć stóp dalej, na sofie, dziwnie wygięty, żeby ulżyć obolałym plecocom.

— Tak nakazuje prawo — powiedział. — Tu, w Ameryce.

— Franklin też wie — powiedziała Rosemary. — I Ann Yanni.

— Plotki — rzekł Zek. — Teorie, spekulacje, domysły. Ci dwoje nie mają żadnych przekonujących dowodów i nie są wiarygodni. Prywatni detektywi i dziennikarze to ludzie, którzy sprzedają różne zabawne i sensacyjne teoryjki, wyjaśniające takie zdarzenia. Tego się od nich oczekuje. Dopiero ich brak byłby podejrzany. Zdaje się, że prezydent tego kraju został zabity ponad czterdzieści lat temu, a niektórzy dziennikarze nadal twierdzą, że prawda jeszcze nie wyszła na jaw.

Rosemary milczała.

— Pani zeznanie będzie decydujące — oznajmił Zek. — Pójdzie pani do Rodina i złoży zaprzysiężone zeznanie, że pani brat wszystko zaplanował i przygotował. I poinformował panią o tym. Szczegółowo. O czasie, miejscu, wszystkim. Powie pani ze szczerym i głębokim smutkiem, że nie potraktowała pani tego poważnie. Wtedy jakiś marny adwokacina, zatrudniony jako obrońca z urzędu, ledwie rzuci okiem na pani zeznanie, po czym ogłosi, że oskarżony przyznaje się do winy, i będzie po wszystkim.

— Nie zrobię tego — oświadczyła Rosemary. Zek spojrzał na nią.

— Zrobi pani — powiedział. — Obiecuję to pani. Za dwadzieścia cztery godziny od tej chwili będzie pani błagała, żebyśmy pozwolili to pani zrobić. Będzie pani szalała ze strachu, że mogliśmy zmienić zdanie i nie pozwolimy pani tego zrobić.

W pokoju zrobiło się cicho. Rosemary spojrzała na Zeka, jakby chciała coś powiedzieć. Potem odwróciła wzrok, ale Zek odpowiedział jej mimo to. Usłyszał jej myśli, głośno i wyraźnie.

— Nie, nie będziemy przy pani, kiedy będzie pani składała zeznanie. Jednak dowiemy się, co im pani powiedziała. W ciągu kilku minut. I niech pani nawet nie próbuje zbroczyć na dworzec autobusowy. Po pierwsze, w ten sposób zabiłaby pani brata. Po drugie, nie ma takiego kraju na świecie, w którym mogłaby się pani przed nami ukryć.

Rosemary nie odpowiedziała.

— W każdym razie — rzekł Zek — nie spierajmy się. To bezproduktywne. I bezcelowe. Powie im pani to, co polecimy. Zrobi to pani. Na pewno. I to bardzo chętnie. Będzie pani żałowała, że nie umówiliśmy pani na wcześniejszą wizytę w sądzie. Będzie pani czekała na to na kolanach, błagając o szansę pokazania nam, jaka jest pani grzeczna. Zawsze tak się dzieje. Jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy. Uczyliśmy się od mistrzów.

— Mój brat ma chorobę Parkinsona — przypomniała Rosemary.

— Kiedy zdiagnozowaną? — zapytał Zek, ponieważ znał już odpowiedź.

— We wczesnej fazie.

Zek potrząsnął głową.

— To zbyt subiektywne, żeby mogło pomóc. Kto może stwierdzić na pewno, że ten stan nie został wywołany odniesionymi obrażeniami? A jeśli nawet, to kto może stwierdzić, że ta choroba uniemożliwia strzelanie. Z tak niewielkiej odległości? Jeśli obrońca z urzędu powoła dwóch ekspertów, to Rodin sprowadzi trzech. Znajdzie lekarzy, którzy przysięgną, że mała Annie Oakley cierpiała na chorobę Parkinsona od chwili swoich narodzin.

— Reacher wie — powiedziała Rosemary.

— Ten żołnierz? On do rana będzie martwy. Albo umrze, albo ucieknie.

— On nie ucieknie.

— No to będzie martwy. Przyjdzie po ciebie dziś w nocy. Będziemy na niego czekać. Już nieraz różni ludzie przychodzili po nas w nocy — rzekł Zek. — Wiele razy, w wielu miejscach. A mimo to wciąż tu jesteś. Da, Linsky?

Linsky znów skinął głową.

— Wciąż tu jesteś — przytaknął.

— Kiedy przyjdzie? — zapytał Zek.

— Nie wiem — odparła Rosemary.

— O czwartej rano — powiedział Linsky. — To Amerykanin. Uczą ich, że czwarta rano to najlepszy czas na niespodziewany atak.

— Skąd?

— Północ to najrozsądniejszy kierunek ataku. Kruszarńia kamienia zapewni osłonę przy podejściu i zostanie mu do pokonania tylko dwieście jardów otwartej przestrzeni. Myślę jednak, że on spróbuje nas przechytrzyć. Nie przyjdzie od północy, ponieważ wie, że to najlepszy punkt wypadowy.

— I nie od zachodu — rzekł Zek.

Linsky pokiwał głową.

— Zgadzam się. Nie wzdłuż drogi dojazdowej. Zbyt odsłonięty teren. Przyjdzie od południa lub od wschodu.

— Niech Vladimir dołączy do Sokolova — powiedział mu Zek. — Każ im bardzo uważnie obserwować teren od południa i wschodu. Jednak niech pilnują również od północy i zachodu. Trzeba nieustannie obserwować cały teren. Każ Chence wziąć karabin i czekać na korytarzu na górze. Niech będzie gotowy do oddania strzału z któregoś z okien. Przy jego umiejętnościach wystarczy jeden strzał.

Potem zwrócił się do Rosemary Barr.

— A tymczasem zamkniemy panią w bezpiecznym miejscu. Zacznie pani naukę, gdy tylko pochowamy żołnierza.

\*\*\*

Zachodnie przedmieścia były sypialnią dla ludzi pracujących w centrum miasta, tak więc na całej trasie utworzyły się korki. Domy były okazalsze niż na wschodzie. Wszystkie piętrowe, zbudowane według indywidualnych projektów i dobrze utrzymane. Każdy miał swój podjazd, basen i wypielęgnowany ogród. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca wyglądały jak z broszury reklamowej.

— Nadęta klasa średnia — powiedział Reacher.

— Do której wszyscy chcielibyśmy należeć — zauważyła Yanni.

— Nie będą chcieli rozmawiać — mruknął Reacher. — To nie w ich stylu.

— Będą chcieli — zapewniła Yanni. — Ze mną wszyscy rozmawiają.

Powoli przejechali obok domu Archerów. Pod skrzynką na listy wisiał na łańcuchu żeliwny znak: Ted i Oline Archer.

Wznoszący się za rozległym trawnikiem dom był zamknięty, ciemny i cichy. Zbudowany w stylu wczesnowiktoriańskim. Ciemnobrązowe belki, kremowe stiuki. Garaż na trzy samochody. Bez wyrazu, ocenił Reacher.

Sąsiadka, której szukali, mieszkała po drugiej stronie ulicy, jeden numer dalej na północ. Jej dom był równie duży jak Archerów, ale we włoskim stylu. Kamienne ozdoby, wieżyczki z krenelażem, ciemnozielone markizy nad parterowymi oknami od południa. Zmierzch przechodził w zmrok i za zasłoniętymi oknami paliły się światła. Cała ulica wyglądała zacisznie, spokojnie i miło, jakby zadowolona z siebie.

— Spokojnie śpią w łóżkach, gdyż twardzi ludzie czuwają w nocy, gotowi użyć przemocy wobec każdego, kto chciałby ich skrzywdzić — powiedział Reacher.

— Czytujesz George'a Orwella? — zapytała Yanni.

— Chodziłem do college'u — przypomniał jej. — West Point to teoretycznie college.

— Obecny ustrój społeczny jest oszustwem, a jego ulubione ideały to przeważnie złudzenia — powiedziała Yanni.

— Żaden myślący człowiek nie może żyć w takim społeczeństwie jak nasze, nie pragnąc go zmienić — odparł Reacher.

— Jestem pewna, że to bardzo mili ludzie — powiedziała Helen.

— Tylko czy zechcą z nami rozmawiać?

— Zechcą — zapewniła Yanni. — Każdy chce.

Helen wjechała na długi, wysypany wapiennym żwirem podjazd i zaparkowała jakieś dwanaście stóp za zagranicznym wozem terenowym z wielkimi chromowanymi kołami. Frontowe drzwi domu były zrobione ze starych dębowych desek obitych żelazem i ćwiekami o łbach wielkości piłek golfowych. Sprawiały wrażenie, że można przez nie przejść w epokę renesansu.

— Własność prywatna to złodziejski łup — powiedział Reacher.

— Proudhon — rzekła Yanni. — Prywatna własność jest pożądaną, pozytywną wartością tego świata.

— Abraham Lincoln — powiedział Reacher. — W swojej pierwszej Konstytucji Stanów Unii.

Na drzwiach wisiała żelazna kołatka w kształcie pierścienia w lwiej paszczy. Helen chwyciła ją i uderzyła w drzwi. Potem znalazła dyskretnie umieszczony z boku przycisk dzwonka i nacisnęła. Nie usłyszeli żadnego dźwięku wewnątrz budynku. Masywne drzwi, grube ściany. Ponownie nacisnęła guzik dzwonka i zanim oderwała od niego palec, drzwi ustąpiły z cichym trzaskiem gumowej taśmy uszczelniającej, jak drzwi bankowego sejfu. Stał w nich mężczyzna, trzymał dłoń na klamce od wewnątrz.

— Tak? — powiedział.

Był po czterdziestce, krzepki, energiczny, zapewne członek jakiegoś klubu golfowego, może Łoży Łosi, może Klubu Rotariańskiego. Miał na sobie sztruksowe spodnie i sweter we wzorki. Typ faceta, który natychmiast przebiera się po powrocie do domu.

— Czy zastaliśmy pańską żonę? — zapytała Helen. — Chcielibyśmy porozmawiać z nią o Oline Archer.

— O Oline? — powtórzył mężczyzna. Patrzył na Ann Yanni.

— Jestem prawnikiem — wyjaśniła Helen.

— A co można powiedzieć o Oline?

— Więcej, niż pan sądzi — zapewniła Yanni.

— Pani nie jest prawnikiem.

— Jestem dziennikarką — odparła Yanni. — Jednak nie szukam taniej sensacji. Nic podobnego. Może dojść do fatalnej pomyłki sądowej. O to nam chodzi.

— Jakiego rodzaju pomyłki?

— Być może aresztowano niewłaściwego człowieka jako odpowiedzialnego za niedawną masakrę. Z tego powodu tu jestem. Dlatego wszyscy tu jesteśmy.

Reacher obserwował mężczyznę. Ten stał w progu, z ręką na klamce, wahając się. W końcu westchnął i odsunął się.

— Lepiej wejdźcie do środka.

Każdy chce.

Poprowadził ich przez pastelowo żółty przedpokój do salonu. Ten był przestronny i idealnie czysty. Meble obite aksamitem, mahoniowe stoliczki, kamienny kominek. Brak telewizora.



Zapewne mieli go w innym pokoju. W bawialni albo oddzielnym pomieszczeniu na kino domowe. A może nie oglądali telewizji. Reacher widział, że Ann Yanni zastanawia się nad tym.

— Przeprowadzę żonę — powiedział mężczyzna.

Wrócił minutę później z przystojną kobietą, trochę młodszą od niego. Miała na sobie wyprasowane džinsy i bawełnianą koszulkę w tym samym odcieniu co ściany przedpokoju. Na nogach klapki. Nie nosiła skarpetek. Włosy miała w artystycznym nieładzie, ufrызowane przez ekskluzywnego fryzjera. Była średniego wzrostu i szczupła w sposób świadczący o tym, że spędza sporo czasu, studiując podręczniki dietetyki, i uczęszczając na zajęcia aerobiku.

— O co chodzi? — zapytała.

— O Teda Archera — powiedziała Helen.

— O Teda? Mąż powiedział mi, że o Oline.

— Uważamy, że może istnieć związek. Między jego zaginięciem a jej śmiercią.

— Jaki związek? Przecież to, co się przydarzyło Oline, było zupełnie przypadkowe.

— Może nie.

— Nie rozumiem.

— Podejrzewamy, że Oline mogła być celem zamachu, a pozostałe cztery ofiary jedynie zasłoną dymną.

— Czy tym nie powinna zająć się policja?

Helen powiedziała ostrożnie:

— W tym momencie policję najwidoczniej zadowala obecny stan sprawy.

Kobieta zerknęła na męża.

— Zatem nie jestem pewien, czy powinniśmy o tym mówić — rzekł.

— Z nikim? — zapytała Yanni. — Czy tylko ze mną?

— Nie wiem, czy chcemy być w telewizji.

Reacher uśmiechnął się pod nosem. Oto druga strona medalu.

— Chcemy tylko zebrać informacje — zapewniła Yanni. — Od państwa zależy, czy podamy wasze nazwiska.

Kobieta usiadła na kanapie, a jej mąż obok niej, bardzo

blisko. Reacher znów uśmiechnął się pod nosem. Podświadomie przyjęli standardową pozę wszystkich małżeństw udzielających wywiadów. Twarze blisko siebie, idealnie upozowane do kamery. Yanni zauważyła to i usiadła na fotelu naprzeciw nich. Na samym brzegu, pochylając się i opierając łokcie o kolana. z uprzejmym i szczerym uśmiechem. Helen zajęła drugi fotel. Reacher podszedł do okna. Palcem lekko odsunął zasłonę. Na zewnątrz było zupełnie ciemno.

Czas ucieka.

— Niech nam pani opowie o Tedzie Archerze — powiedziała Yanni. — Proszę.

Zwyczajna prośba, lecz ton jej głosu sugerował: Uważam, że wy dwoje jesteście najbardziej interesującymi ludźmi na świecie i chciałabym być waszą przyjaciółką. W tym momencie Reacher doszedł do wniosku, że Yanni minęła się z powołaniem. Byłaby wspaniałą policjantką.

— Ted miał problemy w interesach — powiedziała kobieta.

— Czy dlatego zniknął? — spytała Yanni. Kobieta wzruszyła ramionami.

— Tak początkowo sądziła Oline.

— Jednak?

— Później zmieniła zdanie. Sądzę, że słusznie. Ted nie był tego rodzaju człowiekiem. I to nie były problemy tego rodzaju. Po prostu go wyeliminowano, co okropnie go wkurzyło i z czym próbował walczyć. A ludzie, którzy walczą, nie uciekają. Mam rację, prawda?

— W jaki sposób go wyeliminowano?

Kobieta spojrzała na męża. Ten przejął inicjatywę. Męskie sprawy.

— Jego główny klient przestał u niego kupować. Tak bywa. Rynek przeżywa wzloty i upadki. Ted zaproponował negocjację warunków. Chciał obniżyć cenę. Żadnej reakcji. Próbował obniżyć ją bardziej. Powiedział mi, że zniżył cenę tak, że praktycznie sprzedawałby po kosztach własnych. Wciąż żadnej reakcji. Po prostu nie chcieli od niego kupować.

— Jak pan myśli, co się stało? — zapytała Yanni.

Niech pan mówi, proszę pana.

— Korupcja — odparł gospodarz. — Koperty podawane pod stołem. To oczywiste. Jeden z konkurentów Teda przekupił odbiorcę. Uczciwy biznesmen nie jest w stanie walczyć z czymś takim.

— Kiedy to się zaczęło?

— Jakież dwa lata temu. To był dla nich poważny problem. Ich sytuacja finansowa bardzo szybko się pogorszyła. Brakowało im gotówki. Ted sprzedał samochód. Oline musiała pójść do pracy. Znalazła tylko ten etat w wydziale komunikacji. Po miesiącu zrobili ją kierowniczką nadzoru. — Uśmiechnął się dumny z przedstawicielki swojej klasy. — Jeszcze rok i zarządzalaby całym wydziałem. Zostałaby dyrektorką.

— Co Ted robił w tej sprawie? Jak walczył?

— Próbował ustalić, który z rywali go załatwił.

— Udało mu się?

— Nie wiemy. Długo próbował, a potem zagaął.

— Czy Oline napisała o tym, zgłaszając jego zaginięcie? Mężczyzna usiadł wygodnie, a pałeczkę przejęła jego żona.

Pokręciła głową.

— Oline nie chciała. Nie wtedy. Nie mieli żadnych dowodów. Tylko domysły. Nie chciała rzucać nieuzasadnionych oskarżeń. Ponadto nie widziała związku między tymi sprawami. Chyba teraz, kiedy o tym mówimy, wydaje się to bardziej oczywiste niż wtedy. Chcę powiedzieć, że Ted nie był Sherlockiem Holmesem ani nikiem takim. Nie zajmował się tym przez całą dobę siedem dni w tygodniu. Prowadził normalne życie. Po prostu rozmawiał z różnymi ludźmi, kiedy mógł, no wie pani, zadawał pytania, porównywał notatki i ceny, usiłując poskładać to w całość. To trwało dwa lata. Sporadyczne rozmowy, rozmowy telefoniczne, pytania, takie rzeczy. Na pewno nie wydawało się to niebezpieczne.

— Czy Oline poszła kiedyś z tym do kogoś? Może później?

Kobieta kiwnęła głową.

— Zastanawiała się nad tym przez dwa miesiące po jego zniknięciu. Rozmawiałyśmy. Kilkakrotnie zmieniała zdanie. W końcu doszła do wniosku, że te dwie sprawy muszą się ze

sobą łączyć. Zgodziłam się z nią. Nie wiedziała, co robić. Powiedziałam jej, że powinna zawiadomić policję.

— Zrobiła to?

— Nie zadzwoniła. Poszła osobiście. Uważała, że potraktują ją poważniej, jeśli spotka się z nimi twarzą w twarz. Najwyraźniej się myliła. Nic się nie stało. Skończyło się na słowach.

— Kiedy poszła na policję?

— Tydzień przed tą piątkową strzelaniną na placu. Przez chwilę wszyscy milczeli. Potem delikatnie i uprzejmie

Ann Yanni zadała oczywiste w tej sytuacji pytanie:

— Nie podejrzewaliście państwo, że jej śmierć miała z tym jakiś związek?

Kobieta pokręciła głową.

— Dlaczego mielibyśmy podejrzewać? Wydawało się, że to zbieg okoliczności. Snajper strzelał do przypadkowych osób, prawda? Sama pani tak powiedziała. W wiadomościach telewizyjnych. Słyszeliśmy. Pięć przypadkowych ofiar, które znalazły się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie.

Wszyscy zamilkli.

Reacher odwrócił się od okna.

— Czym zajmował się Ted Archer? — zapytał.

— Przepraszam, zakładałem, że to wiecie — odparł gospodarz. — Ma kamieniołom. Wielki, mniej więcej czterdzieści mil na północ stąd. Produkuje cement, beton, kruszywa. Głębokie złoża, bardzo wydajne.

— A klient, który się wycofał?

— Miasto — rzekł mężczyzna.

— Dobry klient.

— Nie ma lepszego. Te wszystkie trwające obecnie remonty to manna z nieba dla ludzi w tym interesie. Miasto sprzedało wolnych od podatku obligacji za dziewięćdziesiąt milionów, żeby pokryć wydatki za pierwszy rok. Dodać do tego nieuniknione przekroczenia kosztów i ktoś ma tu prawdziwe eldorado.

— Jaki samochód sprzedał Ted?

— Mercedesa.

— I czym jeździł do pracy?

— Furgonetką.  
— Widział pan ten samochód?  
— Codziennie przez dwa lata.  
— Jaki to był wóz?  
— Pick-up. Chyba chevrolet.  
— Stary brązowy silverado? Zwykłe stalowe felgi? Facet spojrział na niego ze zdziwieniem.  
— Skąd pan to wie?  
— Mam jeszcze jedno pytanie — rzekł Reacher. — Do pana żony.

Popatrzyła na niego.

— Po tym, jak Oline poszła na policję, czy powiedziała pani, z kim rozmawiała? Może z detektywem Emersonem?

Kobieta już przecząco kręciła głową.

— Mówiłam Oline, że jeśli nie chce dzwonić, to powinna pójść na posterunek, ale powiedziała mi, że to za daleko, że nigdy nie wychodzi na tak długo w porze lunchu. Wybierała się do prokuratora okręgowego. Jego biuro znajduje się znacznie bliżej wydziału komunikacji. Ponadto Oline taka już była. Wołała zaczynać od samej góry. Dlatego poszła do Alexa Rodina.

\*\*\*

W drodze powrotnej do miasta Helen Rodin nie odezwała się słowem. Siedziała w milczeniu, trzęsąc się i dygocząc, z zacisniętymi wargami i szeroko otwartymi oczami. Jej milczenie zamykało usta Reacherowi i Yanni. Jakby całe powietrze zostało wyssane z wnętrza samochodu, pozostawiając czarną dziurę ciszy, tak głośnej, że aż bolesnej.

Prowadziła jak automat, nie za szybko, nie za wolno, mechanicznie przestrzegając znaków drogowych i zatrzymując się na światłach. Zaparkowała na jednym z miejsc przed biurem Franklina i nie wyłączając silnika, powiedziała:

— Idźcie na górę. Ja po prostu nie mogę.

Ann Yanni wysiadła i zaczęła wchodzić po schodach. Reacher został w samochodzie i przechylił się przez oparcie przedniego fotela.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział.

— Nie będzie.

— Helen, wyjmij kluczyk ze stacyjki i zabieraj swój tyłek na górę. Jesteś prawnikiem, a twój klient ma kłopoty.

Potem otworzył drzwiczki po swojej stronie i wygramolił się z samochodu, a zanim go obszedł, ona już czekała na niego u podnóża schodów.

\*\*\*

Franklin, jak zawsze, siedział przy komputerze. Poinformował Reachera, że Cash już wyjechał z Kentucky, nie zadając żadnych pytań. Powiedział też, że Ted Archer nie pojawił się w żadnej innej bazie danych. Potem zauważył dziwne milczenie i napięcie.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Posunęliśmy się o krok — zakomunikował Reacher. — Ted Archer był producentem cementu i został wykołegowany ze wszystkich intratnych kontraktów z miastem przez konkurenta rozdającego łapówki. Próbował tego dowieść i musiał być bliski sukcesu, ponieważ ten konkurent go sprzątnął.

— Możesz tego dowieść?

— Tylko pośrednio. Nigdy nie znajdziemy jego ciała, jeśli nie rozkopiemy ponownie całej First Street. Wiem jednak, gdzie stoi jego samochód. W stodole Jeba Olivera.

— Dlaczego tam?

— Wykorzystywali Jeba Olivera do robienia rzeczy, których nie mogli zrobić sami. Kiedy nie chcieli lub nie mogli pokazywać swoich twarzy. Zapewne Archer ich znał i nie dałby się podejść. Tymczasem Oliver był tutejszy. Może udał, że złapał gumę albo poprosił o podwiezienie. Archer niczego nie podejrzewał. Tamci ukryli jego ciało, a Oliver schował samochód.

— Oline Archer niczego nie podejrzewała?

— W końcu zaczęła. Rozmyślała o tym przez dwa miesiące i przypuszczalnie poskładała wszystko w sensowną całość. Postanowiła to ujawnić i widocznie stanowiła dla tamtych zagrożenie, ponieważ tydzień później już nie żyła. Upozorowało śmierć z ręki szaleńca, bo zaginięcie męża i zamor-

dowanie żony wzbudziłoby podejrzenia. Jednak śmierć w przypadkowej strzelaninie uznano za zbieg okoliczności.

— Do kogo poszła z tym Oline? Do Emersona? Reacher nie odpowiedział.

— Poszła do mojego ojca — odezwała się Helen Rodin. Przez długą chwilę w biurze panowała cisza.

— I co teraz? — zapytał Franklin.

— Musisz znowu postukać w klawiaturę — odparł Reacher. — Ktokolwiek dostał te intratne kontrakty z miastem, musi być tym złym facetem. Dlatego musimy wiedzieć kto to. I gdzie go szukać.

— Publiczne zamówienia — mruknął Franklin.

— Sprawdź je.

Franklin bez słowa odwrócił się i zaczął bębnić po klawiszach. Stukał i klikał przez minutę. Potem otrzymał odpowiedź.

— Specialized Services of Indiana — powiedział. — To oni otrzymali wszystkie obecne kontrakty na dostawy cementu, betonu i kruszywa. Na wiele milionów dolarów.

— Gdzie znajduje się ich siedziba?

— To była dobra wiadomość.

— A zła?

— Brak adresu. To firma zarejestrowana na Bermudach. Nie muszą podawać dokładnych danych.

— Co to za poroniony system?

Franklin nie odpowiedział.

— Firma z Bermudów potrzebuje miejscowego prawnika — powiedziała Helen cichym, zrezygnowanym głosem. Reacher przypomniał sobie szyld na drzwiach biura Rodina: nazwisko, a po nim skrót oznaczający tytuł.

Franklin znowu postukał w klawiaturę.

— Jest numer telefonu — powiedział. — To wszystko, co mamy.

— Jaki to numer? — spytała Helen.

Franklin przeczytał go na głos.

— To nie jest numer telefonu mojego ojca — oświadczyła Helen.

Franklin wywołał spis firm. Wprowadził numer i na ekranie wyświetliło się nazwisko oraz adres.

— John Mistrov — powiedział.

— Rosyjskie nazwisko — zauważył Reacher.

— Chyba tak.

— Znasz go? — zapytał Reacher.

— Słabo. To facet od testamentów i darowizn. Człowiek orkiestra. Nigdy nic dla niego nie robiłem.

Reacher spojrział na zegarek.

— Możesz znaleźć jego domowy adres?

Franklin wywołał spis telefonów prywatnych abonentów. Wprowadził nazwisko i otrzymał adres.

— Mam do niego zadzwonić? — zapytał.

Reacher pokręcił głową.

— Złożymy mu wizytę. Kiedy czas nagli, lepiej spotkać się twarzą w twarz.

\*\*\*

Vladimir zszedł na parter do pomieszczenia obserwacyjnego. Sokolov siedział na ruchomym krześle przed długim stołem, na którym stały cztery monitory. Od lewej do prawej były oznaczone jako północ, wschód, południe i zachód, co miało sens dla osób patrzących na świat zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Sokolov powoli przesuwał swoje krzesło, oglądając kolejno obrazy na ekranach. Wszystkie cztery ekrany były zaśniewane i zielone, ponieważ na zewnątrz zapadł mrok i włączyła się termowizja. Od czasu do czasu było widać jaśniejszą plamkę przemieszczającą się w oddali. Jakieś nocne zwierzę. Lis, skunks, szop, kot albo bezpański pies. Północny monitor rozjaśniała poświata kruszalni. Wkrótce zgaśnie, gdy nieruchome maszyny ostygną. Poza tym wszystkie ekrany były oliwkowozielone, ponieważ wokół nie było nic prócz ciągnących się całe mile pól, nieustannie zraszanych zimną wodą z wciąż obracających się spryskiwaczy.

Vladimir przysunął sobie drugie krzesło i usiadł po lewej ręce Sokolova. Miał obserwować teren na północy i wschodzie. Sokolov skupił się na południu i zachodzie. W ten sposób każdy



z nich będzie pilnował jednego prawdopodobnego i jednego mało prawdopodobnego kierunku. Sprawiedliwy podział pracy.

Na górze, w korytarzu na drugim piętrze, Chenko załadował karabin. Dziesięć pocisków Lake City .308. Jedno, co Amerykanie umieli robić, to amunicja. Pootwierał drzwi wszystkich pokoi, zapewniając sobie szybki dostęp do każdego z okien wychodzących na północ, południe, wschód i zachód. Podeszedł do jednego z nich i włączył noktowizor. Nastawił go na siedemdziesiąt pięć jardów. Przewidywał, że zawiadomią go, kiedy żołnierz znajdzie się w odległości stu pięćdziesięciu jardów. To praktyczny zasięg kamer termowizyjnych. Wtedy podejdzie do właściwego okna i namierzy cel, odległy jeszcze o sto jardów. Będzie go obserwował. Pozwoli mu podejść. Kiedy tamten znajdzie się w odległości siedemdziesięciu pięciu jardów, Chenko go zabije.

Podniósł karabin. Sprawdził obraz. Ten był jasny i ostry. Zobaczył lisa, biegnącego po otwartej przestrzeni, ze wschodu na zachód. Pomyślnych łowów, przyjacielu. Wyszedł na korytarz, oparł broń o ścianę i usiadł na krześle z wysokim oparciem. Czekał na sygnał.

\*\*\*

Helen Rodin uparła się i została w biurze Franklina. Reacher i Yanni pojechali sami mustangiem. Ulice były ciemne i ciche. Yanni prowadziła. Znała miasto. Pod podanym przez Franklina adresem, w połowie drogi między nabrzeżem a torami, znaleźli dawny magazyn przerobiony na budynek mieszkalny. Yanni powiedziała, że to element nowej strategii: Soho w sercu miasta. Powiedziała, że zastanawiała się nad kupnem mieszkania w tym budynku. Potem dodała:

— Powinniśmy uważnie obserwować Helen.

— Nic jej nie będzie — odparł Reacher.

— Myślisz?

— Jestem tego pewien.

— A gdyby to był twój stary?

Reacher nie odpowiedział. Yanni zwolniła, gdy z ciemności wyłonił się masywny budynek z cegieł.

— Ty pytasz pierwsza — powiedział Reacher. — Jeśli nie odpowie, ja zapytam.

— Odpowie — zapewniła Yanni. — Wszyscy odpowiadają.

Jednak nie John Mistrov. Był chudym gościem, mniej więcej czterdziestopięcioletnim. Ubierał się jak rozwodnik i ofiara kryzysu wieku średniego: marmurkowe i zbyt obcisłe dżinsy, czarny podkoszulek, bosa nogi. Zastali go samego w dużym, białym apartamencie, jedzącego chińskie potrawy z kartonowych opakowań. W pierwszej chwili ucieszył się na widok Ann Yanni. Może przestawanie ze znakomitościami było częścią nowego stylu życia, obiecywanego przez developera. Jednak jego początkowy entuzjazm szybko osłabł. I całkiem znikł, kiedy Yanni powiedziała mu o swoich podejrzeniach i zażądała wyjawienia nazwisk właścicieli firmy.

— Nie mogę tego zrobić — powiedział. — Z pewnością rozumie pani, że to poufne. Na pewno to pani wie.

— Wiem, że popełniono poważne przestępstwa — odparła Yanni. — Oto co rozumiem. I pan też musi to zrozumieć. Musi pan opowiedzieć się po właściwej stronie, i to szybko, zanim cała sprawa zostanie podana do wiadomości publicznej.

— Bez komentarza — odrzekł facet.

— Niech pan wybierze właściwą stronę — łagodnie przekonywała Yanni. — Ci ludzie, których nazwiska chcemy poznać, jutro znajdą się w więzieniu. I już z niego nie wyjdą.

— Bez komentarza — powtórzył facet.

— Chce pan utonąć razem z nimi? — zapytała Yanni. Ostro. — Za współudział? Czy wyjść z tego z twarzą? Wybór należy do pana. Tak czy inaczej, znajdzie się pan w jutrzejszych wieczornych wiadomościach. Albo jako aresztowany, albo stojąc i robiąc zdziwioną minę: „O mój Boże, nie miałem o niczym pojęcia, chętnie pomogłem władzom”.

— Bez komentarza — powtórzył po raz trzeci.

Głośno, wyraźnie, zadowolony z siebie.

Yanni poddała się. Wzruszyła ramionami i zerknęła na Reachera. Ten spojrział na zegarek. **Czas ucieka.** Podeszedł do faceta.

— Jest pan ubezpieczony? — zapytał.

Facet skinął głową.

— Ubezpieczenie obejmuje opiekę stomatologiczną? Facet ponownie kiwnął głową.

Reacher uderzył go w usta. Prawą ręką, krótkim i mocnym ciosem.

— Niech się tym zajmą.

Facet zrobił krok w tył, zgiął się wpół, a potem wyprostował, kaszłąc, z brodą zalaną krwią. Rozcięte wargi, obłuzowane zęby, zakrwawione dziąsła.

— Nazwiska — powiedział Reacher. — Już! Albo rozszarpię cię na kawałki.

Facet zawahał się. Błąd. Reacher uderzył go ponownie. Wtedy facet podał nazwiska sześciu osób, razem z rysopisami i adresami, i zrobił to, leżąc na podłodze i krztusząc się krwią.

Reacher spojrział na Yanni.

— Wszyscy odpowiadają — powiedział.

\*\*\*

W powrotnej drodze, siedząc w ciemnej kabinie mustanga, Ann Yanni powiedziała:

— Zadzwoni i ostrzeże ich.

— Nie zrobi tego — odparł Reacher. — Właśnie ich zdradził. Sądzę, że od jutra zrobi sobie długie wakacje.

— Taką masz nadzieję?

— To bez znaczenia. Oni już wiedzą, że po nich przyjdę. Następne ostrzeżenie niczego by nie zmieniło.

— Masz bardzo bezpośrednie podejście. Nie wykładają tego na kursach dziennikarstwa.

— Mogę cię tego nauczyć. Najważniejszy jest element zaskoczenia. Jeśli zdołasz ich zaskoczyć, nie musisz bić bardzo mocno.

\*\*\*

Yanni podyktowała Franklinowi nazwiska podane przez Johna Mistrova. Cztery z nich pokrywały się z tymi, które Reacher już znał: Charlie Smith, Konstantin Raskin, Vladimir Shumilov oraz Pavel Sokolov. Piątym był Grigor Linsky, w któ-

rym Reacher domyślał się inwalidy w niemodnym garniturze, ponieważ szósty nazywał się Zek Chelovek.

— Chyba mówiłeś, że „Zek” to nie imię — przypomniał Franklin.

— Zgadza się — powiedział Reacher. — Tak samo jak „Chelovek”. To transliteracja rosyjskiego słowa oznaczającego człowieka. Zek Chelovek oznacza więźnia i człowieka. Czyli Więzień-Człowiek.

— Pozostali nie używają pseudonimów.

— Zek pewnie też nie. Może przybrał takie nazwisko. Mógł zapomnieć, jak naprawdę się nazywał. Może wszyscy zapomnielibyśmy, gdybyśmy byli więźniami gułagu.

— Mówisz, jakbyś mu współczuł — zauważyła Yanni.

— Wcale mu nie współczuję — odparł Reacher. — Tylko usiłuję go zrozumieć.

— Mistrov nie wspominał o moim ojcu — powiedziała Helen.

Reacher skinął głową.

— To Zek jest zakulisowym manipulatorem. On siedzi na szczycie piramidy.

— Co oznacza, że mój ojciec jest tylko wykonawcą.

— Teraz nie martw się tym. Skup się na Rosemary.

Franklin wywołał internetową mapę i odkrył, że pod podanym przez Johna Mistrova adresem znajduje się wytwórnia kruszywa, zbudowana przy kamieniołomach, osiem mil na północny zachód od miasta. Potem przejrzał wyciągi podatkowe i potwierdził, że Specialized Services of Indiana jest jej zarejestrowanym właścicielem. Sprawdził ponownie wyciągi i odkrył, że jedyną inną nieruchomością należącą do firmy jest dom na parceli sąsiadującej z wytwórnią. Yanni powiedziała, że zna tę okolicę.

— Czy jest tam coś jeszcze? — zapytał ją Reacher.

Przecząco pokręciła głową.

— Przez całe mile nic tylko farmy.

— W porządku — rzekł Reacher. — To tam. Tam przetrzymują Rosemary.

Spojrzał na zegarek. Dziesiąta wieczór.

— I co teraz? — spytała Yanni.  
— Teraz czekamy — powiedział.  
— Na co?  
— Aż Cash dotrze tu z Kentucky. A potem poczekamy jeszcze trochę.  
— Na co?  
Reacher znów się uśmiechnął.  
— Na godzinę duchów — odparł.

\*\*\*

Czekali. Franklin zaparzył kawę. Yanni opowiadała o pracy w telewizji, o ludziach, których poznała, i zdarzeniach, które widziała, o przyjaciółkach gubernatora, o kochankach żon polityków, ustawionych przetargach, mafijnych związkach zawodowych, o akarach marihuany rosnącej za zasłoną kukurydzy sadzonej tylko na brzegach pól w Indianie. Potem Franklin opowiadał o swojej pracy w policji. Jeszcze później Reacher opowiedział o swoim życiu wagabundy, jakie wiódł po wyjściu z wojska, o nieustannych wędrówkach i odkryciach.

Helen Rodin cały czas milczała.

Dokładnie o jedenastej usłyszeli warkot silnika diesla, odbijający się echem od ceglanego muru po drugiej stronie ulicy. Reacher podszedł do okna i zobaczył humvee Casha, wjeżdżający na miniparking przed biurem. Zbyt hałaśliwy, pomyślał. Nie możemy go użyć.

A może jednak.

— Przybyła piechota morska — oznajmił.

Usłyszeli kroki Casha na schodach. I pukanie do drzwi. Reacher wyszedł na korytarz i otworzył je. Cash wszedł rażnym, miarowym, pewnym krokiem. Był ubrany na czarno. Czarne brezentowe spodnie, czarna brezentowa kamizelka bez rękawów. Reacher przedstawił wszystkich. Yanni, Franklin, Helen Rodin. Uścisnęli sobie dłonie i Cash usiadł. Po dwudziestu minutach w pełni orientował się w sytuacji.

— Załatwili dziewiętnastoletnią dziewczynę? — zapytał.

— Spodobałaby ci się — powiedział Reacher.

— Mamy jakiś plan?

— Zaraz będziemy mieli — obiecał Reacher.

Yanni poszła do samochodu po mapy. Franklin pozbierał kubki po kawie i zrobił miejsce na stole. Yanni wybrała właściwą mapę. Rozłożyła ją na stole.

— To jak olbrzymia szachownica — powiedziała. — Każdy prostokąt ma sto jardów kwadratowych. Pole jest poprzecinane siecią dróg biegnących z północy na południe i z zachodu na wschód, co dwadzieścia takich kwadratów. — Pokazała. Szczupłym palcem z polakierowanym paznokciem. — Tylko w tym miejscu mamy dwie spotykające się drogi i w południowo-wschodnim rogu powstałego w wyniku tego trójkąta mamy pusty obszar szeroki na trzy pola i długi na pięć. Tam nie ma żadnych upraw. Na północy jest wytwórnia kruszywa, a na południu dom. Widziałam go. Stoi około dwustu jardów od drogi, samotny budynek na pustkowiu. Nie ma ogrodu ani żadnej roślinności. Ani ogrodzenia.

— Płaski teren? — zapytał Reacher.

— Jak stół bilardowy — odparła Yanni.

— Jest ciemno — rzekł Cash.

— Jak w studni — powiedział Reacher. — Sądzę, że brak ogrodzenia świadczy o tym, że używają kamer. Zapewne z urządzeniami termowizyjnymi na podczerwień.

— Jak szybko potrafisz przebiec dwieście jardów? — zapytał Cash.

— Jak? — odparł Reacher. — Tak wolno, że mogliby zamówić karabin przez telefon i odebrać przesyłkę, a potem mnie z niego zastrzelić.

— Skąd najlepiej podejść?

— Od północy — powiedział Reacher. — Bez wątpienia. Moglibyśmy zjechać z szosy do wytwórni, a potem podejść bliżej. Później moglibyśmy czekać na odpowiednią chwilę. Bylibyśmy osłonięci.

— Jeśli mają kamery termowizyjne, to nie da się ich podejść.

— Później będziemy się tym martwić.

— Dobrze, ale na pewno przewidzieli atak od północy. Reacher skinął głową.

— Zostawmy północ. To zbyt oczywiste rozwiązanie.

— Niemal równie dobry kierunek to południe lub wschód. Zdaje się, że od zachodu biegnie droga dojazdowa. Jest prosta i nie daje żadnej osłony.

— Oni na pewno też tak uważają.

— No to też mają rację.

— Podoba mi się ta droga dojazdowa — mruknął Reacher. — Jaka ona jest? Brukowana?

— Utwardzona żwirem — powiedziała Yanni. — Mają go dużo.

— Hałaśliwa nawierzchnia — zauważył Cash.

— Na pewno nagrzana słońcem — powiedział Reacher. — Cieplesza niż ziemia. Da kolorowy pas na obrazach termowizyjnych. Na słabo kontrastowym ekranie po obu jej stronach będą ciemne pasy.

— Żartujesz? — powiedział Cash. — Twoje ciało miałoby temperaturę o kilkanaście stopni wyższą od otoczenia. Byłbyś widoczny jak rasa.

— Będą pilnować od południa i od wschodu.

— Nie tylko.

— Masz lepszy pomysł?

— A może frontalny atak? Samochodami?

Reacher uśmiechnął się.

— Jeśli trzeba zrównać ten budynek z ziemią, wezwijcie piechotę morską.

— Przyjąłem — potwierdził Cash.

— To zbyt ryzykowne — ocenił Reacher. — Musimy ich zaskoczyć i nie możemy rozpętać tam strzelaniny. Musimy myśleć o Rosemary.

Nikt się nie odezwał.

— Podoba mi się ten podjazd — powtórzył Reacher.

Cash spojrział na Helen Rodin.

— Moglibyśmy po prostu zawiadomić policję — rzekł. — No wiecie, jeśli to prokurator jest tym złym facetem. Mogliby się tym zająć antyterrorysty.

— Ten sam problem — orzekł Reacher. — Rosemary byłaby martwa, zanim podeszłoby do drzwi.

— Odciąć zasilanie? Wyłączyć kamery?

— To samo. Uprzedzilibyśmy o naszym przybyciu.  
— Ty coś wymyśl.  
— Ta droga dojazdowa — odparł Reacher. — Podoba mi się.  
— A co z kamerami?  
— Coś wymyślę — obiecał Reacher. Podeszedł do stołu.  
Popatrzył na mapę. Potem znów odwrócił się do Casha. — Czy masz w samochodzie odtwarzacz kompaktowy?  
Cash skinął głową.  
— Był w pakiecie.  
— Miałbyś coś przeciwko temu, żeby Franklin poprowadził humvee?  
— Może go sobie zabrać. Ja wolę sedana.  
— W porządku, więc twój humvee będzie naszym środkiem transportu. Franklin dowiedzie nas tam, wysadzi, a potem wróci tutaj.  
— Nas? — zapytała Yanni. — Wszyscy jedziemy?  
— Jasne — odparł Reacher. — Cała czwórka. Franklin wróci tutaj, a jego biuro będzie naszym centrum łączności.  
— Dobrze — powiedziała Yanni.  
— Potrzebne będą telefony komórkowe — rzekł Reacher.  
— Ja mam jeden — zgłosiła Yanni.  
— Ja też — dodał Cash.  
— I ja — powiedziała Helen.  
— Ja nie mam — rzekł Reacher.  
Franklin wyjął z kieszeni małą nokię.  
— Weź mój — zaproponował. Reacher wziął telefon.  
— Możesz ustanowić połączenie konferencyjne? Cztery nasze komórki i twój telefon stacjonarny? Jak tylko tutaj wrócisz?  
Franklin skinął głową.  
— Podajcie mi numery.  
— I wyłączcie dzwonki — przypomniał Reacher.  
— Kiedy to zrobimy? — zapytał Cash.  
— Czwarta rano to moja ulubiona pora — odparł Reacher. — Jednak oni będą tego oczekiwali. Nauczyliśmy się tego od nich. Czwarta rano to pora, kiedy KGB pukało do drzwi.



Napotykało najsłabszy opór. Kwestia biorytmu. Dlatego zaskoczmy ich. Zrobimy to o drugiej trzydzieści.

— Jeśli ich zaskoczysz, nie będziesz musiał uderzać bardzo mocno? — podsunęła Yanni.

Reacher pokręcił głową.

— W tej sytuacji, jeśli ich zaskoczmy, oni nie uderzą mocno mnie.

— A gdzie ja mam być? — zapytał Cash.

— Przy południowo-zachodnim rogu wytwórni żwiru — powiedział Reacher. — Poobserwujesz dom od południowego wschodu. Będziesz widział jednocześnie jego zachodnią i północną ścianę. Weźmiesz karabin.

— W porządku.

— Co masz dla mnie?

Cash sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął pochwę z nożem. Rzucił go Reacherowi. Ten złapał nóż. Standardowy navy seal SRK. Część wyposażenia. Hartowana stal, epoksydowana na czarno, siedmiocalowe ostrze. Używany.

— To wszystko? — spytał Reacher.

— Wszystko, co mam — odparł Cash. — Jedyna broń, jaką mam, to mój karabin i ten nóż.

— Żartujesz.

— Jestem biznesmenem, nie psycholem.

— Rany boskie, sierżancie, mam iść z nożem na pistolety? Chyba powinno być odwrotnie.

— To wszystko, co mam — powtórzył Cash.

— Wspaniale.

— Możesz zabrać broń pierwszemu, którego załatwisz. Spójrzmy prawdzie w oczy: jeżeli nie podejdziesz dostatecznie blisko, żeby zakłuć kogoś z nich, to i tak nie zwyciężysz.

Reacher nic nie powiedział.

\*\*\*

Czekali. Minęła północ. Dwunasta trzydzieści. Yanni wzięła swój telefon komórkowy i gdzieś zadzwoniła. Reacher kolejny raz powtórzył cały plan. Najpierw w myślach, potem na głos,

żeby wszyscy słyszeli. Szczegóły, dyspozycje, warianty, poprawki.

— Być może zmienimy ten plan — powiedziała. — Kiedy będziemy na miejscu. Dowiemy się, kiedy obejrzymy teren.

\*\*\*

Czekali. Pierwsza. Pierwsza trzydzieści. Reacher zaczął się zastanawiać, co zrobi, kiedy będzie po wszystkim. Co się stanie po zwycięstwie. Zwrócił się do Franklina.

— Kto jest najważniejszy po Emersonie? — zapytał.

— Kobieta, niejaka Donna Bianca — odparł Franklin.

— Jest dobra?

— Prawie tak jak on.

— Powinna tam być. Po wszystkim zacznie się prawdziwy cyrk. Za dużo dla jednego. Chcę, żebyś ściągnął tam Emersona i Donnę Biancę. Oraz Alexa Rodina. Kiedy zwyciężymy.

— Będą w łózkach.

— No to ich zbudzisz.

— Jeśli zwyciężymy — powiedział Franklin.

\*\*\*

O pierwszej czterdzieści pięć zaczęli się niepokoić. Helen Rodin podeszła i przykucnęła obok Reachera. Podniosła nóż. Obejrzała go. Odłożyła na miejsce.

— Dlaczego to robisz? — zapytała.

— Ponieważ mogę. I z powodu dziewczyny.

— Zginiesz.

— Mało prawdopodobne — odparł Reacher. — To starzy ludzie i głupcy. Przeżyłem gorsze rzeczy.

— Tylko tak mówisz.

— Jeśli uda mi się dostać do środka, nic mi nie będzie. Walka w domu to łatwizna. Ludzie są przerażeni, kiedy intruz wtargnie do domu. Nienawidzą tego.

— Nie zdołasz dostać się do środka. Zobaczą cię.

Reacher sięgnął do kieszeni i wyjął błyszczącą nową ćwierćdolarówkę, która uwierała go w samochodzie. Podał ją Helen.

- To dla ciebie — powiedział. Spojrzała na nią.
- Na pamiątkę po tobie?
- Na pamiątkę dzisiejszej nocy. Potem spojrzął na zegarek. Wstał.
- Do roboty — powiedział.

# 16

Przez moment stali w ciemności i ciszy na parkingu pod oknami biura Franklina. Potem Yanni poszła do swojego mustanga po płytę Sheryl Crow. Dała ją Cashowi. Ten otworzył humvee, pochylił się i wsunął płytę do odtwarzacza. Potem dał Franklinowi kluczyki. Franklin usiadł za kierownicą. Cash zajął miejsce obok niego i położył sobie na kolanach M24. Reacher, Helen Rodin i Ann Yanni upchnęli się z tyłu.

— Włączcie ogrzewanie — powiedział Reacher.

Cash pochylił się w lewo i nastawił maksymalną temperaturę. Franklin zapuścił silnik. Wyjechał tyłem na ulicę. Wykręcił i ruszył na zachód. Później skręcił na północ. Silnik głośno pracował, a samochód trząśł. Włączyło się ogrzewanie i nawiew powietrza. W kabinie zrobiło się ciepło, a potem gorąco. Skręcili na zachód i na północ, znów na zachód i na północ, jadąc drogami przecinającymi pola. Trasa składała się z długich prostych odcinków, przerywanych ostrymi zakrętami. Wreszcie pokonali ostatni. Franklin wyprostował się za kierownicą i przyspieszył.

— To tam — powiedziała Yanni. — Wprost przed nami, jakieś trzy mile stąd.

— Włącz muzykę — poprosił Reacher. — Ósmy utwór. Cash nacisnął klawisz.

Każdy dzień jest krętą drogą.

— Głośniej — rzekł Reacher.

Cash podkręcił głośność. Franklin jechał dalej, sześćdziesiąt mil na godzinę.

— Dwie mile! — zawołała Yanni. A potem: — Jedna!

Franklin jechał dalej. Reacher spoglądał przez okno po prawej. Obserwował uciekające w mrok pola. Światła reflektorów na moment wrywały je z objęć ciemności. Spryskiwacze obracały się tak wolno, że wyglądały jak nieruchome. W powietrzu unosiła się mgiełka.

— Długie światła — powiedział Reacher.

Franklin włączył je.

— Muzyka na cały regulator — polecił Reacher. Cash podkreślił głośność na maksimum.

*KAŻDY DZIEŃ JEST KRĘTĄ DROGĄ.*

— Pół mili! — zawołała Yanni.

— Okna! — krzyknął Reacher.

Cztery kciuki nacisnęły cztery guziki i wszystkie cztery szyby opadły o cal. Gorące powietrze i głośna muzyka popłynęły w noc. Reacher patrzył w prawo i zobaczył przelatujący obok, czarny zarys domu — samotnego, odległego, prostokątnego, solidnego, okazałego, z przyćmionymi światłami w oknach. Teren wokół domu był zupełnie płaski. Wyspany żwirem, jasny i bardzo długi podjazd, prosty jak strzała.

Franklin nie zdejmował nogi z pedału gazu.

— Znak stopu za czterysta jardów! — zawołała Yanni.

— Przygotować się! — krzyknął Reacher. — Już czas.

— Sto jardów! — krzyknęła Yanni.

— Drzwi! — krzyknął Reacher.

Troje drzwi uchyliło się. Franklin gwałtownie zahamował. Reacher, Yanni, Helen i Cash wytoczyli się z wozu. Franklin nie wahał się ani sekundy. Ponownie przyspieszył, jakby po prostu przystanął przed znakiem stopu. Reacher, Yanni, Cash i Helen otrzepali się i stanęli zbitą grupką na poboczu drogi. Patrzyli na północ, aż tunę reflektorów, warkot silnika i łoskot muzyki pochłonęły ciemności i odległość.

\*\*\*

Sokolov zobaczył promieniowanie ciepłe humvee na południowym i zachodnim monitorze, gdy samochód był jeszcze pół mili od domu. Trudno było tego nie zauważyć. Potężny

pojazd, jadący z dużą szybkością, ciągnący długie warkocze rozgrzanego powietrza z czterech otwartych okien. Jak go przeoczyć? Na ekranie wyglądał jak lecąca bokiem rakietka. Potem usłyszał go przez ściany. Potężny silnik, głośna muzyka. Vladimir zerknął na niego.

— Przejeżdża? — zapytał.

— Zobaczymy — mruknął Sokolov.

Samochód nie zwolnił. Przemknął obok domu i pojechał dalej, na północ. Na ekranie ciągnął za sobą smugę ciepła, niczym zapasowy zbiornik z paliwem. Przez mury usłyszeli cichnącą w oddali muzykę niczym zawodzenie karetki.

— Przejeżdżał — zdecydował Sokolov.

— Dupek — powiedział Vladimir.

Na górze Chenko również usłyszał te dźwięki. Przeszedł przez pustą sypialnię do okna wychodzącego na zachód i wyjrzał. Ujrzał wielki, czarny wóz jadący z prędkością około sześćdziesięciu mil na godzinę, na długich światłach, błyskający tylnymi światłami i łomoczący tak głośną muzyką, że nawet z odległości dwustu jardów było słychać dudnienie blach bocznych drzwi. Samochód z rykiem przemknął obok domu. Nie zwolnił. Chenko otworzył okno, wychylił się i wyciągnął szyję, obserwując bańkę światła, oddalającą się na północ. Znikła za gąszczem maszyn wytwórni kruszywa. Jednak wciąż było ją widać jako oddalającą się poświatę. Po przejechaniu ćwierć nuli poświata zmieniła kolor. Teraz była czerwona, nie biała. Światła hamowania, rozbłyły przed znakiem stopu. Pozostały włączone przez sekundę. Potem czerwony blask znikł i znów pojawiła się biała poświata, która zaczęła się szybko oddalać.

Zek zawołał z dołu:

— Czy to on?

— Nie! — odkrzyknął Chenko. — Jakiś bogaty dzieciak wybrał się na przejażdżkę.

\*\*\*

Reacher poprowadził ich przez ciemność — czworo ludzi idących gęsiego poboczem asfaltowej drogi, mających po lewej druty ogrodzenia kruszalni, a po prawej wielkie kręgi pól. Po

ryku dźwięku i hałaśliwej muzyce noc wydawała się zupełnie cicha. Nie było słycać żadnych dźwięków poza szmerem padających na ziemię kropel. Reacher podniósł rękę, zatrzymując towarzyszy w miejscu, gdzie płot skręcał pod kątem prostym w prawo i biegł na wschód. Narożny słupek był podwójny i wzmocniony wspornikami. Pobocze było porośnięte wysoką trawą i chwastami. Reacher podszedł bliżej i popatrzył. Znajdował się dokładnie naprzeciwko północno-zachodniego narożnika domu. Zarówno północną, jak i zachodnią ścianę widział pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Ponieważ znajdował się przy narożniku pola, od domu dzieliła go odległość trzystu jardów. Widoczność była bardzo słaba. Przez chmury sączył się słaby blask księżyca, ale nie było żadnego innego źródła światła.

Reacher cofnął się. Skinął na Casha i wskazał mu narożny słupek.

— To twoje stanowisko — szepnął. — Sprawdź je.

Cash podszedł do słupka i przyklęknął w chwastach. Już z odległości sześciu stóp nie było go widać. Włączył noktowizor i przyłożył kolbę do ramienia. Powoli przesunął lufą od lewej do prawej, w górę i w dół.

— Trzy kondygnacje i piwnica — szepnął. — Spadzisty dach kryty dachówkami, siding z desek, wiele okien, jedne drzwi widoczne od zachodu. Żadnej osłony. Cały teren wokół domu został zniwelowany. Żadnej roślinności. Będziesz tam widoczny jak chrabąszcz na prześcieradle.

— Kamery?

Lufa karabinu powoli przesunęła się od lewej do prawej.

— Pod okapem. Jedna na północy, jedna na zachodzie. Możemy założyć, że dwie inne są na tych ścianach, których nie widzimy

— Jak duże?

— A jak duże mają być?

— Tak duże, żebyś mógł w nie trafić.

— Zabawny facet. Trafilibym w nie stąd, nawet gdyby były wielkości szpiegowskich kamer wbudowywanych w zapalniczki.

— W porządku, więc słuchaj — szepnął Reacher. — Oto jak to zrobimy. Ja teraz zajmę wyjściową pozycję. Wszyscy zaczekamy, aż Franklin wróci do biura i nawiąże łączność. Wtedy wykonam ruch. Jeśli będę musiał, poproszę cię, żebyś zniszczył te kamery. Dwoma strzałami, bach, bach. To zatrzyma tamtych na jakieś dziesięć, dwadzieścia sekund.

— Nie zgadzam się — powiedział Cash. — Nie oddam strzałów w kierunku drewnianej budowli, w której przebywa zakładniczka.

— Ona będzie w piwnicy — powiedział Reacher.

— Albo na strychu.

— Będziesz strzelał pod okap.

— Właśnie. Jeśli będzie na strychu i usłyszy strzały, rzuci się na podłogę i może oberwać. W tym miejscu od zewnątrz jest strop, ale od wewnątrz może być podłoga.

— Daruj sobie — rzekł Reacher. — Zaryzykuj.

— Odmawiam. Nie zrobię tego.

— Jezu, sierzancie, straszny z ciebie uparciuch, wiesz? Cash nie odpowiedział. Reacher ponownie podeszedł do narożnika i spojrzął w kierunku domu. Po chwili wrócił.

— W porządku. Mam inny plan. Po prostu obserwuj okna wychodzące na zachód. Jeśli zobaczysz błysk strzału, otworzysz ogień osłonowy w kierunku strzelca. Możemy założyć, że zakładniczka nie znajduje się w tym samym pomieszczeniu co snajper.

Cash ciągle milczał.

— Zrobisz przynajmniej tyle? — zapytał Reacher.

— Możesz już być w środku.

— Zaryzykuję. Podejmę to ryzyko na ochotnika, jasne?

Helen może być świadkiem, że zrobiłem to dobrowolnie. Ona jest prawnikiem. Nic dziwnego, że byłeś trzeci — powiedział Reacher. — Musisz się wyluzować.

— W porządku — uspokoił się Cash. — Jeśli wróg zacznie strzelać, odpowiem ogniem.

— A kto mógłby otworzyć ogień jak nie wróg? Przecież ja mam tylko ten cholerny nóż.

— Piechociarze — mruknął Cash. — Zawsze tylko narzekają.



— A co ja mam robić? — spytała Helen.

— Mam nowy plan — powiedział Reacher. Dotknął dłonią siatki. — Schyl się, przejdź wzdłuż płotu za róg i zatrzymaj się naprzeciwko domu. Nie podnoś się. Nie będą do ciebie strzelać. Za daleko. Czekaj na sygnał. Jeśli będzie trzeba odwrócić uwagę tamtych, poproszę cię, żebyś pobiegła kawałek w kierunku domu, a potem z powrotem. Zygzakiem albo łukiem. Tam i z powrotem. Bardzo szybko. Tak, żeby na ich ekranach pojawił się sygnał. Nic nie będzie ci grozić. Zanim snajper podejdzie do okna, ty znów będziesz za płotem.

Kiwnęła głową. Nie odezwała się.

— A ja? — zapytała Ann Yanni.

— Ty zostań z Cashem. Będziesz stała na straży etyki. Gdyby nie chciał mi pomóc, kopniesz go w tyłek, dobrze?

Nikt się nie odezwał.

— Wszyscy gotowi? — zapytał Reacher.

— Gotowi — odpowiedzieli kolejno.

Reacher znikł w ciemności po drugiej stronie drogi.

\*\*\*

Szedł, po asfalcie, po poboczu, po kamienistym brzegu pola i dalej, przez samo pole, aż na sam środek nawadnianego kręgu. Zaczekał, aż spryskiwacz powoli zatoczył krąg i znalazł się nad nim. Wtedy skręcił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i ruszył na południe, w tym samym tempie co ramię urządzenia, pozwalając, by deszcz kropel zmoczył mu włosy, skórę i ubranie. Ramię spryskiwacza zaczęło się oddalać po swoim kręgu, lecz Reacher poszedł dalej prosto, na sąsiednie pole. Ponownie czekał, aż odnajdzie go ramię spryskiwacza, a potem pomaszerował pod nim, w tym samym tempie, wysoko podnosząc rozłożone ręce, żeby jak najdokładniej zmoczyć ubranie. Kiedy ramię spryskiwacza zaczęło się oddalać, przeszedł na kolejne pole. Potem na następne i jeszcze jedno. Kiedy wreszcie znalazł się blisko domu, zaczął chodzić w kółko pod ramieniem spryskiwacza, jak człowiek pochwycony przez monsun. Czekał na telefon.

Telefon komórkowy Casha zaczął wibrować. Sierżant wyjął go z kieszeni i nacisnął odbiór. Usłyszał głos Franklina, cichy i ostrożny.

— Zgłoszcie się — powiedział detektyw.

— Jestem — usłyszał Cash głos Helen.

— Jestem — zgłosiła się stojąca trzy stopy za nim Yanni.

— Jestem — powiedział Cash.

— Jestem — usłyszał głos Reachera.

— W porządku — powiedział Franklin. — Słyszę was wszystkich głośno i wyraźnie. Piłka na waszej połowie boiska.

— Sierżancie, sprawdź dom — powiedział Reacher.

Cash przyłożył karabin do ramienia i przesunął lufę od lewej na prawo.

— Nic się nie zmieniło.

— Ruszam — oznajmił Reacher.

Potem zapadła cisza. Trwała dziesięć sekund. Dwadzieścia. Trzydzieści. Całą minutę. Dwie minuty.

— Sierżancie, widzisz mnie? — zapytał Reacher,

Cash ponownie sprawdził przez lunetę podjazd aż do drzwi domu.

— Nie. Nie widzę cię. Gdzie jesteś?

— Około trzydziestu jardów od drogi.

Cash spojrzął przez noktowizor. Wycelował go trzydzieści jardów od drogi i przyjrzał się uważnie. Niczego nie dostrzegł. Zupełnie nic.

— Dobra robota, żołnierzu. Idź dalej.

Yanni podczołgała się do Casha i szepnęła mu do ucha:

— Dlaczego go nie widzisz?

— Bo to świr.

— Nie, wyjaśnij mi to. Przecież masz noktowizor, prawda?

— Najlepszy, jaki można kupić — powiedział Cash. — Z detekcją termiczną, tak jak ich kamery. — Potem wskazał na prawo. — Domyślał się, że Reacher poszedł polami. Pod spryskiwaczami. Pobierają wodę prosto z wodociągu, zimną jak diabli. Teraz jego ciało ma temperaturę zbliżoną do otoczenia. Jeśli ja go nie widzę, to tamci też.

— Sprytnie — oceniła Yanni.

— Odważnie — powiedział Cash. — Ale głupio. Ponieważ teraz szybko wysycha. I rozgrzewa się.

\*\*\*

Reacher przeszedł w ciemności przez pole, dziesięć stóp na północ od drogi dojazdowej. Nie za szybko, nie za wolno. Buty miał mokre i oblepione błotem. O mało nie spadły mu z nóg. Był tak zziębnięty, że cały się trząsał. Niedobrze. Dreszcze to reakcja fizjologiczna, której celem jest szybkie rozgrzanie ciała. A on nie chciał się rozgrzać. Jeszcze nie teraz.

\*\*\*

Vladimir wypracował sobie własny rytm. Patrzył na wschodni monitor przez cztery sekundy, a potem na północny przez trzy. Wschodni, dwa, trzy, cztery, północny, dwa, trzy. Wschodni, dwa, trzy, cztery, północny, dwa, trzy. Nie przesuwiał swojego krzesła. Tylko odchyłał się nieco to w jedną, to w drugą stronę. Obok niego Sokolov w podobny sposób obserwował teren od południa i zachodu. W trochę innych odstępach czasu. Nie tak idealnie zsynchronizowanych, ale pewnie równie dokładnie, pomyślał Vladimir. Może nawet dokładniej. Sokolov spędzał wiele czasu przed monitorami.

\*\*\*

Reacher szedł dalej. Nie za szybko, nie za wolno. Na mapie podjazd wyglądał na dwustujardowy. Teraz wydawał się długi jak pas startowy. Prosty jak strzała. Szeroki. I długi, długi, długi. Szedł po nim całą wieczność. I jeszcze nie był nawet w połowie drogi do domu. Szedł dalej. Po prostu szedł. Przez cały czas patrzył przed siebie, obserwując ciemne okna w oddali.

Uświadomił sobie, że woda już nie ścieka mu z włosów.

Dotknął jedną dłonią drugiej. Sucha. Nie ciepła, ale już nie zimna.

Szedł dalej. Miał ochotę pobiec. Biegiem dotarłby tam szybciej. Jednak bieg rozgrzałby go. Zbliżał się do punktu, za którym

nie było już odwrotu. Był na ziemi niczyjej. I już nie drżał. Chwycił telefon.

—Helen — szepnął. — Musisz odwrócić ich uwagę.

\*\*\*

Helen zdjęła buty na wysokim obcasie i ustawiła je równo pod płotem. Przez moment miała absurdalne wrażenie, że właśnie rozbiera się na plaży, żeby wejść do morza i utonąć. Potem oparła dłonie na ziemi, jak sprinterka w bloku, i popędziła przed siebie. Przebiegła dwadzieścia stóp, trzydzieści, czterdzieści, a potem się zatrzymała. Stała zwrócona twarzą w kierunku domu, z szeroko rozpostartymi rękami, niczym strach na wróble. Zastrzel mnie, pomyślała. No proszę, zastrzel. Zaraz jednak przestraszyła się tej myśli, odwróciła się i pobiegła zygakiem z powrotem. Rzuciła się na ziemię i poczołgała wzdłuż ogrodzenia, aż znalazła swoje buty.

\*\*\*

Vladimir zobaczył ją na północnym monitorze. Kształt nie do rozpoznania. Krótki rozbłysk, rozmazana plama lekko przesunięta w czasie na skutek opóźnienia reakcji luminoforu. Pomimo to przybliżył twarz do ekranu, wpatrując się w powidok. Sekundę, dwie. Sokolov zauważył zmianę rytmu i zerknął na Vladimira. Trzy sekundy, cztery.

—Lis? — powiedział Vladimir.

—Nie widziałem — odparł Sokolov. — Zapewne.

—Uciekł.

—I dobrze.

Sokolov odwrócił się do swoich monitorów. Spojrzał na teren od zachodu, sprawdził od południa i wrócił do swojego rytmu.

\*\*\*

Cash też miał swój rytm. Cał po całcu przesuwiał wycelowany w kierunku podjazdu noktowizor, usiłując dostrzec idącego człowieka. Co pięć sekund szybko wodził lufą tam i z powrotem, na wypadek gdyby pomylił się w ocenie. Podczas jednego

z tych szybkich ruchów zauważył coś, co wyglądało jak bladzielony cień.

— Reacher, widzę cię — szepnął. — Jesteś widoczny, żołnierzu.

W słuchawce usłyszał głos Reachera:

— Jaki masz celownik?

— Littona — odparł Cash

— Drogi, no nie?

— Trzy tysiące siedemset dolarów.

— Na pewno lepszy od kiepskiej kamery termowizyjnej. Cash nie odpowiedział.

— Cóż, przynajmniej taką mam nadzieję — rzekł Reacher.

\*\*\*

Szedł dalej. Było to chyba najbardziej nienaturalne zachowanie, do jakiego może zmusić się człowiek: iść powoli i spokojnie w kierunku budynku, z którego ktoś zapewne celuje do ciebie z karabinu. Jeśli Chenko ma choć trochę zdrowego rozsądku, to będzie czekał, czekał i jeszcze raz czekał, aż cel znajdzie się zupełnie blisko. A Chenko sprawiał wrażenie bardzo rozsądnego człowieka. Pięćdziesiąt jardów wystarczy. Albo trzydzieści pięć, tak jak wtedy, kiedy strzelał z parkingu. Chenko był bardzo dobry z trzydziestu pięciu jardów. Co do tego nie było cienia wątpliwości.

Szedł dalej. Wyjął z kieszeni nóż, wyciągnął go z pochwy i trzymał w prawej ręce, nisko i w pogotowiu. Przełożył komórkę do lewej ręki i przytknął do ucha. Usłyszał głos Casha:

— Teraz jesteś już wyraźnie widoczny, żołnierzu. Świecisz jak gwiazda polarna. Jakbyś się palił.

Jeszcze czterdzieści jardów. Trzydzieści dziewięć. Trzydzieści osiem.

— Helen? — powiedział. — Zrób to jeszcze raz. Usłyszał jej głos:

— Dobrze.

Szedł dalej. Wstrzymał oddech.

Trzydzieści pięć jardów.

Trzydzieści cztery.

Trzydzieści trzy.

Wypuścił powietrze z płuc. Szedł dalej, ostrożnie. Jeszcze trzydzieści jardów. Usłyszał głośnie sapanie. To Helen, biegła. Usłyszał głos Yanni, pytającej:

— Jak blisko podszedł? I odpowiedź Casha:

— Nie dość blisko.

\*\*\*

Vladimir pochylił się i powiedział:

— Znowu jest.

Dotknął czubkiem palca ekranu, jakby mógł coś wyczuć dotykiem. Sokolov popatrzył na ekrany. Spędzał przy nich znacznie więcej czasu niż Vladimir. Obserwacja była jego głównym zadaniem. Jego i Raskina.

— To nie lis — orzekł. — Jest o wiele za duży.

Przyglądał się jeszcze pięć sekund. Plama poruszała się na prawo i lewo, na granicy zasięgu kamery. Rozpoznawalna wielkość, rozpoznawalny kształt, niezrozumiałe ruchy. Wstał i podszedł do drzwi. Oparł się rękami o futrynę i wystawił głowę na korytarz.

— Chenko! — zawołał. — Północ!

Za jego plecami na zachodnim ekranie powiększyła się plama wielkości kciuka. Wyglądała jak postać z kolorowanki, namalowana fluorescencyjnymi farbami. Cytrynowożółta na brzegach, chromowożółta na obrzeżu i jaskrawoczerwona w środku.

\*\*\*

Chenko przeszedł przez pusty pokój i otworzył okno jak najszerzej. Potem cofnął się w mrok. W ten sposób był niewidoczny z dołu i można go było trafić, tylko strzelając z drugiego piętra sąsiedniego budynku, lecz tu nie było żadnych sąsiednich budynków. Włączył noktowizor i podniósł karabin. Powiodł lufą po polu dwieście jardów dalej, w górę i w dół, na lewo i na prawo.

Zobaczył kobietę.

Biegała jak szalona, bosą, skacząc na lewo i prawo, tam i z powrotem, jakby tańczyła albo kopała nieistniejącą piłkę. Co jest? — pomyślał Chenko. Zaczął ściągać spust, usiłując przewidzieć jej następny piruet. Próbował odgadnąć, gdzie jej klatka piersiowa znajdzie się jedną trzecią sekundy po strzale. Czekał. Nagle przestała się ruszać. Stała zupełnie nieruchomo, twarzą do domu, szeroko rozkładając ręce, jak strach na wróble.

Chenko nacisnął spust.

I w tym momencie zrozumiał. Cofnął się w kierunku drzwi.

— To podstęp! — wrzasnął. — Podstęp!

\*\*\*

Cash zobaczył błysk wystrzału, zawołał: „Padł strzał!” i błyskawicznie wziął na cel okno od północy. Górna połowa była otwarta, dolna zamknięta. Nie było sensu strzelać w górną. Wznoszący się tor lotu pocisku gwarantował pudło. Dlatego Cash strzelił w szybę. Pomyślał, że jeśli zasypie pomieszczenie gradem odłamków, może popsuje komuś zabawę.

\*\*\*

Sokolov obserwował szalejącą na ekranie Vladimira plamę, gdy usłyszał strzał Chenki i jego ostrzegawczy krzyk. Spojrzył w kierunku drzwi, a potem na południowy monitor. Nic. Potem usłyszał stłumiony huk strzału i brzęk sypiącego się szkła. Wstał od stołu i podszedł do drzwi.

— Jesteś cały? — zawołał.

— To podstęp! — odkrzyknął Chenko. — Na pewno. Sokolov odwrócił się i bardzo uważnie przyjrzał się wszystkim czterem ekranom.

— Nie! — zawołał. — Nie potwierdzam. Nikogo nie widać.

\*\*\*

Reacher dotknął frontowej ściany domu. Stary siding z desek, wielokrotnie malowanych. Reacher znajdował się dziesięć stóp na południe od podjazdu, dziesięć stóp od drzwi frontowych, przy oknie ciemnego i pustego pokoju. Okno było wysokim

prostokątem, podzielonym na dwie połowy. Dolna była podnoszona — wsuwała się za górną. Może ta górna też była przesuwana. Nie wiedział, jak nazywa się ten typ okien. Rzadko mieszkał w domach i nigdy żadnego nie miał. Przesuwne? Podwójne? Nie był pewien. Dom był znacznie starszy, niż się zdawał z daleka. Mógł mieć ze sto lat. Stuletni dom, stuletnie okno. Czy to okno było zamknięte na stuletni haczyk? Przycisnęła policzek do dolnej szyby i spojrzał w górę.

Nic nie zobaczył. Za ciemno.

Nagle usłyszał strzały. Dwa, jeden oddany blisko, drugi dalej. I brzęk szkła.

Potem głos Casha w słuchawce:

— Helen? Wszystko w porządku?

Brak odpowiedzi.

Cash spytał ponownie:

— Helen? Helen?

Nie odpowiedziała.

Reacher schował telefon do kieszeni. Wepchnął ostrze noża w szparę między framugami górnej i dolnej połówki okna. Powoli i ostrożnie przesunął ostrze od prawej do lewej, szukając zasuwki. Znalazł ją na samym środku. Delikatnie postukał w nią. Miał wrażenie, że jest z grubego mosiądzu. Z pewnością obraca się o dziewięćdziesiąt stopni, wchodząc lub wychodząc z gniazda.

Tylko w którą stronę?

Popchnął od prawej w lewo. Ani drgnie. Wyjął nóż i ponownie wepchnął go w szparę, tym razem cał na lewo od środka. Przesunął go, aż znów znalazł zasuwkę. Pchnął od lewej w prawo.

Poruszyła się.

Pchnął mocniej i wysunęła się z gniazda.

Łatwizna.

Podniósł dolną połówkę okna i przetoczył się po parapecie do środka.

\*\*\*

Cash wysunął się naprzód i przesunął lufę karabinu, aż była wycelowana na wschód, wzdłuż ogrodzenia. Spojrzał przez



unetę. Niczego nie dostrzegł. Wycofał się w mrok. Chwy-  
cił telefon.

— Helen? — szepnął.

Cisza.

\*\*\*

Reacher przeszedł przez pusty pokój do drzwi. Były zamknięte. Przyłożył do nich ucho. Nasłuchiwał. Nic nie usłyszał. Powoli i ostrożnie przekręcił klamkę. I równie powoli otworzył drzwi. Wystawił głowę. Sprawdził korytarz.

Pusty.

Z otwartych drzwi piętnaście stóp dalej sączyło się światło. Przystanął. Kolejno podniósł obie nogi i wytarł podeszwy butów o spodnie. Potem otarł dłonie. Na próbę zrobił krok naprzód, sprawdzając podłogę. Żadnego dźwięku. Ruszył naprzód, powoli i bezszelestnie. Jachtowe obuwie do czegoś się przydaje. Trzymał się blisko ściany, gdzie podłoga jest najmocniejsza. Przystanął jard przed otwartymi drzwiami. Nabrał tchu. Zrobił krok.

Stanął w progu.

Zobaczył plecy dwóch mężczyzn. Siedzieli ramie w ramie przy długim stole, plecami do drzwi. Patrzyli na monitory. Widmowo zielone obrazy ciemności. Po lewej Vladimir. Po prawej facet, którego Reacher wcześniej nie widział. Sokolov? Na pewno. Po prawej ręce Sokolova na samym końcu stołu leżał rewolwer. Smith and Wesson model 60. Pierwszy rewolwer z nierdzewnej stali, produkowany na całym świecie. Lufa długości dwóch i pół cala. Pięciostrzałowy.

Reacher jednym długim i bezszelestnym krokiem wszedł do pokoju. Przystanął. Wstrzymał oddech. Obrócił nóż w dłoni. Kciukiem i wskazującym palcem chwycił ostrze cal od końca. Podniósł rękę. Zamachnął się.

Rzucił nóż.

Ostrze wbiło się na dwa cale w kark Sokolova.

Vladimir zerknął w prawo, skąd doleciał głuchy stuk. Reacher nie czekał. Vladimir spojrzął przez ramie. Zobaczył go. Odepchnął krzesło od stołu i zaczął się podnosić. Reacher widział,

że przeciwnik mierzy wzrokiem odległość dzielącą go od rewolweru. Rosjanin skoczył w kierunku broni. Reacher zastąpił mu drogę, uchylił się przed lewym sierpowym, uderzył barkiem w jego pierś, oplótł go ramionami i podniósł w powietrze. Po prostu podniósł go i odwrócił się plecami do stołu.

A potem ścisnął.

Najlepszy sposób, żeby bez hałasu zabić człowieka tak mocno zbudowanego jak Vladimir, to po prostu go zmiażdżyć. Nie bić, nie strzelać, nie szamotać się. Jeśli w zasięgu rąk i nóg przeciwnika nie będzie żadnych sprzętów, nie zdoła narobić hałasu. Żadnych krzyków i wrzasków. Tylko przeciągłe, ledwie słyszalne westchnienie, z jakim wypuści powietrze z płuc, żeby już więcej go nie zaczerpnąć.

Reacher trzymał Vladimira stopę nad podłogą i ścisnął z całych sił. Miażdżył pierś Vladimira w niedźwiedzim uścisku, tak morderczym i strasznym, że nie zdołałaby go rozerwać żadna ludzka siła. Vladimir nie spodziewał się czegoś takiego. Sądził, że to wstęp do dalszych zmagania. Początek walki. Kiedy zrozumiał, oszalał ze strachu. Zasypał plecy Reachera gradem uderzeń i kopał go po łydkach. Głupiec, pomyślał Reacher. Tylko spalasz tlen. A nie odnowisz zapasu, koleś. Możesz mi wierzyć. Zacisnął chwyt. Ścisnął mocniej. I mocniej. I jeszcze mocniej, zgodnie z nieubłaganym rytmem, słanym przez podświadomość: **jeszcze, jeszcze, jeszcze**. Zacisnął zęby. Serce waliło mu w piersi. Mięśnie nabrzmiały i stwardniały jak głazy, aż zaczęły boleć. Poczul, jak żebra Vladimira uginają się, trzeszczą, rozchodzą się, pękają. Usłyszał, jak resztki powietrza uchodzą mu ze zmiażdżonych płuc.

Sokolov poruszył się.

Reacher zachwiał się pod ciężarem Vladimira. Niezgrabnie obrócił się na pięcie. Drugą nogą kopnął w rękojeść noża. Sokolov znieruchomiał. Vladimir przestał się ruszać. Reacher nie rozluźniał chwytu jeszcze przez minutę. Potem powoli pochylił się i położył ciało na podłodze. Przykucnął. Nabrał tchu. Poszukał tętna.

Nie znalazł.

Wstał, wyrwał nóż z karku Sokolova i poderżnął Vladimirowi

gardło, od ucha do ucha. To za Sandy, pomyślał. Potem odwrócił się i poderżnął gardło Sokolowowi. Na wszelki wypadek. Krew zebrała się na blacie stołu i kapała na podłogę. Nie trysnęła. Po prostu wyciekała. Serce Sokolova już przestało bić. Reacher przykucnął i otarł ostrze o koszulę Vladimira, najpierw jedną, potem drugą stronę klingi. Wyjął z kieszeni telefon. Usłyszał głos Casha:

— Helen?

— Co się dzieje? — szepnął.

— Oddano strzał w naszą stronę — odpowiedział Cash. — Helen się nie zgłasza.

— Yanni, idź w lewo — powiedział Reacher. — Znajdź ją. Franklin, jesteś tam?

— Jestem — odparł detektyw.

— Bądź gotowy wezwać pogotowie — powiedział Reacher.

— Gdzie jesteś? — zapytał Cash.

— W domu.

— A obrona'?

— Nieskuteczna — odparł Reacher. — Skąd padł strzał?

— Z okna na drugim piętrze, od północy. Co ma sens. Pośleli snajpera na górę. Zajmie stanowisko zgodnie z tym, co zobaczą kamery.

— Już nie — powiedział Reacher.

Schował telefon do kieszeni. Podniósł broń. Sprawdzał bębnek. Wszystkie komory pełne. Pięć kul Smith and Wesson .30 Special. Wyszedł na korytarz, trzymając w prawej ręce nóż, a w lewej rewolwer. Zaczął szukać drzwi do piwnicy.

\*\*\*

Cash usłyszał, jak Yanni mówi sama do siebie, odchodząc w lewo. Cicho, lecz wyraźnie, jakby komentowała mecz. Mówiła:

— Teraz idę na wschód, nisko pochylona, kryjąc się w ciemności i trzymając blisko ogrodzenia. Szukam Helen Rodin. Wiemy, że do niej strzelili. Teraz jej telefon nie odpowiada. Mamy nadzieję, że nic się jej nie stało, ale obawiamy się, że może być inaczej.

Cash nasłuchiwał, aż jej głos ucichł w oddali. Z rozba-  
wieniem pokręcił głową. Potem przycisnął oko do lunety i  
obserwował dom.

\*\*\*

Rosemary Barr nie było w piwnicy. Po niecałej minucie  
Reacher był tego najzupełniej pewien. Piwnica była jednym  
rozległym pomieszczeniem, wilgotnym, słabo oświetlonym i  
całkiem pustym, jeśli nie liczyć fundamentów trzech kominów z  
cegłał.

Reacher przystanął przy skrzynce z bezpiecznikami. Miał  
ochotę wyłączyć zasilanie. Jednak Chenko miał noktowizor,  
a on nie. Tak więc cicho poszedł po schodach na górę.

\*\*\*

Yanni znalazła buty Helen Rodin, kiedy potknęła się o nie.  
Stały równo ustawione pod płotem. Wysokie obcasy, czarna  
skóra, lekko błyszcząca w blasku księżyca. Yanni zawadziła  
o nie nogą i usłyszała charakterystyczny odgłos przewracają-  
cych się butów. Pochyliła się i podniosła je. Powiesiła za obcasy  
na płocie.

— Helen? — szepnęła. — Helen? Gdzie jesteś?

— Tutaj — usłyszała głos.

— Gdzie?

— Tutaj. Idź dalej.

Yanni poszła dalej wzdłuż ogrodzenia. Zobaczyła czarny  
kształt, skulony pod płotem.

— Upuściłam komórkę — powiedziała Helen. — Nie mogę  
jej znaleźć.

— Nic ci nie jest?

— Nie trafił mnie. Skakałam jak szalona. Jednak kula prze-  
leciała bardzo blisko. Przestraszyłam się. Upuściłam telefon  
i uciekłam.

Helen usiadła. Yanni przykucnęła obok niej.

— Spójrz — powiedziała Helen.

Trzymała coś na dłoni. Coś jasnego. Monetę. Ówierćdola-  
rówkę, nową i błyszcząca.

- Co to? — spytała Yanni.  
— Ćwierćdolarówka — odparła Helen.  
— I co z nią?  
— Dał mi ją Reacher.

Helen uśmiechała się. Yanni w blasku księżyca zobaczyła błysk jej białych zębów.

\*\*\*

Reacher skradał się korytarzem. Po drodze otwierał drzwi i przeszukiwał pomieszczenia po lewej i prawej. Wszystkie były puste. Nieużywane. Przystanął u podnóża schodów. Wycofał się do pustego i rozległego pokoju, który kiedyś zapewne pełnił funkcję salonu. Przykucnął, położył nóż na podłodze i wyjął telefon komórkowy.

- Sierzancie? — szepnął.  
— Znów z nami? — zgłosił się Cash.  
— Miałem telefon w kieszeni.  
— Yanni znalazła Helen. Nic jej me jest.  
— Dobrze. Piwnica i parter czyste. Chyba miałeś rację. Rosemary jest na strychu.  
— Teraz idziesz na górę?  
— Chyba będę musiał.  
— Ilu do tej pory?  
— Dwóch.  
— Na górze będzie ich więcej.  
— Też tak uważam.  
— Przyjąłem.

Reacher schował komórkę do kieszeni i podniósł z podłogi nóż. Wstał i wyszedł na korytarz. Schody znajdowały się z tyłu domu. Były szerokie, z piętrowymi podestami i płytkami stopniami. Bardzo okazałe. Po każdym podeście zmieniały kierunek. Do pierwszego podestu dotarł, wchodząc tyłem. To miało sens. W ten sposób natychmiast by zauważył, gdyby ktoś próbował przechylić się przez poręcz i spojrzeć w dół. Reacher trzymał się blisko ściany. Jeśli schody skrzybiały, to najbardziej na środku. Szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy, delikatnie i z rozmysłem. Cicho. Jachtowe obuwie do czegoś się przyda je.

Kiedy wszedł na szósty stopień, jego głowa znalazła się na wysokości podłogi pierwszego piętra. Wycelował rewolwer. Wszedł na kolejny stopień. Teraz widział cały korytarz. Pusty. Cichy, wyłożony chodnikiem, oświetlony jedną słabą żarówką. Nie było w nim niczego interesującego, tylko zamknięte drzwi, po trzy z obu stron. Reacher odetchnął i dotarł na podest. Skręcił w lewo i pokonał drugi rząd schodków. Wyszedł na górę. Znalazł się na korytarzu.

I co teraz?

Sześcioro zamkniętych drzwi. Kto jest gdzie? Powoli ruszył w kierunku frontowych pomieszczeń. Nadstawił uszu przy pierwszych drzwiach. Niczego nie usłyszał. Poszedł dalej. Za drugimi drzwiami też panowała cisza. Znowu ruszył naprzód, ale zanim zdążył dojść do trzecich drzwi, usłyszał jakieś dźwięki nad głową. Dochodziły z drugiego piętra. W pierwszej chwili nie potrafił ich zidentyfikować. Szuranie, drapanie, chrzęst, powtarzające się regularnie i za każdym razem zakończone lekkim tupnięciem. Hurgot, chrobot, chrzęst, stuk. Hurgot, chrobot, chrzęst, stuk. Spojrzał na sufit. W tym momencie otworzyły się trzecie drzwi i na korytarz tuż przed nim wyszedł Grigor Linsky. Zastygł.

Miał na sobie ten znajomy dwurzędowy garnitur. Szary, watowane ramiona, mankiety przy nogawkach spodni. Reacher pchnął go nożem w gardło. Błyskawicznie, prawą ręką, instynktownie. Wbił ostrze głęboko i szarpnął w lewo. Przetnij krtań. Ucisz. Zrobił krok w bok, uchylając się przed fontanną krwi. Chwycił padającego pod pachy i wciągnął z powrotem do pomieszczenia, z którego Linsky wyszedł. Była to kuchnia. Linsky parzył herbatę. Reacher wyłączył palnik pod czajnikiem. Położył rewolwer i nóż na kuchennym blacie. Pochylił się, ścisnął rękami głowę Linsky'ego, obrócił w lewo i gwałtownie szarpnął w prawo. Złamał mu kark. Trzask był niepokojąco głośny. W domu było bardzo cicho. Reacher podniósł rewolwer i nóż, nadstawiając uszu. Nie usłyszał żadnych podejrzanych dźwięków poza tym szuraniem, skrobaniem i chrzęstem. Wrócił na korytarz. Nagle zrozumiał.

Szkló.

Cash odpowiedział ogniem na strzał oddany przez Chenkę z północnego okna i jak każdy dobry snajper postarał się wyrządzić jak największe szkody. I jak każdy dobry snajper, Chenko starał się, aby na zajęтым stanowisku nic nie przeszkodziło mu w oddaniu strzału. Sprząta rozbite szkło. Miał dwadzieścia pięć procent szans na to, że znów zostanie skierowany do tego okna i nie chciał, żeby coś utrudniło mu dojście.

Hurgot, chrobot, chrzęst, stuk. Kantem buta zgarniał szkło na bok. Na kupkę. Potem robił krok naprzód i powtarzał tę czynność. Robił sobie szerokie na dwie stopy przejście. Żeby móc przejść przez pokój bez obawy, że może się pośliznąć lub potknąć.

Jak daleko odszedł?

Reacher podkradł się do kolejnych schodów. Były identyczne z tymi, które prowadziły z parteru na piętro. Szerokie, płytkie, z podestami. Zaczął wchodzić na nie tyłem, nasłuchując. Hurgot, chrobot, chrzęst, stuk. Przeszedł przez podest i ruszył dalej, twarzą do kierunku marszu. Korytarz drugiego piętra był taki sam jak ten niżej, tylko bez chodnika. Gołe deski. Na środku stało jedno krzesło z wysokim oparciem. Wszystkie drzwi były otwarte. Północny pokój znajdował się po prawej. Reacher poczuł napływające stamtąd zimne powietrze. Trzymając się blisko ściany, ruszył naprzód. Odgłosy stały się głośniejsze. Przycisnął się do ściany. Nabrał tchu. Powoli obrócił się na pięcie i zrobił krok w lewo. Stał w progu.

Chenko był dwanaście stóp dalej. Plecami do drzwi. Twarzą do okna. Szyby obu połówek okna zostały rozbite. W pokoju było zimno. Podłogę pokrywała warstwa szkła. Chenko oczyszczał sobie przejście od drzwi do okna. Został mu jeszcze kawałek do oczyszczenia. Karabin stał oparty o ścianę, sześć stóp dalej. Snajper był zgarbiony i całkiem pochłonięty swoim zajęciem. Ponieważ było bardzo ważne. Pośliznąwszy się na odłamku szkła, mógłby stracić kilka cennych sekund. Chenko miał zasady.

I zaledwie dziesięć sekund życia przed sobą.

Reacher schował nóż do kieszeni. Rozprostował palce prawej dłoni. Ruszył. Powoli i cicho poszedł oczyszczonym przez

Chenkę przejściem. Cztery bezgłośnie kroki. Chenko wyczuł jego obecność. Wyprostował się. Reacher od tyłu złapał go za kark. Jedną ręką. Mocno ścisnął. Zrobił jeszcze jeden długi i szybki krok, po czym pchnął Chenkę, wyrzucając go przez rozbite okno.

— Ostrzegałem cię — szepnął w ciemność za oknem. — Powinieneś być mnie załatwić, kiedy miałeś szansę.

Potem wyjął z kieszeni telefon.

— Sierżancie? — szepnął.

— Jestem.

— Okno na drugim piętrze, to, w które strzeliłeś. Widzisz je?

— Widzę.

— Przed chwilą wypadł przez nie facet. Jeśli się podniesie, zastrzel go.

Potem znów schował komórkę i poszedł szukać drzwi na strych.

\*\*\*

Znalazł Rosemary Barr całą i zdrową, siedzącą spokojnie na podłodze strychu. Nogi, ręce i usta miała oklejone taśmą. Reacher przyłożył palec do ust. Kiwnęła głową. Przeciął jej więzy zakrwawionym nożem i pomógł wstać. Przez moment nie mogła ustać. Potem otrząsnęła się i lekko skinęła głową. Uśmiechnęła się. Reacher zgadł, że chcąc za wszelką cenę pomóc bratu, zapomniała o strachu i wszelkich innych uczuciach, jakie mogła w tej chwili żywić. Jeśli ona wyjdzie z tego cała, to on też. To przekonanie podtrzymało ją na duchu.

— Już ich nie ma? — szepnęła.

— Wszystkich oprócz Raskina i Zeka — odparł szeptem Reacher.

— Raskin sam się zabił. Słyszałam ich rozmowę. Zek kazał mu to zrobić. Za to, że pozwolił sobie ukraść telefon komórkowy.

— Gdzie teraz może być Zek?

— Najczęściej siedzi w salonie. Na pierwszym piętrze.

— Które to drzwi?

— Ostatnie po lewej.



— W porządku, zostań tu — szepnął Reacher. — Zajmę się nim, a potem tu wrócę.

— Nie mogę tu zostać. Wyprowadź mnie stąd.

Zawahał się.

— No dobrze, ale musisz być naprawdę cicho. I nie rozglądaj się na boki.

— Dlaczego?

— Trupy — odparł krótko.

— Cieszę się — powiedziała.

Reacher sprowadził ją po schodach na drugie piętro. Potem sam podszedł do następnych. W budynku panowała cisza. Ostatnie drzwi po lewej były zamknięte. Machnął na Rosemary, żeby zaczęła schodzić. Razem pokonali schody i zeszli na parter. Do pokoju od frontu, przez który Reacher dostał się do środka. Tam pomógł jej przejść przez parapet i zejść z okna na ziemię. Pokazał kierunek.

— Idź tym podjazdem do drogi — powiedział. — Skręć w prawo. Zawiadomię pozostałych, że nadchodzisz. Jest tam facet ubrany na czarno, z karabinem. To jeden z naszych.

Jeszcze przez moment stała nieruchomo. Potem pochyliła się, zdjęła buty na niskich obcasach i trzymając je w rękach, pobiegła co sił w nogach na zachód, w kierunku drogi. Reacher wyjął telefon.

— Sierżancie? — szepnął.

— Jestem.

— Zbliży się do was Rosemary Barr.

— Doskonale.

— Zbierz pozostałych i wyjdźcie jej naprzeciw. Już nikt was nie zobaczy. Potem zaczekajcie. Wrócę do was.

— Przyjąłem.

Reacher schował komórkę. Poszedł z powrotem przez po-grażony w ciszy dom, szukając Zeka.

W końcu wszystko sprowadzało się do czekania. Poczekaj, a przydarzy ci się coś dobrego. Albo złego. Reacher znów zakradł się na piętro. Ostatnie drzwi po lewej wciąż były zamknięte. Wskoczył do kuchni. Linsky leżał na podłodze, na plecach, w kałuży krwi. Reacher ponownie zapalił gaz pod czajnikiem. Potem wyszedł na korytarz. Cicho przeszedł do końca i przycisnął się do ściany za ostatnimi drzwiami po lewej.

I czekał.

Woda w czajniku zagotowała się po pięciu minutach. Ciche popiskiwanie gwizdka po chwili przybrało na sile i zmieniło się w przeszywający gwizd. Po dziesięciu sekundach na całym piętrze rozbrzmiewał przeraźliwy pisk. Kilka sekund później otworzyły się drzwi po prawej ręce Reachera. Na korytarz wyszedł niski mężczyzna. Reacher pozwolił mu zrobić krok naprzód, po czym obrócił go szarpnięciem i wbił mu lufę rewolweru w gardło.

Spojrzał ze zdziwieniem.

Zek był przysadzistym, pomarszczonym, przygarbionym, wysuszonym starcem. Wyglądał jak upiór, ledwie przypominał człowieka. Skórę miał pokrytą okropnymi bliznami i miejscami zupełnie odbarwioną. Twarz pomarszczoną i wykrzywioną okropnym grymasem nienawiści, zdradzającą wściekłość i okrucieństwo. Nie był uzbrojony. Jego okaleczone dłonie wyglądały na niezdolne do utrzymania broni. Reacher popchnął

go w głąb korytarza. Z powrotem do kuchni. Do kuchenki. Pisk czajnika był nie do zniesienia. Reacher lewą ręką zgasił gaz. Potem zawlókł Zeka do salonu. Pisk czajnika powoli ucichł, jak syrena wyłączona po nalocie. W domu znów zrobiło się cicho.

— To już koniec — powiedział Reacher. — Przegrałeś.

— Nigdy nie przegrywam — odparł Zek. Ochryplym, niskim, gardłowym głosem.

— Zgaduj jeszcze raz — powiedział Reacher.

Nadal wbijał lufę rewolweru w szyję Zeka. Za nisko i za blisko, żeby tamten mógł widzieć. Odciągnął kurek. Powoli i ostrożnie. Z rozmysłem. Głośno. Tyk-tyk-tyk-trzask. Dźwięk, którego nie można pomylić z żadnym innym.

— Mam osiemdziesiąt lat — powiedział Zek.

— Możesz mieć nawet sto — odparł Reacher. — I tak już po tobie.

— Idioto — odrzekł Zek. — Przeżyłem o wiele gorsze rzeczy. Dużo wcześniej, niż ty przyszedłeś na świat.

— Nie gorsze od spotkania ze mną.

— Nie pochlebiaj sobie. Jesteś nikim.

— Tak myślisz? Dziś rano byłeś żywy, a jutro będziesz martwy. Po osiemdziesięciu latach. To czyni mnie kimś, nie uważasz?

Zek milczał.

— To już koniec — oświadczył Reacher. — Wierz mi. Długa i kręta droga, w porządku, rozumiem, ale właśnie dotarłeś do jej kresu. Kiedyś musiało się to zdarzyć.

Tamten nadal milczał.

— Wiesz, kiedy mam urodziny? — zapytał Reacher.

— Oczywiście, że nie.

— W październiku. Wiesz którego dnia?

— Nie.

— Zaraz się dowiesz. Będę liczył w myślach. Kiedy dojdę do dnia moich urodzin, nacisnę spust.

Zaczął odliczać w myślach. Pierwszy, drugi. Patrzył w oczy Zeka. Piąty, szósty, siódmy, ósmy. Żadnej reakcji. Dziesiąty, jedenasty, dwunasty.

— Czego chcesz? — zapytał Zek.

**Czas negocjować.**

— Porozmawiać — odparł Reacher.

— Porozmawiać?

— Dwunasty — powiedział Reacher. — Tyle wytrzymałeś. Zanim się poddałeś. Wiesz dlaczego? Ponieważ chcesz przeżyć. To twój najsilniejszy instynkt. Oczywiście. Inaczej, jak zdołałbyś dożyć takiego wieku? To zapewne tak silny instynkt, że nigdy nie zdołałbym go zrozumieć. Odruch, przyzwyczajenie, rzucić kości, pozostać przy życiu, pójść dalej, znowu ryzykować. Masz to w DNA. Tym po prostu **jestes**.

— Co z tego?

— To, że teraz mamy rodzaj pojedynku. Tego, czym ty **jestes**, przeciwko temu, czym ja jestem.

— A czym **jestes**?

— Jestem facetem, który właśnie wyrzucił Chenkę przez okno na drugim piętrze. Po tym, jak gołymi rękami zgmiotłem Vladimira. Ponieważ nie podobało mi się to, co robili niewinnym ludziom. Tak więc teraz musisz przeciwstawić swoje silne pragnienie przetrwania mojemu silnemu pragnieniu, żeby strzelić ci w łeb i naszczać w dziurę po kuli.

Zek milczał.

— Jeden strzał — powiedział Reacher. — W głowę. I gaśnie światło. Możesz wybierać. Następnym razem, następnym rzut kości. Albo nie. Jak wolisz.

W oczach Zeka zobaczył namysł. Ocenic sytuację, zważyć szanse, skalkulować.

— Mógłbym rzucić cię ze schodów — powiedział Reacher. — Potem mógłbyś poczołgać się i spojrzeć na Vladimira. Po tym, jak go udusiłem, poderżnąłem mu gardło. Dla przyjemności. Oto kim jestem. Tak więc nie myśl sobie, że rzucam słowa na wiatr. Zrobię to i przez resztę życia będę sypiał spokojnie jak niemowlę.

— Czego chcesz? — ponownie zapytał Zek.

— Pomocy w rozwiązaniu pewnego problemu — odparł Reacher.

— Jakiego problemu?

— Muszę wydostać z więzienia niewinnego człowieka. Dlatego chcę, żebyś powiedział prawdę detektywowi, który nazywa się Emerson. Prawdę, całą prawdą i tylko prawdę. Musisz powiedzieć, że to Chenko strzelał z parkingu, Vladimir zabił dziewczynę i kto usunął z drogi Teda Archera. Oraz o wszystkich innych przestępstwach, które popełniliście. O wszystkim. Włącznie z tym, jak zaplanowaliście to z Linskym.

W oczach starca zapalił się błysk.

— Po co? Dostałbym karę śmierci.

— Tak, niewątpliwie — przytaknął Reacher. — To pewne jak diabli. Jednak jutro wciąż byś żył. I pojutrze, i popojutrze. Procesy apelacyjne trwają tutaj latami. Czasem mija dziesięć lat. Może dopisze ci szczęście. Może będą uchybienia proceduralne, zbiorowa ucieczka z więzienia, wyjście za kaucją, rewolucja lub trzęsienie ziemi.

— Mało prawdopodobne.

— Owszem — zgodził się Reacher. — Jednak czy to ma znaczenie? Czy nie jesteś facetem, który woli nawet najmniejszą szansę przeżycia kolejnej minuty od braku jakichkolwiek szans?

Zek nie odpowiedział.

— Już odpowiedziałeś mi na to pytanie — rzekł Reacher. — Kiedy przerwałeś naszą grę przy dwunastym października. Bardzo szybko. Październik ma trzydzieści jeden dni. Zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa byłeś bezpieczny do piętnastego lub szesnastego. Ryzykant zaczekałby do dwudziestego. Ty jednak odpuściłeś przy dwunastym. Nie dlatego, że jesteś tchórzem. Tego nikt nie może ci zarzucić. Tak nakazywał ci instynkt. Oto kim jesteś. Teraz oczekuję potwierdzenia z twoich własnych ust.

Cisza.

— Trzynasty — powiedział Reacher. — Czternasty, piętnasty, szesnasty.

— W porządku — powiedział Zek. — Wygrałeś. Porozmawiam z tym detektywem.

Reacher pchnął go lufą rewolweru na ścianę. Wyjął telefon.

— Sierżancie?

— Jestem.

— Przyjdźcie tu, wszyscy. Ja otworzę drzwi. Franklin? Obudź tych ludzi, o których mówiliśmy.

Telefon ogłuchł. Franklin przerwał połączenie, żeby zadzwonić.

\*\*\*

Reacher związał Zekowi ręce oraz nogi przewodami ode-  
rwanymi od lamp stołowych i zostawił go na podłodze salonu.  
Potem zszedł na dół. Zajrzał do pomieszczenia z kamerami.  
Vladimir leżał na plecach w kałuży krwi. Oczy miał szeroko  
otwarte. Gardło też. Reacher dostrzegł w ranie białą kość.  
Sokolov osunął się na stół. Wszędzie było pełno jego krwi.  
Musiała zrobić jakieś zwarcie, gdyż południowy monitor nie  
działał. Pozostałe trzy nadal pokazywały widmowo zielony  
obraz. Na zachodnim było widać cztery postacie na podjeździe.  
Żółte otoczki, czerwone środki. Blisko siebie, poruszały się  
szybko. Reacher zgasił światło i zamknął drzwi za sobą. Prze-  
szedł korytarzem i otworzył frontowe drzwi.

Yanni weszła pierwsza. Za nią Cash. Potem Rosemary. I He-  
len. Ta była boso i niosła w ręku buty. Była ubłocona. Przy-  
stanęła w progu i mocno uściskała Reachera. Stała tak przez  
chwilę, po czym puściła go i weszła do środka.

— Co to za zapach? — zapytała Yanni.

— Krwi — powiedział Cash. — Oraz różnych innych płyn-  
ków ustrojowych.

— Czy oni wszyscy nie żyją?

— Wszyscy oprócz Zeka — odparł Reacher.

Zaprowadził ich na górę. Zatrzymał Rosemary przed  
drzwiami salonu.

— Jest tam Zek — powiedział. — Chcesz tam wejść?  
Skinęła głową.

— Chcę go zobaczyć. Chcę go o coś zapytać.

Weszła do salonu. Zek leżał na podłodze, tam gdzie zosta-  
wił go Reacher. Rosemary stanęła nad nim, spokojnie i z godno-  
ścią, nie triumfalnie. Po prostu zaintrygowana.

— Dlaczego? — zapytała. — Oczywiście, do pewnego

stopnia rozumem, dlaczego uważał pan to za konieczne. Przy-  
najmniej z pańskiego chorego punktu widzenia. Tylko dlaczego  
nie wysłał pan po prostu Chenki, żeby strzelał z autostrady?  
Po co wciągnął pan w to mojego brata?

Zek nie odpowiedział. Tylko patrzył w dal, patrząc na coś,  
ale na pewno nie na Rosemary Barr.

— Psychologia — wyjaśnił Reacher.

— Jego?

— Nasza. Społeczeństwa.

— Jak to?

— Potrzebna była sensacja — powiedział Reacher. — Nie,  
sensacja była nieunikniona, a on chciał mieć sytuację pod  
kontrolą. Dając im sprawcę, na niego kierował zainteresowanie.  
Gdyby nie było sprawcy, zainteresowano by się ofiarami. A  
gdyby zaczęto się nimi interesować, zaczęto by zadawać  
zbyt wiele pytań.

— Dlatego poświęcił Jamesa.

— Zawsze kogoś poświęcał. Lista jego ofiar jest długa.

— Dlaczego?

— Jeden zabity to tragedia, milion zabitych to statystyka.

— Józef Stalin — powiedziała Yanni.

Reacher kopniakiem odsunął Zeka i przyciągnął kanapę  
spod okna. Złapał starego za kołnierz, postawił na nogi i  
pchnął na kanapę. Posadził go na końcu, przy podłokietniku.

— Oto nasz główny świadek — oznajmił.

Kazał Cashowi usiąść na parapecie za kanapą. A Yanni po-  
słał na poszukiwanie trzech krzeseł. Ustawił fotele pod ścia-  
nami. Yanni wracała trzy razy, taszcząc krzesła. Reacher usta-  
wił je rzędem naprzeciw kanapy. W rezultacie siedzenia były  
ustawione w prostokąt: kanapa, krzesła, a po bokach fotele.

Jego ubranie już prawie wyschło. Było tylko trochę wilgotne  
na zgrubieniach szwów. Przygładził palcami włosy. Przyklepał  
je. Spojrzał na zegarek. Prawie czwarta rano. Najślabszy opór.  
Biorytm.

— Teraz zaczekamy — powiedział.

Czekali niecałe pół godziny. Potem usłyszeli w oddali nadjeżdżające drogą samochody. Szmer opon na asfalcie, warkot silników pokasływanie tłumików. Te odgłosy przybierały na sile. Samochody zwolniły. Z chrzęstem wjechały na wysypyany żwirem podjazd. Były cztery wozy. Reacher zszedł na dół i otworzył drzwi. Zobaczył czarnego suburbana, należącego do Franklina. I Emersona wysiadającego z szarego crown vica. Zobaczył niską kobietę o krótkich czarnych włosach, wysiadającą z niebieskiego forda taurusa. Domyślił się, że to Donna Bianca. Alex Rodin wysiadł ze srebrnego bmw. Prokurator zaniknął swój pojazd za pomocą pilota. Tylko on to zrobił.

Reacher odsunął się na bok i wpuścił ich do środka. Potem poprowadził na górę. Posadził Alexa Rodina, Donnę Biancę i Emersona na krzesłach, od lewej do prawej. Franklina usadowił na fotelu, obok Yanni. Rosemary Barr i Helen Rodin usiadły na fotelach po drugiej stronie pokoju. Helen patrzyła na ojca. On na nią. Cash siedział na parapecie. Reacher odszedł na bok i oparł się o futrynę drzwi.

— Zaczynj mówić — powiedział.

Zek milczał.

— Mogę odesłać tych ludzi — rzekł Reacher. — Równie szybko, jak ich tu ściągnąłem. A potem znów zacznę liczyć. Od siedemnastu.

Zek westchnął. Zaczął mówić. Z początku powoli, potem szybciej. Była to długa opowieść. Tak długa i skomplikowana, że można się było pogubić. Wyjawiał szczegóły innych, wcześniejszych zbrodni. Potem zajął się sprawą zdobycia lukratywnych miejskich kontraktów. Podał nazwisko skorumpowanego urzędnika. Nie chodziło tylko o pieniądze. Również dziewczyny, dostarczane małymi grupkami do willi na Karaibach. Niektóre z nich były bardzo młode. Mówił o gniewie Teda Archera, o jego dwuletnich poszukiwaniach, o tym, jak niebezpiecznie zbliżył się do odkrycia prawdy. Opisał zasadzkę zastawioną w pewien poniedziałkowy ranek. Wziął w niej udział Jeb Oliver. Czerwony dodge był jego zapłatą. Potem Zek zamilkł, zastanowił się, podjął przerwana opowieść. Powiedział, jak dwa miesiące później w pośpiechu zdecydowali, że trzeba



pozbyć się Oline Archer, która stała się dla nich zagrożeniem. Opisał intrygą Chenki, pospiesznie, lecz starannie opracowany plan działania, powiedział, jak wywabili Jamesa Barra z domu obietnicą randki z Sandy Dupree. Wyjaśnił, dlaczego Jeb Oliver przestał być użyteczny. I gdzie znajduje się jego ciało. Opowiedział, jak Vladimir zabił Sandy, próbując w ten sposób powstrzymać Reachera. Mówił ponad pół godziny, trzymając związane ręce na kolanach, a potem nagle umilkł i Reacher dostrzegł w jego oczach przebiegły błysk. Stary już zastanawiał się nad następnym posunięciem. Następny rzut kości. Uchybienie proceduralne. Zbiorowa ucieczka z więzienia. Dziesięcioletnia procedura apelacyjna. W pokoju zapadła cisza.

— Niewiarygodne — powiedziała Donna Bianca.

— Mów dalej — polecił Reacher.

Zek tylko na niego spojrzał.

— O czymś zapomniałeś — rzekł Reacher. — Musisz opowiedzieć nam o swojej wtyczce. Wszyscy na to czekamy.

Zek odwrócił głowę. Spojrzał na Emersona. Potem na Donnę Biancę. I na Alexa Rodina. Po kolei, od prawej do lewej. Później popatrzył na Reachera.

— Jesteś twardy — powiedział Reacher. — Jednak nie jesteś głupi. Nie będzie uchybień proceduralnych. Ani zbiorowej ucieczki z więzienia. Masz osiemdziesiąt lat i nie przeżyjesz dziesięcioletniej procedury apelacyjnej. Wiesz o tym. Mimo to zgodziłeś się mówić. Dlaczego?

Zek nie odpowiedział.

— Ponieważ wiedziałeś, że prędzej czy później porozmawiasz z przyjacielem. Z kimś, kto jest twoją własnością. Kimś przekupionym i opłaconym. Mam rację?

Zek powoli skinął głową.

— Z kimś, kto teraz jest tutaj.

Zek znowu kiwnął głową.

— Jedno przez cały czas mnie niepokoiło — kontynuował Reacher. — Od początku. Z początku nie wiedziałem, czy mam rację, czy też tak podpowiada mi moje wybujałe ego. Wciąż się nad tym zastanawiałem. W końcu zdecydowałem,

że mam rację. Bądź co bądź jako żandarm byłem cholernie dobrym detektywem. Może najlepszym, jakiego mieli. Byłem gotów zmierzyć się z każdym, i wiecie co?

— Co? — zapytała Helen Rodin.

— Nigdy nie wpadłbym na to, żeby opróżnić ten parkometr. Choćbym myślał milion lat. Nigdy nie przysłoby mi to do głowy. Tak więc zadałem sobie pytanie. Czy Emerson jest lepszym detektywem ode mnie? Czy też wiedział, że ta ćwierćdolarówka tam jest?

Nikt się nie odezwał.

— Emerson nie jest lepszy ode mnie — powiedział Reacher. — To po prostu niemożliwe. Do takiego doszedłem wniosku. — Zwrócił się do Zeka. — Ta moneta to o jeden dowód za dużo. Teraz to rozumiesz? Przesadziliście. Czy to był pomysł Chenki?

Zek kiwnął głową.

— Nie powinieneś być na to pozwolić — rzekł Reacher. Zwrócił się do Emersona. — Albo ty powinieneś zostawić tam tę monetę. Nie potrzebowaleś jej, żeby oskarżyć Barra.

— Bzdury — powiedział Emerson.

Reacher pokręcił głową.

— Później wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Przeczytałem wykaz telefonów pod dziewięćset jedenaście i rozmów prowadzonych między radiowozami. Bardzo szybko wyciągnąłeś prawidłowe wnioski. Odebraliście kilka telefonów od spanikowanych ludzi, ale ty już po dwudziestu sekundach mówiłeś swoim ludziom, że to szaleni z bronią automatyczną. Nie miałeś podstaw do wyciągania takich wniosku. Sześć strzałów, oddanych w nierównych odstępach czasu, równie dobrze mogło to być sześciu chłopców strzelających z sześciu pistoletów. Ty jednak wiedziałeś, że to jeden strzelec.

— Bzdury — powtórzył Emerson.

Reacher ponownie potrząsnął głową.

— Decydujący dowód zdobyłem, kiedy negocjowałem tu z twoim szefem. Powiedziałem, że będzie musiał wyznaczyć prawdę detektywowi Emersonowi. Mogłem powiedzieć ogólnikowo: policji, Alexowi Rodinowi lub prokuratorowi. Jednak

nie powiedziałem. Wymieniłem twoje nazwisko i zauważyłem błysk w jego oczach. Opierał się jeszcze chwilę dla niepoznaki, ale zgodził się tak szybko, ponieważ wiedział, że nic mu nie grozi, jeśli ty będziesz prowadził śledztwo. Zapadła cisza. Potem Cash powiedział:

— Przecież Oline Archer poszła do Alexa Rodina. To on wszystko zatuszował. Tak ustaliliście.

Reacher znowu przecząco pokręcił głową.

— Ustaliliśmy, że Oline poszła do biura prokuratora okręgowego. Ja też tam poszedłem, zaraz po tym, jak przyjechałem do miasta. I wiecie co? Alex ma tam dwie prawdziwe smoczyce, pilnujące jego drzwi. One wiedzą, że nie lubi niezapowiedzianych gości. Założę się o wszystko, że splawiły Oline. To sprawa dla policji, powiedziały. Jej koleżanka z pracy mówiła, że Oline nie było prawie całe popołudnie. Podejrzewam, że smoczyce wysłały ją na długi spacer na posterunek, gdzie trafiła do Emersona.

W pokoju panowała cisza.

Zek niespokojnie poruszył się na kanapie.

— Emerson, zrób coś, na Boga.

— Nic nie może zrobić — powiedział Reacher. — Nie jestem głupi. Pomyślałem o wszystkim. Jestem pewien, że on ma glocka w kaburze pod pachą, ale ja stoję za nim z trzydziestkąósemką i nożem, a Cash patrzy na niego i ma karabin schowany za sofą, więc co może zrobić? Pewnie mógłby spróbować zabić nas wszystkich i powiedzieć, że doszło tu do jakiejś okropnej masakry, tylko jakby to wyglądało w porównaniu z materiałem NBC?

Emerson wytrzeszczył oczy.

— NBC? — powtórzył Cash.

— Wcześniej zauważyłem, jak Yanni bawiła się swoim telefonem. Zakładam, że transmituje całą tę rozmowę do studia.

Yanni wyjęła nokię.

— Na otwartym kanale — oznajmiła. — Cyfrowy zapis dźwięku na trzech osobnych twardych dyskach oraz zapasowy na dwóch taśmach analogowych. Urządzenia zaczęły nagrywać, zanim jeszcze wsiedliśmy do humvee.

Cash popatrzył na nią ze zdumieniem.

— To dlatego zadawała pani te idiotyczne pytania o noktowizor. I mówiła pani sama do siebie jak sprawozdawca sportowy.

— Jest dziennikarką — powiedział Reacher. — Dostanie nagrodę Emmy.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy nagle poczuli się skrepowani.

— Pani detektyw — głośno powiedział Reacher do Donny Bianki. — Właśnie awansowała pani na szefową wydziału ciężkich przestępstw. Jak się pani czuje?

Yanni uśmiechnęła się. Reacher zrobił krok naprzód, pochylił się nad siedzącym na krześle Emersonem i wsunął dłoń pod jego płaszcz. Wyjął dziewięćmilimetrowego glocka. Wręczył go Biance.

— Chyba musi pani dokonać aresztowań — rzekł. Nagle Zek uśmiechnął się i w drzwiach stanął Chenko.

\*\*\*

Chenko był cały utyłany w błocie i miał złamaną rękę, ramię lub obojczyk, a może wszystkie trzy. Wepchnął dłoń za pazuchę, używając koszuli jako temblaka. Jednak lewą rękę miał sprawną. Całkowicie. Reacher odwrócił się twarzą do niego i zobaczył wycelowanego w swoją pierś obrzyna. Pomyślał bezsensownie: Skąd on go wziął? Z samochodu? Czy wóz stał zaparkowany za domem?

Chenko spojrzał na Biancę.

— Niech pani odłoży broń — powiedział.

Bianca położyła glocka Emersona na podłodze. Bezdźwięcznie spoczął na dywanie.

— Dziękuję — powiedział Chenko.

Nikt się nie odezwał.

— Zdaje się, że przez jakiś czas byłem nieprzytomny — rzekł Chenko. — Jednak teraz czuję się znacznie lepiej.

— Przeżyjemy — odezwał się Zek z drugiej strony pokoju. — Jak zawsze.

Reacher nie obejrzał się. Zamiast tego patrzył na broń Chenki. Była to śrutówka Benelli Nova Pump. Z kolbą obciętą tuż za

uchwytem pistoletowym. Lufę odpiłowano tuż przed łożem. Dwunastka. Magazynek na cztery naboje. Porządna broń, okropnie okaleczona.

— Emerson! — zawołał Zek. — Podejdz tu i rozwiąż mnie.

Reacher usłyszał, że Emerson wstaje. Nie obejrzał się na niego. Tylko zrobił maleńki krok naprzód i w bok, bliżej Chenki. Był od niego o stopę wyższy i dwukrotnie szerszy.

— Potrzebny mi nóż — powiedział Emerson.

— Żołnierz ma nóż — rzekł Chenko. — Jestem tego pewny, sądząc po tym, co zdarzyło się moim kolegom na parterze.

Reacher przysunął się jeszcze bliżej. Wysoki i mały, stali twarzą w twarz, w odległości trzech stóp od siebie, z czego większość zajmowała śrutówka. Talia Reachera znajdowała się na wysokości piersi Chenki.

— Nóż — zażądał Emerson.

— Chodź i weź go sobie — odparł Reacher.

— Kopnij go do mnie.

— Nic.

— Strzelę — ostrzegł Chenko. — Z dwunastki, w brzuch. I co potem? — pomyślał Reacher. Jedną ręką nie przeładujesz śrutówki.

— No to strzelaj — rzekł.

Czuł na sobie ich spojrzenia. Wiedział, że wszyscy na niego patrzą. Wytrzeszczają oczy. Cisza dzwoniła w uszach. Nagle wyraźnie poczuł zapachy unoszące się wokół. Zakurzonego dywanu, starych mebli, strachu, napięcia, parnego nocnego powietrza wpadającego przez otwarte drzwi na dole i rozbite okno na górze, niosącego odór żywej ziemi, nawozu i kiełkujących roślin.

— No dalej — zachęcił. — Strzelaj.

Chenko ani drgnął. Tylko stał. Reacher był dokładnie naprzeciwko niego. Wiedział szczegółowo, kto i gdzie się znajduje. Sam to zaaranżował. Widział to oczyma wyobraźni. Chenko stał w drzwiach, twarzą do okna. Wszyscy pozostali spoglądali w przeciwnym kierunku. Sam Reacher stał przed Chenką, twarzą w twarz, tak blisko, że mógłby go dotknąć. Cash znajdował się dokładnie za jego plecami, za kanapą, na

parapecie, patrząc przed siebie. Siedzący na kanapie Zek też patrzył w tym kierunku. Emerson stał na środku pokoju, obok Zeka, nie wiedząc, co robić, czekając. Yanni, Franklin, Helen i Rosemary Barr siedzieli na fotelach pod ścianami. Bianca i Alex Rodin gapili się, siedząc na krzesłach, obrócenii bokiem. Reacher wiedział, gdzie jest każde z nich i na co patrzy.

— Strzelaj — powiedział. — Celuj w brzuch. Uda ci się. No, dalej.

Chenko nie strzelił. Tylko gapił się na niego. Reacher był tak blisko i tak duży, że zasłaniał mu wszystko. Zupełnie jakby tylko oni dwaj byli w tym pokoju.

— Pomogę ci — zaproponował Reacher. — Policzę do trzech. Potem naciśniesz spust.

Chenko stał nieruchomo.

— Rozumiesz? — zapytał Reacher. Tamten milczał.

— Raz — powiedział Reacher. Żadnej reakcji.

— Dwa — powiedział Reacher.

I odsunął się na bok. Po prostu zrobił jeden długi, błyskawiczny krok w prawo. Cash strzelił zza kanapy w miejsce, gdzie przed ułamkiem sekundy stał Reacher. Trafił Chenkę w pierś.

Potem Cash odstawił karabin równie bezszelestnie, jak go podniósł.

\*\*\*

Dwa radiowozy z nocnej zmiany przyjechały i zabrały Zeka oraz Emersona. Potem cztery ambulanse przyjechały po ofiary. Bianca spytała Reachera, co właściwie stało się pierwszym trzem. Reacher powiedział jej, że nie ma pojęcia. Zielonego. Zasugerował, że zapewne doszło tu do kłótni. Może to jakieś bandyckie porachunki? Bianca nie drażyła tematu. Rosemary Barr pożyczyla od Franklina telefon komórkowy i zaczęła wydzwaniać po okolicznych szpitalach, szukając bezpiecznej przystani dla swojego brata. Helen i Alex Rodin siedzieli obok siebie, rozmawiając. Sierżant Cash siedział na fotelu i spał.

Stary żołnierski nawyk. Śpij, kiedy możesz. Yanni podeszła do Reachera i powiedziała:

— Twardzi ludzie czuwają w nocy.

Reacher pamiętał o włączonym telefonie. Uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Zwykle jestem w łóżku przed północą.

— Ja też — powiedziała Yanni. — Sama. Pamiętasz mój adres?

Reacher znów się uśmiechnął i skinął głową. Na dole wyszedł na ganek i ruszył kawałek po polu, aż zza zarysów budynku wyłoniło się niebo na wschodzie. Świtało. Na horyzoncie czerń podbarwiła się już purpurą. Reacher odwrócił się i popatrzył na ostatni ambulans. Sądząc po rozmiarach nakrytego prześcieradłem ciała, to Vladimir wyruszał w ostatnią podróż. Reacher opróżnił kieszenie. Wyjął przedartą wizytówkę Emersona, serwetkę z numerem telefonu Helen Rodin, wielki mosiężny klucz do pokoju motelowego, smitha and wessona oraz nóż sierżanta Casha i złożył wszystko w stosik obok drzwi frontowych. Potem zapytał ratowników, czy mogą go podwieźć do miasta. Wyliczył sobie, że od szpitala przejdzie kawałek na wschód i znajdzie się na dworcu autobusowym, zanim słońce wyjdzie zza horyzontu. Przed lunchem powinien dotrzeć do Indianapolis. Potem kupi sobie parę butów i nim słońce znów zajdzie, on będzie już daleko.